



**Wojciech
Kulawski**

**MIĘDZY
ŚWIATAMI**

LIND&CO

Wojciech
Kulawski

**MIĘDZY
ŚWIATAMI**

LIND & CO

@lindcopl

e-mail: info@lindco.se

Tytuł oryginału:

Między światami

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Książka ani jej część nie może być przedrukowywana ani w żaden inny sposób reprodukowana lub odczytywana w środkach masowego przekazu bez pisemnej zgody Wydawnictwa Lind&Co Polska sp. z o o.

Wydanie I, 2023

Projekt okładki: Studio Karandasz

Grafika na okładce:

Andrey Kiselev, deagreez (ai generated image),

riakhinantonUkraine / Adobe Stock

Copyright © dla tej edycji:

Wydawnictwo Lind&Co Polska sp. z o o, Gdańsk, 2023

ISBN 978-83-67494-98-4

Po więcej darmowych ebooków i audiobooków kliknij **TUTAJ**

PROLOG

Przejażdżka rollercoasterem okazała się niezapomnianym przeżyciem. Kamil chciał już wystartować na największą atrakcję parku rozrywki, którym była ogromna RocketFire, reklamowana jako „najbardziej wstrząsające przeżycie w twoim dotychczasowym życiu”, gdy ujrzał twarz Magdy i zrozumiał, że trzeba poszukać czegoś spokojniejszego. Znali się od trzech miesięcy, jednak dopiero dwa tygodnie temu odważył się zaprosić ją do kina. Potem były jeszcze cukiernia i kawa, nie mając pomysłu na czwartą randkę, postanowił zabrać Magdę do parku rozrywki.

Magdalena Zawadzka, choć nie była piękną według powszechnie przyjętego kanonu, miała w sobie coś pociągającego. Długie, ciemne włosy spinała w dwa kucyki, co ujmowało jej około dziesięciu lat. Piegi na małym nosie, pieprzyk na lewym policzku, świdrujące czarne oczy oraz nienaganna figura tworzyły obraz pewnej siebie uczennicy żeńskiego gimnazjum, która pod miłą aparycją wiewi diabła. Oboje pracowali w firmie InfoSense, która była częścią dużej medycznej korporacji. Gdy tylko natknęli się na siebie przypadkiem w windzie, Magda od razu zwróciła uwagę Kamila. Nigdy nie był typem amanta, wręcz przeciwnie – nawiązanie kontaktu z płcią przeciwną zawsze przysparzało mu wielu trudności. W jego trzydziestodwuletnim życiu były dwie, może trzy kobiety, które mógłby od biedy nazwać swoimi dziewczynami. Przy czym żaden związek nie trwał dłużej niż kilka miesięcy. Za każdym razem

kończyło się podobnie: wybranki serca po pewnym czasie nazywały Kamila nudziarzem i po prostu go porzuciły. Cóż mógł poradzić, że bardziej kręciły go komputery niż koleżanki. Mieszkał w bloku z matką, emerytowaną kucharką, która za miesiąc kończyła siedemdziesiąt lat. Kobieta prawie codziennie przy obiedzie truła mu, że powinien się wreszcie ustatkować, znaleźć sobie żonę i założyć rodzinę, bo przecież ona nie będzie żyła wiecznie.

Kamil Rozner szybko zauważył, że Magda była dzisiaj nieswoja, rozkojarzona i nieobecna. Nawet na rollercoasterze zachowywała się powściągliwie, choć pozostali krzyczeli wniebogłosy, wymachując rękami i nogami. Magda zaś kurczowo trzymała się siedzenia, z zaciśniętymi zębami i zamkniętymi oczyma wyczekiwała zakończenia ekstremalnej przejażdżki.

– A może jednak RocketFire? – zapytał nieśmiało.

– Chyba muszę odpocząć. Mój błędnik szaleje po poprzedniej karuzeli – odpowiedziała. Rozejrzała się po parku rozrywki. Wszędzie było pełno ludzi, jakiś clown żonglował piłeczkami, ojciec z dzieckiem strzelali ze śrutówki do kręcącej się tarczy. Tysiące kolorów migąło i falowało, nakładając się na siebie i wprawiając Magdę w stan, którego nie mogła dokładnie określić, jakby tkwiła na granicy świadomości.

– W takim razie koło młyńskie – stwierdził Kamil.

Kupili bilety na ogromną karuzelę, która wznosiła się na wysokość trzydziestu dwóch metrów. I choć tempo jazdy nie było zawrotne, widok rozciągający się z małej gondolki na okolicę przyprawiał o zawrót głowy.

Ustawili się za dwojgiem młodych ludzi i czekali cierpliwie, aż dotrą na początek kolejki. Niski mężczyzna z obsługi parku co jakiś czas zatrzymywał i uruchamiał ogromne koło, aby każdy z chętnych mógł zająć miejsce. Gdy nadeszła ich pora, wsiedli do wolnego wagonika i powoli

zaczęli się wznosić. Kamil, widząc, że ich dłonie niemal się dotykają, zdecydował się na ten jakże odważny w jego mniemaniu krok. I choć czuł, jak trzepoczące ze strachu serce pompuje mu krew do skroni, to wreszcie się przełamał. Przez pierwsze sekundy Magda nie reagowała, dopiero gdy wszyscy zainteresowani zajęli miejsca, a koło młyńskie ruszyło, odwzajemniła uścisk. W górze podziwiali piękny letni krajobraz rozciągający się z góry. Każdy z wagoników miał zadaszenie, do którego została przytwierdzona okrągła tarcza, przypominająca dziecięcą zabawkę – bączka. Magda nadal wydawała się nieobecna, utkwiała wzrok w jakimś odległym punkcie na horyzoncie. Dla niej ten lukrowany świat, stworzony na zamkniętym terenie ku uciesze dzieci i dorosłych, był obcy i wrogi. Bezchmurne niebo zdawało się kłębowiskiem złej energii, a zielone lasy widoczne z oddali przypominały śmietnisko pełne zgnilizny. I do tego ta upiorna kolorowa tarcza, doprowadzająca do szaleństwa. Skupiła myśli, aby odwrócić uwagę od kręcącego się obrzydlistwa, które niejako wwiercało się w jej czaszkę. Ogarnęła ją nieodparta ochota, aby natychmiast stąd uciec. Dopiero po chwili doszła do wniosku, że przecież nie skoczy z trzydziestu metrów na betonową posadzkę.

– Czy coś cię martwi? – zagadnął Kamil, który dostrzegł jej rozdrażnienie.

– Nie, dlaczego? – odparowała.

– Wyglądasz na osowiałą – odrzekł, nadal zastanawiał się, czy powinien zdecydować się na kolejny krok ku zacieśnieniu relacji z koleżanką. Może gdyby pocałował Magdę na samej górze wielkiego koła młyńskiego, zapamiętałaby to zdarzenie jako początek ich wielkiej miłości? Popatrzył na dziewczynę, która niczym zahipnotyzowana wpatrywała się w kolorową tarczę kręcącą się na dachu wagonika przed nimi. Potrząsnął głową, odrzucając do tyłu długie loki, aby lepiej przyjrzeć się Magdzie. Jej oczy

były nieobecne. W pewnym momencie Kamil poczuł przeszywający ból dłoni. Spojrzał w dół i omal nie zemdlął z wrażenia. Paznokcie Magdy wpiły się w jego skórę tak mocno, że przebiły ją w kilku miejscach. Na podłogę gondolki kapłała krew. Gdyby tego było mało, twarz dziewczyny wykrzywiła się w przerażającym grymasie. Jej wargi rozszerzyły się, ukazując zęby – niczym u psa, który broni miski z jedzeniem. Źrenice oczu powędrowały do góry, jakby próbowały zajrzeć w środek czaszki.

– Magda, co się dzieje? – zapytał Kamil, próbując poluzować żelazny uścisk dłoni ukochanej. – Magda! – krzyknął, jakimś cudem wyrwijąc rękę. Obejrzał swoją dłoń i szybko skonstatował, że nie jest tak źle, choć z dwóch miejsc dość obficie wyciekała krew. Odruchowo oblizał ranę, po czym ścisnął ją drugą dłonią, aby zatamować krwawienie.

– Magda, czy ty jesteś na coś chora? – dopytywał. – Niektórzy epileptycy źle reagują na kolorowe tarcze, kino albo stroboskop.

Mimo usilnych starań chłopaka Magda nadal tkwiła w zatrwajającym odrętwieniu. Przestraszony, potrząsał nią energicznie, nawet uderzył lekko w twarz, chcąc wyrwać z letargu, jednak bez efektu. Nagle Magda przekręciła głowę w stronę Kamila, wyglądała na spokojniejszą, ale po chwili w jej oczach pojawił się dziki strach. Przyłgnęła do Kamila i zaczęła dygotać niczym w ataku febry.

– Co się dzieje? Mam wezwać lekarza? Zatrzymać koło? – rzucał bez zastanowienia Kamil, który nie wiedział, co mógłby zrobić, by pomóc Magdzie.

– Byłam tam – wymamrotała. Jej dłonie błądziły po jeansach i białej, krótkiej koszulce Kamila, próbując znaleźć punkt zaczepienia. Wreszcie wczepiła się w jego T-shirt i zacisnęła mocno ręce, jakby broniła się przed upadkiem w przepaść.

– Gdzie byłaś? – zdziwił się. Przytulił Magdę, głaszcząc ją po głowie. Czuł jej strach, który wypełnił przestrzeń wokół nich. Nawet świecące słońce schowało się za chmurą, choć Kamil mógłby przysiąc, że pięć minut temu nie widział na niebie żadnych obłoków. Był przekonany, że musiał to być jakiś atak paniki, może w ten sposób uzewnętrzniała się choroba psychiczna albo schizofrenia, o której Magda nie zdążyła mu powiedzieć. Co chwilę oblizywał krwawiącą dłoń, aby nie pobrudzić koleżanki.

– Ten facet w gondolce przed nami zaraz skoczy – szepnęła Magda.

– Co ty bredzisz?

Kamil nie widział dobrze, bo gondolka przed nimi była zasłonięta daszkiem w kształcie parasolki. Odniósł jednak wrażenie, że siedzący w niej mężczyzna odpina pasy, podnosi się z miejsca i rzuca się w dół w momencie, kiedy kosz znajdował się w najwyższym punkcie koła młyńskiego. Para obserwowała, jak rozkłada ręce i szybuje niczym ptak. Zdarzenie trwało kilka sekund, ale Kamil zapamiętał wszystko w najdrobniejszych szczegółach – uśmiechniętą twarz samobójcy, jego oczy, zadowolone, jakby wreszcie zaznały ukojenia, błysk zegarka na nadgarstku spadającego. Ktoś krzychał, przebijając się przez tłum ludzi bawiących się w parku rozrywki. Ciało mężczyzny, bezwładne niczym szmaciana lalka, obijało się o metalowe konstrukcje koła młyńskiego, by ostatecznie upaść na betonową posadzkę. Jego głowę otoczyła plama krwi przypominająca rozszerzającą się aureolę. Pojedyncze osoby, które były świadkami wypadku, zaczęły wrzeszczeć. Wokół zmasakrowanego ciała zebrała się grupka ludzi, a wśród nich również pracownicy parku rozrywki.

– Wezwać lekarza! Zatrzymać karuzelę! – wołał ktoś.

Kamil Rozner patrzył na scenę z niedowierzaniem. Przez jakiś czas nie mógł wydusić z siebie ani słowa. Jego mózg próbował poukładać to, co się przed chwilą wydarzyło, ale chaos nie opuszczał jego myśli.

– Ty wiedziałaś... że on skoczy? – wykrztusił.

– Widziałam to. Byłam tam – odpowiedziała.

– Gdzie byłaś?

– Nawet nie wiesz, jak tam jest okropnie. To dojmujące poczucie strachu, bólu i zagrożenia. Oni tu po nas przyjdą i wtedy wszyscy umrą. – Wtuliła się w ramię Kamila i zaczęła szlochać.

Rozner siedział oszołomiony i czekał, aż wszyscy pasażerowie koła młyńskiego opuszczą wagoniki i przyjdzie wreszcie ich kolej. Jedno wiedział na pewno: to, czego przed chwilą doświadczył, w żaden sposób nie dało się racjonalnie wytłumaczyć.

ROZDZIAŁ 1

Leon Kowal zaczynał się męczyć. I to bynajmniej nie z powodu złej formy. Jak na trzydziestodzieciolatka trzymał się całkiem nieźle. Biegł przez pasaż handlowy Centrum Handlowego Panorama, uważając, by nie wpaść na przechodniów oglądających wystawy sklepów. W oddali widział uciekającego chłopaka z torebką w ręku, która jeszcze pięć minut temu tkwiła w dłoni starszej kobiety. Zastanawiał się, czy nie zrezygnować. Przecież złapanie drobnego złodziejaska nie sprawi, że świat stanie się lepszy. Nie otrzyma nagrody prezydenta miasta albo chociaż bonu na zakupy w sklepie. Aktualnie największym problemem Kowala było uratowanie biznesu, w którego rozkręcenie włożył ogrom pracy. Pomysł, aby założyć biuro detektywistyczne, na początku wydawał się strzałem w dziesiątkę, ale zderzenie z rzeczywistością pogrzebało piękne wizje. Kowal uwierzył barwnym opowieściom byłych policjantów, którzy mieli opływać w dostatkach, śledząc współmałżonków podejrzanych o zdradę albo poszukując zaginionych dzieci porwanych przez zdesperowanych ojców pozbawionych możliwości widywania się z latoroślami, a teraz ledwo wiązał koniec z końcem, oczekując na intratne zlecenia.

Kilka lat wstecz poczucie obowiązku kazałoby mu biec, aż do utraty sił, ale wiele minionych wydarzeń, szczególnie te negatywne, gruntownie zmieniły jego sposób postrzegania świata. Jakiś czas temu coś w nim pękło, nie miał już motywacji, która mobilizowałaby go, by stać na straży

prawa i sprawiedliwości. Dobrze wiedział, że przyczyną pogłębiającej się apatii była postawa jego przełożonych. Choć on sam uważał, że nie ma sobie niczego do zarzucenia. W końcu wszyscy funkcjonariusze policji brali. Taka była polska rzeczywistość. Tym bardziej Leon nie mógł zrozumieć, jak mogli go wydalić ze służby. Zrobili z niego kozła ofiarnego i poświęcili jako przestroga dla innych.

Złodziejaszek uciekający z torebką najwyraźniej był mistrzem parkouru. Gdy dotarł do ruchomych schodów, wskoczył na poręczę i w kilka sekund zbiegł na dół, skacząc między ludźmi niczym kozica tatrzańska. Kowal miał już odpuścić, kiedy nieoczekiwanie wpadł mu do głowy pomysł, jak zastawić pułapkę na uciekiniera. Wszystko wskazywało na to, że chłopak kieruje się do południowego wyjścia. Gdyby Kowal zbiegł schodami, mógłby skrócić sobie drogę. Oczywiście pod warunkiem, że złodziej nie zmieniłby zdania i nie wybrał innej drogi ucieczki. Były policjant nie miał nic do stracenia, dopadł do drzwi prowadzących na klatkę schodową i omijając co drugi schodek, pomknął dwa piętra niżej, gdzie zaczął się tuż przy wyjściu z centrum handlowego.

Wysoki chłopak właśnie wymykał się przez drzwi, przekonany, że udało mu się zgubić pościg, kiedy Kowal złapał go za rękę i jednym mocnym uderzeniem w splot słoneczny sprowadził do parteru. Dzięki wieloletniemu doświadczeniu w policji dokładnie wiedział, gdzie należy bić, aby nie pozostawiać śladów.

Odebrał torebkę złodziejowi i czekał, aż pojawią się pracownicy ochrony obiektu.

– Miałeś dzisiaj niefart, że na mnie trafiłeś – stwierdził.

– Spieprzaj – warknął zwijający się z bólu chłopak. Był ubrany w krótkie spodenki i czarną koszulkę, a jego dolną wargę pokrywały paskudne pęcherzyki.

– Możemy się zabiawić w loterię. Jeśli babeczka ma w torebce więcej kasy, bo chciała akurat kupić sobie nowy odkurzacz, to masz przesrane – powiedział Kowal. – Będiesz sądzony za przestępstwo. Jeśli jest to typowa emerytka z kilkoma groszami, to skończy się na wykroczeniu. Jakie to życie jest niesprawiedliwe – skwitował. Spojrzał na drzwi galerii, z których wybiegli trzej ochroniarze.

– Dziękujemy za interwencję – wysapał barczysty pracownik zabezpieczający obiekt. Jego postura atlety, broda i wąsy sprawiały, że budził respekt. Najwidoczniej ktoś, kto zatrudniał ochroniarzy, był święcie przekonany, że groźny wygląd to w tym zawodzie więcej niż połowa sukcesu.

– Proszę jeszcze to. – Kowal wyciągnął rękę z torebką w dłoni.

– Dziękujemy. Właścicielka już zgłosiła kradzież. Czeka w recepcji razem z policjantem.

Leon zaklął pod nosem, gdy zdał sobie sprawę, w jaką kabałę się wpakował. Będzie teraz musiał składać wyjaśnienia, być może odwiedzić komisariat albo nawet udać się do prokuratury, aby raz jeszcze streścić minione zdarzenie. Niewykluczone też, że zostanie wezwany przez sąd w roli świadka. I to tylko dlatego, że postanowił zabiawić się w prawego obywatela.

Na szczęście po godzinie był już wolny, gdy opuścił centrum handlowe, poczuł ogromny głód. Ruszył do najbliższego sklepu spożywczego i zakupił pół chleba i serek topiony – produkty, które składały się na jego dietę od dobrego miesiąca. Z obecną zasobnością portfela Kowala masło było zbytym luksusem.

Wrócił do klitki ulokowanej na parterze czteropiętrowego bloku przy ulicy Raławickiej, gdzie mieściło się jego biuro. Raz jeszcze rzucił okiem na tabliczkę z napisem: „Leon Kowal prywatny detektyw”, oraz wypisany

mniejszą czcionką zakres usług. Któryś z byłych kolegów z policji podpowiedział mu, aby na początku nie wybrzydzał i brał każdą sprawę. Dlatego na szyldzie znalazły się testy na ojcostwo, rozwody, obserwacje miejskie, poszukiwanie osób, wykrywanie podsłuchów i monitoringu, a nawet pomoc w rozstrzyganiu konfliktów o spadek. I byłoby wspaniale, gdyby nie jeden mały szczegół. Od założenia biura detektywistycznego nie miał ani jednego klienta. Na samą myśl o liczbie pozwoleń i urzędniczych zgód związanych z otwarciem biura robiło mu się niedobrze, ale trzymał się nadziei, że ta droga przez mękę zaprowadzi go do finansowego eldorado. Sądził, a wręcz miał pewność, że przy tylu znajomościach i kontaktach, które wyniósł z policji, bez większego problemu znajdzie chętnych na swoje usługi. Czyny za biuro był co prawda niski, ale zważywszy, że biznes nie przynosił żadnych profitów, oszczędności błyskawicznie się rozeszły. Stało na tym, że utrzymanie gospodarstwa domowego spadło na barki jego żony Olgi, znudzonej pracą nauczycielki polskiego w jednym z warszawskich liceów. Nie mógł uwierzyć, że jego życie w – wydawałoby się – kilka chwil uległo tak drastycznej zmianie. Jak w jakimś gorzkim żarcie. Fakt faktem, będąc w policji, nigdy nie opływał w dostatki, ale nie musiał też jeść przez okrągły miesiąc serka topionego. Wchodząc do ciasnego, zatęchłego pomieszczenia, gdzie wcześniej urzędował jakiś podrzędny adwokat, przypomniał sobie poranną rozmowę z żoną.

– Przestań się oszukiwać i spójrz prawdzie w oczy – prawie krzyczała Olga. Ta niska, drobna kobieta o pełnych policzkach i ładnej, okrągłej twarzy piętnaście lat temu zawróciła w głowie Leonowi. O dziwo, wylądowali w łóżku już na drugim spotkaniu, co wówczas tłumaczył sobie swoim nieodpartym urokiem osobistym. Niestety zakochanie i pociąg seksualny ulotniły się po pięciu latach, później została tylko szara

codziennosc. Być może ich małżeństwo byłoby bardziej udane, gdyby mieli dzieci, o które kiedyś bardzo się starali. Z czasem poddali się i pogodzili z faktem, że nie będzie im dane przedłużyć ludzkiego gatunku – i choć miłość rozwiała się pośród długich, szarych i niemal identycznych dni, zostali ze sobą z przyzwyczajenia i wygody. Kowalowi ten układ odpowiadał i byłby całkiem zadowolony, gdyby nie wybuchowy charakter Olgi. Nawet najdrobniejsza rzecz potrafiła wyprowadzić ją z równowagi, kłótnie stały się stałym elementem ich codzienności. W ten sposób wyładowywali frustrację i narastające zgorzknienie.

– Mówiłem już, że dam sobie trzy miesiące na rozkręcenie interesu – przypomniał Leon.

– Niestety – bąknęła – nie przewidzieliśmy, że w jednym miesiącu popsuje nam się i pralka, i piec. Nasz domowy budżet się nie spina. Musiałam pożyczyć pieniądze od Jolki. Nawet nie wiesz, jakie to upokarzające – żaliła się Olga, zagryzając kanapkę z pasztetem.

– Mam mnóstwo znajomości i kontaktów, poproszę kumpli, żeby podesłali mi jakichś klientów do biura – przekonywał Kowal, choć czuł, że traci grunt pod nogami, a stan jego poczucia wartości sięga mulistego dna.

– Przestań się łudzić. Znajdź jakąś robotę na etacie. To przynajmniej comiesięczny pewny przychód, a nie modlitwa o zlecenia – nie ustępowała.

Leon zmrużył oczy i spojrzał na żonę, jakby planował w myślach popełnienie jakiegoś przestępstwa.

– A może moglibyśmy ruszyć zapas? – zapytał.

– Chyba od tej zabawy w detektywa na mózg ci padło – fuknęła. – Zobaczą, że masz tę kasę, i żadne znajomości cię nie uratują. Wylądujesz w pierdłu i wtedy naprawdę będziemy mieli problem.

– Może masz rację – przyznał, zagryzając wargi. – Daj mi jeszcze miesiąc. Potem wezmę pracę w ochronie, którą proponował mi Jacek –

dodał, choć wizja snucia się po jakimś obiekcie albo pilnowania posesji bogaczy nie mieściła mu się w głowie. Jak nisko musi upaść człowiek, aby przetrwać w tym okrutnym świecie?

Leon Kowal usiadł przy biurku, wyjął chleb i zaczął smarować go serkiem topionym, kromka po kromce, dobrze wiedział, jakiej grubości warstwy nakładać, aby wystarczyło go na wszystkie. Położył nogi na stole i wpatrywał się w pająka, który od kilku dni z wielkim mozołem plótł sieć w kącie pokoju.

– Kurwa mać! – zaklął, po czym cisnął kanapką w drzwi.

Jakże inaczej potoczyło się jego życie, niż zakładał. Skończył studia na wydziale turystyki i pełen entuzjazmu wyruszył na podbój biur podróży. Niestety szybko się okazało, że o pracę w tym zawodzie wcale nie jest tak łatwo. Zniechęcony, uległ namowom ojca, byłego wojskowego, i wstąpił do policji, gdzie powoli piał się po szczeblach kariery. Dochrapał się nawet stolka komisarza. I gdy miało już być z górki – wyższa pensja, kilku podległych ludzi i odcinanie kuponów aż do emerytury – jeden z policjantów, który nienawidził Kowala, oskarżył go o korupcję. Przesłuchano handlarza samochodami, który – ratując się przed więzieniem – zeznał, jak było. Leon nie poszedł co prawda siedzieć, ale pożegnał się ze służbą i przywilejami przysługującymi mundurowym.

Z zadumy wyrwało go energiczne pukanie do drzwi. Przekonany, że to któryś z mieszkańców, w końcu przybysz musiał jakoś dostać się na klatkę, uchylił skrzydło, za którym ujrzał blondwłosą, atrakcyjną dziewczynę.

– Dzień dobry – zaczęła pewnie. – Nazywam się Monika Wójcik i przysłała mnie do pana urząd pracy.

Kowal zmierzył ją od stóp do głów. Wyglądała na bardzo młodą, choć mocny makijaż nie pozwalał na dokładniejsze określenie wieku. Miała na

sobie kremowy żakiet i krótką spódnicę. W rękę trzymała papierową teczkę.

– Ale ja nie chciałem żadnego pracownika z urzędu – zdziwił się.

Monika weszła do środka i rozejrzała się po niewielkim biurze.

– Brakuje tu kobiecej ręki – nadmieniła. – Czy klienci nie uciekają, widząc tak zaniedbane miejsce pracy prywatnego detektywa?

– Klienci przychodzą tu do mnie, a nie do biura. Mógłbym nawet pracować w domu i też byłoby dobrze – odgryzł się Leon, który nie zamierzał się chwalić, że nie miał jeszcze żadnego klienta.

– Skończyłam studia detektywistyczne na SGGW. Mogłabym się panu przydać – rzuciła z uśmiechem. Miała lekko skrzywione jedynki, co wcale nie ujmowało jej uroku – wręcz przeciwnie. Usiadła na biurku, eksponując opalone nogi.

Kował, zbity z tropu odważnym zachowaniem Moniki, nie wiedział, co odpowiedzieć, gdy otworzył usta, wyrwało mu się jedynie:

– SGGW?

– No tak, Szkoła Główna Gospodarstwa Wiejskiego. Choć pewnie wie pan, co to jest. – Zmarszczyła brwi. – Nazywaliśmy ją żartobliwie „szkoła gówna”. Mogę panu opowiedzieć o zajęciach praktycznych w oborze. To było niezapomniane przeżycie.

– Przecież mówiła pani, że skończyła szkołę detektywistyczną?

– No tak, ale mieliśmy też różne zajęcia praktyczne w ramach zajęć dodatkowych. Wie pan, jak pasjonująca może być inseminacja krowy. Opowiedzieć? – zapytała szelmowsko.

– Może nie – zaprotestował. – Proszę pokazać dokumenty – dodał. Doszedł do wniosku, że może poudawać i przeprowadzić rozmowę rekrutacyjną, choć i tak nie mógł zaproponować urodziwej absolwentce

żadnej pracy, nie mówiąc już o zapłacie. Rozsiadł się za biurkiem i przeglądał teczkę, pomrukując z dezaprobatą.

– Nie brylowała pani na studiach – zauważył. – Oceny dostateczne z kryminalistyki.

– Nauczyciele się na mnie uwzięli, bo byłam zbyt ambitna – ucięła temat Monika.

– Wie pani, właściwie to ja dopiero zaczynam. Sam czekam na zlecenia. Nie mógłbym pani zapłacić za pracę – wyjaśnił.

Monika wstała z biurka i poszła w kierunku toalety. Wróciła po chwili z wilgotną ścierką. Uśmiechnęła się i oświadczyła:

– Wystarczy mi to, co dostanę z urzędu, no i będę miała opłacone składki. Ja zdobędę doświadczenie, a pan będzie miał darmowego pracownika, to chyba dobry układ.

– I nie musiałbym pani niczego płacić? – upewnił się.

– Absolutnie nic – zapewniła, po czym zabrała się za wycieranie kurzy z półek, mebli i biurka.

– Co pani robi?

– Muszę doprowadzić to miejsce do porządku.

Kowal wstał poirytowany. Staął przy oknie i obserwował krzątającą się dziewczynę.

– Nie chcę żadnego pracownika – powiedział dobitnie. – Prawdopodobnie za tydzień czy dwa to miejsce przestanie istnieć, a ja skończę jako ochroniarz. Jeśli podpiszę umowę z urzędem pracy, będę musiał dotrzymać warunków zatrudnienia, a co za tym idzie, co najmniej przez trzy miesiące nie będę mógł zlikwidować firmy.

Monika nie przejęła się wybuchem frustracji Kowala, nadal wycierała kurze i układała długopisy, notesy i inne przedmioty, chcąc wprowadzić w pomieszczeniu nieco ładu.

– Proszę natychmiast opuścić moje biuro – rozkazał Kowal.

– Dobrze, nie nalegam. – Monika odłożyła ścierkę, zabrała teczkę i już miała skierować się do drzwi, gdy rozległ się dźwięk domofonu. Detektyw wyjrzał przez okno i ujrzał przed blokiem chłopaka o długich, kręconych włosach.

– Klient – wyszeptał, skonsternowany nagłośnią zdarzeń usiadł na fotelu za biurkiem i skinął ręką w stronę drzwi. – Niech pani pójdzie i zaprosi go do środka.

Monika wykonała polecenie niedoszłego szefa i wyszła na klatkę schodową.

– Dzień dobry, szukam detektywa Leona Kowala – oznajmił Kamil Rozner.

– Dzień dobry, szef pana przyjmie, zapraszam. – Wskazała klientowi drzwi do biura. – To tutaj, proszę wejść. Napije się pan kawy? – zaproponowała, po czym uświadomiła sobie, że nigdzie nie widziała ekspresu ani nawet czajnika.

– Jeśli to nie kłopot.

– Witam pana. – Kowal wstał od biurka i wyciągnął rękę w stronę chłopaka. – Zapraszam.

– W takim razie... ja zaraz wracam. – Monika skierowała się ku wyjściu, aby popędzić do najbliższej kawiarni.

– Dziękuję – zawołał za nią Kowal.

Rozner usiadł na krześle i ciężko westchnął.

– Proszę się uspokoić. Coś pana dręczy? – zaczął Kowal, rozsiadając się na fotelu. Wyciągnął z szuflady kilka kartek papieru do drukarki, poszukał długopisu, który zmienił położenie po sprzątaniu Moniki, i spojrzał na Roznera, dając znać, że może opowiadać, z czym przychodzi.

– Nie wiem, jak zacząć. – Chłopak rozglądał się nerwowo, jakby obawiał się jakiegoś zagrożenia.

– Najlepiej najprościej, od początku – poradził Kowal z uśmiechem, zadowolony, że wreszcie ma pierwszego klienta.

ROZDZIAŁ 2

Wcześniej

Grażyna Dopierała weszła do prywatnej kliniki przy ulicy Dzielnej w Warszawie. Skinęła głową recepcjonistce, po czym ruszyła korytarzem do sali numer siedem. Z bólem uświadomiła sobie, że czuje się tu jak w domu, zna nie tylko wszystkie zakamarki rozległego budynku, lecz także cały personel, który walczył wytrwale o możliwość wybudzenia ze śpiączki każdego podopiecznego. Nie pukając, nacisnęła na klamkę i weszła do małego pokoju z jednym oknem. Poza łóżkiem, na którym leżała kobieta o krótkich blond włosach, było tu miejsce zaledwie na krzesło i wieszak na pojemnik ze składnikami odżywczymi dla pacjentów karmionych drogą pozajelitową – płyny fizjologiczne dostarczano za pomocą silikonowego drenu, który wprowadzano do układu pokarmowego przez skórę ściany jamy brzusznej. Grażyna musiała ponieść wiele wyrzeczeń, aby sfinansować klinikę. Miała nadzieję, że praca, którą niedawno rozpoczęła, odmieni jej sytuację finansową. Dalsza rodzina Sylwii już jakiś czas temu zrezygnowała z walki o jej życie, stwierdzając po konsultacjach z najwybitniejszymi specjalistami, że szansa na wybudzenie jest znikoma. Sylwia nie miała rodzeństwa, a jej rodzice nie żyli. Były mąż tylko raz zdobył się na odwiedziny, po czym poprosił, aby nikt się z nim nie

kontaktował w sprawie byłej żony. I tylko Grażyna Dopierała uparcie twierdziła – co dziwiło personel – że dziewczynę uda się wybudzić.

– Cześć, malutka – przywitała się, siadając na krześle. Wyciągnęła długie, szczupłe dłonie i złapała za rękę leżącą na łóżku Sylwię Fornel. – Już niedługo znowu będziemy razem. Brakuje tylko dwóch osób. Pamiętasz naszą pierwszą wspólną podróż? Byłyśmy takie szczęśliwe. – Pociągnęła nosem i wytarła łzy szklące się w kącikach oczu. – Już niedługo, malutka. Nikt już mi ciebie nie zabierze. Będziemy na zawsze razem.

Siedziała, gładząc dłoń Sylwii i wspominając – po raz setny, a może nawet tysięczny – chwilę, kiedy spotkały się po raz pierwszy.

Grażyna przechadzała się jedną z piaszczystych plaż, z których słynęła Dominikana, wydała prawie wszystkie swoje oszczędności, aby uciec jak najdalej od Polski. Zdawała sobie sprawę, jak bardzo był to nierozważny krok – kolejne mozolne zbieranie pieniędzy z wypłat z uczelni, z napisanych artykułów naukowych czy nielicznych spotkań z osobami potrzebującymi pomocy psychologicznej zajmie jej kilka lat. Wiedziała jednak, że właśnie tego potrzebuje. Wylatując z kraju, była przekonana, że to impulsywna decyzja podjęta po wiadomości, że jej chłopak od roku zdradzał ją z inną dziewczyną. Po nocy przeplatanej płaczem, wybuchami złości i rozważaniami o poligamicznej naturze mężczyzn obiecała sobie (choć miała świadomość, że wygląda to jak płytka scena z amerykańskich romantycznych filmów), że już nigdy z nikim się nie zwiąże i że w najbliższym czasie wyjedzie za granicę. Wystarczyło kilka dni samotności na odległej wyspie, by odkryła, że jej ucieczka miała głębsze podłoże, a zdrada chłopaka tylko przelała czarę goryczy. Tak naprawdę utkwiała w martwym punkcie, lata po zdobyciu dyplomu z psychologii mijały, a ona ani nie otworzyła własnego gabinetu, ani nie pięła się po szczeblach kariery naukowej. Z jednej strony chciała rozpocząć własne

badania, jej lotny, a przy tym analityczny umysł był do tego stworzony, z drugiej – wiedziała, że pomysł, który rodził się w jej głowie, nie ma szans na aprobatę w gronie psychologów. Musiała zdecydować – wybrać jakiś bezpieczniejszy temat, który zapewni jej stopień doktora, czy porzucić tę ścieżkę, zostawić uniwersytet i poświęcić się pracy z ludźmi. „Ale jeszcze nie teraz, Grażyna”, mówiła do siebie, „teraz podelektujesz się tym rajem, do którego trafiłaś przez pewnego skończonego frajera”. Zaśmiała się na tę myśl, w sumie to powinna mu podziękować, może wyśle do niego kartkę z napisem: „Dziękuję, że cię tu nie ma. Jest wspaniale”.

Po raz kolejny zachwycała się urokliwą plażą i popijała kolorowego drinka. Żółciutki piasek kleił się do stóp, wyczekując, aż ciepła lazurowa fala zagarnie go do morza. Do tego błękit nieba odcinający się na horyzoncie i zieleń palm wygiętych w kierunku słonej wody. Nie dziwiła się ludziom, którzy po przyjeździe na Karaiby zostawali tu na zawsze. Usiadła na piasku i wpatrywała się w fale, które delikatnie muskały jej stopy.

Po chwili dołączyła do niej wysoka dziewczyna o krótkich blond włosach. Jej biały jak śnieg strój kąpielowy wyróżniał się na brązowym, wysportowanym ciele.

– Polka? – zagaiła.

– Czy my, Polacy, mamy narodowość wymalowaną na twarzy? – zapytała Grażyna, dopijając resztkę drinka.

– Niestety trochę tak. Wszyscy tutaj są tacy szczęśliwi. Bije od nich radość, a ty chyba przyciągnęłaś melancholię ze sobą. – Uśmiechnęła się pogodnie.

– Fakt. Powinni nas na lotnisku prześwieślać pod kątem smutku i goryczy, a nie metalowych rzeczy. Jeszcze zarazimy tutejszych – zdobyła się na żart Grażyna.

– Jestem Sylwia Fornel – przedstawiła się, wyciągając rękę.

– Grażyna Dopierała.

Ruszyły brzegiem plaży i kontynuowały rozmowę w drodze do hoteli. Okazało się, że mieszkają niedaleko od siebie i przyleciały na Karaiby kilka dni temu. Łączyła je również nienawiść do płci męskiej. Sylwia szybko wyznała Grażynie, że leczy zranioną duszę po rozwodzie z mężem, z którym była cztery lata.

– Zdradził cię? – dociekała Grażyna.

– Z dwoma naraz. Wyobrażasz sobie?

Sylwia była matematyczką, pracowała również jako asystentka, tyle że na Uniwersytecie Warszawskim, jej specjalnością była matematyka stosowana. Pogawędka układała się tak dobrze, że nawet się nie zorientowały, kiedy siedziały na balkonie przyległym do pokoju Grażyny, popijając kolejnego drinka.

– Zastanawiam się nad tematem pracy doktorskiej, i czy w ogóle się doktoryzować – powiedziała Grażyna. – Chciałabym zagrać na nosie niedowiarkom, pokazać, że to, co oni z szyderstwem nazywają parapsychologią, jest realne, tylko brakuje nam narzędzi, aby to udowodnić.

– Nigdy nie spotkałam psychologa, który na poważnie interesowałby się psychotroniką. – Sylwia oblizwała wargi, naląła rumu do szklanek, po czym dopełniła je colą. – Od pewnego czasu zespół, któremu przewodzi kierownik naszej katedry, zaangażował się w badania nad M-teorią.

– A w naszym kręgu dość dużo mówi się o kwantowej teorii pola, które może być odpowiedzialne za zjawiska związane między innymi z telepatią czy psychokinezą – wtrąciła Grażyna, zaciekawiona słowami nowo poznanej koleżanki. Sama od wielu lat obserwowała rozwój mechaniki kwantowej, doszukując się w niej odpowiedzi na większość pytań, jakie zadają sobie psychotronicy.

– Nasze dziedziny mają ze sobą wiele wspólnego – przyznała Sylwia. – My próbujemy dowieść matematycznie, że jedenaście wymiarów to wartość, która w sposób doskonały opisuje zarówno rzeczywistość, jak i wszystkie znane człowiekowi oddziaływania grawitacyjne, słabe, elektromagnetyczne i silne. Ostatnio pojawiły się głosy, że tych wymiarów może być nawet więcej niż jedenaście.

– Sądzisz, że M-teoria jest właściwym kandydatem do teorii wszystkiego, której tak usilnie poszukują fizycy?

– Nie inaczej – potwierdziła. – Do tej pory nikt nie przedstawił nic lepszego.

– Interesuję się odrobinę mechaniką kwantową – wyznała Grażyna. – I uważam, że my, ludzie, jesteśmy bardzo ograniczeni. Nie widzimy wymiarów, które zostały zredukowane do mikroświatowego poziomu kwantów. Nie znaczy to jednak, że nie mają wpływu na naszą rzeczywistość.

– Jest wiele zjawisk, które sugerują istnienie innych wymiarów, jak kosmiczna ciemna materia czy ciemna energia – kontynuowała Sylwia. – Wygląda trochę tak, że równanie rzeczywistości ma jedenaście niewiadomych, a my na podstawie czterech próbujemy wnioskować o wyniku. Większość niezrozumiałych przez naukowców zagadek kwantowych może być wyjaśniona jedenastowymiarową M-teorią. O ile oczywiście przyjmie się możliwość, że nieuchwytnie zmysłami wymiary istnieją tylko na poziomie kwantowym.

– Jakże na przykład? – dopytywała zaintrygowana.

– Dualizm korpuskularno-falowy światła, przeskakiwanie atomów między poziomami energetycznymi, antymaterię czy chociażby zasadę nieoznaczoności Heisenberga. Obserwujemy cząstki elementarne, które pojawiają się jakby z niczego, a potem równie zagadkowo znikają albo

ujawniają się w zupełnie innym miejscu, pozostawiając nam zaledwie niewielki ślad swojej aktywności.

– A co z upiornym oddziaływaniem na odległość, nad którym głowił się Einstein?

– Już dawno temu udowodniono, że Einstein się mylił. Cząstki splątane istnieją. Nie potrafimy ich opisać językiem dzisiejszej fizyki, ale jeśli zaprzęgniemy dodatkowe wymiary, sprawa staje się stosunkowo prosta. Okazuje się, że spiny w dwóch splątanych kwantach wcale nie muszą komunikować się szybciej niż światło. Można sobie wyobrazić, że po prostu podróżują niejako na skróty poprzez niewidzialne dla człowieka wymiary. To dlatego zaangażowałam się w prace nad najlepszym narzędziem do opisu cząstek elementarnych, czyli po prostu w statystykę matematyczną. Czy nie można byłoby przyjąć założenia, że w pozostałych wymiarach dzieją się zwykłe rzeczy, których my jedynie nie widzimy, a nasze narzędzia pomiarowe nie potrafią ich zarejestrować? Moim zdaniem potrzebujemy jedynie czasu albo dowodów, że pozostałe wymiary istnieją i mają realny wpływ na rzeczywistość – stwierdziła.

– Jak wspomniałaś, nasze nauki są zbieżne. – Grażyna wyraźnie posmutniała. – Różnica jest taka, że ty jesteś bardziej przekonująca, ponieważ swoją teorię podpierasz setkami wzorów, które może mało kto ogarnie, ale nikt nie śmie ich podważyć. A ja? No powiedz sama, jak to brzmi „parapsychologia”, pseudonauka, coś nieprawdziwego, obok nauki, poza nauką, jeśli tłumaczyć z greckiego. A w powszechnym mniemaniu wariaci, którzy wierzą w latające duszki i przesuwające się szklanki. A przecież chodzi o coś znacznie większego. O próbę zrozumienia, o dopuszczenie do głosu tego, co spychamy pod dywan jako wymysły grupki szaleńców. Być może wówczas usłyszymy prawdę o naszej rzeczywistości. Chodzi o odwagę przyznania się, że może jednak nie jest

tak, jak to sobie poukładaliśmy i wyjaśnialiśmy przez wieki – mówiła, wpatrując się w pustą już szklankę. Po chwili spojrzała na Sylwię z błyskiem w oku. – A może spróbuję udowodnić wybrane zjawiska psychotroniczne metodami matematycznymi M-teorii?

Fornel zmarszczyła czoło i ściągnęła brwi, zastanawiając się, czy Grażyna naprawdę chce się tego podjąć, czy po prostu za dużo wypła.

– Wiesz, sama czasem muszę się nieźle nagłowić, aby rozgryźć teorię strun – zaczęła. – Fizycy często żartują, że nie istnieje człowiek, który zrozumiałby mechanikę kwantową. Jeśli ktoś twierdzi inaczej, to znaczy, że jest szaleńcem, i nie należy mu wierzyć. Matematyk bierze wzór i stosuje go, nie pytając, dlaczego daje dobre wyniki. Na ten moment nic lepszego nie wymyśliliśmy. Używamy narzędzi, jakimi dysponujemy, choć wcale nie mamy pewności, czy są dobre, co więcej, przypuszczamy, że w przyszłości ktoś może je zmienić.

– Jesteś asystentką na wydziale matematyki stosowanej – przypomniała Grażyna.

– No tak. I co z tego?

– Przecież wcześniej czy później też będziesz musiała wybrać temat pracy doktorskiej.

– No tak. – Wzruszyła ramionami. – Jeśli tego nie zrobię, za kilka lat wywalą mnie z uczelni.

– Zawrzyjmy układ. Ja pomogę ci z psychotroniką, a ty mi z matematyką – zaproponowała Grażyna. – Pomyśl tylko, jak nieprawdopodobny duet moglibyśmy stworzyć. Łącząc nasze dziedziny, wprowadzilibyśmy naukę na wyższy poziom. Najpierw dostaniemy Nobla, a potem obwołają nas żeńskimi odpowiednikami Einsteina. – Zaśmiała się, rozbawiona swoją wizją.

Sylwia Fornel słuchała słów Grażyny z mieszanką niepokoju i podniecenia, z jednej strony pomysł psycholożki wydawał się irracjonalny, z drugiej zaś ta propozycja i cała rozmowa wyzwoliły w niej głęboko skrywane pokłady emocji, których nie mogła jasno określić. W głowie kłębiły jej się tysiące myśli związanych z możliwościami połączenia dwóch – zdawałoby się – bardzo odległych od siebie dziedzin nauki. Jednego była pewna, ogarniała ją euforia, wręcz szal twórczy, pomysł Grażyny przybierał kształt idei, dla której warto było zaryzykować. Co najdziwniejsze, w oczach koleżanki widziała to samo.

– Rozważymy to jutro – odpowiedziała najspokojniej, jak mogła. – Gdy świeże, poranne powietrze otrzeźwi nasze głowy. – Uśmiechnęła się.

– Racja – przyznała Grażyna. – Trochę dziś zaszalałyśmy – podsumowała, obracając pustą szklanką. Nagle ogarnęła ją nieodparta potrzeba przytulenia Sylwii, uległa jej, wstała od stolika i gdy już miała zbliżyć się do matematyczki, spostrzegła, że Sylwia robi to samo. Przez kilka sekund wpatrywały się w siebie zdumione obrotom spraw, po czym mocno się objęły.

– To niesamowite – szepnęła Grażyna.

– Co? – zapytała Fornel, wtulając się w jej ciało.

– Gdy coś mówię, mam wrażenie, że to wiesz, że już wcześniej to słyszałaś, a teraz tylko dajesz mi przestrzeń, bym sama siebie usłyszała. Nie wiem, czy czujesz to samo, aż ciarki mnie przechodzą.

– A jak myślisz, dlaczego się do ciebie przysiadłam? Tę bajeczkę, że łatwo rozpoznać Polaka, wymyśliłam naprędce, choć jest w niej sporo prawdy. – Sylwia oderwała się od ramion Grażyny, by spojrzeć jej w oczy. – Zobaczyłam cię na plaży i musiałam do ciebie podejść, to było silniejsze ode mnie.

– Przyznaj, czy temat naszej, jeśli zechcesz, pracy sam się nam nie narzuca? Czy nie warto byłoby zbadać, co doprowadziło do naszego spotkania? – przekonywała Grażyna. – Przecież obie czujemy, że porozumiewamy się ponad zmysłami. Nasze ciała, mózgi, jakkolwiek byśmy to nazwały, nadają na tej samej fali. – Zbliżyła dłoń do szyi Sylwii i przeciągnęła palcami w kierunku jej piersi. – Chodźmy do środka – zaproponowała.

Weszły do klimatyzowanego pokoju, zamknęły balkonowe drzwi i położyły się na szerokim łóżku, po czym bardzo powoli, delektując się każdym dotykiem, zdjęły z siebie bikini. Czule gładziły swoje nagie ciała, jakby chciały stworzyć mapę sensorów odbierających erotyczne bodźce. Obdarowywały się pocałunkami, napawając się wilgotnością warg i eksplorując dziewiczy teren. Z precyzją mistrza odnajdywały strefy erogenne, pieszcząc je i muskając. W tę magiczną noc ich ciała połączyły się w namiętym tańcu, zespalając w jedno. Do rana utwierdziły się w przekonaniu, że z żadnym facetem nigdy nie było im tak dobrze.

Kilka miesięcy później Grażyna Dopierała, asystentka psychologii na Uniwersytecie Humanistycznospołecznym w Warszawie, otworzyła przewód doktorski z zakresu mało poważanej w naukowych kręgach psychotroniki, nauki interdyscyplinarnej badającej siły działające na odległość i interakcje zachodzące pomiędzy organizmami żywymi a ich środowiskiem, przy czym pojęcie środowiska obejmuje także wpływy kosmosu.

Sędziwa pani profesor Aldona Lorens, usłyszawszy, że jej doktorantka zamierza napisać dysertację z psychotroniki, na początku nawet się ucieszyła, lecz po przemyśleniu sprawy przyszło otrzeźwienie.

– Masz świadomość, że nadal trwają zażarte dysputy, czy psychologię należy uznać za zawód medyczny. Jeśli pojawi się praca doktorska

z psychotroniki, ich i tak już duży sceptycyzm jeszcze wzrośnie. Więcej, będą się z nas śmiali – tłumaczyła Lorens, patrząc spod opuszczonych na nos okularów na trzydziestodwuletnią dziewczynę o brązowych, prostych włosach. Widząc młodą psycholożkę, przypomniała sobie samą siebie z czasów, kiedy – pełna ideałów i młodzieńczej fantazji – zamierzała zmienić oblicze polskiej psychologii i wyciągnąć tę naukę z ciemnogrodu, w jakim była przez wszystkie powojenne lata.

– Chyba że podejść do tematu tak naukowo, jak tylko zdołam – przekonywała Grażyna.

– Czym chcesz się zająć?

– Chciałabym skorzystać z naszych czujników BCI, które mamy na wyposażeniu uniwersytetu.

– Interfejs mózg-komputer? – zdziwiła się Lorens.

– Tak. Użyję czujników do zbadania telepatii i psychokinezy. Przy czym chciałabym wykorzystać w mojej pracy najnowsze zdobycze matematyczne fizyki kwantowej.

Grażyna dostrzegła, że udało jej się zaintrygować cenioną panią profesor, więc ośmieliła się kontynuować:

– Chciałabym sprowadzić badanie pola kwantowego do matematycznego opisu teorii M-strun.

– Dziewczyno – przerwała jej. – Poradzisz sobie z opisem matematycznym? Jakoś nie chce mi się wierzyć, że humanistka zapanuje nad tymi krzaczkami. Kiedyś próbowałam się uporać z wzorami opisującymi ogólną teorię względności Einsteina. Zajęło mi to kilka miesięcy, a i tak nie pojęłam wszystkiego.

– Proszę się nie martwić. Poznałam fantastyczną matematyczkę, która mi w tym pomoże – zapewniła Grażyna. – To będzie przy okazji jej praca doktorska.

– Tylko że wyniki badań twojej pracy muszą być jasne dla innych psychologów – zauważyła Lorens.

– Oczywiście wzięłam to pod uwagę, posłużę się ogólnie uznanym arkuszem kalkulacyjnym, którego wyliczeń nikt nie podważy. Wyniki liczbowe opiszę bardzo dokładnie i przejrzyście, aby żaden humanista nie miał wątpliwości, jak je zinterpretować.

– I co chcesz udowodnić?

– To, o czym marzą wszyscy psychotronicy. Chcę udowodnić istnienie zjawisk nazywanych przez niedowiarków paranormalnymi. Na początek skupię się na dwóch–trzech najistotniejszych.

Aldona Lorens westchnęła. Zdała sobie sprawę, jak niezwykle trudnego zadania podjęła się Grażyna. Znała dziewczynę od dość dawna i wiedziała, że jeśli ktokolwiek ma zrealizować tak trudny projekt, to będzie to właśnie ona.

– Zapytam cię raz jeszcze – powiedziała Aldona, patrząc Grażynie głęboko w oczy. – Czy jesteś pewna, że właśnie tym chcesz się zająć?

– Tak, pani profesor. Jeśli spadać, to z wysokiego konia – oświadczyła podekscytowana Grażyna.

Aldona Lorens nie mogła wiedzieć, że entuzjazm młodej psycholożki wynika nie tylko z perspektywy rozpoczęcia badań nad zjawiskami paranormalnymi, lecz także z tego (a może przede wszystkim), że będzie współpracowała z kobietą, którą poznała kilka miesięcy temu w Dominikanie i w której jest zakochana po uszy.

ROZDZIAŁ 3

Kamil Rozner rozejrzał się po ścianach biura Kowala, ich kiepski stan wskazywał, że pomieszczenie nie było malowane od kilku dobrych lat, gdzieś tam wisiały obrazy, kalendarz oraz certyfikat prywatnego detektywa, który Leon zdobył zaledwie dwa miesiące temu. W jedynym oknie nie było nawet firanek, tylko stare, rozpadające się żaluzje. Rozner przełknął ślinę, po czym zaczął powolnie:

– Pracuję w firmie InfoSense... jako programista. To filia większej korporacji medycznej. – Nie mógł powstrzymać drżenia nogi, położył na niej dłoń, ale efekt był odwrotny, niż zamierzał, po chwili cały się trząsł.

– Czym zajmuje się pańska firma? – zapytał Kowal.

– Nie potrafię jednoznacznie odpowiedzieć. Nie zostałem poinformowany o celu mojej pracy.

– Czy to oznacza, że nie wie pan, czym zajmuje się pańska firma? – zdziwił się. – To co pan robi codziennie w pracy?

– Piszę kod, ale nie mam pojęcia, do czego on służy. Otrzymuję specyfikację funkcji, którą mam napisać. Robię to, ale nikt mnie nie informuje, jaką rolę w rozwiązaniu odgrywa mój fragment. W każdy poniedziałek dostajemy struktury liczb, które mamy zaimplementować w naszym programie.

– Struktury liczb?

– Tablice z setkami tysięcy rekordów. Wszystko przechowywane jest w bazie danych – wyjaśnił Rozner.

– I co to za liczby?

– Zwykle różnią się od siebie nieznacznie, jakby ktoś kalibrował nastawy, chcąc sprawdzić, jak to wpłynie na wynik.

– To ciekawe. Proszę mówić dalej – zachęcił Kowal.

– Jakiś czas temu w pracy poznałem dziewczynę, która... jakby to powiedzieć, wpadła mi w oko. Spotkaliśmy się kilka razy i udało się nam zaprzyjaźnić.

– Byliście parą? – chciał uściślić.

– Chyba można tak powiedzieć – odparł chłopak. W trakcie rozmowy poczuł, że uporczywe drżenie ciała ustępuje.

– I co dalej?

– Nazywała się Magda Zawadzka i zaginęła w Tatrach.

– Co na to policja?

– Podejrzewają że Magda mogła popełnić samobójstwo – odpowiedział Rozner. – Ponoć tak wynika z dowodów, jednak bez ciała trudno jest o tym zdecydować.

Kowal mruknął przeciągle, po czym pogładził się po brodzie. Sprawa wydała mu się znacznie ciekawsza, niż mógłby się spodziewać po pierwszym zleceniu. Nawet bardziej intrygująca niż te, którymi zajmował się jako policjant wydziału dochodzeniowo-śledczego.

– Dlaczego wybrał pan akurat mnie? – zapytał, patrząc na ścienny kalendarz ze zdjęciem przedstawiającym młodego, uśmiechniętego mężczyznę z paralizatorem w ręku. Nad jego głową widniał napis: „Nigdy nie wiesz, czy prąd nie uratuje ci życia”. Nie mógł uwierzyć, że ktoś wymyśla tak durne slogany. Potem próbował sobie przypomnieć, skąd

kalendarz wziął się w jego biurze. Musiał wcisnąć go przedstawiciel handlowy ze sklepu z bronią.

– Powód jest bardzo prozaiczny – usłyszał w odpowiedzi. – Sprawę Magdy prowadzi pański były kolega z pracy. Niestety śledztwo utknęło w martwym punkcie, a czas leci.

– Jak się nazywa?

– Waldemar Stafiej, młodszy inspektor. To on mi pana polecił.

Rozmowę przerwał dźwięk domofonu.

– To zapewne pani Monika – poinformował Kowal, po czym wstał od biurka, aby wpuścić do bloku poznaną dziś kobietę.

– Kawa – obwieściła, wchodząc do środka.

– Bardzo dziękuję. – Rozner odebrał napój od Moniki.

– I dla pana. – Postawiła kubek przed Kowalem. – To ja zajmę się wcześniejszą sprawą – oznajmiła naturalnym tonem i zniknęła za drzwiami.

Detektyw spojrzał za Moniką, docenił fakt, że dziewczyna ze swobodą odgrywa rolę pracownika i nie zniechęca pierwszego klienta powstałym przez jego przybycie zamieszaniem.

– Rozumiem, że nie wierzy pan w samobójstwo Magdy Zawadzkiej – zwrócił się do Roznera. – I oczekuje pan, że użyję swoich wpływów, aby rozwikłać tę sprawę – podsumował, nieustannie notując coś długopisem na kartce.

– Właśnie tak – potwierdził Rozner.

– Jeśli mam rozpocząć śledztwo, muszę poznać każdy szczegół. W jakich okolicznościach zaginęła Magdalena Zawadzka?

– Policja uważa, że jej ciało się odnajdzie, to tylko kwestia czasu, ale ja sądzę, że ona żyje.

– Skąd takie przypuszczenie?

– Bo nic nie wskazywało na to, że chciałyby popełnić samobójstwo. Zdążyłem ją trochę poznać. Rzeczywiście ostatnio zachowywała się dziwnie, ale... hm... panie Leonie, to była silna dziewczyna.

– Skoro policja uznała, że targnęła się na swoje życie, to mieli ku temu przesłanki – stwierdził Kowal.

– W takim razie chciałbym zobaczyć jej ciało.

– I to ja miałbym je odnaleźć? – zgadywał detektyw.

– Tak. Tego od pana oczekuję.

– Dobrze, wróćmy do początku. – Kowal poczuł się jak ryba w wodzie. – Poznaliście się w firmie, kiedy zaczęła pracę?

Rozner upił łyk kawy, poprawił się na fotelu i odrzekł:

– Około pięciu miesięcy temu. Wpadliśmy na siebie przypadkiem. Zanosila jakieś dokumenty do działu kadr. Od razu zwróciła moją uwagę. Była wesoła, zalotna, a przy tym zdecydowana i pewna siebie. Wkrótce zaczęliśmy się spotykać. Dobrze się między nami układało, ale z dnia na dzień Magda coraz bardziej zamykała się w sobie. Ledwie ją poznałem, a znów stawała się obca. Nie mam pewności, co było tego przyczyną, ale wydaje mi się, że na zachowanie Magdy wpływała praca, którą wykonywała.

– A co konkretnie robiła? To co pan?

– Nie – zaprzeczył Rozner. – Była testerką.

Kowal chciał zanotować kolejne informacje, gdy spostrzegł, że wypisał się długopis, odruchowo sięgnął po drugi, wtedy przypomniał sobie, że Monika zmieniła ich położenie. Nie spodobało mu się to swawolne wprowadzanie porządków, ale musiał oddać, że dziewczyna była bystra i umiała z opanowaniem i swobodą reagować na niespodziewane sytuacje.

– A co testowała? – zapytał.

– Oprogramowanie, które piszemy wraz z kolegami. Oczywiście dopytywałem Magdę, jakie rodzaje testów wykonuje. Sama do końca nie wiedziała. Mówiła o jakimś fotelu. Wkładano jej na głowę czepek z elektrodami służącymi do pomiaru elektrycznej aktywności neuronów mózgu. To się nazywa interfejs mózg-komputer.

– Tak, coś o tym słyszałem – wtrącił Kowal. – Wiele firm produkuje interfejsy, głównie na potrzeby gier, ale również dla ludzi sparaliżowanych czy pozbawionych kończyn.

– Właśnie. – Rozner pokiwał głową. – Dotychczas czujniki bazowały na zwykłym elektroencefalografie, ale od pewnego czasu możliwości weryfikacji elektrycznej aktywności mózgu znacznie się rozszerzyły. Można odczytywać aktywność nawet pojedynczych synaps, i to mimo odbić generowanych przez czaszkę. Mam wrażenie, że InfoSense pracuje nad nowym rodzajem interfejsu mózg-komputer. Niestety kiedykolwiek próbowałem zalogować się na zasoby dyskowe, gdzie umieszczona byłaby dokumentacja systemu czy specyfikacje, nie miałem prawa dostępu. To musi być coś tajnego – podkreślił.

– No dobrze, to kto w firmie ma dostęp do dokumentacji? – Słuchał chłopaka z uwagą, choć wciąż nie mógł się nadziwić, że ktoś podjął się pracy z tyloma niewiadomymi.

– Firma jest stosunkowo mała. Mamy dwudziestu trzech programistów i tylko jednego przełożonego, który zajmuje się zarówno projektowaniem systemu, jak i pisanem specyfikacji. Nazywa się Daniel Stępień. On ma dostęp do niejawnych informacji.

– Próbował go pan kiedyś podpytać o to, co wytwarza wasza firma? Nie ciekawiło to pana – podpuszczał go Kowal.

– Oczywiście, że tak. Odpowiedział, że jesteśmy firmą, która wykonuje bardzo ważny projekt dla korporacji matki. Właśnie takiego słownictwa

używał – zaznaczył.

– I jak się nazywa ta firma matka?

– Już o niej wspomniałem. To InfoMed, potężna korporacja, której właścicielem jest Włoch Fabrizio Trapanelli. Uprzedzę pana kolejne pytanie. Wiele o nim nie wiem. W zasadzie to widziałem tylko jego zdjęcie wiszące na ścianie. Jest też garstka informacji na stronie internetowej. – Kamil Rozner dopiero teraz zauważył bliznę nad okiem detektywa, zaciekało go, gdzie mógł się jej dorobić, ale nie miał odwagi zapytać. Tak czy inaczej, ślad po głębokiej ranie w połączeniu z dwudniowym zarostem na kanciastej szczęce idealnie pasowały mu do wizerunku człowieka, który rozwiąże najmroczniejszą zagadkę.

Kowal sięgnął po laptop leżący na stole i uruchomił go, przeleciał wzrokiem po kilku zdaniach o tajemniczym prezesie firmy InfoMed, po czym zwrócił się do Roznera:

– Zapytam wprost. Co według pana oni jej tam robili?

– Też chciałbym to wiedzieć. – Westchnął ciężko. – Wie pan, kilka tygodni temu spotkało mnie coś naprawdę przerażającego. – Rozner znowu położył dłonie na nogach, szukał sposobu, aby powstrzymać drżenie kończyn, ponieważ to nie pomogło, oparł łokcie na biurku i zrelacjonował detektywowi, co wydarzyło się w parku rozrywki.

Z każdym usłyszonym słowem oczy Kowala robiły się coraz większe. Historia z samobójstwem na kole młyńskim brzmiała nieprawdopodobnie, wręcz niedorzecznie, aż były policjant zaczynał powątpiewać, czy jego pierwszy klient nie uciekł z zakładu psychiatrycznego. Zniknięcie dziewczyny, podejrzenie samobójstwa, brak ciała, firma, w której zatrudniani ludzie nie znają celu swojej pracy. Już miał zamiar w elegancki sposób podziękować Roznerowi za współpracę, gdyby nie odgłos cichego, miarowego stukania o podłogę. Spojrzał w dół, na swoją trzęsącą się nogę,

potem na zastygłego ze strachu Roznera, w końcu za okno – nie zobaczył żadnej burzowej chmury, a mógłby przysiąc, że w biurze pociemniało.

– Jest pan pewien, że tak to właśnie wyglądało? – zapytał, choć starał się panować nad głosem, przed ostatnim słowem przełknął.

– Nie jestem fantastą. Stąпам twardo po ziemi, ale wiem, co słyssałem i widziałem – zarzekał się Rozner. – A na koniec Magda ostrzegła, że wszyscy zginiemy.

Kowal jeszcze raz zerknął na zdjęcie Fabrizia Trapanellego. Mężczyzna koło pięćdziesiątki. Zupełnie łysy i gładko ogolony, o ciemnej karnacji. Nad brązowymi oczami rosły gęste brwi. W delikatnym uśmiechu Włocha kryło się coś tajemniczego. Gdyby miał oceniać po wyglądzie, przyznałby, że prezes na pewno nie odegra pozytywnej roli w sprawie zaginięcia Magdy. Przeczytał lakoniczną notatkę o InfoSense, w której zawarto niewiele więcej poza nazwiskiem dyrektora wykonawczego.

– Czyli ma pan podejrzenia, że to, co InfoSense zrobiło Magdzie, miało bezpośredni wpływ na wydarzenia, o których pan opowiadał? – streścił Kowal.

– Tego jestem niemal pewien – powiedział stanowczo. – Widziałem, co się z nią dzieje. Może nie znałem jej bardzo dobrze, ale przez te trzy miesiące... Magda... ona... – szukał właściwego określenia. – Ona stawała się kimś innym. Musieli coś jej zrobić.

– Rozmawiał pan z Magdą o jej, jak pan to ujął, zmianie?

– Tak, pytałem nawet, czy mogę jakoś pomóc, może wizyta u psychologa, ale ucinała temat. Raz tylko wyznała, że przechodzi teraz trudniejszy czas, że jest bardziej sentymentalna, bywa zamyślona, czasami się zawiesza, wręcz wyłącza na kilka minut.

– A proszę mi powiedzieć, co Magdalena Zawadzka robiła w Zakopanem? – zmienił temat Kowal.

– Wiem tylko tyle, ile dowiedziałem się od policjanta prowadzącego śledztwo. Wykupiła bilet autobusowy do Krakowa. Stamtąd pojechała na pogrzeb babci, później do Zakopanego. Wcześniej wzięła trzy dni urlopu w pracy.

– I pojechała tam sama?

Rozner przytaknął.

– I co się stało?

– Wynajęła stancję u jakiejś gospodyni w Zakopanem. Rano poszła w góry. Wtedy ślad po niej zaginął. Odnaleziono tylko jej kurtkę na Orlej Perci.

– To jeden z najniebezpieczniejszych szlaków Tatr – zauważył Kowal. – A w którym dokładnie miejscu znaleziono kurtkę?

– Na Zamarłej Turni. W kieszeni był odręcznie napisany list, w którym Magda żegna się z życiem. Z treści wynika, że rzeczywistość ją przytłacza i nie ma sił ani chęci, aby wstawać z łóżka. Niech pan sam przyzna, czy to nie brzmi sztucznie?

– Widział pan ten list? – Uniknął odpowiedzi.

– Tak. Jest w nim jeszcze prośba, żeby jej nie szukać.

– Ale oczywiście szukano jej?

– Jasne. – Wydał się zaskoczony tak oczywistym pytaniem. – TOPR przeczesał okoliczny teren. Niestety niczego nie znaleziono.

Kowal wstał od biurka, podszedł do okna i wpatrywał się w przechodniów spacerujących ulicą Raclawicką.

– Po co ona tam poszła? – myślał na głos. – I panu nic nie wspomniała o wyjeździe? – Odwrócił się do Roznera.

– Poinformowała mnie, że jedzie do jakiejś wsi pod Krakowem na pogrzeb ukochanej babci. Nie mówiła nic o Zakopanem. Nie ufała mi, a miałem nadzieję, że coś dla niej znaczę – wyznał ze smutkiem.

Kowal puścił mimo uszu zwierzenie Roznera.

– Policja zamknęła śledztwo?

– Jeszcze nie, ale utknęli w martwym punkcie. Powiedzieli, że czekają tylko na ciało. Według nich sprawa jest przesądzona.

– Próbowali namierzyć jej telefon komórkowy?

– Tak, ale trop urwał się na Zamarłej Turni. Choć telefon przepadł.

– Może widział ją jakiś turysta?

– Przesłuchiwano kobietę, u której Magda wynajęła pokój. To była ostatnia osoba, która ją widziała. Przez złą prognozę pogody mało turystów ruszało na Orlą Perc.

– Faktycznie sprawa jest dość skomplikowana. – Kowal usiadł ponownie za biurkiem i przejrzał sporządzone notatki. – Będę potrzebował sporych środków finansowych na wyjazd do Zakopanego. Nie ukrywam, że wyciągnięcie z ludzi informacji też zwykle nie jest tanie.

Rozner wyjął z kieszeni grubą kopertę i położył ją na stole.

– Nie jestem szczególnie bogaty, ale jako programista nie narzekam na brak pieniędzy. To jest dziesięć tysięcy na początek. Jeśli znajdzie pan Magdę, dołożę dwadzieścia pięć tysięcy.

– To powinno wystarczyć – powiedział zadowolony, zgarniając kopertę do szuflady w biurku. – Będę pana na bieżąco informował o postępach w śledztwie. Przy czym od razu zaznaczam, nie daję żadnej gwarancji, że znajdę pańską dziewczynę. Mogę jedynie obiecać, że zrobię, co w mojej mocy, aby się dowiedzieć, co się stało.

– Oczywiście, rozumiem. – Rozner posmutniał, wręczył detektywowi numer swojego telefonu i dodał: – Z Magdą przytrafiło mi się to, na co czekałem całe życie. Nie byliśmy może bardzo blisko, tak blisko, jak bym chciał, ale czułem, że to coś ważnego, nie tylko przelotna znajomość. Muszę wiedzieć, co się wydarzyło.

– Czy ma pan jej zdjęcie? – zapytał Kowal. – Ułatwiłoby mi to życie.

– Jasne. – Rozner wyciągnął przygotowane zdjęcie Magdy i wręczył je Kowalowi.

– Mógłbym jeszcze mieć nieoficjalną prośbę?

Kamil zmarszczył czoło, zastanawiając się, co takiego może chcieć od niego detektyw.

– Proszę zrobić mały rekonesans u siebie w firmie – polecił Leon. – Ma pan większe możliwości, aby zorientować się, jakim testom była poddawana Magda. Podobnie jak pan, mam wrażenie, że może to mieć związek ze sprawą.

– Dobrze, powęszę trochę. Jeśli to pomoże w śledztwie – obiecał Rozner, po czym wyszedł na korytarz, a potem opuścił blok.

Gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, pojawiła się Monika.

– I co, mam tę pracę? – spytała bez ogródek.

– Czyżbyś podsłuchiwała? – udał zaskoczonego.

– Pewnie, ale wszystkiego nie słyszałam, muszę jeszcze potrenować – odpowiedziała z przekorą.

– Kupię ci biurko. Jakoś je wciśniemy. Ta sprawa podreperuje mój budżet domowy i morale. – Kowal pomachał grubą kopertą.

– Czyli zostaję?

– Na trzy miesiące tak.

Monika uradowana rzuciła się, aby uściskać Kowala. Przytuliła go tak mocno, że mężczyzna ledwie był w stanie oddychać. Nie mógł uwierzyć, że w tym kruchym ciele drzemie taka siła.

– Dziękuję, nie pożałuje pan tej decyzji. Będę najlepszą asystentką na świecie. Doktor Watson to przy mnie mały, zasrany wypierdek.

– Mów mi na ty, doktorze Watsonie – zaśmiał się Kowal, odwzajemniając uścisk Moniki. Odwrócił wzrok w stronę okna, za którym

zobaczył swoją żonę Olę.

ROZDZIAŁ 4

Wcześniej

Grażyna i Sylwia szły brzegiem plaży, trzymając się za ręce. W wolnych dłoniach niosły orzechy kokosowe, w których oprócz mleka znajdowała się spora dawka rumu. Popijały drinki przez rurki wetknięte w otwory wywiercone w łupinie.

– Muszę ci się przyznać – zaczęła Sylwia – że nigdy nie gustowałam w dziewczynach. Zawsze uznawałam się za hetero.

– To podobnie jak ja. – Grażyna uśmiechnęła się i pociągnęła łyk drinka. – Wygląda na to, że fatalne doświadczenia z facetami scementowały nasz związek. Też się trochę czuję z tym nieswojo, ale na szczęście na tej rajskiej wyspie nikt nie zwraca uwagi na to, kto się do kogo przytuła.

– Gorzej będzie, jak wrócimy do Polski. Chociaż w Warszawie chyba da się przeżyć – zastanawiała się na głos Sylwia. – Zresztą na razie nie musimy się ujawniać. Najpierw sprawdzimy, czy ze sobą wytrzymamy. – Puściła oko do Grażyny.

Do spacerujących dziewczyn podszedł ciemnoskóry, wychudzony mężczyzna. Trzymał w ręku dużą kartkę z opisanymi po angielsku propozycjami wycieczek. Grażyna znalazła na liście dwudniową wycieczkę zatytułowaną: „Szlakami rdzennych mieszkańców Dominikany i Haiti”.

– Co o tym sądzisz? – zapytała Sylwię. – Nie ukrywam, że przebywanie na terenie hotelu robi się nudne. Chciałabym zobaczyć, jak naprawdę wygląda życie na wyspie.

– Pewnie, jedźmy, oby tylko były tam drinki. – Sylwia wzniosła dłoń z kokosem.

Nazajutrz pod hotel Grażyny podjechała rozpadająca się półciężarówka.

– Wskakuj – zawołała Sylwia. Siedziała na tylnej części pojazdu, przystosowanej do przewozu kilku osób. – Chciałaś przygody, to będziesz ją miała.

Poza kobietami na platformie siedziało jeszcze trzech Francuzów, którzy milczeli przerażeni pordzewiałym środkiem lokomocji.

– Żeby to się źle nie skończyło – martwiła się Grażyna. – Nie chciałabym wymieniać opony albo naprawiać wahacza w lesie.

Okazało się, że główne drogi w Dominikanie wcale nie są takie złe, a i podróż z odkrytą plandeką w upalny dzień może być przyjemna. Do turystów dołączył Pablo Alvarez, wesoły Peruwiańczyk, który wychował się na wyspie i znał prawie wszystkich jej mieszkańców. Umiał wycieczkowiczom przejazd opowieściami o lokalnej kulturze i życiu tubylców. Mimo barwnych historii i ujmującej osobowości przewodnika trzech Francuzów pozostawało w grobowych nastrojach, co dało Pablowi sposobność do pochwalenia się znajomością języka polskiego, przyprawionego wulgaryzmami i śmiesznymi powiedzeniami, których nauczyli go turyści z kraju nad Wisłą.

– Żabojady – rzucił nieoczekiwanie. – Kurwa, mają kij w dupie. Chuje. Nie mogą... yyy... dziwić, że tak biednie żyjemy.

Sylwia z Grażyną wybuchły gromkim śmiechem, starały się nie patrzeć w kierunku towarzyszy podróży, aby nie zdradzić, że to oni są powodem

ich rozbawienia.

– Za chwilę zjedziemy z głównej trasy i wjedziemy do dżungli – poinformował Pablo. – Tam odwiedzimy plantację kakao i zobaczymy, jak żyją ludzie w dominikańskiej wsi.

Skręcili w kamienistą drogę, która zmuszała kierowcę do brawurowych manewrów, aby przedrzeć się przez dziury w jezdni.

– Widzicie tę kobietę. – Wskazał na staruszkę idącą wzdłuż drogi. – To Dalila. Chodzi po ziemi dziewięćdziesiąt trzy lata, urodziła czterdzieścioro pięcioro dzieci. Ma dwieście dwadzieścioro wnucząt. Prawnuków nikt nie potrafi zliczyć, ale prawdopodobnie znaczna część mieszkańców okolicznych wiosek wywodzi się od niej.

Samochód zwolnił, aby turyści mogli ofiarować kobiecie trochę pieniędzy. Po dziesięciu minutach dotarli do miejsca docelowego, gdzie zwiedzali wtopiony w przyrodę dom przeciętnej dominikańskiej rodziny. Mieszkańcy uprawiali warzywa i sadzili kolorowe kwiaty, aby ich otoczenie było jeszcze piękniejsze. O energii elektrycznej nikt tu nawet nie marzył, w kącie stał stary generator, który od czasu do czasu uruchamiano, gdy udało się zdobyć trochę paliwa. Nie było kanalizacji, a wygódka stała kilkanaście metrów od domu. Na podłodze, na kocu leżało płaczące niemowlę, którym nikt się nie przejmował, jego matka, jak pozostałe kobiety, które praktycznie każdego roku rodziły, przebywała na plantacji kakaowca. Co dwie–trzy godziny przychodziła do domu, aby nakarmić dziecko, po czym wracała do pracy.

– Tam za domem jest plantacja kakao. Ten owoc daje ludziom utrzymanie – powiedział Pablo.

Sylwia przystanęła, aby przyjrzeć się małym drzewkom kakaowca. Zdziwiła się, gdy mniej więcej pośrodku plantacji, kilka metrów przed nią,

ujrzała rosnące konopie indyjskie. Przewodnik spostrzegł zaskoczenie Polki.

– Tak, to również zapewnia ludziom utrzymanie – podsumował. – Może nawet bardziej niż kakao.

Goście zostali zaproszeni na obiad, który składał się z kurczaka, warzywa i ryżu.

– Mieszkańcy Dominikany uwielbiają się przejadać. Nazywają ten stan *hartura*.

– To dlaczego są tacy chudzi? – spytała Grażyna.

– Bo rzadko ten stan osiągną – skwitował smutno Pablo. – Jedzenie jest cenne i musi go wystarczyć dla każdego.

– Czy będziemy tu spać? – zapytał przerażony tą myślą francuski turysta.

– Nie – uspokoił go Pablo. – Pojedziemy do hotelu w Loma de Cabrera. To niewielkie miasto przy granicy z Haiti. Tam będziemy kontynuować naszą wycieczkę.

Kiedy skończyli jeść, podszedł do nich niespotykane wysoki mężczyzna z wężami zawieszonymi na ramieniu. Zdjął z siebie jednego i owinął go wokół szyi Francuza. Ten, przerażony, stał nieruchomo, czekając, aż Dominikańczyk zdejmie z niego obślizgłego gada. Pablo przez chwilę napawał się strwożoną miną turysty, po czym wyjaśnił pozostałym, że tubylec liczy na zapłatę. Gdy tylko mężczyzna otrzymał dziesięciodolarowy banknot, zabrał swoje pupile i pożegnał gości z Europy. – Jedziemy dalej – zarządził Pablo. – Wsiadajcie do samochodu. – Gdy przechodziła obok niego Sylwia, wcisnął jej do ręki małe zawiniątko. – Źródło utrzymania Dominikańczyków. – Puścił do niej oko. W odpowiedzi Polka uśmiechnęła się promieniście.

– Dostałam trochę trawy – pochwaliła się Grażynie.

– Serio? No to zapowiada się ciekawy wieczór.

– Ale ja nigdy w życiu nie paliłam trawy – wyznała.

– Ja też nie. Poprosimy Pabla, na pewno nam pokaże, co i jak. I pamiętaj, co wydarzyło się w Vegas, zostaje w Vegas – krzyknęła podekscytowana Grażyna.

Po dotarciu do trzypiętrowego, niewielkiego hotelu Polki na specjalne życzenie dostały jeden pokój z łóżem małżeńskim. Kierowane niepoohamowanym pożądaniem szybko przetestowały jakość materaca. Po godzinie siedziały na balkonie i po raz setny napawały się bajecznie piękną przyrodą Dominikany.

– Lecę po Pabla, musimy odpalić towar – powiedziała rozochociona Sylwia i zniknęła za drzwiami. Nie minęło kilka minut, gdy wróciła z przewodnikiem, który dobrze przygotowany do wyjazdu wyjął z kieszeni lufki i zapalniczkę.

Najpierw sam się zaciągnął, sprawdzając jakość towaru, potem poinstruował Sylwię i Grażynę, jak należy palić marihuanę. Pierwsze próby wyszły nieporadnie i kończyły się uporczywym kaszlem. Dopiero po którymś razie, gdy doszły do wprawy, stało się to, na co obie czekały – tarzały się po łóżku targane wybuchami śmiechu.

Pablo, obserwując Polki, zwęszył szansę na dodatkowe pieniądze.

– Parę kilometrów dalej jest miejscowość, w której ma się dzisiaj odbyć rytuał opętania – rzucił jakby od niechcienia.

Grażyna podniosła się z łóżka, zerknęła, czy Pablo mówi poważnie, czy raczej ich kolejnym żartem serwowanym turystom. – Czy to rytuał voodoo? – dopytała.

– Jesteśmy niedaleko granicy z Haiti, gdzie voodoo ma wielu wyznawców – odpowiedział Pablo, wniebowzięty, że Grażyna dała się

złapać na przynętę. – Znam mieszkańców wioski, którzy zgodzą się, abyście wzięły udział w obrzędzie. Oczywiście nie za darmo.

– Czy to bezpieczne? – wahała się Sylwia.

– Ze mną zawsze jesteście bezpieczne – chełpił się Pablo. – Przecież widzę, że lubicie mistycyzm i zjawiska paranormalne.

– Doprawdy? – Grażyna taksowała wzrokiem przewodnika. Nie mogła mu odmówić uroku osobistego, ale wiele się nasłuchiwała, jak jemu podobni lubią naciągać turystów.

– Macie niepowtarzalną okazję zobaczyć na własne oczy, jak wygląda rytuał opętania voodoo. Ale to wasz wybór. Nie każdy jest gotowy na takie przeżycie. – Pablo zmienił ton.

Polki wymieniły porozumiewawcze spojrzenie, nie dało się ukryć, że obie nęciła wizja uczestnictwa w pogańskim obrzędzie.

– A ile to nas będzie kosztowało? – spytała Sylwia.

– Sto dolarów.

– Okej, jedziemy – zdecydowała Grażyna. Zwyciężyła ciekawość i możliwość ujrzenia obrzędu, w którym przenikają się dwa światy, namacalny i niedostępny zmysłom. O takiej szansie w Polsce mogłyby tylko pomarzyć. A do tego stary wyjadacz Pablo zdawał się mieć nad wszystkim kontrolę. Wsiadły do szoferki pojazdu, którym jeździły po Dominikanie, i ruszyły wąską ścieżką w głąb dżungli.

– Kierowca nie miał nic przeciwko? – zdziwiła się Sylwia.

– Odpaliłem mu kilka dolarów i przysięgłem, że zwrócę za paliwo – wyjaśnił Alvarez.

W trakcie podróży do wioski, gdy działanie marihuany ustawało, Sylwia zaczęła powątpiewać, czy nie zbyt pochopnie zgodziły się na nocną eskapadę z Pablem. Opuściły hotel w obcym mieście za granicą z mężczyzną, którego znały zaledwie jeden dzień. Podniosła się na duchu

myślą, że telefon, o dziwo, ma zasięg. W razie czego będzie mogła wezwać pomoc. Grażyna wyglądała na spokojną, duszna, mistyczna atmosfera wycieczki pochłonęła ją w całości, jakby ten niespodziewany obrót wydarzeń był spełnieniem jej pragnień.

– Pod koniec osiemnastego wieku voodoo uznawano za tajne stowarzyszenie Afroamerykanów, którzy wniecali powstania przeciwko kolonizatorom. A zatem religia ta jest ściśle związana z pragnieniem wolności – tłumaczył Pablo, prowadząc wolno samochód przez leśną drogę.

Sylwii ogarniał coraz większy strach, mimowolnie zaczęła snuć wizję, w których przewodnik zostawia je wśród nieprzeniknionego mroku albo psuje się wątpliwej przecież sprawności samochód, a oni próbują wrócić do hotelu przez gęstą, niebezpieczną dżunglę. Otuchy dodawał jej widok opanowanej Grażyny, zasłuchanej w opowieści Pabla.

– Panteon voodoo jest pełen bóstw i duchów, nazywanych loa, zamieszkujących nasz świat – kontynuował Peruwiańczyk.

– Czy przypadkiem wyznawcy voodoo nie wierzą w jednego boga? – przerwała mu Grażyna.

– Owszem. – Pablo potaknął. – Ale jest on dla nich zbyt odległy. Kontaktują się z nim za pośrednictwem wielu duchów i bóstw. – Ostatnie słowo Polki ledwie usłyszały, zagłuszył je trzask gałęzi, która z impetem obita się o szybę samochodu.

– Niektóre bóstwa przypominają katolickich świętych – ciągnął niewzruszony Pablo. Przywykły do przedzierania się przez ciasne drogi dżungli. – Na przykład Szango, duch burzy, który ma dużo wspólnego z postacią Jana Chrzciciela, albo Papa Legba, strzegący granicy między światem żywych i umarłych, odzwierciedlenie Świętego Piotra. Co więcej, w voodoo też jest chrzest. Oso ba, która chce zostać wyznawcą tej religii,

jest zanurzana w wodzie podczas specjalnej ceremonii. Kolonizatorzy chcieli narzucić niewolnikom sprowadzonym z Afryki chrześcijaństwo, stąd te naleciałości.

– Nawracanie siłą na własną wiarę zawsze kończy się mieszanką oficjalnej religii i lokalnych wierzeń – spuentowała Grażyna.

– Prawda. – Pablo spojrział na nią z zaciekawieniem. – Wyznawcy voodoo, wywiezieni ze swoich krajów, odseparowani od rodzin, bici i zmuszani do przyjmowania europejskich zwyczajów, nie chcieli wyrzec się swojej wiary, stanowiła o ich tożsamości, dlatego praktykowali ją potajemnie. Tradycyjne obrzędy, odprawiane w ukryciu, stały się zarzewiem buntów.

Pablo zatrzymał samochód na rozwidleniu dróg. Popatrzył w obie strony i oświadczył:

– Chyba zgubiliśmy drogę. Jak to było – zamyślił się.

– Nie znasz drogi? – fuknęła poddenerwowana od jakiegoś czasu Sylwia.

– I nie sprawdziłem baku, nie wiem, czy wystarczy nam paliwa, gdybyśmy musieli trochę pokrążyć – dolał oliwy do ognia.

– Kurwa! – zakląła Sylwia. – Czułam, że to może się źle skończyć. Specjalnie dałeś nam trochę zielska, żeby naciągnąć zjarane turystki na sto docłów.

Grażyna rozejrzała się wokół, otaczała ich gęsta dżungla, ciszę przerywały odgłosy mieszkańców lasu. Wpadła jej do głowy myśl, by wyjść z samochodu i pobłądzić chwilę pośród dzikiej przyrody. Być może między wysokimi drzewami i bujnymi zaroślami przechadzają się nie tylko zwierzęta, ale ktoś jeszcze. Z zadumy wyrwał ją gromki śmiech Pabla.

– Żartowałem – powiedział. – Zawsze bawi mnie reakcja turystów, gdy robię ten numer. Potem piszą do mnie maile, że prawie posrali się ze strachu. I że zapamiętają ten moment do końca życia.

Grażyna skwitowała kiepski dowcip sztucznym uśmiechem, Sylwia zaś obrzuciła Pabla gniewnym spojrzeniem.

– Serio tak piszą? Niewyszukane poczucie humoru – wymamrotała.

Przewodnik w odpowiedzi posłał jej buziaka, po czym odpalił samochód i wrócił do opowieści o wyznawcach voodoo.

– Słyszałyście o Makandali. To niewolnik z Gwinei, jeden z przywódców buntu przeciwko właścicielom plantacji. Makandal uczył niewolników, jak wytworzyć trujące substancje, którymi później truli kolonizatorów. Rozdawał talizmany, rzucał klątwy na oprawców. To od niego zaczęły się powstania, które przyniosły Haiti niepodległość. Do dzisiaj jest w kraju bohaterem.

– A słynne laleczki voodoo? – zmieniła nieco temat Sylwia.

– To wymysł białych, którzy łączyli voodoo wyłącznie ze złymi mocami, demonami i czarną magią. Amerykańskie kino utrwaliło ten stereotyp. To prawda, voodoo zaadoptowało prastare afrykańskie przekonanie o możliwości uwięzienia mocy duchowych w obiektach fizycznych, tak zwanych fetyszach, ale miały one przede wszystkim służyć w celach obronnych i uzdrawiających, dużo rzadziej destrukcyjnych. Różne figury, laleczki i kukły umieszczane na ołtarzach są wizerunkami loa, duchów i bóstw. Kapłani wykorzystują je do uzdrawiania chorych, wbijając w nie szpilki – tłumaczył Pablo, walcząc z kierownicą, która przy głębszych wybojach uciekała mu z rąk.

– To laleczka voodoo nie miała szkodzić?

– Zazwyczaj miała pomagać. Niestety popkultura wszystko przeinaczyła – stwierdził. – Jesteśmy już prawie na miejscu.

Zatrzymał pojazd na niewielkiej polanie, na której znajdowało się kilkanaście chat zbudowanych z belek i pokrytych liśćmi palmowca. Przylegały do nich zagrody z domowymi zwierzętami: kurami, owcami,

kozami i świniami. Było duszno i niemiłosiernie gorąco. Dokoła latały setki komarów, kąsając bez litości każdy kawałek ciała. W wiosce paliły się pojedyncze światła, rozświetlając nieśmiało ciemności nocy.

– Tam mieszka wódcz. – Pablo wskazał na największą chatkę. – Musimy na niego poczekać. On nas wprowadzi w ceremonię. Między drzewami okalającymi polanę są powbijane krzyże, to groby. Mieszkańcy lubią, gdy zmarli są blisko nich. – Zniżył głos do szeptu.

– Czy tam nie stoją jacyś ludzie? – spytała równie cicho Grażyna, dostrzegając zarys postaci. – Co oni robią? Modlą się?

– Nigdy nie słyszałyście o zombie?

– Zombie? – powtórzyła Sylwia.

– Mamy jeszcze chwilę. Wystarczy czasu na jeszcze jedną opowieść.

Gdy Pablo wypowiedział ostatnie zdanie, Sylwia i Grażyna poczuły delikatny powiew wiatru, który poruszył wcześniej zastygłymi w bezruchu liśćmi. Kobiety automatycznie zbliżyły się do siebie i złapały za ręce. Ich mokre od potu ciała przeszedł zimny dreszcz. I choć były pewne, że historie Pabla są tylko legendami, ulegały ogarniającemu je lękowi.

– Wiara w moc kapłanów i strach przed zombie sprawiają, że rodzina przez jakiś czas po śmierci bliskiego czuwa przy jego grobie. W specjalny sposób unieruchamiają zmarłego, aby ten nie mógł za sprawą złych czarów kapłana wstać z grobu jako zombie.

– Czyli zombiaki to nie biegające po mieście rozkładające się zwłoki? – Grażyna żartem chciała wprowadzić luźniejszą atmosferę.

– Tylko w filmach – odpowiedział poważny jak nigdy Pablo. – Dajcie mi dokończyć – poprosił. – Najbardziej znanym przypadkiem zombie jest dobrze udokumentowana historia Clairviusa Narcisse'a. Zgon mężczyzny potwierdzono w maju tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego drugiego roku. Podobno jego brat, z którym Clairvius był skłócony, wynajął bokora,

kapłana w religii voodoo, aby podał Clairviusowi mieszaninę różnych substancji. Najistotniejsza z nich to tetrodotoksyna, swoją drogą znana chemikom od dawna. Jeśli wymierzy się odpowiednią dawkę trucizny, to człowiek po jej przyjęciu traci kontrolę nad swoim ciałem, jest sparaliżowany, a przy tym zachowuje pełną świadomość tego, co się z nim dzieje. Osoba pod wpływem tetrodotoksyny przypomina zmarłego i zdarzało się, że bywała pochowana żywcem.

Sylwia przytuliła się do Grażyny.

– Chyba nie chcę słuchać dalej, nie powinnyśmy tu przyjeżdżać, cały ten Pablo to szemrany typ – mówiła najciszej, jak mogła.

Peruwiańczyk nie zareagował na wątpliwości Sylwii i opowiadał dalej:

– *Bokor*, nazwijmy to, wskrzesił Clairviusa przy użyciu odpowiedniej odtrutki, która wybudziła mężczyznę ze stanu odrętwienia, jednak spowodowała utratę pamięci. Po czym zmusił Clairvusa do niewolniczej pracy na swojej plantacji.

– To jak świat dowiedział się o jego historii? – spytała Grażyna.

– Po śmierci kapłana, który regularnie karmił Clairvusa substancjami odurzającymi, mężczyzna powoli odzyskiwał świadomość i po kilkunastu latach wrócił do domu.

– Czyli ci ludzie stoją nad grobem, aby sprawdzić, czy zmarły się nie wybudzi? – uściśliła Sylwia.

– Zgadza się – potwierdził. – Historia Clairviusa Narcisse'a jest tu bardzo popularna. Do trumny zmarłego wkłada się sznurek, by mógł nim pociągnąć, gdy się ocknie. Wtedy rozlegnie się odgłos dzwonka przytwierdzonego obok grobu.

– Według ciebie to prawda – zaskoczyła go pytaniem Grażyna.

– Jak już mówiłem, są na to dowody – wymigał się. – Ile podobnych przypadków miało miejsce na Haiti? Tego pewnie nikt nie wie. Same

przyznajcie, czy to nie kuszące rozwiązanie, by swego wroga przerobić na zombie, który będzie posłuszny twojej woli? – Pablo nie czekał na odpowiedź, odwrócił twarz w stronę chatki, z której właśnie wyszedł wódz wioski.

Zbliżał się do nich niski czarnoskóry mężczyzna o kontrastujących białych rogówkach. Przyjrzał się Sylwii i Grażynie, zainkasował od Pabla opłatę za uczestnictwo w obrzędzie i gestem wskazał im, aby weszli do wnętrza. Pośrodku dużego pomieszczenia, na klepisku, paliło się ognisko. Dym ulatywał przez dużą dziurę zostawioną w dachu. Na regale stały butelki rumu, mniejsze naczynia, białe kredy i kilkunastocentymetrowe laleczki wykonane ze słomy. Szaman usadowił gości przy ścianie na kocach i rozkazał czekać. Następnie opuścił chatkę.

– Pamiętajcie, cokolwiek by się działo, nie wolno wam się odzywać ani reagować w jakikolwiek inny sposób – nakazał Pablo. – Jesteśmy tylko obserwatorami.

Parę minut później przyszło kilkunastu czarnoskórych mężczyzn. Nosili kolorowe stroje, ich szyje zdobiły koraliki, a na rękach wisiały obręcze. Niektórzy mieli przytwierdzone do głowy białe kukły przypominające dzieci. Trzech bębniarzy wygrywało rytmiczne dźwięki. Jeden z nich, który musiał być głównym kapłanem, podszedł do regału stojącego przy ścianie i zabrał z niego podłużne naczynie. Wypił jego zawartość, po czym podał reszcie. Dwóch Haitańczyków sięgnęło po kredy i rysowało nimi po klepisku.

– Rysują symbol *loa*, którego chcą przywołać, i piją narkotyk, aby wejść w trans – objaśniał Pablo.

Kilku mężczyzn zaczęło tańczyć w rytm bębnów, przestępując z nogi na nogę, wznosili przy tym ręce i recytowali sentencje w nieznanym dla Grażyny i Sylwii języku.

– Za chwilę *bokor*, kapłan, połączy się z jednym z *loa*. Będzie go prosił o pomyślność i zdrowie dla siebie i rodziny.

Rytuał był tak niezwykły, że Polki patrzyły na każdy gest mężczyzn z otwartymi ustami. W pewnym momencie podszedł do nich jeden z Haitańczyków i mówiąc coś w swoim języku, podał im butelki z rumem.

– Bogowie lubią dary, rum jest jednym z ich ulubionych – przetłumaczył Pablo. – Nie możemy odmówić – zaznaczył. – Podobnie jak musimy wypić miksturę, którą za chwilę nam przyniosą.

– Co to będzie? – spytała Grażyna.

– Coś, co pozwoli wam wyzbyć się ograniczeń i w pełni przeżyć obrzęd – przekonywał Pablo. – Bez obaw, to was nie zabije – zachęcał.

Sylwia i Grażyna wypity narkotyk, gdy tylko przyszła ich kolej. Gęsty płyn przypominał w smaku syrop na kaszel.

Po kilku minutach ich ciała poddały się błogiemu działaniu trunku. Odprężone przegoniły z głowy podejrzliwe myśli i czający się pod skórą lęk. Przed ich oczami przesuwwały się obrazy tańczących i recytujących w koło te same frazy mężczyzn, a one jakby przyglądały się im przez szybę albo oglądały w kinie.

Do pomieszczenia wprowadzono kozę.

– To najwyższa ofiara, jaką można złożyć bóstwom – odezwał się Pablo. – Będą przywoływali Erzulie, ducha miłości i płodności, oraz Barona Samedi, ojca duchów śmierci Guédé. Ten drugi to pan podziemi i mistrz magii. Jest niezbędny, aby móc się skontaktować z pozostałymi *loa*.

Kozę przywiązano do drewnianego palika, po czym szybkim uderzeniem noża w oko została zabita. Krew wypływająca z czaszki zwierzęcia rozlała się po klepisku. Główny *bokor* zdjął z półki liście akacji i zaczął rozrzucać je wokół martwej kozy. Inny podszedł do Sylwii i zaczął coś mówić.

– Chce, żebyś z nim poszła – powiedział Pablo.

Sylwia, ku zaskoczeniu Grażyny, bez zawahania wyskoczyła na środek pomieszczenia. Tańczyła z czarnoskórym mężczyzną w rytmie bębnów, racząc się co jakiś czas rumem. Gesty, które wykonywali Haitańczycy, przychodziły jej z niespodziewaną łatwością. Po chwili umiała również wypowiadać niezrozumiałe wcześniej sentencje zdań. Grażyna przyglądała się Sylwii z fascynacją, jej płynnym ruchom, gibkiemu ciału, opalonej, wilgotnej od potu skórze, błyszczącej w nikłych promieniach światła. Pomyślała, że dobrze, że są tu razem, że dały się namówić przebiegłemu Pablowi i mogą przeżyć wspólnie coś tak wyjątkowego. Wtedy dostrzegła, że twarz ukochanej się zmienia, że opuszcza ją błogość, Sylwia zrobiła kilka niezgrabnych ruchów, zatoczyła się i upadła na ziemię. Leżała, wijąc się, jak zwierzę złapane w pułapkę. Otwierała usta, jakby próbowała coś powiedzieć, ale nie wypływały z nich żadne słowa, tylko drażniący ucho charchot.

– Co jest, kurwa? – krzyknęła Grażyna i ruszyła w stronę Sylwii.

– Spokojnie. – Pablo złapał ją za rękę. – *Bokor* mówi, że Baron Samedi chce ujawnić się poprzez jej ciało. Ona jest najlepszym medium. *Loa* ujeżdża swego konia, tak to nazywają.

– Chyba sobie, kurwa, żartujesz – fuknęła. – Puść mnie!

– Cicho! Sama chciałaś tu być! – przypomniał jej Pablo. – Zaraz przemówi Baron Samedi.

Sylwia usiadła, teraz jej ciało wyglądało na skamieniałe, spojrzała po zebranych, przekręcając sztywną szyję.

– Potrzebuję ofiar – powiedziała po haitańsku. Gwałtownie odwróciła się w stronę Grażyny i wysunęła język. Poruszała nim pożądliwie niczym lubieżny kochanek. – Potrzebuję ludzkich ofiar.

– Co ona mówi? – dopytywała Grażyna. – Co się dzieje?

– Baron Samedi opętał jej ciało. To lubieżny i chciwy loa, często zabiera ofiary złożone innym bóstwom. Jego symbolem jest drewniany krzyż. Mówi, że potrzebuje ludzkich ofiar.

– Do czego?

– Nie wiem. Samedi nigdy nie domagał się ludzkiego życia. Zwykle wystarczały mu cygara, rum i placki, w skrajnych przypadkach ofiara ze zwierząt.

Tymczasem Sylwia zdołała wstać, z trudem przeszła kilka kroków i stanęła obok Grażyny.

– Nie ruszaj się – ostrzegł Pablo.

– Będziemy razem. Na zawsze – wysyczała, wpatrywała się w Grażynę, nienaturalnie przekrzywiając głowę na boki. – I będziemy się cały czas pieprzyć.

– Zróbcie coś – błagała Grażyna.

Trzech kapłanów złapało Sylwię i wyteżając siły przytwierdzili ją do ziemi, recytując zaklęcia. Grażyna patrzyła z przerażeniem, jak Haitańczycy coraz głośniejszymi głosami wypowiadają niezrozumiałe słowa, przyciskając szarpiającą się Sylwię. Zamknęła oczy i modliła się w duchu, aby to, co się przed chwilą wydarzyło, okazało się kolejnym żartem Pabla, widowiskiem zorganizowanym dla spragnionych nadnaturalnych zjawisk turystów. Z ulgą skonstatowała, że wokół zapadła cisza, uniosła powieki i zobaczyła Sylwię siedzącą na podłodze.

– Kochana, to ty? – Klękła obok niej.

– Co się stało? Niczego nie pamiętam – powiedziała Sylwia.

– Opowiem ci, choć nie wiem jak, to było... wow... koszmarne i takie niewiarygodne, nie do wyjaśnienia, jak wszystko, co nas spotyka – plątała się Grażyna.

– A tam co się dzieje? – Sylwia kiwnęła głową w kierunku kapłanów.

Mężczyźni przekrzykiwali się, gwałtownie przy tym gestykulując. Podeszli do Alvareza i równie energicznie nakazali mu wyjść z chaty. Pablo zawołał Polki, aby wraz z nim opuściły wioskę.

– Wszystko w porządku? – zwróciła się do Sylwii Grażyna, gdy usiadły w szoferce. – Dobrze się czujesz?

– Jestem trochę skołowana, ale to chyba po tym narkotyku, trawie i rumie – uznała.

– Pamiętasz cokolwiek?

– Nie – zaprzeczyła. – Zaczęłam tańczyć i wtedy odpłynęłam.

– Zupełnie, jakby w twoje ciało wszedł jakiś duch albo demon. Kim ty jesteś, dziewczyno – wyrwało się z ust Grażyny.

Na te słowa Pablo omiótł wzrokiem Sylwię.

– A ty? Czemu milczysz? – zagadnęła go Sylwia. – O co kłócili się szamani?

– Nie wiem – bąknął. – To dziwni ludzie, czasami plotą od rzeczy – dodał.

– Mów, co gadali! – rozkazała Grażyna.

– Dajcie spokój. Nie rozumiem wszystkiego, co mówią – zarzekł się.

– Jasne – burknęła Sylwia. – Ile liczysz za tłumaczenie? Sto dolców?

– Dobra, powiem – przystał na propozycję Sylwii. – Ale podkreślam, oni bredzą, to narkomani. Mówili coś, że jesteś groźną kobietą. Bramą do innego świata. Złego świata.

ROZDZIAŁ 5

Olga Kowal weszła do biura detektywa i trzasnęła drzwiami tak mocno, że odpadł kawałek tynku znad framugi.

– To ja haruję na dom, a ty gzisz się tutaj w tej zapyziałej norze. Od razu powiedz, że wynająłeś ją tylko po to, żeby pieprzyć się tu z młodymi cipkami – nie przebierała w słowach.

– Kochanie, uspokój się – poprosił Leon. – Pozwól mi wyjaśnić.

– A co tu jest do wyjaśniania? – wrzasnęła, podnosząc ręce, jakby chciała wymierzyć małżonkowi cios.

– To jest moja nowa asystentka – powiedział, łapiąc Olgę za rękę. Spojrzał na Monikę, która stała obok skrepowana niefortunną sytuacją.

– Jaka asystentka? Przecież ciebie nie stać na asystentkę – powątpiewała Olga.

– Z urzędu pracy, ale to nieważne. Monika sprowadziła mi pierwszego klienta. – Kowal pokazał żonie kopertę z pieniędzmi. – Mam sprawę, i to dużego kalibru.

– Przepraszam – wtrąciła się Monika. – Tak bardzo cieszyłam się, że będę mogła zostać na stażu, że pozwoliłam sobie zareagować zbyt impulsywnie i rzuciłam się panu Leonowi na szyję.

Olga wyszarpała kopertę z dłoni Leona i przeliczyła banknoty. Jej oczy rozbłysły, a w kącikach ust pojawił się uśmiech. Odliczyła kilkaset złotych i schowała do torebki. Kopertę zwróciła zaskoczonemu mężowi.

– Muszę zrobić zakupy – uzasadniła swoje zachowanie. – Ale was będę miała na oku – ostrzegła.

– Kochanie, ale te pieniądze są potrzebne do sprawy.

– Ale trzeba coś jeść – odbiła piłeczkę. – Poza tym muszę oddać dług Jolce. – Odwróciła się i wyszła z biura, zostawiając zszokowanych Leona i Monikę.

– Jak wytrzymujesz z taką jędzą? – spytała Monika, gdy tylko upewniła się, że Olga jej nie usłyszy.

– Po tylu latach małżeństwa człowiek się przyzwyczaja. – Wzruszył ramionami. – Zastanówmy się lepiej, jaki opracować plan dla naszej pierwszej sprawy.

– Musimy dopełnić formalności związane z moim stażem. Ale nie martw się, ja wszystko załatwię – zagwarantowała Monika. – Ty tylko będziesz musiał podpisać papierki.

Kowal wyciągnął z koperty kilkaset złotych i wręczył asystentce.

– Na biurko. Tylko nieduże, żeby się zmieściło – zaznaczył. – Ja odwiedzę mojego starego kolegę z dochodzeniówki.

– Powtórzysz mi, co powiedział Rozner – poprosiła. – Ze szczegółami, chcę się wykazać.

Kowal zrelacjonował Monice historię, którą przekazał mu Kamil Rozner.

– Rzeczywiście – westchnęła. – Ale zagmatwana sprawa.

– Takie lubię najbardziej. – Zatarł ręce.

– Czyli pojedziemy w góry? – zapytała Monika z nadzieją w głosie.

– Pewnie tak.

Kowal wyszedł z biura, zostawiając nowej asystentce klucze i hasło do laptopa. Wizyta u Waldemara Stafieja, młodszego inspektora, przebiegła

w przyjacielskiej atmosferze. Policjant zaprosił detektywa do swojego gabinetu i poczęstował kawą.

– Jak sobie radzisz po odejściu z policji? – zapytał.

– Drzwi od biura się nie zamykają – zełgał Kowal. – Pomyślałem jednak, że wpadnę podziękować za klienta.

– Poczekaj, kogo ja ci podesłałem? – zamyślił się. – A no tak, ten młody informatyk.

– Właśnie, Kamil Rozner – potwierdził Kowal.

– Da się wyżyć na takim biurze detektywistycznym? – Stafiej powątpiewał w prawdziwość słów kolegi.

– Zdziwiłbyś się. W życiu nie miałem tyle kasy. Muszę klientom odmawiać – brnął w kłamstwo Kowal.

– Jasna cholera, to może przyjdę do ciebie do roboty, jak przejdę na emeryturę – zaproponował Stafiej. – W czym mogę ci pomóc, panie detektywie?

– Ja właśnie w temacie tego informatyka – zaczął Kowal, po czym opowiedział pokrótce o wizycie Kamila Roznera.

– Cóż mogę powiedzieć. – Stafiej wypuścił powietrze nosem. – Sprawa, jakich wiele. Czekamy, aż znajdzie się ciało. Zlecimy wówczas sekcję zwłok i pewnie zamkniemy sprawę. Komenda w Zakopanem ma nas na bieżąco informować, gdyby pojawiły się nowe fakty. – Splótł dłonie i położył ręce na wydatnym brzuchu.

– Mógłbym zobaczyć akta? – zapytał Kowal.

– Dobrze wiesz, że nie.

– Ale chyba możesz zdradzić kilka szczegółów po starej znajomości?

– Pod jednym warunkiem. – Stafiej nachylił się w jego stronę. – Będziesz z nami ściśle współpracował. Jeśli czegokolwiek się dowiesz, dajesz cynk.

– W porządku – zgodził się Kowal. – Ale ja też chciałbym liczyć na waszą pomoc.

– Dobra – mruknął. – Co chcesz wiedzieć?

– Czy ten Kamil Rozner ma alibi na czas, kiedy Zawadzka była w Zakopanem?

– Tak. Był w pracy. Ponad dwadzieścia osób może o tym zaświadczyć – odpowiedział Stafiej. Wyjął chusteczkę i przetarł nią spocone czoło. – Muszę zrzucić kilka kilo, bo pocę się jak świnia – zwierzył się Kowalowi.

– I kupić tupecik – dodał z przekąsem detektyw.

– Spójrz na siebie, Leon, przecież widzę, że żona goliła cię maszynką, zarabiasz kokosy, a żałujesz na fryzjera? – odciął się policjant.

– Wróćmy do sprawy – urwał temat Kowal. – A co z popołudniami i nocami? Gdzie przebywał Rozner?

– Mieszka z matką. Ona również potwierdziła, że był cały czas w domu. Siedział przy komputerze. Leon, też szliśmy tym tropem, chłopak jest poza podejrzeniem – zapewnił.

– A miała jakichś wrogów, kogoś, kogo mogłaby się obawiać?

– Według naszych ustaleń nie. Mieszkała razem z rodzicami w domu na przedmieściach Warszawy. Pracowała w firmie InfoSense, ale to już wiesz.

– Dalsza rodzina? Rozner wspominał coś o babce spod Krakowa – przypomniał sobie Kowal.

– No tak, babka. Zawadzka była na jej pogrzebie, spędziła pod Krakowem kilka godzin, a potem pojechała do Zakopanego. – Zamyślił się przez chwilę. – Dziewczyna mogła odziedziczyć po niej skłonność do depresji. – Odchrząknął. – Mieszkała w małej wsi pod Krakowem, zupełnie sama. Przyjmowała okolicznych mieszkańców i leczyła ich ziołami. Nazywali ją szeptuchą. Uwierzysz? W dwudziestym pierwszym wieku.

– Wiedźma? – zapytał z niedowierzaniem Kowal.

– Można tak powiedzieć. Babka miała duży wpływ na Zawadzką. Gdy rodzice wyjeżdżali na długie miesiące do Niemiec na zarobek, Magdą opiekowała się babka, matka ojca Zawadzkiej. Ponoć tłukła jej do głowy jakieś bzdury, które pewnie zatrwały umysł małej dziewczynki.

– Ciekawe. – Kowal podrapał się po brodzie. – Jak się nazywała kobieta, która jako ostatnia widziała Zawadzką?

– Sporządzę ci listę z nazwiskami i prześlę mailem. Słowo – zaręczył Stafiej. – Co do tej kobiety, to rozmawiała z Zawadzką może z dwie minuty, skasowała ją za pokój, dała klucz i tyle. Zeznała, że nie zauważyła w zachowaniu dziewczyny niczego szczególnego.

– A praca? Podobno testowała jakieś urządzenia związane z interfejsem mózg-komputer?

– Jej chłopak sugerował, że przez pracę Zawadzka się zmieniła. Ten trop jednak bym wykluczył. W InfoSense pracuje kilku innych testerów, z którymi nic się nie dzieje.

– Rozmawialiście z nimi?

– Tak. To zwykłe testy, tyle że objęte tajemnicą. InfoMed stara się o patent, dlatego niechętnie dzieli się szczegółami związanymi z testowaną technologią – przekonywał Stafiej.

– Jasne. – Kowal postukał palcami w biurko. – Więc co innego może tłumaczyć odmienne zachowanie Zawadzkiej? – Wstał z fotela i podszedł do okna, przetarł oczy, które ze zmęczenia, jak sądził, odmawiały mu posłuszeństwa. Widok za oknem się rozmazywał. Odwrócił się w stronę Stafieja, podłoga i biurko były przechylone, podobnie policjant siedzący na fotelu. Kowalowi zakręciło się w głowie, oparł się o ścianę i wziął kilka głębokich wdechów.

– W porządku? – zmartwił się Stafiej.

– Tak. Za mało snu, za dużo kawy – wymyślił na poczekaniu. – Co mówiłeś wcześniej?

– Zawadzka źle znosiła chorobę babki, rak wątroby. Smutne, leczyła ludzi, a siebie nie uratowała – Stafiej wyglądał na szczerze przejętego.

– Prześledziliście miejsca, gdzie w ostatnich godzinach przed zaginięciem znajdowała się Zawadzka?

– Mówisz o monitoringu telefonu komórkowego?

Kowal potaknął.

– Weryfikowaliśmy to.

– I co?

– Wszystko zgadza się z zeznaniami świadków. Sygnał urywa się w miejscu, w którym znaleźliśmy jej kurtkę z listem.

– Nie wydawało wam się to dziwne?

– Niby czemu? – Ponownie wytarł spocone czoło. – Dziewczyna zdjęła kurtkę i zostawiła list pożegnalny. Wyłączyła też telefon, zależało jej, żebyśmy znaleźli list, a nie jej ciało. Sam wiesz, że niekiedy samobójcy przygotowują plan odejścia ze szczegółami. Chcą uczynić ze swej śmierci swego rodzaju spektakl albo zagadkę.

– Telefon może nadal być przy niej? – dociekał Kowal.

– Nie wiem. Może wcześniej wyrzuciła go w przepaść – bąknął. Wysoka temperatura i rozmowa z Kowalem zaczynały go męczyć, a do tego to dokuczliwe pocenie. Marzył o prysznicu.

Detektywowi nie umknęło znużenie kolegi.

– Ostatnie pytanie, Waldek, co z listem, jest autentyczny?

– Policyjny grafolog potwierdził, że to pismo Zawadzkiej. Leon, dziewczyna chciała odebrać sobie życie, dała jasno znać. Trzeba tylko znaleźć ciało. Istnieje jeszcze szansa, że w ostatniej chwili się rozmyśliła, a teraz gdzieś się ukrywa. – Stafiej położył dłonie na biurku, dając znać, że

czas skończyć rozmowę. – I nie angażuj się za mocno – poradził. – I tak kiepsko wyglądasz, a takie sprawy potrafią wyniszczać.

– Mógłbyś mi wydrukować analizę lokalizacji z kilku ostatnich dni z telefonu Zawadzkiej? Przydałoby się jeszcze ksero listu. Dobra? Będę twoim dłużnikiem. A, i nazwiska – przypomniał Kowal.

– Masz to załatwione – zapewnił Stafiej. – Leon – zawołał za wychodzącym już detektywem. – Jak brat?

Kowal sposepniał.

– Bez zmian, ale dzięki za troskę – powiedział oschle. – Będziemy w kontakcie.

Policjant w odpowiedzi zasalutował żartobliwie.

ROZDZIAŁ 6

Wcześniej

W niewielkiej sali na Uniwersytecie Humanistycznospołecznym w Warszawie Grażyna Dopierała przedstawiła studentom czwartego roku Sylwię Fornel.

– Witam wszystkich, którzy zechcieli pisać prace magisterskie pod moimi skrzydłami. Oczywiście formalnie waszą promotorką będzie pani profesor Aldona Lorens, natomiast faktycznie to ja i Sylwia Fornel, doktorantka z wydziału matematyki stosowanej na Uniwersytecie Warszawskim, będziemy prowadziły część praktyczną oraz konsultacje.

Na sali siedziało czworo studentów ze skupieniem słuchających młodych doktorantek.

– Nie będę ukrywała, że zadanie jest ambitne. Co więcej, ja i pani Fornel chcemy wykorzystać wyniki waszych badań w naszych pracach doktorskich – tłumaczyła Grażyna. Spoglądała co chwilę na Sylwię, która wkładając białą sukienkę z plisowanym dołem, idealnie połączyła profesjonalizm z dziewczęcą delikatnością. Stała oparta o biurko i zerkała spod okularów na zgromadzonych na sali studentów.

Po powrocie z Dominikany Grażyna i Sylwia pospiesznie zabrały się za realizację opracowanego wspólnie planu. Wspomnienie rytuału, w którym wzięły udział, spoczęło głęboko w pamięci, ale nie poruszały tego tematu.

Wiedziały, że przeżycie było zbyt silne, by tak po prostu o nim zapomnieć, ale swego rodzaju zmowa milczenia pozwalała im na trzymanie emocji w ryzach. Skupiły się też na swojej relacji, która nie tylko przetrwała próbę czasu, lecz także ewaluowała w dojrzały związek.

– Spróbujemy zapoznać państwa z naszym projektem – kontynuowała Grażyna. – Wykorzystamy czujniki BCI, które jakiś czas temu zakupiła nasza uczelnia. To najnowsza technologia. Pozwalają na bardzo precyzyjną weryfikację nawet pojedynczych synaps komórek mózgowych, co dotychczas było niemożliwe. Dzięki temu, że są wykonane z grafenu, bez problemu przenikają przez czaszkę, docierając do wskazanego w programie komputerowym obszaru mózgu.

– Co będziemy chcieli zbadać? – zapytał jeden ze studentów, Wojciech Martens, który siedział z notesem i długopisem w dłoniach, gotowy skrupulatnie zapisywać wykład.

– Już tłumaczymy – włączyła się Sylwia. – Każdy z was dostanie inny rodzaj oddziaływań zdefiniowanych przez psychotronikę. Te naszym zdaniem najciekawsze wypisane są na tablicy. Będziemy je przydzielać po kolei, począwszy od pierwszego z listy. A zatem pierwsza osoba zajmie się prekognicją, potem weźmiemy pod lupę telepatię i psychokinezę. – Sylwia uruchomiła laptop.

– A może sami chcielibyście coś zaproponować? – zasugerowała Grażyna, zwracając się w stronę studentów.

– A może retrokognicja? – odezwała się Karolina Hojtens.

– A dlaczego ten temat?

– Jasnowidzenie zawsze mnie fascynowało. – Wzruszyła ramionami.

– W porządku. Niech będzie retrokognicja... – zawiesiła głos. – Jestem wam winna jeszcze wyjaśnienie – zaczęła po chwili Grażyna. – Po obronie pracy magisterskiej będziecie dyplomowanymi psychologami. Będziecie

mogli rozpocząć praktykę, przy czym od razu ostrzegam, jeśli ktoś dowie się o temacie waszej pracy magisterskiej, to możecie się spotkać z ostracyzmem.

– Będą się z nas śmiać? – zapytała Karolina.

– Może nie śmiać, ale ktoś, kto będzie się znał na psychologii, może nie brać waszej pracy serio – dodała Dopierała.

– Czyli idziemy trochę pod prąd? – odezwał się Martens.

– Trochę tak – przyznała Grażyna. – Ale musicie również pamiętać, że pionierzy nauki zawsze szli na przekór popularnym poglądom. Jeśli chcemy odkryć coś nowego, musimy się liczyć z krytyką, a nawet próbami ośmieszenia.

– W takim razie ja rezygnuję – oświadczyła Karolina. – Jeśli od tego ma zależeć moja przyszłość, wołałabym pójść w ostrożniejsze rewiry.

– Oczywiście, rozumiem – odparła Grażyna. Poczekała, aż studentka zbierze swoje rzeczy i opuści salę, po czym dała znać Sylwii, aby wyświetliła na rzutniku pierwszy slajd. Przedstawiał mężczyznę w niebieskim czepku, w którym zatopionych było kilkadziesiąt małych elektrod połączonych ze sobą pajęczyną kabli.

– To jest czujnik BCI – skomentowała Sylwia. – W pracy Weroniki Kownackiej, której przypadła prekognicja, zastosujemy standardowe testy wchodzące w skład wyposażenia każdego psychotronika.

– Karty? – sprecyzowała Weronika Kownacka.

– Tak – potwierdziła Grażyna. – Na początek wykonamy długą serię testów, aby komputer mógł wygenerować mapę stanów naszych mózgów. Będziemy próbowali odgadnąć losowo wybrane karty z talii. Szacujemy, że nasz wynik ukształtuje się w średniej oczekiwanej wynikającej z rachunku prawdopodobieństwa.

– Czyli powinniśmy zgadywać jedną kartę na pięćdziesiąt dwie próby?
– zapytała Weronika.

– Statystycznie tak, chyba że użyjemy mniejszej liczby kart – powiedziała Sylwia. – Niemniej podejmiemy do tematu w zmodyfikowany sposób. Na początek będziemy rejestrowali fale mózgowe, starając się zapamiętać pozytywne próby. Potem odwrócimy działanie czujników, tak aby stymulowały nasze mózgi podczas testów z kartami.

– W jakim celu? – dociekała Weronika.

– Chcemy wzmocnić możliwości mózgu w zakresie prekognicji poprzez zapamiętanie pozytywnych prób. – Sylwia przeczesła palcami krótkie włosy. – Ale na tym nie koniec. Zamierzamy wykorzystać matematyczny zapis M-teorii do ułożenia wzoru, który opisywałby algorytm wzmocnienia komórek mózgu.

– Czyli zrobimy symulację matematyczną trendu, który odkrywamy z pozytywnych prób? – włączył się Wojciech Martens.

– Można tak powiedzieć – przyznała mu rację.

– Po co zaprzęgać do naszego testu od razu M-teorię? Nie wystarczyłoby znalezienie ciągu geometrycznego albo arytmetycznego, który opisywałby częstotliwość mózgu sprzyjającą prekognicji? – pochwaliła się matematyczną wiedzą Weronika.

– M-teoria to pierwsza sensowna propozycja spełniająca kryterium teorii wszystkiego – uzasadniła Sylwia. – Nie ukrywam, zresztą Grażyna już o tym wspominała, że chciałabym napisać pracę doktorską z naszego eksperymentu. Przy czym ja skupię się na matematycznym zapisie wniosków, które będą płynęły z testu.

– A co z moim tematem? – wyrwał się Martens. – Co z telepatią?

– Eksperyment przeprowadzimy podobnie jak w przypadku prekognicji. – Grażyna wskazała Sylwii gestem, aby ta zmieniła slajd. –

Oczywiście z tą różnicą, że do badania zaprosimy dwie osoby, które spróbują skomunikować się ze sobą telepatycznie. Przeskanujemy czujnikami BCI mózgi obu osób, biorąc pod uwagę głównie udane próby. Następnie przekierujemy polaryzację sygnału w czujnikach i będziemy stymulować mózgi nadawcy i odbiorcy w taki sposób, aby uzyskać lepszy wynik, niż przewiduje średnia statystyczna.

– A co z analizą matematyczną w przypadku telepatii? – Martens unikał kontaktu wzrokowego. W jednym oku miał nienaturalnie powiększoną źrenicę, pokłose urazu z dzieciństwa. Niejednokrotnie musiał znosić przykre reakcje rozmówcy bądź stawał się pośmiewiskiem rówieśników, co wpędziło go w kompleksy.

– W arkuszu kalkulacyjnym zanotujemy matematyczne odzwierciedlenie stanów mózgow z pozytywnych prób. Wydedukujemy z nich zależności, które później pozwolą nam osiągnąć lepsze wyniki – objaśniła Sylwia.

Weronika westchnęła i skrzyżowała masywne jak na kobietę ramiona na piersi.

– No dobrze, ale jak planujecie zapisać wyniki z encefalografu czy czujników BCI? – spytała.

– Sposób zapisu to nowatorska metoda zaproponowana przez doktorantkę Fornel. – Grażyna z nieskrywaną dumą wskazała na Sylwię.

– Skoncentrujemy się na aktywności poszczególnych synaps w komórkach mózgowych – zaczęła pewnie Sylwia, uskrzydłona uznaniem Grażyny.

– Wszystkich synaps? Przecież to niewykonalne – zareagował żywiołowo Martens.

– Oczywiście, że nie wszystkich – uspokoiła go Sylwia. – Tylko tych, które w danym teście przejawiają największą aktywność. Dzięki bogactwu

wiedzy medycznej i antropologicznej wiemy, że obszary interesujące psychotronikę zajmują centralną i przednią część mózgu. Tam skierujemy nasze czujniki w pierwszej kolejności. Na początek zajmiemy się najbardziej aktywnymi elektrycznie obszarami. Następnie przekształcimy odczyty w zapis macierzowy, nadając grupom odpowiednie wagi – wyłuszczała. – Jeśli zajdzie potrzeba, zajmiemy się pojedynczymi synapsami. Zakupione czujniki BCI pozwalają nam na taką precyzję. Najważniejszym zadaniem jest opracowanie algorytmu do stymulacji elektromagnetycznej mózgu.

– Nic z tego nie rozumiem – odezwała się po raz pierwszy Jadwiga Nowik – Co to jest macierz?

– To taki tablicowy zapis liczb. Macierze można do siebie dodawać lub je mnożyć. Na przykład układ równań można zapisać w postaci macierzowej – objaśniła pokrótce Sylwia. – Ale kończąc mój wywód, zamierzamy po prostu stworzyć zestaw ogromnych macierzy z zapisem stanu synaps w mózgu. Następnie będziemy chcieli, aby program komputerowy przeanalizował zmienność macierzy i wyciągnął wniosek w postaci wzoru albo modelu. Wówczas będziemy wiedzieli, jak stymulować ludzki mózg, aby uzyskać wzrost możliwości człowieka w wybranej dziedzinie psychotroniki – zakończyła i wypuściła głośno powietrze. Uśmiechnęła się do studentów, chcąc dodać im otuchy. Zdawała sobie sprawę, że pojęcie macierzy, liczb zespolonych czy tensora Riemanna albo rozwinięcie Laplace'a mogło być dla zgromadzonych na sali za trudne do zrozumienia, a na pewno nie dało się tego wytłumaczyć na jednym wykładzie.

– Została jeszcze psychokineza – przypomniała nieśmiało Jadwiga. – Będziemy przesuwali przedmioty?

– Jeśli potraficie, to byłoby to wspaniałe – zażartowała Grażyna. – My natomiast zajmiemy się raczej mikropsychokinezą. Spróbujemy wpłynąć na generator liczb pseudolosowych. Sylwia opracuje algorytm komputerowy, na który postaramy się tak oddziaływać, aby zmienić wartość oczekiwaną. Czy jeszcze jakieś pytania? – Spojrzała na studentów.

– Jeśli nie, to dziękuję za przybycie. Od przyszłego tygodnia zaczniemy wykonywać testy, mam nadzieję, że wszystko pójdzie zgodnie z planem. Do tego czasu ja i Sylwia przygotowujemy salę. Tak że do zobaczeni i...

– Przepraszam, ja jednak miałabym pytanie – Weronika podniosła się z miejsca, by lepiej być słyszaną w harmidrze szykowania się pozostałych do wyjścia.

– Tak? – Grażyna posłała jej serdeczny uśmiech.

– O ile badanie fal mózgowych, aktywności poszczególnych partii mózgu czy nawet synaps jest bezpieczne, to czy stymulacja elektromagnetyczna nie zagraża zdrowiu czy nawet życiu badanych?

– Dotychczas nie znaleziono dowodów na szkodliwość podobnych zabiegów. Programy generujące szумы do uszu o odpowiednich częstotliwościach są szeroko dostępne w Internecie. Pozwalają w łatwy sposób wprowadzić człowieka w różne stany.

– No dobrze, ale czym innym jest elektroencefalograf, który bada częstotliwość pracy mózgu – broniła swego zdania Weronika – a czym innym jest stymulacja magnetyczna poszczególnych synaps czy obszarów mózgu.

– Nie przekroczymy granicy oddziaływania niebezpiecznego dla zdrowia, ale owszem, będziecie musieli podpisać dokument, w którym zgadzacie się na ewentualne negatywne konsekwencje eksperymentu.

– Czyli istnieje pewne ryzyko. – Weronika zaczęła energicznie pakować do plecaka notes i długopisy.

– To tak jak z działaniem leków. Jedna osoba na milion może źle zareagować. – Sylwia postanowiła przyjść z pomocą Grażynie.

– Dodam, że ja również wezmę udział w badaniach – oświadczyła Grażyna. – Chciałabym, żeby każdy z nas poddał się testom. Mam jeszcze prośbę, poszukajcie jak największej liczby ochotników. Byłoby to z wielkim pożytkiem dla próby statystycznej, która jest niezwykle istotna dla udokumentowania wyniku eksperymentu.

– A czy można byłoby jeszcze zmienić dziedzinę psychotroniki? – zapytała Jadwiga Nowik? – Nie jestem przekonana, czy chcę zająć się psychokinezą.

– Oczywiście – przystała na prośbę studentki Grażyna. – A, i gdybyście spotkali kogoś, kto chciałby pisać pracę z psychotroniki, to zachęcam. Profesor Aldona Lorens nie powinna robić problemów, gdyby prac było więcej, nawet około dziesięciu.

Studenci, pełni wątpliwości, opuścili salę, poza Weroniką Kownacką nikt nie wierzył, że ich eksperyment zmieni cokolwiek w postrzeganiu psychotroniki przez świat nauki.

ROZDZIAŁ 7

Gdy Kowal wszedł na korytarz oddziału psychiatrycznego szpitala przy ulicy Gruzińskiej, przytknął rękaw do ust, aby ochronić swoje nozdrza przed zapachem środków dezynfekujących, który przyprawiał go o mdłości. Przywitał się z recepcjonistką i skierował kroki do gabinetu ordynatora. Lekarz spojrział spod okularów na detektywa, po czym grubymi, niezgrabnymi dłońmi otworzył akta Mariana Kowala leżące na biurku. Wczytał się w pierwszą stronę, przeczesał palcami rozmierzwione siwiejące włosy, po czym zdjął okulary i oznajmił:

– Niestety nie mam dla pana dobrych wieści. Choroba pana brata postępuje. Zwiększyliśmy dawkę leków.

– Ale dlaczego? Jest jakaś konkretna przyczyna? – spytał zaniepokojony Kowal.

– W przypadku schizofrenii pogorszenie stanu pacjenta jest niezwykle trudne do zdiagnozowania. Nie ma tutaj żadnej reguły. Czasami po prostu choroba się nasila – odpowiedział zdawkowo lekarz.

– I tylko tyle ma pan do powiedzenia? – zirytował się. – To co zamierzacie zrobić? – dodał z wyrzutem.

– Pana brat zostanie u nas na oddziale. Będziemy kontynuować leczenie, sprawdzimy, jakie leki są najskuteczniejsze... – recytował ordynator.

– Jak długo to potrwa? – przerwał mu Kowal.

– Od trzech miesięcy do pół roku. Po tym czasie zdołamy ustalić najlepszą metodę leczenia. Proponuję rozejrzeć za jakimś ośrodkiem dla brata, w którym miałby zapewnioną odpowiednią opiekę.

– Czyli według pana brat po leczeniu nie powinien wracać do domu?

– To nie byłoby dobre rozwiązanie. – Lekarz oparł się o fotel. – O ile dobrze pamiętam, panów mama jest osobą starszą. Opieka nad Marianem może przekraczać jej siły, poza tym pański brat stanowi dla niej zagrożenie.

– Dotychczas sobie z nim radziła – stwierdził. – Oczywiście z moją pomocą.

– U pana brata zdiagnozowano schizofrenię paranoidalną, która ze wszystkich schizofrenii dawała największe szanse na w miarę normalne życie. Oczywiście przy wsparciu farmakologicznym. Niestety pojawiły się objawy katatoniczne, znacząco utrudniające diagnostykę. W momentach ożywienia pacjent robi się niebezpieczny dla otoczenia, co skłaniałoby do umieszczenia go w zakładzie zamkniętym. – Przerwał na chwilę i jeszcze raz spojrzął w akta pacjenta. – Choć nie chcę jeszcze niczego rozstrzygać. Jak już mówiłem, poczekajmy na weryfikację skuteczności przepisanych leków.

Kowal zagryzł wargę, nie wiedząc, co powiedzieć. Wizja Mariana zamkniętego w ośrodku była odpychająca, ale nie mógł obciążać wiekowej już matki opieką nad bratem, który stawał się agresywny. A zatem Leon miał tylko pół roku, aby dźwignąć się z finansowego dołka, by znaleźć fundusze na opłaty za ośrodek dla Mariana. Sprawa Magdaleny Zawadzkiej była jego niepowtarzalną szansą, której za nic w świecie nie mógł zaprzepaścić.

– Chciałbym go zobaczyć – poprosił.

– Jasne. Zadzwońię po przełożoną pielęgniarek.

Ordynator przywołał starszą, tęgą kobietę w białym fartuchu, która zaprowadziła Kowala na oddział zamknięty.

– Czy będę mógł zostać z bratem sam?

– Tak, ale gdyby coś się działo, proszę dzwonić. Przycisk alarmu jest tuż przy łóżku – wręcz rozkazała kobieta.

Kowal wszedł do izolatki. Zaraz po otwarciu drzwi uderzył go smród uryny. Najwyraźniej Marian oddawał mocz do kaczki. Detektywa ogarnęło dojmujące uczucie strachu i pustki, tłumaczył je sobie reakcją na drażniący zapach i widok ciasnego pomieszczenia.

– Cześć – przywitał się z bratem.

Marian Kowal miał trzydzieści sześć lat, jednak w porównaniu z Leonem wyglądał na dużo starszego. Do tego był nieogolony, a pod jego przekrwionymi oczami pojawiły się sińce. Podobnie jak brat miał krótkie, ciemne włosy, długi nos i kanciastą szczękę. Szyję odchylił do tyłu i leżał częściowo na plecach, częściowo na boku z lekko podkurczonymi nogami.

– Słyszysz mnie? – zagadnął Leon. – Możesz coś powiedzieć?

Marian walczył z silnym przykurczem mięśni, który zawładnął jego ciałem. Z wielkim wysiłkiem przekręcił się na plecy, głośno przy tym sapiąc. Szukał rozbieganym wzrokiem jakiegoś punktu zaczepienia. Marszczył czoło, jakby nie do końca poznawał brata.

– Powiedz coś. Poznajesz mnie? – pytał Leon.

– Braciszku – wymamrotał Marian. – Jest mi źle.

– Coś cię boli?

– Neeee – wysyczał. – Ten świat, w którym teraz przebywam, jest bardzo zły.

– W jakim świecie przebywasz? O czym ty mówisz? – zdumiał się Kowal.

– Leon, ja słyszę ludzi – powiedział. – Oni są wszędzie. Chodzą i szepczą mi do ucha. Jest ich tak wielu. Nie chcę odejść.

Przywykł do tego typu wyznań brata. Schizofrenia paranoidalna powodowała, że Marian często słyszał nieistniejące odgłosy, co wywoływało u niego stany lękowe i paranoję. Obawiał się, że ktoś czyha na jego życie. Bywało, że zaszywał się w pokoju i nie wychodził nawet przez kilka dni.

– Poproszę pielęgniarkę, aby dała ci coś na uspokojenie. – Skierował się ku wyjściu.

– Nie chcę tu z nimi być – rozpacział Marian. – Zwariuję, jeśli ich nie zabierzecie. – Kręcił głową, jakby próbował zlokalizować odgłosy dochodzące z wnętrza jego głowy.

– Poczekaj, zaraz zawołam pielęgniarkę. Dadzą ci coś na uspokojenie, żeby halucynacje minęły.

– Ona chce ci coś powiedzieć. Jak odejdziesz, nie usłyszysz ważnej informacji.

– O kim mówisz?

– Nazywa się Jadwiga Szczepkowska. Podejdź bliżej, może usłyszysz, co mówi – polecił Marian.

Leon zastanawiał się, czy nazwisko wypowiedziane przez brata, cokolwiek mu mówi. Chyba gdzieś je słyszał, choć nie mógł sobie przypomnieć gdzie. Nachylił się nad Marianem tak nisko, że czuł nieprzyjemny zapach z jego ust. Wtedy brat złapał go za głowę, przybliżył ją sobie w okolice ust, po czym wsunął mu język do ucha. Fedrował nim przez chwilę, jakby za punkt honoru wziął sobie wyczyszczenie zalegającej w nim woskowiny. Leon schwytał Mariana za przeguby rąk i walczył z bratem, próbując się wyswobodzić.

– Oni są bardzo blisko. Chcą się przedostać na ten świat – szeptał Marian. – Trzeba zamknąć bramy, inaczej będzie za późno.

Leon w końcu uwolnił się z uścisku. Nacisnął przycisk, aby przywołać pielęgniarkę. Tęga kobieta w towarzystwie rosnącego pielęgniarza wbiegli do izolatki kilkanaście sekund później i dali pacjentowi zastrzyk. Marian miotał się przez chwilę, jakby walczył z wyimaginowanym wrogiem. Wreszcie stopniowo się uspokajał.

– Znajdź Honoratę. Ona wam pomoże – wymamrotał, po czym zamknął oczy.

Leon stał przy ścianie i patrzył ze zgrozą, jak jego brat zostaje przywiązany skórzanymi pasami do łóżka.

– Proszę wyjść – nakazała pielęgniarka.

Kowal, zataczając się niczym pijany, wyszedł z pokoju i usiadł na krześle na korytarzu. Gładził się po włosach, nie mogąc pojąć, że stan jego brata tak bardzo się pogorszył.

Nieoczekiwanie przed oczami stanęły mu wspaniałe chwile spędzone z Marianem. Przypomniawszy sobie, jak wypili razem pierwszą butelkę wódki. Poprosili wcześniej starszego kolegę, aby zakupił dla nich trunki, sami zaś udali się na stare wyrobiska. To było jedno z ich ulubionych miejsc, gdzie spędzali mnóstwo czasu, grając w pikuty. Siadali między wysokimi kopcami usypanymi z ziemi, która była odpadem po wydobyciu piasku. Wydawało im się, że chowają się tu przed całym światem. Leon pamiętał rozmowę, jaką wówczas przeprowadził z bratem. I aż do tej pory nie wiedział, czy był to bełkot pijanych nastoletnich głów, czy może czas zatarł szczegóły i przeinaczył tamte wydarzenia.

– Jak się czujesz? – spytał Marian.

– Cudownie – odpowiedział rozentuzjasmowany Leon. – Już rozumiem, dlaczego tak wielu dorosłych pije.

– To jakby odmienny stan świadomości. Jeszcze nie raz będziesz w życiu czuł się podobnie.

– Czyli że będziemy częściej robili sobie taką flaszeczkę? – Leon wyszczerzył zęby.

– Myślałem o czymś innym. Masz czasem wrażenie, braciszku, że jesteśmy częścią większego układu? – powiedział tajemniczo Marian.

– Oj, widzę, że ktoś nie może przesadzać z alkoholem – zlekceważył jego słowa.

– Kiedyś zrozumiesz, o co mi chodzi. Pamiętaj, że jesteśmy wybrani, i cokolwiek się wydarzy, poradzimy sobie. Jesteśmy jak Bonnie i Clyde, tyle że w męskim wydaniu.

Dalsza część rozmowy zatarła się w pamięci Leona ze względu na ilość alkoholu wchłoniętego przez młody organizm. Później stan zdrowia Mariana zaczął się pogarszać, a brat coraz częściej zamykał się w swoim świecie.

– Braciszku, nic się nie martw, jeszcze kiedyś do mnie dołączysz – mówił podczas ataków schizofrenii, kiedy walczył z omamami słuchowymi.

– O czym ty mówisz? – pytał wtedy strwożony Leon.

– Kiedyś jeszcze zobaczysz, musisz być przygotowany.

– Na co?

– Już ja się o to zatroszczę. Jak przyjdzie czas, będziesz gotowy. Zbyt długo wbijałem ci różne zasady do głowy, abyś w odpowiednim momencie ich nie wykorzystał. Przyjdzie jeszcze nasz czas – wieszczył Marian.

Podobne rozmowy nie były rzadkością, Leon niezrozumiałe dla niego zachowania brata zwał na karb choroby. Sam łapał się na tym, że wspomnienia wspólnie spędzonych dni z Marianem na warszawskim osiedlu traciły na ostrości. Umykały mu fakty, a pozostawały tylko uczucia

przypisane minionym zdarzeniom. Bał się przyznać, że być może w ten sposób objawiają się początki schizofrenii, tłumacząc braki w pamięci wpływem czasu.

Odczekał jeszcze kilka minut, aż tętno jego serca choć trochę się uspokoi, wreszcie, nadal oszołomiony, wyszedł ze szpitala i podążał ulicą Gruzińską w stronę samochodu. Z oddali dostrzegł opartą o maskę pojazdu Monikę Wójcik. W dłoni trzymała papierową teczkę.

– Co ty tu robisz? – zapytał, podchodząc do dziewczyny.

– Czekam na ciebie – odpowiedziała, obciągając spódnicę.

Uwadze detektywa nie uszło, że Monika miała tu i ówdzie fałdkę, a skąpa spódnica opinała wydatne uda. Pewnie nie przeszłaby pomyślnie żadnego castingu na modelkę, ale Kowalowi zaokrąglone kobiece kształty wydawały się zgodne z naturą, a przy tym dodawały właścicielce seksapilu.

– Skąd wiedziałaś, że tu będę?

– Nie wiedziałam. Wracałam z urzędu pracy i zobaczyłam twój samochód. To znaczy domyśliłam się, że twój, po reklamie biura detektywistycznego – uprzedziła pytanie Kowala. – Załatwiłam wszystkie formalności. – Podniosła teczkę. – Trzeba tylko podpisać. – Usiadła na przednim siedzeniu, gdy tylko Kowal odblokował samochód. – Masz kogoś w psychiatryku? – wypaliła.

– A czy ty nie jesteś czasem zbyt wścibska? – urwał temat. Uruchomił silnik i ruszył w kierunku ulicy Walecznych.

– Mam tu brata – odezwał się po kilku minutach. – Od wielu lat cierpi na schizofrenię, ale w ostatnich tygodniach jego stan się pogorszył.

– Współczuję. – Po słowach Moniki ponownie zapadła krępująca cisza.

– A jak postępy w sprawie? – zagadnęła w końcu.

– Zawadzkiej?

– A mamy jakąś inną?

– Racja – bąknął. – Wstawiłaś biurko?

– Jasne, kupiłam w pobliskim sklepie meblowym. I czajnik z promocji – pochwaliła się, wracając pamięcią, jak jeszcze niedawno rozgryzała instrukcję montażu biurka.

Najwięcej czasu pochłonęło przymocowywanie nóg do blatu. Poszłoby sprawniej, gdyby Monika od razu zauważyła, że niezbędny do tego klucz imbusowy został dołączony do zestawu. Gdy tylko uporała się z montowaniem mebla, położyła na nim laptop, podniosła klapę i odczekała minutę, aż sprzęt się uruchomi.

– Stary rzęch – skwitowała. Wprowadziła zapisane przez Kowala na kartce login i hasło i już miała wziąć się do pracy, gdy olśniło ją, że właściwie to nie wie, od czego zacząć. Jednego była pewna, czuła dumę, mimo nie najlepszych wyników w nauce wykazała się zaradnością, aby zdobyć pierwsze doświadczenie zawodowe. Kariera stała przed nią otworem. Oczyma wyobraźni widziała siebie za kilka lat, odpędzająca się od klientów, którzy będą gotowi czekać na terminy w długich kolejkach i poniosą wszelkie koszty, oby tylko detektyw Monika Wójcik zajęła się ich sprawą. Włączyła YouTube i wyszukała listę z utworami Davida Bowiego, którego ubóstwiała. Do umówionego spotkania w urzędzie pracy zostało jeszcze sporo czasu, więc postanowiła sprawdzić, co o zaginięciu Zawadzkiej da się znaleźć w Internecie. Gdy uruchomiła przeglądarkę, rzuciło jej się w oczy, że Kowal usunął historię. Uśmiechnęła się do siebie, ponieważ jej były chłopak, z którym rozstała się miesiąc temu, był informatykiem i nauczył ją, jak prześledzić historię wyświetlanych stron, gdy ktoś chciał zatrzeć po sobie ślady. Zanurkowała w katalog danych tymczasowych przeglądarki internetowej i odnalazła najświeższe pliki potocznie nazywane ciasteczkami. Komputer zapisuje w nich informacje, które później wysyła w świat. To dzięki nim producenci oprogramowania,

przeróżnego rodzaju sklepy i wyszukiwarki internetowe zdobywają wiedzę o użytkownikach sieci. Monika przeleciała wzrokiem po najnowszych wpisach w pliku ciasteczka. Była tam strona oddziału psychiatrycznego na Pradze-Południe. Leon szukał adresu kontaktowego i oglądał jednego z lekarzy psychiatrów. Niżej widniały adresy stron pornograficznych. Monika rzuciła okiem na kilka filmików, w których mężczyźni o ponadprzeciętnych przyrodzeniach obsługiwali mocno umalowane panie z obfitymi piersiami, po czym wyczyściła historię przeglądania i wyłączyła laptop. Miała jeszcze kilka minut, więc wpadła na pomysł, żeby zrobić sobie selfie w nowym miejscu pracy. Wyciągnęła komórkę i pstryknęła sobie kilka zdjęć przy biurku, obok tabliczki z napisem „Biuro detektywistyczne”, a nawet przed wejściem do bloku. Na koniec wróciła do biura, zdjęła żakiet, koszulkę i spódnicę i zachwycając się pięknem własnego ciała, zrobiła sobie zdjęcia w samej bieliźnie przy biurku szefa. W figlarnym nastroju włożyła ubranie, schowała telefon i udała się do urzędu pracy.

– Rozmawiałem z Waldemarem Stafiejem, moim starym kolegą z policji – powiedział Kowal, wyrывая Monikę ze wspomnień. – Dostałem już listę osób, które musimy sprawdzić w pierwszej kolejności.

Wzięła kartkę i czytała na głos imiona i nazwiska.

– Kto? – zareagował żywo Kowal.

– Jadwiga Szczepkowska – powtórzyła Monika. – Babka Magdaleny Zawadzkiej.

Wyrwał jej kartkę i skołowany spojrzał na listę. W jednej chwili pobladł, zrobiło mu się tak słabo, że musiał zjechać na przystanek. Włączył awaryjne światła i oddychał głęboko, próbując się pozbierać.

– Byłem przed chwilą u mojego brata – wydusił z trudem. – Wymienił to nazwisko. A przecież nie mógł jej znać. Powiedział, że ta kobieta szepcze

mu coś do ucha. Czy mógł się o niej dowiedzieć? I jak?

– Coś jeszcze powiedział?

– Żeby odnaleźć Honoratę.

Zapadła cisza, dopiero kiedy zatrąbił na nich wjeżdżający na przystanek autobus, Kowal ocknął się i włączył do ruchu.

– Dziwne. – Monika patrzyła przez okno na mijane bloki.

– Kupiłaś biurko? – zmienił temat Kowal.

– Tak. – Odwróciła się w jego stronę i ściągnęła brwi. – Już pytałeś.

– Tak? Widocznie wyleciało mi z głowy przez tę Jadwigę – usprawiedliwił się.

Monika wpatrywała się w Kowala jeszcze przez chwilę, po czym powtórnie skierowała spojrzenie za okno.

– To gdzie cię podwieźć? Nie mogę cię zamęczyć już pierwszego dnia.

– Zrobisz to dopiero po dwóch dniach? – rzuciła z przekąsem.

– Jutro rano musisz stawić się w biurze w życiowej formie – powiedział.

– To gdzie jedziemy?

ROZDZIAŁ 8

Wcześniej

Jadzia Nowik, Wojtek Martens i Weronika Kownacka siedzieli w zatłoczonym pokoju w akademiku. Wraz z kilkoma innymi osobami zostali zaproszeni na imprezę zorganizowaną przez Krzysztofa Włodarczyka, studenta czwartego roku Uniwersytetu Humanistycznospołecznego. W powietrzu unosił się zapach bimbru, którym raczyli się uczestnicy spotkania, rozmawiając głównie o tematach prac magisterskich.

– Psychotronika, no nieźle, trzeba przyznać, że nie brakuje wam odwagi – powiedział Włodarczyk, napełniając kieliszki.

– A ja wierzę w prekognicję – wyznała Weronika. – Podobnie jak w duchy i w ogóle świat zjawisk paranormalnych.

– Ja wybrałam pracę z psychotroniki ze względu na Dopierałę. To fajna babka – uznała Jadwiga. Zrobiła kilkusekundową pauzę, po czym dodała: – A nie macie wrażenia, że ta Sylwia Fornel, która ma pomagać przy naszych testach, i Grażyna Dopierała lecą na siebie?

– Lesbijki? – zapytał Włodarczyk z wyraźną ekscytacją.

Studenci płci męskiej zgromadzeni w pokoju, słysząc słowo „lesbijki”, natychmiast się ożywili.

– Można się jeszcze zapisać na te eksperymenty? – rzucił chłopak o rudych włosach.

– Jak najbardziej – odpowiedział mu Wojtek. – Szukamy chętnych do testów, aby były bardziej wiarygodne. Zresztą nasza promotorka mówiła, że gdyby ktoś chciał pisać pracę z psychotroniki, to może jeszcze dołączyć do grupy.

– Nie mam zamiaru babrać się w psychotronice, ale z przyjemnością popatrzyłbym na lesbijki. – Włodarczyk zarechotał.

– To mogłoby być ciekawe doświadczenie – zainteresował się inny student.

– Zapraszamy. – Weronika posłała im szelmowskie spojrzenie. – Może zjawisk paranormalnych u nas nie uświadczy, ale nasze panie magister to niezłe laski. – Wypiła swój kieliszek bimbru i skrzywiła się, odmawiając przepijania wodą gazowaną.

– Dlaczego wierzysz w te bzdury związane z psychotroniką? – Włodarczyk bez zwłoki napełnił kieliszek Weroniki.

– Coś wam opowiem, możecie mi wierzyć lub nie – zaczęła. – Moja mama umarła cztery lata temu. Kilka miesięcy przed śmiercią poprosiłam ją, żeby dała mi znak, jeśli istnieje życie pozagrobowe.

– I co? Dała ci znak? – zakpił Włodarczyk.

– A żebyś wiedział, że dała. Umówiliśmy się, że strąci z szafy pustą doniczkę, która leżała tam od wieków. I pewnego dnia doniczka runęła na podłogę.

– Pewnie był przeciąg. – Jadzia nie dała się przekonać.

– Tylko że inne doniczki nie spadły, mądralo – przedrzeźniła ją Weronika. – Sami pomyślcie, każdy uznaje psychokinezę, wróżbiarstwo czy porozumiewanie się z duchami za wierutną bzdurę. Choć nikt też nie może przysiąc, że takie rzeczy nie istnieją. Jeśli kogokolwiek zapytasz

o zjawiska paranormalne, to będzie coś kręcił, że nie wiadomo, może coś w tym jest. Zresztą ja sama, choć nie wierzę w Boga, czasami mam przeczucie, jakby moja mama próbowała się ze mną kontaktować.

– Brednie – podważył jej słowa Włodarczyk. Zdjął z parapetu doniczkę z przywiedłym kwiatkiem i postawił ją na szafie. – Jeśli uda ci się ją strącić przy pomocy mamy czy jakiegokolwiek innej siły, to stawiam wszystkim flaszkę. – Rzucił wyzwanie Weronice.

Studenci z uśmiechami na twarzach przyglądali się niecodziennemu zakładowi zawartemu przez Krzyśka i Weronikę.

Dziewczyna wypila jeszcze jeden kieliszek bimbru, usiadła na łóżku i zamknęła oczy. Powątpiewała, co prawda, że uda jej się teraz, podczas studenckiej libacji, skontaktować z mamą, ale uznała, że przynajmniej rozkręci imprezę. Złączyła palce wskazujące z kciukami, po czym zaczęła wydawać z siebie odgłosy przypominające zawodzenie szamana. Pozostali z nieukrywanym sceptycyzmem patrzyli to na Weronikę, to na doniczkę ustawioną na skraju szafy. Kontynuowała modły, wzniosła ręce, obracała się wokół własnej osi, nieustannie mamrocząc coś pod nosem. Gdy po kilku minutach nic się nie wydarzyło, część studentów straciło zainteresowanie, wrócili do rozmów i ponaglili Krzyśka, aby połał bimber. W pewnym momencie drążek wewnątrz szafy, na którym zawieszane były ubrania, urwał się, otwierając przy tym drzwi, które zahaczyły o doniczkę. Ceramiczne naczynie spadło na podłogę i rozbiło się na kawałki.

– Bez jaj – odezwał się Włodarczyk. – Przygotowaliście to wcześniej?

– Nie – zaprzeczyła Weronika, podobnie jak reszta zmieszana powodzeniem przedsięwzięcia. – To co? Przyjdziecie do nas na testy?

– Przyjdę – zgłosił się Włodarczyk. – Bardzo chętnie zobaczę porażkę tych waszych parapsychicznych eksperymentów. Tak czy inaczej, doniczka

spadła – przyznał z niechęcią. – Wiszę wam flaszkę. A może być biber? Bo ten mam za pół darmo.

Do końca imprezy wszyscy starali się utrzymać dobry nastrój, prześcigając się w wygłupach, jednak pod sztuczną wesołością krył się lęk wywołany zdarzeniem z doniczką. Nie dopuszczali do siebie myśli, że mogło mieć ono związek z nawiedzającymi ich od jakiegoś czasu koszmarami.

ROZDZIAŁ 9

Nazajutrz rano, gdy Kowal zajechał pod biuro, zdziwił się, widząc czekającą na niego Monikę Wójcik. Oczywiście spodziewał się jej, ale nie przypuszczał, że dziewczyna zjawi się przed czasem. Wyciągnął z bagażnika korkową tablicę, pinezki i małe karteczki.

– Widzę, że porządnie zabieramy się za temat – zauważyła z uśmiechem.

Kowal nie odpowiedział, mruknął tylko, po czym ruszył w stronę małej klitki, która była ich miejscem pracy.

– Biurko wybrałaś sobie fachowe – stwierdził, wchodząc do środka.

– Podpiszmy najpierw papiery, żebym na trzy miesiące mogła stać się twoją niewolnicą – zażartowała Monika. Wykonała kilka śmiałych późniczym doświadczona tancerka go-go.

Kowal zignorował jej zachowanie, odnalazł długopis i skrobął kilka parafek w miejscach wskazanych przez dziewczynę. Następnie zabrał się za przywieszanie do ściany korkowej tablicy.

– Musimy opracować plan działania – oznajmił. – Zapiszmy nazwiska osób zamieszanych w sprawę i zadania do wykonania, potem będziemy je dzielić na zrobione i do zrobienia – instruował. – Zacznijmy od osób, które musimy przesłuchać.

– A co z tą Honoratą, którą kazał ci odnaleźć twój brat? – przypomniała Monika, rozsiadając się na krześle.

– Mój brat bredził w schizofrenicznym ataku. Zajmijmy się faktami – powiedział Kowal. – Będziemy podążali ścieżką, którą przebyła Magdalena Zawadzka. Spróbujmy dowiedzieć się czegoś więcej niż policja. Dzięki tym dodatkowym szczegółom może uda się ją odnaleźć. To na Zawadzkiej musimy się skupić.

– Bo za to płaci nam klient? – uściśliła.

– Właśnie. – Przytaknął. – Nikt nam nie kazał rozwikłać tego śledztwa. To robota policji. My mamy znaleźć ciało.

– Nie wierzysz, że ona jeszcze żyje?

– Zbyt długo pracowałem w policji, aby sądzić inaczej. – Podeszedł do tablicy, aby przymocować karteczkę. – Ale nie wyrokujmy – dodał.

– Czyli zaczynamy od wioski pod Krakowem? – zasugerowała Monika.

– Na to wygląda – potwierdził. – Porozmawiamy z kilkoma osobami, może czegoś się dowiemy.

– A co potem? Zakopane? – Pomachała kartką z wypisaną nazwą tatrzańskiej miejscowości.

– Jak z chodzeniem po górach?

– Tylko Morskie Oko, ale za to w dwie strony na piechotę – pochwaliła się.

– To podobnie jak ja. – Westchnął. Wyciągnął wydruk z odczytem lokalizacji telefonu komórkowego Magdaleny Zawadzkiej, który przesłał mu Stafiej.

– Spójrz na to. – Podesunął kartkę Monice. – To lokalizacja telefonu Magdy z ostatnich dni przed zaginięciem. Dopóki chodziła do pracy, nie zanotowałem nic szczególnego, ale odkąd wzięła urlop, sporo się wydarzyło.

Monika przyglądała się mapie Polski, na której była zaznaczona trasa, jaką w dniu pogrzebu Jadwigi Szczepkowskiej odbyła Zawadzka.

– Z domu udała się na Dworzec Centralny – odczytywała na głos. – Pewnie chciała się upewnić co do odjazdu autobusu do Krakowa. Potem odwiedziła kawiarnię, gdzie siedziała, aż do momentu wyjazdu z Warszawy. Pod Krakowem była kilka godzin, aby potem wyruszyć do Zakopanego. Przespała się w wynajętym pokoju, a rano wyszła w góry, aż na Orlą Perc. Tam sygnał znika. To nic nowego. – Spojrzała na Kowala.

– Popatrz jeszcze na to. – Wręczył jej kserokopię pożegnalnego listu Zawadzkiej.

– Ładny charakter pisma – oceniła. – Dziewczyna żegna się ze światem i prosi, żeby jej nie szukać. Wydaje się, że wszystko perfekcyjnie przygotowała. Zostawiła list, rzuciła się gdzieś ze skały, mając nadzieję, że pozostanie na zawsze w górach. Może jej na tym zależało?

– Możliwe, ale Rozner wątpi w samobójstwo Zawadzkiej, a my mamy to zbadać – powiedział Kowal. – Zaczniemy od kawiarni. Zawadzka spędziła w niej prawie pół godziny. Ktoś mógł ją zauważyć, może coś nam powie.

– Potem pod Kraków? – niecierpliwiła się Monika. – Mamy adres tej zmarłej babki Zawadzkiej?

– Mamy. To jakaś wieś pod samym Krakowem. Jest szansa, że coś tam zwęszymy. Mieszkańcy małych wiosek sporo o sobie wiedzą. Albo spotkamy kogoś z rodziny? – ożywił się Kowal.

– A potem Zakopane?

– Ta, Zakopane – mruknął. Nie znosił tego miejsca, gdzie blichtr i kicz łączyły się przepychem. Ulubione miejsce snobów, którzy nie wyobrażali sobie, aby choć raz w roku nie odwiedzić górskiej stolicy kraju i nie pospacerować po Krupówkach. – Pogadamy z kobietą, u której nocowała Magda, obejrzymy jej pokój. A potem ruszymy w góry, tropem zaginionej – zawiesił głos. – Żeby się nie okazało, że zamiast odnaleźć ciało ofiary, dołączymy do niej – dodał z obawą.

– Poradzimy sobie – uspokoiła go Monika. – Wezmę najmocniejsze szpilki, żeby w razie czego robiły za czekan. – Zaśmiała się.

Wyszli z biura i udali się do samochodu, którym dostali się na Dworzec Centralny. Kowal zapłacił za parkometr i ruszyli do kawiarni Green Caffè Nero, mieszczącej się w Żółtych Tarasach. Wnętrze było klimatyzowane, przy wysokich stolikach stały krzesła barowe. Na ścianach znajdowały się pejzaże prezentujące przyrodę, z których najbardziej w oczy rzucała się żółta łąka z rzepakami sięgającym aż po horyzont. O tej porze dnia w kawiarni nie było wielu osób – czasami jakiś pracownik z pobliskich biurów przychodził na kawę i ciastko. Detektyw podszedł do uroczej kelnerki i zapytał:

– Dzień dobry, mam pytanie. Jak moglibyśmy się dowiedzieć, kto pracował jedenastego czerwca między dziewiątą a dziesiątą rano?

Dziewczyna zmierzyła wzrokiem najpierw Leona, potem towarzyszącą mu uśmiechniętą Monikę, która włożyła wygodne buty z rzemieniami opinającymi łydkę. W czerwonej luźnej sukience prezentowała się raczej jak córka Kowala, a nie jego asystentka.

– Państwo są z policji? – spytała, mrużąc oczy.

– Jestem prywatnym detektywem. – Pokazał dokument z licencją.

– Rozumiem – odpowiedziała. – Wyciągnęła z szuflady rozpiskę z harmonogramem pracy i studiowała ją przez chwilę. – Andrzej Rozchwiej – poinformowała. – Jeszcze go nie ma, ale powinien się niedługo pojawić. Może w między czasie coś podać?

Kowal spojrzał na Monikę, która przytaknęła ochoczo. Praca detektywa podobała jej się coraz bardziej. Nie dość, że miała na koszt pracodawcy pojechać najpierw w okolice Krakowa, potem do Zakopanego, to jeszcze mogła posilić się znakomitym ciastem i wypić przepyszną kawę.

– Ta beza wygląda na wartą grzechu – namawiała szefa.

– Dobra, poprosimy dwie latte i dwie bezy – zamówił Kowal. Gdy zapłacił, według niego stanowczo za dużo, zajęli miejsca przy stoliku i czekali na kelnerkę.

– Rozejrzyj się – nakazał Monice. – Może zauważymy coś istotnego.

– Nie przesadzasz? – Zerkała w kierunku baru, z niecierpliwością czekając na zamówienie. – Nawet nie wiemy, gdzie dokładnie siedziała Zawadzka – marudziła.

Do kawiarni wszedł chłopak z brodą jak u drwala, na głowie miał irokeza zafarbowanego na krwistą czerwień, zaś nad uszami przez krótko przystrzyżone włosy przebijały wytatuowane łacińskie napisy. Podszedł do baristki, która ruchem głowy wskazała na Kowala i Monikę.

– To musi być Rozchwiej – zdążyła skomentować Monika, gdy jeden z klientów stojących przy kasie rzucił się na ladę i sprawnym ruchem ręki wyciągnął z kasetki garść banknotów. Zszokowana kasjerka zdążyła tylko krzyknąć „złodziej”, gdy chłopak w krótkich spodenkach i z czapeczką z daszkiem na głowie wybiegał już z kawiarni.

Kowal zerwał się z miejsca i rzucił w pogoń za mężczyzną. Przeszło mu przez myśl, że znowu pakuje się w problemy i straci cenny czas na składanie zeznań albo wizytę w komendzie. Po sekundzie dostrzegł, że dobiega do niego Andrzej Rozchwiej.

– Ucieka do metra – zawołał Kowal. – Tam najłatwiej będzie mu się zgubić.

Początkowo trzymali się kilka metrów za uciekinierem. Jednak z każdym krokiem chłopak w czapeczce zyskiwał nad nimi przewagę.

– Złodziej! Zatrzymać go! – krzyczał Kowal, widząc, że niknie szansa na pomyślny koniec pościgu.

Jakiś mężczyzna w garniturze podstawił złodziejowi nogę. Chłopak runął na ziemię, dotkliwie się tłukąc, momentalnie zerwał się do ucieczki,

ale powtórnie powalił go dobrze zbudowany nastolatek. Po kilku sekundach dobiegł do nich Kowal, który przygniótł złodzieja kolanem.

– I co cwaniaczku? – wydyszał. – Sądziłeś, że zwiejesz?

Usłyszał za sobą zasapanego Rozchwieja, który został nieznacznie w tyle. Na pierwszy rzut oka widać było, że pogoń kosztowała go bardzo dużo wysiłku. Oparł ręce na kolanach i dysząc, przyglądał się, jak Kowal rozprawia się ze złodziejem.

– Wyskakuj z kasy – ryknął detektyw, kopiąc przy tym chłopaka w krocze.

– Ty kurwo – wysyczał złodziej i zwinął się w kłębek.

Widowisko przyciągnęło grupkę gapiów, pojawili się także wezwani przez kogoś funkcjonariusze ochrony metra, do którego zejście było kilka metrów dalej.

– To złodziej – wyjaśnił szybko Kowal. – W kieszeni ma plik banknotów, które ukradł z kawiarni.

– Potwierdzam – włączył się Rozchwiej. – Jestem pracownikiem Green Caffè Nero. Ten człowiek pomógł mi złapać bandziora.

– W porządku. – Mundurowy podniósł z ziemi chłopaka i trzymał mocno, aby ten ponownie nie spróbował ucieczki. – Zaraz wezwiemy policję, żeby spisać zeznania i zgarnąć ptaszka.

– Dzięki. – Rozchwiej wyciągnął dłoń do Kowala.

– Z formą to u pana cieniutko – zażartował detektyw.

– Widać zanoszenie kawy do stolików to nie najlepsze ćwiczenia na poprawę kondycji. – Zaśmiał się. – Podobno mnie szukaliście?

– Zgadza się – odpowiedział Kowal. – O, jesteś – zwrócił się do przybyłej właśnie Moniki.

– Tak popędziliście, że mało co, a straciłabym was z oczu. Nieźle, szefie – powiedziała z uznaniem.

– Jedenastego czerwca koło godziny dziewiętej trzydzieści była u was ta kobieta. – Pokazał Rozchwiejowi zdjęcie Zawadzkiej. – Szukamy jej, zaginęła w Tatrach. Pana koleżanka powiedziała nam, że to pan ją obsługiwał.

Andrzej odebrał fotografię i przez chwilę przyglądał się ciemnowłosej dziewczynie.

– A, to ta – przypomniał sobie i wybuchnął śmiechem.

– Co pana tak rozbawiło?

– W życiu nie zapomniabym tej wariatki. Kazała mi usiąść obok siebie i zaproponowała, że mi powróży. Nie było dużego ruchu, więc pomyślałem, że co mi szkodzi posłuchać.

Oczy Kowala rozbłysły z ciekawości.

– Mówił pan o tym policji?

– Policji? Nikogo u mnie nie było. Czy stało się coś złego?

– Jak już wspomniałem, zaginęła. Chcę ją odnaleźć. Proszę mi powiedzieć, co dokładnie mówiła Zawadzka.

– Oświadczyła, że przepowie mi przyszłość. I nie uwierzy pan, ale opowiedziała mi wszystko to, co się przed chwilą wydarzyło. Dlatego tak mnie to rozśmieszyło.

– Nie rozumiem – zdumiał się Kowal. – Powiedziała panu, że przyjdzie prywatny detektyw?

– Tak – potwierdził. – I że razem złapiemy złodzieja, który ukradnie pieniądze z kasy kawiarni i... – Rozchwiej nie dokończył, wesołość na jego twarzy zniknęła, a pojawił się głęboki smutek. Oczy zaszyły łzami.

– Coś jeszcze mówiła? – dopytywał Kowal.

– Nie uwierzy pan... jak powiem... pa... ona... ghu... – próbował mówić, ale z jego gardła wydobywał się tylko niezrozumiały bełkot.

– Co się dzieje? Dobrze się pan czuje? – Monika złapała go za ramię.

Rozchwiej zbladł, otworzył szeroko przerażone oczy. Poruszał ustami, jakby coś mówił, ale nikt nie usłyszał ani słowa. Wyrwał się Monice i upadł, uderzając głową o chodnik.

– Wezwijcie karetkę – krzyknął Kowal. Jeden z mundurowych skontaktował się przez krótkofalówkę z centralą i poprosił, aby ci wezwali pogotowie ratunkowe.

Rozchwiej wciąż miał otwarte oczy, targany konwulsjami poruszał wargami niczym karp wyciągnięty z wody. Kowal nachylił się nad mężczyzną.

– Ona to... przewidziała – wymamrotał Rozchwiej i zastygł w bezruchu.

– Kurwa mać – zaklął detektyw. Zamknął oczy i zacisnął zęby, walcząc z obezwładniającym go przyczajonym od kilku dni strachem. Mógłby przysiąc, że czuł duszę, która wyrywa się z ciała, i przechadzające się między zebranymi zło. Nie miał wątpliwości, że droga, którą podąża, zawiedzie go ku zgubie, i że klamka już zapadła, że nie ma odwrotu, teraz może tylko ruszyć śladem okruszków pozostawionych przez kogoś na śniegu.

ROZDZIAŁ 10

Olga przemierzała długi korytarz, szarpiąc za klamki kolejnych drzwi – wszystkie były zamknięte. Zrozpaczona popędziła przed siebie, mijając rozmywające się w biegu tabliczki z numerami. Korytarz nienaturalnie się wydłużał, jakby nie miał końca. Wreszcie zatrzymała się przy drzwiach z numerem sześćset sześćdziesiąt sześć. Sięgnęła ręką do klamki i nacisnęła ją, zastanawiając się, dlaczego zatrzymała się akurat tutaj. Uchyliła skrzydło i omal nie zemdląła, widząc swego męża, jak pieprzy leżąca na biurku asystentkę. Monika otoczyła biodra Leona nogami i głośno pojękiwała.

– Co wy robicie? – wrzasnęła, rozglądając się po pokoju przypominającym szpitalną salę.

Leon spojrzał na żonę i nie przerywając stosunku, odpowiedział spokojnie:

– Ależ kochanie, przecież my nie robimy nic złego. Nie widzisz, że pracujemy nad kolejną trudną sprawą.

Otworzyła oczy i spanikowana rozejrzała się po salonie. Ujrzała znajome stare meble, wiekowy telewizor, brudny dywan i ściany nieremontowane od kilku lat. Odetchnęła z ulgą, uzmysławiając sobie, że miała koszmary sen. Spojrzała na zegarek i zmarszczyła brwi, dochodziła szesnasta. Musiała być tak zmęczona po powrocie z zakupów, że zasnęła. Z upiornego snu w pamięci wyryła jej się ostatnia scena, która podsyciła

rodzący się w Oldze niepokój. Zwlekła się z łóżka, aby przygotować obiad. Siedziała na krześle w kuchni i obierając ziemniaki, oddała się rozmyślaniam. Czuła, że wraz z wiekiem wzrasta w niej frustracja. Cieszyło ją coraz mniej rzeczy, a irytowało coraz więcej. Widziała to, ale nie miała pojęcia, co mogłaby zrobić, aby powstrzymać nawracające fale goryczy. Jedno nie ulegało wątpliwości, musiała utrzymać Leona przy sobie. Nie pozbierałaby się po wiadomości o zdradzie. Obrała jeszcze kilka ziemniaków, kiedy otrzymała od męża SMS-a, w którym informował ją, że wróci później, bo wraz z Moniką Wójcik podążają tropem zaginionej Magdy Zawadzkiej. Olga cisnęła ziemniakiem i nożem o ziemię. Czyżby miał się ziścić czarny scenariusz? Ona będzie się urabiać, gotować, sprzątać, prać, świadczyć usługi seksualne, a jaśnie pan zacznie uganiać się za młodszymi kobietami. Poczwała, jak zalewa ją zazdrość. Nasłuchiwała się od koleżanek historii o czterdziestoletnich facetach, którzy wymieniają swoje żony na młodszy model. A przecież asystentka Leona jest taka atrakcyjna.

Wytarła ręce i ruszyła w kierunku laptopa leżącego na stole, aby uruchomić Facebook. Odnalazła profil Moniki Wójcik i przegłębła historię z ostatnich dwóch lat. Niemal wpadła w furję, gdy zobaczyła kilka zdjęć zrobionych na plaży. Monika ponętnie prezentowała na nich swoje zalety, o których dużo starsza Olga mogłaby tylko pomarzyć. Za kilka lat nie tylko Leon, lecz żaden inny mężczyzna nawet na nią nie spojrzy.

Musiała zacząć działać, zanim będzie za późno. Zrobić coś dla siebie. Pójść do fryzjera albo zapisać się na siłownię. I przede wszystkim należało uświadomić mężowi, kim tak naprawdę jest Monika Wójcik. Olga doskonale wiedziała, co dzieje się w głowie asystentki Leona. Przecież jeszcze piętnaście lat temu myślała podobnie. Młoda samica instynktownie szuka doświadczonego samca, który da jej oparcie i poczucie

bezpieczeństwa. Ten mechanizm działał zawsze w ten sam sposób – i to u każdego przedstawiciela świata zwierząt.

Bez dłuższego namysłu postanowiła napisać do niejakiego Samuela, który – jak wywnioskowała z historii profili – musiał być przez jakiś czas chłopakiem Moniki.

– Cześć, chciałabym porozmawiać o Monice Wójcik. Byliście razem.

– Ale już nie jesteśmy. To zamknięty temat.

– Muszę zapobiec katastrofie. Monika zaczęła pracę u mojego męża w biurze detektywistycznym i obawiam się, że chce go uwieść.

– To możliwe i w sumie do Moniki bardzo podobne.

– Pomożesz mi?

– A niby w jaki sposób?

– Chciałabym pokazać mężowi, co to za jedna, zanim będzie za późno.

– Chyba sobie odpuszczę. Wojna z Moniką może się dla mnie źle skończyć.

– Zapłacę.

– Ile?

ROZDZIAŁ 11

Kamil Rozner, jak co dzień, wszedł do recepcji wysokiego biurowca stojącego w centrum Warszawy, przywołał windę i wjechał na dwudzieste drugie piętro, gdzie znajdowała się siedziba firmy InfoSense. Do pracy dojeżdżał metrem, z samochodu zrezygnował kilka lat temu, auta i tak nie było gdzie postawić. A nawet jeśli udałoby się załatwić parking, to należało liczyć się z opłatą niczym za trzygwiazdkowy hotel. Pamiętał o prośbie Leona Kowala, aby rozejrzeć się po firmie. Należało poszukać czegoś, co obciążałoby InfoSense. Jakiegoś tropu, który powiązałby niepokojące zachowanie Zawadzkiej oraz jej późniejsze zaginięcie z pracą testerki przy projekcie przygotowania interfejsu mózg-komputer. Rozner zastanawiał się, od czego mógłby zacząć. Przez wiele miesięcy pracy nie wywnioskował, co takiego tworzy jego zespół – mimo że znał fragmenty kodu opracowywane przez kolegów, którzy często prosili Roznera o pomoc przy rozwiązaniu jakiegoś problemu. Najbardziej tajemnicze wydawały się ogromne tabele liczb, które prawie codziennie aktualizowali zgodnie z odgórnie zadany algorytm. Równie dobrze mogli pisać skomplikowany analizator wskaźników bilansu firmy, jak i oprogramowanie do sterowania raketami typu ziemia-powietrze. Kluczem do rozwiązania zagadki był Daniel Stępień, który odpowiadał za analizy i łączenie fragmentów kodu pozostałych pracowników w całość. Programiści pracowali w dużym pokoju przedzielonym gipsowo-

kartonowymi ściankami działowymi. Każdy miał dla siebie jakieś trzy metry kwadratowe powierzchni, na której mieściło się biurko i fotel obrotowy.

W trakcie pisania fragmentu kodu Rozner usłyszał parę zdań wymienionych między Stępnem a pracującym po sąsiedzku programistą.

– Szefie – odezwał się pracownik. – Prośba o wprowadzenie hasła do pliku. Muszę wyciągnąć z niego słownik.

– Co to za plik? – zapytał kierownik.

Roznera olśniło. Duża część zasobów dyskowych była dla niego niedostępna – to fakt, ale są pliki, które mógł przeglądać, potrzebował jednak hasła znanego tylko Stępnowi. Nie było szans, aby poznać je, obserwując ruchy palców głównego analityka, gdyż ten pisał zbyt szybko. Ale Rozner wpadł na genialny pomysł. Zamiast za pracę zabrał się za pisanie tajemniczego skryptu. Godzinę później dzieło było już gotowe. Oczekał, aż Daniel Stępień będzie w pobliżu, wychylił się ponad ściankę działową i zawołał:

– Szefie, potrzebuję hasła do pliku.

Stępień wszedł do boksu Roznera i rzucił okiem na ekran monitora. Widząc plik, którego treść – zgodnie z rozporządzeniem szefostwa firmy – można było udostępniać pracownikom, wpisał niezwykle długie hasło. Po chwili ukazała się zawartość dokumentu.

– Jak tam? Wszystko w porządku? – zapytał. Był tęgim, niskim mężczyzną o długich, często przetłuszczonych włosach. Do tego przez cały tydzień nosił te same koszule i spodnie, przez co roztaczał wokół siebie nieprzyjemną woń.

– W najlepszym – odpowiedział Rozner, po czym udał, że z niezwykłą pasją i zaangażowaniem oddaje się studiowaniu otwartego dokumentu.

– To świetnie. Jesteś dobrym pracownikiem – docenił go Stępień. – Firma będzie miała z ciebie pożytek.

– Wiem. – Urwał rozmowę.

Gdy Stępień się oddalił, Rozner nacisnął na klawiaturze skrót, który stworzył plik keylogger. Ta szpiegowska aplikacja rejestruje hasło wprowadzone przez użytkownika. Sprytny program odczytuje uderzenia w klawiaturę i zapisuje wszystko w pliku tekstowym. Kamil błyskawicznie odnalazł ciąg znaków wprowadzonych przez Stępnia, później przeskanował zasoby serwera dostępne z poziomu jego komputera i wyświetlił pliki zabezpieczone hasłem. Odrzucił te, które dotyczyły prac programistycznych prowadzonych w jego zespole. Szukał czegoś, co pozwoliłoby dowiedzieć się trochę więcej o InfoSense. Mruknął przeciągle, gdy zobaczył łakomy kąsek – katalogi działu kadr, w których znajdowały się CV osób kandydujących na stanowiska testerów w firmie. Teraz pozostało tylko zastosować prostą sztuczkę: wkleić napisany wcześniej skrypt do otwartego zabezpieczonego dokumentu, aby przetransferować do niego zawartość CV. Dzięki keyloggerowi akcja przebiegła bardzo sprawnie. Kilka minut później w edytorze tekstów widniała ponad setka podań kandydatów na testerów w InfoSense. Ponieważ firma blokowała pracownikom dostęp do Internetu, Kamil przesłał na telefon zaszyfrowany plik, aby wynieść jego treść poza mury wieżowca. Miał świadomość, że kradzież danych jest przestępstwem, ale starał się być tak ostrożnym, że raczej nikt nie powinien niczego dostrzec. Teraz musiał uzbroić się w cierpliwość i poczekać do końca pracy, aby w domu na spokojnie przejrzeć CV.

W dotychczasowej karierze programisty Rozner jeszcze nigdy nie spotkał się z sytuacją, aby developerzy tworzący oprogramowanie nie mieli kontaktu się z osobami z kontroli jakości. Co więcej, testerzy pracowali

w innej lokalizacji. Firma zobowiązywała pracowników do przestrzegania tajemnicy pracy, włącznie z zakazem zdradzania jej lokalizacji. Spotkanie Kamila i Magdy było dziełem przypadku. Zawadzka zanosila akurat dokumenty do działu kadr, który znajdował się w tym samym budynku co zespół programistów. Spotkali się w windzie. Rozner na tyle zaintrygowal dziewczynę, że ta dała mu swój numer telefonu. W przeciwnym razie para zapewne nigdy nie dowiedziałyby się, że pracuje w tej samej firmie.

Dochodziła dwudziesta, kiedy Rozner otworzył piwo, zaciągnął zasłony i zasiadł przed komputerem. Otworzył plik z CV kandydatów i rozpoczął lekturę. Po przestudiowaniu kilkudziesięciu życiorysów zwrócił uwagę, że wszyscy kandydaci pasjonują się magią, parapsychologią, wróżbiarstwem, astrologią i tym podobnym. Dokumentu Magdy nie było wśród CV kandydatów, co mogło sugerować, że życiorysy osób przyjętych są przechowywane w innym miejscu.

Pociągnął łyk piwa, rozmyślając, co powinien zrobić. Gdyby nie widział twarzy Magdy na kole młyńskim w parku rozrywki, prawdopodobnie przeszedłby nad wszystkim do porządku dziennego. Jednak na samo wspomnienie jej spojrzenia, słów, samobójstwa tamtego mężczyzny przechodził go zimny dreszcz. Każdy ciemny róg pokoju zamieniał się w jamę, w której czaiło się zło. Rozner czuł się jak małe dziecko, którego wyobraźnia płata figle, podsuwając coraz to nowsze obrazy potworów wychodzących z szafy. Przypomniat sobie ojca straszącego go wyimaginowanym bobo, czającym się w kątach pokoju. Musiał wówczas włączyć światło, aby odpędzić strach. Kusiła go myśl, aby zwolnić się z firmy, uciec z miejsca, które wydawało się jakąś sektą. Tak byłoby najprościej, wycofać się, kiedy jest jeszcze na to czas. Ale zganił się za tę chwilę słabości, przecież wówczas nie odnalazłby Magdy, nie pomógłby detektywowi.

Przeglądając kolejne CV, wpadł na pomysł, aby zapytać społeczność internetową o firmę InfoSense. Zalogował się na forum osób szukających pracy i zadał otwarte pytanie.

Cześć. Czy ktoś z obecnych ma doświadczenie związane z kandydowaniem na stanowisko testera w firmie InfoSense? Czego oczekują od kandydatów?

Odpowiedzi, choć nieliczne, przyszły zaskakująco szybko.

To jakaś dziwna firma zajmująca się najprawdopodobniej rządowymi projektami. Wszystko utajone. A kandydaci na testerów najlepiej, aby byli certyfikowanymi mediami.

Kamil zaczepił osobę o pseudonimie Polip i wypytał ją w prywatnej rozmowie o doświadczenia związane z kandydowaniem na stanowisko testera w InfoSense.

– Możesz mi powiedzieć coś więcej?

– A co chcesz wiedzieć?

– Jak dowiedziałeś się o stanowisku w firmie?

– Wcale się nie dowiadywałem, to oni do mnie zadzwonili. Wypytywali o zainteresowania związane z parapsychologią.

– Parapsychologią?

– Tak. Jakaś kobieta pytała mnie przez telefon, czy miałem kiedykolwiek kontakty z duchami i czy mam zdolności parapsychiczne.

– Serio?

– Pomyślałem, że to jakieś czubki i dałem sobie spokój.

– Rozumiem. A skąd wiedzieli, że chcesz u nich pracować?

– Pewnie wzięli moje dane z portalu, na którym zarejestrowałem się jako poszukujący pracy.

Rozner dopił piwo i podrapał się po głowie. Postanowił, że nazajutrz skontaktuje się z Leonem Kowalem, aby opowiedzieć mu o swoim odkryciu. Nagle gdzieś z tyłu głowy usłyszał słowa Magdy, że oni tu przyjdą

i wszyscy umrą. Ogarnęła go nieprzebrana rozpacz, mroczna pewność, że ludzkość niechybnie czeka zagłada, a świat zmierza ku apokalipsie opisanej w świętych księgach. Wstał od komputera i ruszył do salonu, gdzie na kanapie przed telewizorem leżała jego mama. Choć zwykle tego nie robił, dziś zapragnął się do niej przytulić. Kto wie, ile jeszcze dni przyjdzie jej przeżyć na tym łez padole.

ROZDZIAŁ 12

Kowal w towarzystwie Moniki Wójcik przedarł się przez zatłoczony Kraków i podążał w kierunku Ściejowic, wsi położonej na północny zachód od miasta. Przez całą drogę z Warszawy niewiele rozmawiali. W zasadzie przedyskutowali tylko sprawę wstrząsającej śmierci Andrzeja Rozchwieja.

– Czy śledztwo nie wydaje ci się coraz bardziej tajemnicze? – napomknęła Monika. – Jakby ciążyło nad nim fatum, igramy z siłami nieczystymi, szefie.

– Na razie nie widzę w tej sprawie niczego nieczystego – burknął Kowal.

– Czyżby? Rozchwiej spotkał się z Zawadzką. Przepowiedziała mu przyszłość, włącznie ze śmiercią.

– Rozchwiej miał udar. Nadwyrężył siły podczas pościgu, miał słabą kondycję, słyszałem, jak wypluwał płuca, gdy do mnie dobiegł – wysnuł własną tezę Kowal. Jechał za tirem, który postanowił wyprzedzić kolegę po fachu prowadzącego równie duży pojazd. Niestety przeliczył się z możliwościami i wymijał ciężarówkę w tempie ślimaka, jego konkurent nie zamierzał ustępować, przez co oba pasy były zablokowane przez kilka minut.

– Naprawdę w to wierzysz? – nie ustępowała Monika.

– A w co mam wierzyć? – wybuchł nieoczekiwanie. – We wróżkę, która przepowiada młodemu chłopakowi przyszłość, a potem ginie w Tatrach?

Tego cię uczyli przez pięć lat?

Monika zamilkła przygaszona ostrymi słowami Kowala. Domyślała się, że nadpobudliwe zachowanie Leona może być spowodowane chorobą brata. Nieustanny stres związany z niewytłumaczalnym zachowaniem bliskiej mu osoby odcisnął piętno na psychice szefa.

Chcieli wyjechać z Warszawy wcześniej, jednak ostatecznie wyruszyli dopiero około trzynastej, z czego Olga nie była zadowolona, bo zdawała sobie sprawę, że mąż wróci do domu późno w nocy. A najbardziej irytował ją fakt, że Leon podróżował w towarzystwie Moniki. Skręcili z autostrady i wjechali na wiejską drogę. Piętnaście minut później GPS w telefonie komórkowym poinformował, że dotarli do wsi Ściejowice. Poza kilkoma domami nie było tu praktycznie nic. Żadnej remizy, urzędu, sklepu czy czegokolwiek, co świadczyłoby, że są w centrum wioski. Leon spojrzał w niebo i ze smutkiem skonstatował, że załamała się pogoda i ze wschodu nadciągają ciemne, burzowe chmury. Według GPS-u byli na miejscu. Zatrzymali się przed niewielką, drewnianą chatką schowaną za wysokimi krzewami. Wysiedli z pojazdu, by przyjrzeć się domowi, w którym mieszkała Szczepkowska. Gdy zbliżali się do furtki, poczuli na twarzach pierwsze krople deszczu. Uderzył w nich porywisty wiatr zapowiadający burzę. Słońce schowało się za kłębiastymi chmurami zacinającymi ziemię. Przedarli się przez bramkę, która przy próbie otwarcia prawie się przewróciła. Ujrzeni chatę krytą papą, mogła mieć dobrze ponad siedemdziesiąt lat. Kowal przytknął czoło do okna i zajrzał do środka. Zobaczył pokój, w którym stało drewniane łóżko i stary kredens.

– Może trzeba kogoś zapytać o tę Jadwigę Szczepkowską – zaproponowała Monika, przebijając się przez wysoką trawę w ogrodzie.

– A widzisz tu kogokolwiek? – odparł. – Później pojedziemy do innych domów.

Naparł na drzwi wejściowe i poczuł, że gdyby pchnął je mocniej, zamek puściłby.

– Chcesz tam wejść? Przecież to włamanie.

– Wiatr mógł otworzyć drzwi. Zresztą nie ma nikogo w okolicy – powiedział, po czym natarł na drzwi barkiem. Skobel zatrzeszczał i puścił, Kowal znalazł się w środku. Niemal od razu uderzył go zapach stęchlizny, brudu i specyficznego woni, która wypełnia mieszkania starych ludzi.

– Włóż, bo zmokniesz, zaraz lunie jak z cebra – zawołał.

Monika zwinnymi susami pokonała grubsze kępki trawy i wskoczyła do domu, zamykając za sobą drzwi.

Kowal dla lepszej widoczności włączył latarkę w telefonie komórkowym, po czym wolno i ostrożnie wszedł do największego pokoju. Pomieszczenie wyglądało schludnie, właścicielka musiała cenić porządek. Pierwsze, co zwróciło ich uwagę, to toaletka z niewielkim lustrem. Wokół niej na podłodze namalowane było koło oraz nieznane im symbole. Na blacie leżał oszlifowany patyk z wydrążonym środkiem oraz nóż z czarną rękojeścią. Na ścianach wisiały obrazy przedstawiające wizerunki świętych i sceny biblijne.

– Żyjesz? – zatroszczył się Kowal, widząc, że Monika ma nietęgą minę.

– Wiesz, co to jest? – Wskazała toaletkę.

W tym momencie ściany domu zatrzęsły się od ogłuszającego huku pioruna. Monika rzuciła się w objęcia detektywa i rozdygotana wtuliła się w jego pierś.

– To tylko piorun – uspokajał ją.

– Jezu, jakbyśmy byli bohaterami jakiegoś tandetnego horroru. Zaraz wyskoczy z kąta zjawa i nas porwie – siła się na żarty Monika.

– Jeszcze musiałyby być noc – podchwycił Kowal. – Może wrócimy po zmierzchu? – Za wszelką cenę chciał przekonać Monikę, że nie ma

powodów do obaw, choć sam zmagał się nieprzyjemnym odczuciem powracającym kilkakrotnie w ciągu ostatnich godzin.

W kuchni znaleźli stosy ziół. Na starym węglowym piecu stały garnki. Na półkach zaś butelki z miksturami o nieznannej zawartości. Kowal wziął do ręki jedną i otworzył. Zaciągnął się i już po chwili na jego twarzy pojawił się uśmiech.

– Na spirytusie – wymamrotał. – Możemy zabrać kilka.

– A co jest napisane na butelkach? – zwróciła uwagę Monika, która nie traciła czujności. Stała po drewnianej, skrzypiącej podłodze tak, aby jak najmniej ją obciążać. Oczywiście wyobraźni widziała, jak jedna z desek pęka, a ona wpada do obmierzłej piwnicy, w której rozkładają się korpusy przeróżnych zwierząt pożerane przez robaki.

– Nie wiem. To chyba łacina albo jakiś język romański.

– Spójrz tam.

Nad piecem wisiały amulety wykonane z pierza, kurzych łap i paciorków. W spiżarni, oprócz słoików z wekami, znaleźli części ciał domowego inwentarza.

– Świńska racica i zasuszona głowa koguta – powiedział Kowal. Podszedł do kredensu, w którym na półkach leżały stare książki. Przeczytał na głos kilka tytułów:

– Wróżbiarstwo, ziołolecznictwo, zakazane mikstury, przygotowanie trucizn.

Tymczasem na zewnątrz rozpętało się prawdziwe piekło, uderzył kolejny piorun, który sprawił, że Monika znowu wylądowała w objęciach Kowala.

– Pozwól mi tak zostać, aż się przejaśni – błagała. – Od zawsze boję się burzy. I jeszcze ten dom. Kim była ta kobieta?

Stali przytuleni, czekając, aż wiatr i deszcz na zewnątrz cokolwiek się uspokoją. Niedaleko od nich przeciekał dach i na podłodze powstała sporych rozmiarów kałuża.

– Jak ta kobieta tu mieszkała? – Monika z obrzydzeniem rozglądała się wokół siebie.

– Nie wiem, ale musiała być dobrze szurnięta – podsumował.

Gdy Monika odważyła się oderwać od Leona, wrócili do rewidowania domu. Kowal przewertował książki znajdujące się w kredensie. Znalazł kilka kartek, na których zapisano coś w rodzaju przepisu kulinarnego, przy czym wymienione produkty wybiegały poza schemat przygotowania szarlotki.

– Suszone żabie wnętrzności, starta łapa koguta, szałwia, rybie oko. Wrzucić do stu mililitrów gotującej się wody i wypowiedzieć zaklęcie odnowy – czytał Kowal.

– Dość – zaprotestowała Monika. – Nie chcę tego dłużej słuchać. – Wybiegła z domu i nie zważając na deszcz, popędziła w stronę samochodu. Zamknęła się w środku, wtuliła głowę w kolana i starała się uciszyć myśli. Kowal dołączył do niej kilka minut później. Wsiadł do auta i spojrzał na zmarnowaną dziewczynę.

– To był dom wiedźmy – szlochała.

– To był dom starej baby, która była niespełna rozumu – poprawił ją.

– Przypomniałam sobie moją babcię, kiedy koniała w szpitalu. – Wytarła łzy mokrą dłonią.

– Każdy ma na koncie podobne doświadczenia. Śmierć to część życia – powiedział Kowal.

– Siedziałam przy jej łóżku w szpitalu, czekaliśmy na jej śmierć. Ona trzymała mnie za rękę, oddychała ciężko, nie mogąc złapać powietrza.

Pytałam się jej, czy mnie słyszy, czy rozumie – wspominała wydarzenia sprzed lat.

– Rozumiała?

– Jeśli chciała powiedzieć „tak”, zaciskała rękę na mojej. Babcia tkwiła między życiem a śmiercią. Pomyślałam wtedy, żeby zapytać ją o rzeczy terminalne. O życie po śmierci.

Kowal słuchał zwierzeń Moniki z uwagą. Dostrzegł na jej twarzy smutek wywołany bolesnymi wspomnieniami.

– Zapytałam się, czy widzi zmarłych. Uścisnęła moją dłoń. Zapytałam o światło i dobro, o Boga, niestety nie odpowiedziała. Dopiero kiedy pytałam o ból i cierpienie, zaczęła przytakiwać.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Że zdaniem mojej babki po drugiej stronie jest okropnie. Może ona trafiła do piekła?

– A nie wzięłaś pod uwagę, że jej na wpół żywy mózg ulegał halucynacjom? – osądził trzeźwo Kowal.

Monika milczała.

– Wiesz co? Ja też chciałbym ci coś wyznać.

Skierowała głowę w stronę Leona.

– Boję się, że wariuję, jak mój brat.

– Dlaczego?

– Bywają momenty, że przenika mnie dziwne uczucie. Nie potrafię go nazwać. Dojmująca pustka i osamotnienie. Próbuje mnie pochłonać, zabrać w ciemność. Staram się z tym walczyć.

– Czujesz to w tym domu? – Wskazała za okno samochodu.

Skinął głową.

– Może wcale nie wariujesz, może jesteś medium? – zaskoczyła go Monika. – Czujesz obecność istot z innego świata. Następnym razem nie

broń się, daj się porwać – poradziła. – Może nawiązesz kontakt ze zmarłymi.

– Zwariowałaś? – oburzył się. – Przecież później oszaleję.

– Nie wiem – bąknęła. – Staralam się pomóc.

– Dzięki, nie skorzystam – powiedział stanowczo.

– Odwróć się – nakazała mu Monika.

Kowal zmarszczył brwi i spojrzał na nią spod oka.

– No co? Chciałam cię trochę odstresować. Jesteś spięty jak pies przed wystawą.

Odwrócił się do Moniki plecami, pozwalając, by jej dłonie, delikatne i silne, ugniatały okolice ramion i szyi. Napięte do granic wytrzymałości mięśnie Kowala nieco się rozluźniły.

– Cudownie – westchnął Kowal. Przypomniął sobie wczorajszy sen, w którym kochał się z Moniką w szpitalnej sali. Z każdą sekundą czuł się coraz bardziej odprężony. Nagle zreflektował się, że ustępujące napięcie przeradza się w podniecenie. Poruszał ramionami i odchrząknął, starając się odtrącić nachalne wspomnienia. Monika wyczuła pobudzenie Kowala, bo przerwała masaż. Oparła się o siedzenie i spojrzała przed siebie.

– Co zamierzasz? – spytała.

– Pójdziemy do księdza, w takich miejscach to on stanowi władzę najwyższą – oznajmił i uruchomił silnik.

ROZDZIAŁ 13

Wcześniej

Weronika Kownacka siedziała na krześle i spoglądała z delikatnym uśmiechem na Grażynę. Jej mina zdradzała, że test traktuje z przymrużeniem oka, choć z trójki studentów piszących prace magisterskie z psychotroniki jako jedyna wierzyła w zjawiska paranormalne.

– Znasz tę grę. – Grażyna położyła plik kart na stoliku za parawanem, aby nie było ich widać. – Mam w talii dwadzieścia cztery karty. Skup się i spróbuj odgadnąć tę z góry.

Weronika włożyła dłonie w kieszenie płóciennych spodni, zamknęła oczy, starając się zapomnieć o niebieskim czepku na swojej głowie. Sprzęt był połączony z komputerem bezprzewodowo, dzięki czemu nic nie krępowało ruchów umięśnionej studentki.

– Czy to król kier?

Grażyna sięgnęła po kartę i uniosła ponad parawan.

– Pudło. To dziewiątka trefl – powiedziała, wkładając kartę do talii, którą następnie potasowała i na powrót położyła na stole.

Sylwia Fornel wpatrywała się w komputer i analizowała wykres pracy mózgu Weroniki.

– As karo – spróbowała ponownie Weronika.

Grażyna uniosła wierzchnią kartę nad parawan.

– As kier, to się liczy? – zapytała.

– Nie – zaprzeczyła Sylwia.

Po dziesięciu minutach usłyszały głośnie pukanie do drzwi. Sylwia wstała od komputera i otworzyła. Ujrzała chłopaka o długich blond włosach i niebieskich oczach. Miał na sobie jeansy i koszulkę z Lou Reedem.

– Jestem Daniel Włodarczyk – przedstawił się. – Podobno można się zgłosić do testu.

– Jak najbardziej – ucieszyła się Sylwia.

– Ale ja nie jestem sam – uprzedził. Zza węgła wyszło ponad dwudziestu studentów płci męskiej.

– O matko! – wyrwało się Sylwii. – Aż tak wysokiej frekwencji się nie spodziewaliśmy. Ale świetnie, że przyszliście. Zapiszę was na poszczególne godziny, abyśmy sobie nie przeszkadzali.

Liczba ochotników przerosła najśmielsze oczekiwania Grażyny i Sylwii. Domyślały się, że większość kandydatów kierowało się zwykłą ciekawością, a nie chęcią zapisania się na kartach rozwoju nauki. Nie bez znaczenia była również plotka krążąca po uczelni, że doktorantki były lesbijkami. Tak czy inaczej, dzięki nim ich badania zyskują na wiarygodności.

W kolejnym dniu testów pierwsze skrzypce grał Wojciech Martens, któremu przypadła telepatia. Poza nim w eksperymencie wzięło udział kilkunastu innych studentów, podekscytowanych odgadywaniem myśli Grażyny Dopierały.

– Trzymasz w dłoni trzydzieści kartoników z różnymi obrazkami – mówiła Grażyna. – Ja wybiorę jeden z nich i będę o nim intensywnie myślała.

– A ja mam odgadnąć, o którym obrazie pani myśli? – wyrwał się Martens.

– Właśnie – potwierdziła. – Gdy będziesz pewny, to po prostu wyciągnij kartonik, o którym według ciebie myślałam.

– Betka – odpowiedział pewnie.

Skupił się, wpatrując w promotorkę. Mimo usilnych starań przeniknięcia jej umysłu myśli Martensa zbaczały w zakazane rejony, w których na niezliczone sposoby uprawiał seks z Dopierałą. Aby nie wypaść na ignoranta, strzelił w ciemno, wskazując na wizerunek tancerki, który najbardziej kojarzył mu się z seksem. Niestety zarówno ta, jak i kolejne próby okazały się nieudane. Powiodło się dopiero za czterdziestym razem. Po twarzy Wojtka dało się poznać, że wzbiera w nim gniew. Wstał z krzesła i cisnął kartami o podłogę.

– Pierdolę te wasze testy – krzyknął. – Nie jestem w stanie odgadnąć tych zasranych kart.

Grażyna i Sylwia, wiedząc o wybuchowym charakterze chłopaka, natychmiast zareagowały.

– Twój wynik nie jest niczym złym – przekonywała Grażyna.

– Musisz też mieć na uwadze, że w badaniach każda próba jest cenna, także te nieudane – dodała Sylwia.

– Tak, tylko że ja chcę napisać tę pieprzona magisterkę. Jak niby mam to zrobić? – gorączkował się.

– Spokojnie, w najgorszym wypadku napiszesz, że nie udało się udowodnić istnienia telepatii i że jest to zadanie dla przyszłych pokoleń – przedstawiła sprawę w innym świetle Grażyna.

Argument wysunięty przez Dopierałą przemówił do Martensa i uciszył emocjonalną burzę. Skończyło się na tym, że bez względu na powodzenia czy niepowodzenia odczuwał satysfakcję z samego udziału w badaniu.

Pozostali studenci płci męskiej osiągnęli równie złe wyniki co Wojciech Martens. Dopiero kiedy do testów zasiadły dziewczyny, udało się podnieść poprzeczkę i zbliżyć do rezultatów zgodnych z rachunkiem prawdopodobieństwa, co i tak należało odczytywać jako porażkę eksperymentu.

Trzeciego dnia przyszła kolej na psychokinezę. Komputer generował liczby pseudolosowe w zakresie od jeden do trzydziestu. Nieśmiała Jadwiga Nowik otrzymała zadanie, aby myślami wpłynąć na wyniki podyktowane przez algorytm. Niestety żadna z prób się nie powiodła. Z podobnie mizernym skutkiem zakończyły się testy pozostałych studentów.

Po badaniach z psychokinezy Grażyna i Sylwia zorganizowały spotkanie, na którym chciały przedstawić wynik dotychczasowych prac.

– Nie jest dobrze – zdiagnozowała Grażyna. Na sali, poza trójką studentów piszących prace magisterskie z zakresu psychotroniki, siedzieli Krzysztof Włodarczyk oraz kilka osób, które dobrowolnie wzięły udział w testach.

– Uzyskaliśmy rezultaty mieszczące się w wartości oczekiwanej wynikającej z rachunku prawdopodobieństwa. – Sylwia przeczesła krótkie włosy.

– Czy to oznacza, że nie mamy żadnych zdolności parapsychicznych? – zgadywał Włodarczyk.

– Można tak powiedzieć – przyznała mu rację Grażyna. – Jedyne przy teście Weroniki Kownackiej nieznacznie przekroczyliśmy oczekiwaną wartość. Niestety wynik waszej koleżanki mieści się w błędzie statystycznym, przez co nie może być traktowany za wzorzec.

– Co to oznacza? – zmartwiła się Jadzia.

– Najprawdopodobniej będziemy musieli powtórzyć testy.

– Ile razy będziemy je powtarzać? – spytał Martens.

– Aż uda nam się zrealizować próbę, która będzie się różniła od wartości oczekiwanej – wyjaśniła Grażyna.

– Aby przejść do drugiego etapu eksperymentu, podczas którego będziemy stymulować mózgi osób biorących udział w teście – włączyła się Sylwia – musimy uzyskać odczyty fal mózgowych odbiegających od wartości oczekiwanej wynikającej z rachunku prawdopodobieństwa – wyluszczała cierpliwie. – Owszem, moglibyśmy przygotować symulację matematyczną dla wyniku Weroniki, ale obawiam się, że możemy przez to zabrnąć w ślepy zaułek.

– Czy to nie jest tak, że po prostu potrzebujemy medium? – podsunął Włodarczyk. – Kogoś, kto faktycznie został obdarzony zdolnościami parapsychicznymi? Wszyscy widzimy, że wśród nas nie ma nikogo takiego. – Rozejrzał się pewnie po zgromadzonych w sali.

– Musimy poradzić sobie w takim składzie – odparła Grażyna. – W zasadzie to jest cel eksperymentu. Chcemy udowodnić, że pole psychotroniczne nie jest zarezerwowane dla nielicznych jednostek, lecz ma je każdy przeciętny człowiek. Jestem pewna, że któraś z prób zakończy się powodzeniem. Uzyskamy wynik, który później wykorzystamy do ustawienia czujników BCI.

Zgodnie z założonym planem testy zostały wielokrotnie powtórzone, niestety żadna z prób nie przyniosła istotnych zmian, wyniki plasowały się na podobnym poziomie jak podczas pierwszych dni eksperymentu. Sylwia i Grażyna, choć spodziewały się, że początki mogą być trudne, powoli zaczynały powątpiewać w sukces swoich prac. Po raz kolejny czytały sprawozdania z przeprowadzonych testów i zastanawiały się, co mogą zrobić, aby ruszyć z miejsca.

– Pamiętasz przygodę z Dominikany? – zapytała Grażyna.

– Mówisz o tym rytuale voodoo, w którym wzięłyśmy udział?

– To było niecodzienne przeżycie. Zatrważające, a zarazem pociągające. Nie z tego świata, a jednak namacalne. Nigdy się tak nie bałam, a mimo to nie mogę, nie chcę o tym zapomnieć. Sylwia. – Spojrzała ukochanej głęboko w oczy. – Czegoś takiego potrzebujemy.

– Jasne, sprowadźmy kapłanów voodoo z Dominikany – prychnęła Sylwia. – To dopiero uwiarygodni nasze badania. – Zaśmiała się gorzko.

Grażyna pokręciła głową.

– Wcale ich nie potrzebujemy.

– Więc?

– Nie pamiętasz? – oburzyła się. – Powiedzieli wtedy Pablowi, że jesteś potężnym medium, dlatego wyrzucili nas z wioski.

Sylwia westchnęła.

– Nie wiem, czy można im ufać – powiedziała sceptycznie. – W końcu byli na haju, my zresztą też.

– Ale ja wiem, co widziałam – odparła Grażyna ze śmiertelnie poważną miną.

– Dobra, wezmę udział w testach. Tylko rozchmurz się trochę – poprosiła łagodnie. – Ta grobowa mina nie dodaje otuchy, a bardzo jej potrzebujemy – podkreśliła Sylwia z uśmiechem.

– Wiem, że jestem za bardzo spięta. – Grażyna wysiliła się na pogodniejszy ton. – Po prostu szukam rozwiązania, żeby nie wrócić na tarczy. Przecież nie pójdę do Aldony Lorens i nie powiem jej, że miała rację i rezygnuję z psychotroniki.

Sylwia w przeciwieństwie do Grażyny wydawała się coraz bardziej rozbawiona.

– Wiem, olśniło mnie. – Uniosła ręce w geście triumfu. – Musimy się narąbać albo wypalić trochę zielska. Wtedy na pewno poprawimy wyniki.

– No tak, może w ogóle przenieśmy badania do knajpy. A ktoś tu wspominał o wiarygodności.

– Ej, chciałam cię trochę rozluźnić – powiedziała Sylwia i puściła oko do Grażyny. – Spięłaś te swoje piękne włosy w kok, włożyłaś czarny golf i odgrywasz nieomylną panią doktor.

– Naprawdę chcesz pomóc?

Sylwia potaknęła.

– W takim razie idziemy do sali. – Grażyna złapała ją za rękę. – Będziesz odgadywać karty.

– Tak jest, pani doktor.

Udały się do pomieszczenia, w którym od wielu dni przeprowadzały eksperymenty ze studentami. Dochodziła dwudziesta trzecia, w budynku nie powinno być nikogo poza dozorcą, prawdopodobnie drzemiącym przed telewizorem. Sylwia zbliżyła się do Grażyny i z ogromną czułością zaczęła gładzić jej szyję.

– Wiesz, jak wiele dla mnie znaczysz? – szepnęła Grażyna.

Sylwia tylko mruknęła, spragniona pocałunku. Usiadła na ławce i przyciągnęła do siebie ukochaną, po czym wpiła się w jej usta. Z dziką namiętnością szukały dłońmi erogennych stref swych ciał. Grażyna ośliniła dwa place i wcisnęła je między uda Sylwii. Ta jęknęła głośno i odrzuciła głowę do tyłu, złapała za sztywny materiał spódnicy krępującej ruchy i podwinęła ją aż na wysokość bioder. Rozszerzyła nogi i oparła się dłońmi o blat. Jej ciałem targały fale rozkoszy, czuła zbliżający się orgazmu, gdy nagle usłyszały skrzypienie otwieranych drzwi. Grażyna odskoczyła do tyłu, Sylwia błyskawicznie zeskoczyła z ławki i poprawiła spódnicę, spojrzały w kierunku wejścia do sali, w którym stał ochroniarz.

– A, to panie – powiedział zmieszany. – Zobaczyłem światło i chciałem sprawdzić, co się dzieje – tłumaczył pospiesznie. – Nie przeszkadzam –

dodał i uśmiechnął się pod nosem, co zdradzało, że musiał widzieć fragment namiętnego przedstawienia.

Gdy tylko zamknął za sobą drzwi, doktorantki wybuchnęły śmiechem, niczym nastoletni kochankowie, którym udało się przechytrzyć pilnujących ich rodziców.

– Dobra, figle dokończymy później – postanowiła Sylwia, wycierając w kącikach oczu łzy. – Bierzmy się do pracy.

Usiadła na krześle, włożyła czepek z czujnikami BCI i zamknęła oczy, aby przygotować się do próby. Tymczasem Grażyna zajęła miejsce za parawanem i przetasowała talię kart, którą następnie położyła na stole.

– Kamera włączona? – upewniła się Sylwia.

– Tak. Komputer rejestruje fale mózgowe. Ja też jestem gotowa.

– No to zaczynamy. Dziewiątka kier.

Grażyna podniosła kartę z wierzchu talii i oblał ją zimny pot, gdy skonstatowała, że Sylwia zgadła.

– Trafiłam?

– Nie cieszymy się przedwcześnie – osądziła trzeźwo Dopierała.

Dołączyła kartę do talii i ponownie ją przetasowała.

– Teraz?

– Dziewiątka kier.

– Jesteś pewna?

– Tak. Dziewiątka kier – powtórzyła stanowczo.

Grażyna uniosła kartę i pokazała Sylwii.

– Zgadłam. Tasuj, idziemy dalej.

– Król trefl.

Grażyna odwróciła kartę. Król trefl. Spojrzała znacząco na Sylwię, po czym szybko przetasowała karty.

– Mów.

– Król karo.

Zgadzało się. Sylwia przeszła pozytywnie jeszcze trzy próby, a później dobra passa się skończyła, przez co nie uzyskały pożądanego wyniku. Psychokineza również nie poszła Sylwii najlepiej. Na szczęście udało się wpłynąć na program komputerowy z generatorem liczb pseudolosowych. Odchylenie od średniej oczekiwanej zwiększyło się aż o siedem procent.

Z budynku uczelni wyszły przed trzecią w nocy, mimo późnej pory nie zamierzały spać. Oto udało im się wyznaczyć trend, którym będzie można zasilić arkusz kalkulacyjny wyposażony w macierze opisujące M-teorię. Potem zaprogramują czujniki BCI w taki sposób, aby generowały fale elektromagnetyczne o takiej samej częstotliwości pracy mózgu jak podczas serii udanych prób Sylwii. Na tę myśl ogarniała je euforia. Miały ochotę skakać z radości, zamiast tego wpadły sobie w objęcia i namiętnie pocałowały.

– Dalszy ciąg przedstawienia dla ciecia? – rzuciła Grażyna.

– Niech sobie chłopina popatrzy. Ach, mam przeczucie, że wreszcie nasz eksperyment nabierze tempa. Jest, jest, jest. – Sylwia wymachiwała rękami nad głową i podskakiwała.

– Jesteś niesamowita. Zawsze o tym wiedziałam. Zapraszam, *mademoiselle*. – Grażyna otworzyła drzwi samochodu i wyciągając dłoń w stronę wnętrza, ukłoniła się.

– Myślisz, że dostaniemy Nobla?

– Nie za bardzo się nakręciłaś?

– Oj, bardzo się nakręciłam – jęknęła. – Na ciebie, moja najseksowniejsza przyszła pani profesor.

– Jedziemy do mnie czy do ciebie?

ROZDZIAŁ 14

Kościół pod wezwaniem Miłosierdzia Bożego w Jeziorzanach był bardzo skromny. Zbudowany na planie prostokąta miał jedną wieżyczkę z niewielkim dzwonem, który wzywał wiernych na mszę i oznajmiał o ważnych wydarzeniach. Proboszcz Maciej Walica nie mógł narzekać na dużo pracy, parafia nie była zbyt liczna. Na kilkanaście pogrzebów przypadały jedne chrzciny czy ślub.

Ksiądz głosił właśnie kazanie, kiedy drzwi świątyni się uchyliły. Kowal i Monika wślizgnęli się do środka i zajęli miejsce w ostatniej ławce.

– Powiadam wam – grzmiał proboszcz. – Zbliża się koniec świata. Nadchodzi pomsta za grzechy. Dlatego bójcie się kary Bożej, która spadnie niebawem na ludzkość.

Detektywi cierpliwie poczekali na koniec kazania, a potem mszy, i udali się do zakrystii, aby porozmawiać z księdzem Walicą. Był wysokim i chudym mężczyzną o przyprószonych siwizną włosach. Jego twarz wydawała się potwornie zmęczona, jakby krzyż dźwigany przez sługę pana był ponad jego siły.

– Niech będzie pochwalony. – Kowal skinął głową.

– W czym mogę pomóc? – spytał ksiądz, wyciągając ręce w stronę Leona i Moniki, jakby odruchowo chciał ich pobłogosławić.

– Jesteśmy prywatnymi detektywami – przedstawił ich Kowal. – Chcieliśmy zapytać o Magdę Zawadzką i jej babkę Jadwigę Szczepkowską.

– Proszę usiąść. – Kapłan wskazał na krzesła ustawione przed wielkim dębowym biurkiem.

Kowal rozejrzał się po zakrystii. Przy ścianie stała stara meblościanka, która zapewne pamiętała Gierka, na posadzce zaś rozścielał się wypłowiały dywan, mocno zabrudzony. Wnętrze pachniało kurzem i wilgocią. Najwidoczniej ubodzy i nieliczni parafianie nie byli w stanie pokryć kosztów niezbędnych do remontu. Monika szybko zajęła wolne miejsce, nie uszło jej uwadze obcesowe spojrzenie kapłana, który zawiesił na dłuższą chwilę wzrok na jej nogach ukrytych pod cieniutką warstwą obcisłych legginsów.

– Odprawiałem mszę pogrzebową – zaczął Walica.

– To się doskonale składa – ucieszył się Kowal. – Magdalena Zawadzka z pogrzebu pojechała do Zakopanego. Niestety tam zaginęła w niewyjaśnionych okolicznościach.

– Naprawdę? – zasmucił się.

– Czy widział pan... ksiądz Magdę Zawadzką na pogrzebie babki? – spytała Monika.

– Oczywiście. Nie miałem wątpliwości, że przyjedzie. Były ze sobą bardzo zżyte. Magda przyjeżdżała do babci na wakacje. Bywało, że dziewczyna spędzała u Jadwigi całe miesiące, kiedy rodzice wyjeżdżali do pracy za granicą – tłumaczył. – Jestem proboszczem w tej parafii już piętnaście lat. Dużo wiem o moich wiernych.

Kowal spojrział na Monikę, która wierciła się na krześle, domyślał się, że zamierza wystawić na próbę ślub czystości kapłana.

– Kim była babka Magdy? – zwrócił się do Walicy.

– Jadwiga Szczepkowska? Uczyła w szkole podstawowej. Jej mąż zmarł ze trzydzieści lat temu. Po jego śmierci Jadzia z nikim się już nie związała. Wnuczka była dla niej całym światem.

– Czy miała jakieś problemy psychiczne?

– Bo ja wiem – zawahał się. – Chyba wszyscy je mamy, tylko nie wszyscy zostaliśmy zdiagnozowani.

– Chodzi mi o to, czy nie zachowywała się dziwnie?

– Ja wiem – powtórzył się. – Jak każda starsza kobieta – odpowiedział wymijająco.

Monika z rozbawieniem obserwowała, jak ksiądz walczy ze sobą, aby nie zatrzymywać zbyt długo wzroku na jej piersiach.

– Zapytamy wprost. – Kowal nachylił się w stronę proboszcza. – Czy Jadwiga Szczepkowska nie uprawiała czarnej magii? Nie była kimś w rodzaju wiedźmy?

Ksiądz prychnął.

– Co też pan opowiada. Zajmowała się ziołolecznictwem, tyle. Jadzia była przykładną katoliczką. Kilka razy w tygodniu widziałem ją w kościele, choć miała do niego spory kawałek.

– Rozumiem. – Przejechał dłonią po brodzie. – A czy zapamiętał ksiądz może coś szczególnego z przebiegu ceremonii pogrzebowej?

Walica mruknął, postukał palcami po dębowej desce i ponownie omiół wzrokiem Monikę.

– Magda poprosiła naszego, nazwijmy to, wiejskiego kamerzystę, aby sfilmował pogrzeb. Zarówno mszę w kościele, jak i pochówek – stwierdził, odchrząkując.

– W jakim celu? – odezwała się Monika.

– Nie wiem – odparł, wyraźnie uradowany, że atrakcyjna pani detektyw włączyła się do rozmowy. – Pytałem o to tego kamerzystę. Mówił, że Magda zaproponowała mu wysoką kwotę. Bardzo jej zależało, aby uwiecznić ceremonię.

– A gdzie on mieszka? – spytał Kowal.

Ksiądz jakby czekał na ten moment.

– Młoda damo – zwrócił się do Moniki. – Czy mogłabyś ściągnąć czerwony segregator z tamtej półki. – Wskazał na meblościankę. – Z tej najwyższej – doprecyzował.

Stanąła na palcach, naciągnęła wszystkie mięśnie, ale do segregatora brakowało jej jeszcze kilkunastu centymetrów.

– W kącie jest mała drabinka – odpowiedział.

Monikę olśniło, że proboszcz na pewno zna adres mężczyzny, w końcu to bardzo mała parafia, stary zboreźnik wykorzystał sposobność, by popatrzeć sobie na jej zgrabne ciało. Postanowiła więc odegrać niezłe przedstawienie. Powolnym krokiem ruszyła w kierunku wskazanym przez Walicę, kręciła przy tym ponętnie biodrami, nawet poprawiła sobie biust. Schyliła się po kilkustopniową drabinę, wypinając pośladki, i zaniósła ją pod meblościankę. Wdrapała się na ostatni z trzech stopni i szamotała się segregatorem, udając, że nie może go wyciągnąć. Maciej Walica nawet nie próbował udawać, że wdzięki Moniki są mu obojętne. Pożerał ją wzrokiem, nie zwrócił nawet uwagi, że jego usta lekko się rozchylają. Kowal tylko czekał, aż z ust kapłana ścieknie ślina. Walica pokiwał z uznaniem w stronę detektywa, gratulując mu gustu przy wyborze asystentki.

Tymczasem Monika uporowała się z segregatorem i pochylając się nad biurkiem, położyła go przed proboszczem.

Ksiądz z uśmiechem na twarzy otworzył od razu na właściwej stronie, rozwiewając tym samym wszelkie wątpliwości co do swych intencji, i przeczytał na głos:

– Roman Broda, mieszka pod numerem sto trzydzieści.

– Dziękujemy księdzu za każdą informację – powiedział Kowal. Wstał i miał już ruszyć w stronę wyjścia, gdy do głowy wpadło mu jeszcze jedno pytanie.

– Czy w okolicy mieszka kobieta o imieniu Honorata?

Proboszcz podniósł się, aby odprowadzić gości do drzwi, słysząc jednak pytanie Kowala, na powrót opadł na krzesło. W jego zmęczonych, podkrążonych oczach pojawiło się zdumienie, a po chwili strach, jakby Kowal przywołał koszarne, niechciane wspomnienie.

– Wie pan co? – zaczął. – Słyszał pan moje dzisiejsze kazanie?

– Częściowo – odparł detektyw.

– Ostatnio często dopadają mnie myśli, wręcz pewność, że zbliża się dzień sądu Bożego.

– Słucham? – Kowal uniósł brwi.

– Jak już mówiłem, jestem proboszczem od piętnastu lat. Przez ten czas odchodziło do Pana około pięciu osób rocznie, a w tym roku pochowałem już piętnaścioro parafian.

– A Honorata? – spytał z nadzieją, że nie ma jej w gronie nieboszczyków.

– Honorata Jaromir miała w tym roku skończyć osiemdziesiąt lat. Mieszkała kilka domów dalej od Jadwigi Szczepkowskiej. Panie zresztą się przyjaźniły...

– I? – wszedł mu w słowo Kowal.

– Wczoraj znaleziono ją w jej ogrodzie – zawiesił głos. – Powieszoną na drzewie – dokończył ze smutkiem proboszcz.

– Co się stało? Dlaczego starsza kobieta targnęła się na swoje życie? – Kowal nie ukrywał poruszenia.

– Na te piętnaście osób, o których wspomniałem wcześniej, aż siedem popełniło samobójstwo. Każdy by zauważył, że dzieje się coś niedobrego. Dlatego napominam ludzi, aby się nawrócili.

– A co ksiądz może nam powiedzieć o tej Honoracie? – spytała Monika.

– To bogobojna kobieta, choć nie miała już sił, aby chodzić do kościoła. Została sama na starość, jakoś sobie radziła, pomagała jej Szczepkowska. Może śmierć Jadzi pchnęła ją do tego rozpaczliwego kroku? – zamyślił się.
– Czy mogę jeszcze w czymś pomóc? Obowiązki wzywają.

– Oczywiście, rozumiemy – przytaknął Kowal. – Proszę nam tylko powiedzieć, w którym domu mieszkała Honorata.

– Numer trzydzieści dwa.

– A czy mógłbym się jeszcze dowiedzieć, na którym drzewie się powiesiła?

Ksiądz się skrzywił, niejako zgorszony, że detektyw nie umie uszanować żadnej świętości.

– Duży dąb, w jej ogrodzie tylko to drzewo utrzymałoby wisielca, nie będzie miał pan wątpliwości. Nic więcej nie wiem – zastrzegł. – Proszę popytać policjantów. Komenda jest kilkaset metrów dalej w kierunku Krakowa. Na pewno traficie. A teraz naprawdę muszę już iść. – Wskazał dłonią drzwi zakrystii.

– Już nas nie ma – powiedział Kowal. – Bardzo księdzu dziękujemy.

– Pamiętajcie, że koniec jest bliski. – Usłyszeli za plecami patetyczny głos księdza.

– Co o tym myślisz? – spytał, gdy byli już na zewnątrz.

– Ksiądz wygląda na szurniętego. Wieszczy o karze za grzechy i końcu świata, a sam lubi popatrzeć na zgrabny tyłek. – Zaśmiała się. – Co nie zmienia faktu, że nasza droga śladami Zawadzkiej jest usłana trupami.

– Myślisz o tym samym co ja? – zagadnął.

– Chcesz zobaczyć ten film z pogrzebu? – domyśliła się Monika.

– Będzie na nim Zawadzka.

– Sądzisz, że kamerzysta tak bez problemu pokaże ci ten film?

– Zawadzka zaginęła, prawdopodobnie nie żyje. Nie powinien mieć oporów.

– Ale wiesz, może się bać o reputację. Klienci mu nie zaufają, jak dowiedzą się, że udostępnia ich filmy – zauważyła Monika.

– Spokojnie, w razie czego postraszymy go policją – powiedział Leon. – Ty się lepiej przygotuj na wizytę w ogrodzie Honoraty Jaromir.

– To kolejna wiedźma? Podobnie jak ta Szczepkowska?

– Nie ma żadnych wiedźm – powiedział Kowal stanowczo, jakby chciał przekonać sam siebie.

ROZDZIAŁ 15

Wcześniej

Zgodnie z oczekiwaniem eksperyment rozkręcił się na tyle, że Sylwia bez większego problemu mogła zasilić macierze arkusza kalkulacyjnego danymi, które pozwoliły skalibrować czujniki BCI. Tym samym badania wkroczyły na wyższy poziom, nareszcie można było stymulować mózgi uczestników falami elektromagnetycznymi, aby uzyskać lepsze wyniki podczas prób prekognicji czy psychokinezy. Rozpoczęła się kolejna tura testów. Frekwencja znacząco spadła, część studentów zrezygnowało z udziału w eksperymencie, wymigując się nauką i pisanem własnych prac magisterskich – co nie wpłynęło na morale doktorantek uskrzydłych ostatnimi sukcesami.

Sylwia zajęła miejsce na krześle i włożyła niebieski czepek na głowę, a Grażyna jak zwykle przygotowała karty za parawanem. Tym razem czujniki – poza odbieraniem i rejestrowaniem częstotliwości fal mózgowych – miały także przesyłać sygnał z komputera. Stymulowały delikatnie synapsy wartościami wyliczonymi przez algorytm wyprowadzony na podstawie udanych prób.

– Czujesz coś? – spytała Grażyna.

Sylwia uniosła kciuk.

– To zaczynaj.

– Walet trefl.

Grażyna pokręciła głową.

– Nietrafione. As kier. Próbuje dalej.

– Dziesiątka kier.

– Znowu pudło – powiedziała, pokazując waleta pik.

Kolejna próba również była nieudana, podobnie jak dziesięć następnych. Doktorantki, lekko skonsternowane, zaprosiły do badania studentów, co nie przyniosło żadnych zmian.

Pod koniec długiego i fatalnego w ich mniemaniu dnia zorganizowały zebranie dla uczestników badań. Na sali panowała grobowa cisza, nikt nie miał konceptu, jak odwrócić złą passę.

– Jasna cholera – rzuciła Sylwia. – To nie działa. Ale dlaczego?

– No właśnie. Dlaczego? – podjął Włodarczyk. Dziś do jeansów dobrał koszulkę z Iggyem Poppem, który na liście ulubionych wykonawców plasował się na drugim miejscu. – Ktoś ma jakiś pomysł?

– Rozumiem, że nasze wyniki nadal mieszczą się w średniej oczekiwanej? – uściśliła dla formalności Weronika.

– Niestety tak. – Sylwia westchnęła. – Coś przeoczyliśmy.

– A może zwiększyć natężenie przesyłanych impulsów? – zaproponował Włodarczyk.

– Doszliśmy do granicy bezpiecznej dla mózgu człowieka. Przynajmniej według zapewnień producenta – oznajmiła Grażyna.

– A co, gdybyśmy przekroczyli granicę? – podsunął nieśmiało Włodarczyk.

Jego słowa spotkały się z mieszaną reakcją studentów, którzy zaczęli szeptać między sobą, zastanawiając się nad ryzykownym pomysłem.

– Nie powinniśmy tego robić. Jesteśmy odpowiedzialne za wasze bezpieczeństwo.

– Czegoś tu nie rozumiem – odezwała się Weronika. – Jak wyjaśnić fakt, że pani Sylwia uzyskała tak dobry wynik tylko jednego dnia, a w zasadzie nocy, zważając na porę przeprowadzonych przez panie badań. – Pokusiła się na mały przytyk. Wśród studentów słynęła z niewyparzonego języka i ciętych ripost.

– Podejrzewam, że moja wyjątkowo dobra passa była tylko błędem statystycznym – odpowiedziała rzeczowo Sylwia, przygotowana na podobne komentarze. – Być może przy większej liczbie prób mój wynik zbliżyłby się do średniej oczekiwanej.

– Takie wnioski nasuwają nam się po ostatnich dniach – dodała Grażyna. – Choć nie można zaprzeczyć, że trzydzieści procent udanych prób przy wartości oczekiwanej równej cztery procent to wynik imponujący, a zarazem potwierdzający sens naszych prac.

– No i siedemnaście procent przy generatorze liczb pseudolosowych – przypomniała Sylwia.

Na sali ponownie zapanowała cisza.

– Ja zgodzę się na testy przy przekroczonej bezpiecznej wartości stymulacji fal mózgowych – wyrwał się Włodarczyk.

– Ja też jestem skłonna zaryzykować – powiedziała po chwili Sylwia. – Tym bardziej że to moje wyniki stanowią wzorzec dla czujników BCI.

Pozostali studenci milczeli, zerkając na siebie ukradkiem.

– Czy możemy się zastanowić? Jutro damy odpowiedź – poprosiła w ich imieniu Weronika.

– Oczywiście – zgodziła się Grażyna. – Pamiętajcie, że do niczego was nie namawiam – zastrzegła.

– A czym grozi zwiększenie natężenia oddziaływania czujników na mózg? – wykazał się trzeźwym myśleniem Wojtek.

– Tym samym co przyjmowanie leków psychotropowych. W jednym i drugim przypadku zmuszamy mózg, aby pracował tak, jak my tego chcemy – naświetliła sprawę Sylwia. – Przy czym czujniki działają bardziej precyzyjnie.

– Może się coś stać? – spytała Jadzia. – Na lekach też ostrzegają przed skutkami ubocznymi.

– Nie wiem – odpowiedziała szczerze Sylwia. – Dlatego jako pierwsza poddam się testom.

Studenci późnym wieczorem zebrali się w pokoju Włodarczyka, aby przedyskutować temat.

– A co, jak mi odbije? – obawiał się Wojtek.

– Brałeś kiedyś narkotyki? – spytał Włodarczyk.

– Raz paliłem trawę.

– I co? Wtedy się nie bałeś?

– Byłem narąbany – przyznał się Wojtek. – Poza tym po skręcie rzuciłem się na wszystkich z pięściami.

– Ty zawsze rzucasz się na wszystkich z pięściami – zaznaczył Włodarczyk.

– Już zaczynasz? – warknął Wojtek.

Włodarczyk machnął ręką, po czym zwrócił się do pozostałych.

– Spójrzcie na to inaczej. Możemy odkryć coś naprawdę ważnego. Popchnąć naukę do przodu. Pomyślcie, jaki szum się zrobi, kiedy w gazetach napiszą, że studenci Uniwersytetu Humanistycznospołecznego dowiedli istnienia zjawisk paranormalnych – przekonywał. – Twardogłowi nie będą mogli zignorować takich dowodów. Otworzą się nowe perspektywy dla psychotroniki. – Nieoczekiwanie stał się największym zwolennikiem badań i najgorliwszym uczestnikiem eksperymentu.

– Może będziemy się komunikowali myślami? – powiedziała Weronika.

– Albo dowiemy się, co jest po drugiej stronie lustra – podjął Włodarczyk. – Jest tak wiele pytań bez odpowiedzi, a my boimy się trochę zaryzykować? – zakończył patetycznie.

Studenci spoglądali na siebie, rozmyślając nad ewentualnymi konsekwencjami swojej decyzji. Ostatecznie uzgodnili, że nikt się nie wyłamie.

ROZDZIAŁ 16

Kowal i Monika siedzieli w samochodzie, ustalając plan działania.

– Ty pójdziesz do domu Honoraty Jaromir, a ja pogadam z Romanem Brodą – zaproponował detektyw.

Monika nachyliła się, aby spojrzeć przez przednią szybę auta na niebo.

– Według mojego smartfona burzy już nie będzie – odgadł jej obawy Kowal. – Masz przed sobą jasny letni wieczór. Żadnych piorunów i ciemności.

Wiedziała, że nie może odmówić, jeśli chciała kiedyś samodzielnie prowadzić śledztwa, musiała przełamać opory i odważyć się zbadać teren, na którym doszło do samobójstwa.

– Dobra, idę – zgodziła się. Wsiadła z pojazdu i dziarskim krokiem podążała w kierunku domu Honoraty. Po drodze przekonywała samą siebie, że wcale nie mieszkała w nim wiedźma, tylko co najwyżej ekscentryczna staruszka. I że wszystkie ponure myśli są wytworem jej bujnej wyobraźni. Uchyliła furtkę i weszła na podwórko porośnięte wysoką trawą i chwastami. Niemal od razu dostrzegła rozłożysty, wiekowy dąb. Ostrożnie zbliżyła się do pnia, krocząc ścieżką wydeptaną najpewniej przez policję i pogotowie, i spojrzała w górę. Na wysokości około dwóch metrów znajdowała się gruba gałąź. To na niej prawdopodobnie Honorata zakończyła swój żywot. Monika obejrzała dokładnie pień, w korze był wycięty symbol przypominający pentagram na tle krzyża. Zrobiła mu

zdjęcie i odwróciła się w stronę drewnianego domu, który konstrukcją przypominał chatę Szczepkowskiej. Podeszła do drzwi, ale nie odważyła się sprawdzić, czy są otwarte. Przetarła dłonią szybę i zajrzała do środka. Przez firanki ujrzała salon, w którym było parę mebli. Zadrżała, gdy spostrzegła, że pod jedną ze ścian stoi toaletka prawie identyczna jak u Szczepkowskiej, a na drewnianej podłodze białą farbą namalowano takie same znaki. Odskoczyła od okna i szybkim krokiem dotarła do furtki. Za bramką wyjęła telefon i uruchomiła przeglądarkę, aby poszukać informacji o znaku wyrytym w korze dębu. Na stronie o ezoteryce odnalazła identyczny symbol i krótki opis: „Znak krzyża i pentagramu oznacza transfer. Jest to bardzo rzadki rytuał, podczas którego medium przyjmuje na siebie zło, które zasiedliło się w opętanym. Medium, silniejsze psychicznie od ofiary, odprawia specjalny rodzaj egzorcyzmu, aby demon zmienił żywiciela i zamieszkał w ciele medium”.

Z każdym kolejnym zdaniem czuła, jak strach, który trzymała do tej pory w ryzach, zrywa się z uwięzi i sieje spustoszenie w jej organizmie. Monika jeszcze raz przeczesła Internet, aby dowiedzieć się czegoś o innych przedmiotach widzianych w domu Honoraty. Czytała pospiesznie o różdżce, nożu i toalecie, chciała wpisać jeszcze kilka innych słów, ale wtedy zauważyła, że jej ręka za bardzo się trzęsie, aby wystukać na wyświetlaczu jakiegokolwiek litery. Schowała telefon i zakryła twarz dłońmi. Była pewna, że w domu pod numerem trzydzieści dwa mieszkała wiedźma. W trakcie egzorcyzmu ściągnęła na siebie demona, który władał inną osobą, następnie popełniła samobójstwo, wyniszczana przez wypełniające ją zło. Monika uzmysłowiła sobie, że sprawa, z którą tak niedawno przyszedł do nich Rozner, nie jest zwykłym kryminalnym śledztwem, oddziaływanie sił nieczystych było wręcz namacalne. Czy powinni dalej podążać śladem Zawadzkiej? Czy na końcu nici, po której

idą, nie spotkają czegoś śmiertelnie przerażającego? I przede wszystkim – czy przeżyją to spotkanie? Czy pieniądze, które miała wziąć za zlecenie, warte było aż tylu poświęceń?

Ni stąd, ni zowąd przypomniła sobie obietnicę, którą złożyła ojcu, kiedy było im naprawdę ciężko. Jan Wójcik nie był złym człowiekiem. Po prostu nie radził sobie z życiem, które na każdym kroku go przytłaczało – zamiast koić jego nerwy ożywym powiewem nadziei, każdego dnia wymierzało mu bolesne ciosy. Ojciec Moniki lubił zaglądać do kieliszka, choć kiedy trzeba było, potrafił się zmobilizować. Po śmierci żony rozpadł się na drobne kawałki, nie mógł odnaleźć sobie miejsca w świecie ani tym bardziej wychowywać nastoletniej córki. Po dwóch zawałach przyznano mu rentę, która oczywiście nie wystarczała na utrzymanie siebie i córki, dlatego dorabiał jako ochroniarz w supermarketach, gdzie bardzo chętnie przyjmowano do pracy osoby z grupą inwalidzką. Pieniędzy jednak wciąż brakowało, tym bardziej że Jan część wypłaty przepuszczał na alkohol, dlatego z czasem pojawiły się chwilówki, pożyczkę spłacał pożyczką i tak nakręcała się spirala.

Gdy Monika miała dziewiętnaście lat, ojciec zmarł, zostawiając po sobie spore długi. Mimo wielu starań nie udało jej się utrzymać mieszkania, musiała je sprzedać, aby spłacić zobowiązania Jana. Później miała się różnych zawodów, aby tylko utrzymać się na powierzchni. Pracowała jako kelnerka, kasjerka, hostessa, bywała nawet utrzymanką swoich chłopaków, co zresztą wychodziło jej najlepiej.

Ponieważ nie skończyła technikum gastronomicznego z wybitnymi ocenami, wybrała uczelnie, w której przyjmowali prawie każdego. Studia traktowała jako sposób na zminimalizowanie wydatków. Legitymacja upoważniała do wielu zniżek, a stypendium socjalne pokrywało część

kosztów życia, na resztę zarabiała, pracując wieczorami. Wraz z końcem studiów straciła przywileje i musiał układać swoje życie na nowo.

Ze wspomnień wyrwał ją odgłos stukania w drewno. Spojrzała na dom Honoraty i wrzasnęła, gdy zza chaty wyłonił się mężczyzny ubrany w łachmany. Był wysoki i wychudzony. Przebijające się przez cienką, żółtą skórę żyły wyglądały jakby namalowane zielonym flamastrem. Szedł powoli, tupiąc głośno skórzanymi butami z grubą cholewą. Nagle wyciągnął ręce przed siebie i gwałtownie ruszył w kierunku Moniki, wydając z gardła niezrozumiałe dźwięki.

Monika krzyknęła jeszcze głośniej i rzuciła się do ucieczki. Biegła główną drogą, zmierzając do domu Romana Brody, gdzie spodziewała się spotkać Leona. Próbowwała dostrzec kogokolwiek, kto mógłby jej pomóc, jednak dookoła nie było żywej duszy. Wioska wydawała się wymarła, jakby jedyną żyjącą tu osobą był proboszcz, który pogrzebał wszystkich parafian. Monika co jakiś czas oglądała się za siebie, mając nadzieję, że upiór zrezygnował z pościgu, niestety było inaczej – biegł tuż za nią złakniony świeżej krwi.

Kowal odnalazł posesję Romana Brody. Dom wyglądał jak większość budynków wybudowanych w powojennej Polsce. Szary sześcian z czterema parami okien od frontu i drzwiami wejściowymi, do których prowadziły kilkustopniowe schody. Na podwórku bawiło się dwoje dzieci, rzucały w siebie jakimś kleistymi bryłami. Kowal początkowo uznał, że dzieciaki ciskają w siebie błotem powstałym po niedawnej burzy, ale charakterystyczna woń, która podrażniła jego nozdrza, nie pozostawiała wątpliwości, co wędruje między rękami malców. Na domiar złego, gdy tylko zamknął za sobą furtkę, zza domu wybiegł wilczur, który widząc obcego, popędził w jego stronę. Kowal natychmiast pożałował, że zlekceważył tabliczkę z napisem: „Uwaga! Teściowa i pies biegają luzem”,

i wszedł nieproszony na posesję. Znieruchomiał i czekał na rozwój sytuacji, licząc, że zwierzę tylko go obwącha i zostawi w spokoju. Obserwował chłopców mających na oko cztery albo pięć lat, którzy ani trochę nie przejmowali się faktem, że obrzucają się gównem. Z wielką zaciętością miotali śmierdzącymi kulkami, mając przy tym wielki ubaw. Pies podbiegł do Kowala i tak jak przewidywał detektyw, smagał go po całym ciele mokrym nosem. Na szczęście wtedy na betonowych schodach pojawił się tęgi mężczyzna w białym podkoszulku.

– Saba, uciekaj do budy – huknął głębokim barytonem. Owczarek natychmiast podkulił ogon, położył po sobie uszy i pobiegł za dom, co mogło świadczyć, że zwierzę nieraz porządnie oberwało w skórę od właściciela.

– Dzień dobry. Jestem prywatnym detektywem – przedstawił się Kowal.
– Chciałem zadać kilka pytań w związku z pańską pracą.

Broda uścisnął Kowalowi rękę, po czym zaprosił go do środka.

– Zostawia pan dzieci same? – zaniepokoił się Kowal.

– Przecież grzecznie się bawią – stwierdził, wchodząc po schodach.

Detektyw spojrzał na dzieciaki i przyrzekł sobie, że postara się załatwić sprawę najszybciej, jak się da, aby maluchy nie pozostawały długo bez opieki.

– W czym mogę pomóc? Trzeba coś nakręcić? – spytał Broda w przedsionku.

Wnętrze domu było skromne, meble miały zapewne ze trzydzieści lat – modne w latach 90. regały z barkiem i przeszklonymi półkami. Z pozostałymi elementami wyposażenia domu kontrastował sześćdziesięciocalowy telewizor. Najwidoczniej gospodarz spędzał przed nim dużo czasu. Kowal nadepnął na jedną z zabawek porozrzucanych po

całym domu, która zapiszczała jak gumowa kaczka. Nie pomylił się, pod jego butem leżała kaczuśzka do kąpieli.

– Wszędzie tego pełno – burknął Broda. – Trudno chłopców zmobilizować do sprzątanía – dodał, chcąc się usprawiedliwić za nieporządek. – Może browara? – Sięgnął do lodówki.

– Dziękuję, jestem w pracy – odmówił Kowal. Usiadł przy stole w kuchni. – Dowiedziałem się od waszego proboszcza, że kręcił pan pogrzeb Jadwigi Szczepkowskiej.

– Zgadza się – potwierdził. – Coś jeszcze powiedział pleban? Lubi chwalić się świetną znajomością swoich parafian. – Otworzył puszkę piwa i pociągnął łyk.

– Rozmawialiśmy tylko o pogrzebie Szczepkowskiej – skłamał detektyw. – Czy Zawadzka mówiła coś szczególnego, gdy prosiła pana o nagrywanie pogrzebu?

– Chciała, abym uwiecznił ceremonię i tyle – odpowiedział. – Zlecenie jak każde inne. No może poza tym, że lepiej płatne, ale to dlatego, że zadzwoniła do mnie w dzień przed pogrzebem.

– W jaki sposób miała odebrać film?

– Dała mi swój warszawski adres, wysłałem go pocztą – wyjaśnił.

Kowal czuł się nieswojo z myślą, że maluchy bawią się bez opieki na podwórku.

– Może jednak trzeba zabrać dzieci do domu?

– Spokojnie. Ostre narzędzia są zabezpieczone. Najgorsze, co może się wydarzyć, to psia kupa. – Roześmiał się. – Choć chyba mają już wprawę – dodał, wciąż trzęsąc się ze śmiechu.

– Ma pan kopię tego filmu? – Kowal chciał wrócić do głównego wątku rozmowy.

– Jasne, archiwizuję materiały.

– Czy mógłbym go pożyczyć? Magda Zawadzka zaginęła w górach i mamy nadzieję, że ten materiał pomoże ją odnaleźć – powiedział bez ogródek Kowal.

Broda mruknął przeciągle, odstawił piwo na stół i spojrzał spod oka na detektywa.

– Wie pan, co się stanie, gdy klienci dowiedzą się, że przekazuję komuś ich filmy? – oburzył się. – Nie zamierzam szukać innej pracy. Ciułamy z żoną, żeby chłopcom niczego nie brakowało – tłumaczył.

– Wiem, dlatego może pan być pewny, że zachowam dyskrecję – zaręczył Kowal. – Nikt się nie dowie o naszym układzie.

– Nie mogę ryzykować, niech pan zrozumie – nie ustępował.

Kowal nie miał wyboru, musiał zmienić ton negocjacji.

– Zawsze mogę poprosić moich kolegów z policji o prokuratorski nakaz wydania filmu – zagroził.

– Hieny z was. – Broda nie krył złości. Złapał puszkę i zgniótł ją w jednej dłoni. – Dostanie pan ten film – burknął.

Poprowadził Kowala betonowymi schodami na piętro. W każdym mijanym pomieszczeniu panował nieziemski bałagan – na podłodze leżały ubrania, zabawki, a nawet kawałki jedzenia. Broda wprowadził detektywa do niewielkiego gabinetu, w którym śmierdziało piwem i papierosami, podszedł do laptopa i uruchomił go, odnalazł właściwy plik, skopiował go na pendrive'a, po czym bez żadnego komentarza wręczył Kowalowi.

– A teraz żegnam – powiedział oschle. – Drogę pan zna i niech pan uważa na psa. – Uśmiechnął się zjadliwie.

– Dziękuję – odpowiedział uprzejmie Leon. Wtedy dobiegł ich przeraźliwy kobiecy wrzask. Kowal od razu rozpoznał głos Moniki. Pędem zbiegł po schodach, aby sprawdzić, co się stało.

Zmęczona ucieczką Monika pchnęła furtkę i wbiegła na podwórko, nie zważając na wilczura oraz bawiące się dzieci.

– Coś mnie goni – wysapała. – To chyba zombie – dodała z płaczem.

Roman Broda spojrzał na mężczyznę z posklejanymi włosami i długą brodą i zarechotał.

– Spokojnie, to stary włóczęga Waldek – mówił, robiąc przerwy na głośnie wybuchy śmiechu. – Jest niegroźny, choć nieraz napędził ludziom stracha, szczególnie nowym, którzy nie wiedzą, że sypia w opuszczonych domach – tłumaczył, gdy już powstrzymał napady śmiechu. – W wiosce jest ich całe zatrzęsienie, tych domów. Ludzie umierają, a nowi nie chcą się wprowadzać. Budynki niszczej. – Nastrój Brody zmienił się o sto osiemdziesiąt stopni.

– To nie jest zombie? – Monika odetchnęła z ulgą. Dopiero teraz zorientowała się, że obwąchuje ją pies, a w powietrzu unosi się nieprzyjemna woń. – Groźny? – spytała, wskazując na wilczura.

– Spokojny jak baranek – zapewnił Broda. Podszedł do furtki, wyciągnął z kieszeni dziesięciozłotowy banknot i wręczył włóczędze.

– Idź, staruszk, kup sobie piwo i nie strasz nam gości – nakazał.

Mężczyzna uśmiechnął się, prezentując braki w uzębieniu, po czym zniknął tak szybko, jak się pojawił.

– W takim razie nie będziemy dłużej przeszkadzać – Kowal wyciągnął dłoń do Brody. – Pewnie żona niedługo wraca.

– Czasem nie wraca przez kilka dni. – Broda, choć niechętnie, odwzajemnił gest detektywa. – Dzieci do domu, myć ręce – krzyknął.

– Tak, tak – potwierdziła Monika. – Na nas już pora. – Nie wierzyła zapewnieniom Brody o łagodnym usposobieniu owczarka. Najwolniej, jak potrafiła, wycofywała się w kierunku bramki.

– W porządku? – zagadnął zaniepokojony Kowal, gdy opuścili posesję Brody.

– Tak. – odparła. – A jak u ciebie? Udało się?

– Mówiłem, że się uda. Lata w policji zrobiły swoje.

– To co? Teraz do Zakopanego?

– Nie – zaprzeczył. – Musimy wrócić do Warszawy. Dzwonił do mnie Kamil Rozner. Chce porozmawiać w cztery oczy. Podobno znalazł coś ciekawego na temat swojej firmy. No i musimy przejrzeć film z pogrzebu Jadwigi Szczepkowskiej. – Podniósł dłoń z pendrive'em.

– Nie zgłaszam sprzeciwu. – Monika wysiliła się na uśmiech, choć ostatnie wydarzenia mocno nadszarpały jej nerwy.

Kowal nie chciał dodawać, że jeszcze jeden argument przemawiał za powrotem do Warszawy. Przed wizytą u Brody rozmawiał przez telefon z Olgą. Zazdrosna żona zrobiła mu awanturę, oskarżając męża o szukanie sposobności do zdrady. Należało załagodzić sytuację. Kowal postanowił wtajemniczyć Olgę w śledztwo i udowodnić, że z Moniką łączą go tylko sprawy zawodowe. Przynajmniej taką miał nadzieję.

ROZDZIAŁ 17

Wcześniej

Sylwia Fornel siedziała na krześle ze skupioną miną.

– Dama kier – powiedziała.

Grażyna pokręciła głową i głośno wypuściła powietrze.

– Chyba się poddam.

– Coś ty? Teraz? – napomniała ją Sylwia. – Zwiększ jeszcze moc.

– Jesteś pewna? To może być niebezpieczne.

– Życie też jest niebezpieczne. Zwiększ moc – rozkazała.

Grażyna podeszła do komputera i podniosła próg natężenia promieniowania elektromagnetycznego generowanego przez czujniki BCI. Następnie wróciła za parawan, aby kontynuować test. Przeprowadziły pełną serię, która nie różniła się znacząco od poprzednich.

– Dobra, koniec z tymi podchodami – rzuciła Sylwia i dopadła do komputera.

Wprowadziła na klawiaturze maksymalną wartość natężenia, na jaką można było nastawić czujniki BCI. Zignorowała ostrzeżenie, które wyskoczyło na pulpicie, i nacisnęła enter.

– Oszalałaś? – fuknęła Grażyna. – To cię może zabić.

– Cicho, zaczynaj nową serię.

– Nie ma mowy – zaprotestowała. Skrzyżowała ręce na piersi i ani myślała dotykać kart.

– Podobno jestem potężnym medium – przypomniała jej Sylwia. – Sama wspominałaś rytuał z Dominikany. Jesteśmy zbyt blisko, by się wycofać – nalegała.

– Dobra, ale jak tylko zobaczę, że coś się dzieje, przerywam – zastrzegła.

Sylwia mrugnęła oczami.

– To zaczynamy.

– Walet trefl.

Twarz Grażyny się rozpromieniła, uniosła kartę z waletem trefl.

Wysokie natężenie fal elektromagnetycznych wywołało u Sylwii silny ból głowy, ale jej poświęcenie nie poszło na marne, uzyskała bardzo dobry wynik. Po dziesięciu seriach miała aż trzydzieści dziewięć procent udanych prób. Wyczerpana padła w objęcia Grażyny i mimo potwornego zmęczenia krzyczała z radości. Wtedy poczuła, że jej ciało najpierw robi się wiotkie, a potem osuwa się na podłogę. Grażyna ochroniła ją przed upadkiem i ułożyła na ławce.

– Sylwia, obudź się. – Uderzyła ją w policzek – Co się dzieje? Sylwia, Sylwia – powtarzała rozpaczliwie.

Po kilkudziesięciu długich sekundach Sylwia odzyskała przytomność.

– Chyba zemdlalam – szepnęła. – Ale warto było. – Uśmiechnęła się. – Jestem wykończona. Jakbym rozładowała wagon węgla.

Grażyna zaprowadziła Sylwię do samochodu i odwiozła do domu.

– Może powinnam odwołać studentów? – spytała.

– Już mi lepiej. Trochę odpocznę i dojdę do siebie – uspokoiła ją Sylwia.

– Jesteś pewna?

– Tak. Nie możemy teraz przerwać. Jesteśmy coraz bliżej celu.

– Gdyby coś się działo, to dzwoń do mnie albo od razu na pogotowie.
Jasne?

– Jasne. Nic mi nie będzie.

– Obiecuj – naciskała Grażyna.

– Słowo harcerza. – Sylwia podniosła jedną dłoń, a drugą położyła na klatce piersiowej. Po czym zaczęła zmieniać ich układ. – Już nie pamiętam, jak to dokładnie się robiło, ale obiecuję.

Dopierała wróciła na uczelnię, aby kontynuować próby ze studentami. Oczywiście żaden z uczestników nie odważył się przejść testów z tak potężnym natężeniem fal elektromagnetycznych jak Sylwia. Mimo że tylko nieznacznie przekroczyli granicę bezpieczeństwa wytyczoną przez producenta, uzyskali nadzwyczaj dobre wyniki, kształtujące się na poziomie sporo wyższym od średniej oczekiwanej wynikającej z rachunku prawdopodobieństwa. Wieczorem szczęśliwa i nieco zmęczona Grażyna pożegnała studentów, zamknęła salę i pospiesznie udała się do domu ukochanej.

Zastała Sylwię tkwiącą przed komputerem i analizującą tablicę liczb. Oczy matematyczki płonęły przedziwnym żarem, który Grażyna widziała dotychczas tylko jeden raz – podczas ich pierwszej wspólnie spędzonej nocy, kiedy odkrywały zakamarki swoich ciał.

– Miałaś odpoczywać – zganiała ją.

– Połączyłam się z komputerem na uczelni, ściągnęłam wasze wyniki i porównałam je z moimi. Arkusz kalkulacyjny miał wyciągnąć wnioski.

– Nie zwiększyliśmy maksymalnie natężenia czujników. Przeprowadziliśmy badania tylko przy dziesięcioprocentowym przekroczeniu normy.

– Wiem, ale może nie trzeba będzie go zwiększać.

– Wymyśliłaś coś?

Sylwia wyświetliła na ekranie komputera macierz liczb.

– Spójrz na to – zaczęła. – To jest wycinek kilku synaps w moim mózgu. Wzięłam tylko reprezentacyjną próbkę, aby łatwiej ci wszystko wyjaśnić.

Nacisnęła kilkakrotnie klawisz strzałki, macierz liczb na ekranie zmieniła wartości.

– Nic z tego nie rozumiem.

– Okej – powiedziała Sylwia, przeciągając ostatnią sylabę. – Zatem najpierw trochę teorii. Dostępny naszym zmysłom świat składa się z czterech wymiarów: długość, szerokość, wysokość...

– Czwartym jest czas – weszła jej w słowo Grażyna, lekko poirytowana, że Sylwia uczy ją takich podstaw.

– Właśnie, ale my chcemy udowodnić istnienie innych wymiarów i z pomocą przychodzi nam M-teoria Wittena. Mówiąc w wielkim uproszczeniu: teoria strun rodziła się w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku. I do lat dziewięćdziesiątych przebyła długą drogę, od abstrakcyjnej ciekawostki, niemającej wiele wspólnego z rzeczywistością, do kandydatki na teorię wszystkiego. Ogromne pragnienie, aby w końcu opracować teorię, która prowadziłaby do zunifikowania praw przyrody, poskutkowało czymś zupełnie odwrotnym. Do tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego roku powstało aż pięć różnych wersji teorii strun. I choć niektórzy fizycy teoretyczni potrafili wykazać między nimi pewne powinowactwo, to nie dało się ukryć, że wspomniane wariacje były ze sobą rozbieżne. Przełom przyniosło wystąpienie Edwarda Wittena podczas konferencji zorganizowanej na Uniwersytecie Południowej Kalifornii. Ten genialny matematyk zwrócił uwagę, że nie ma potrzeby dowodzenia, która z pięciu teorii jest prawidłowa. Według niego wszystkie dziesięciowymiarowe teorie zbliżają nas do wyższej, jedenastowymiarowej, a każda z pięciu wersji jest po prostu okrojonym

o jeden wymiar odbiciem najgłębszej, jedenastowymiarowej teorii strun. Ochrzczonej przez Wittena M-teorią.

– No dobrze, ale jakie to ma przełożenie na nasz eksperyment?

– Spójrz, połączyłam nasze rezultaty. Kolejne macierze prezentują wzrastający trend wyników uzyskiwanych przy próbach z odgadywaniem kart.

Grażyna wpatrywała się w cyfry wyświetlane na ekranie, ale nie potrafiła nic z nich wywnioskować.

– Dobrze, nie będę cię dłużej męczyła – stwierdziła Sylwia. – Popatrz na te cyfry, to reprezentacja wagowa pola elektromagnetycznego, którym stymulowaliśmy moje synapsy. Te, które się nie zmieniają, odpowiadają znanym nam czterem wymiarom. Jak wiesz, M-teoria zakłada, że rzeczywistość składa się z jedenastu wymiarów złożonych z wielowymiarowych bram. Nieważne. – Machnęła ręką, gdy uświadomiła sobie, że znowu wkracza w rejon skomplikowanych definicji. – Spójrz, w jaki sposób zmieniają się wartości wagowe dla pozostałych niewidocznych dla nas wymiarów.

– Rzeczywiście – przyznała. – Jak to rozumieć?

– Moje coraz lepsze wyniki w odgadywaniu kart uzależnione były wyłącznie od wartości wagowych pola elektromagnetycznego wymiarów, których nie widzimy.

– Poczekaj, czegoś tu nie rozumiem. Jak można stymulować synapsy w wymiarach, których nie widzimy?

– Widzę, że jesteś pilną słuchaczką – pochwaliła ją. – Bo faktycznie nie można. Jak wiesz, nie mamy obecnie urządzeń, które potrafią odczytywać stany kwantowe niewidocznych wymiarów. Możemy za to obserwować ich oddziaływanie magnetyczne na widzialne wymiary.

Grażyna spojrzała ukochanej w oczy i zrobiła błagalną minę.

– Już zmierzam do brzegu – obiecała Sylwia. – Na podstawie obserwacji zmiennych w widzialnych wymiarach opracowałam wzór na oddziaływanie czujników BCI na niewidzialne wymiary.

– Czyli będziesz w taki sposób oddziaływać na synapsy mózgowe, aby pośrednio wpłynąć na niewidzialne wymiary?

– Tak. – Sylwia nie kryła radości. – Czy to nie jest genialne?

Grażyna przeczesła dłońmi długie włosy i wypuściła głośno powietrze.

– Mam nadzieję, że wiesz, co robisz – jęknęła. – To wszystko jest dla mnie zbyt zagmatwane.

– Najważniejsze, że nie będziemy musiały zwiększać natężenia promieniowania elektromagnetycznego.

– Dobrze. Jutro zaczniemy nową serię testów. – Grażyna próbowała sobie wyobrazić, co się stanie, jeśli teoria Sylwii się potwierdzi. Jakie będą tego konsekwencje? Czy nagle okaże się, że duża część niewidzialnych przez nas oddziaływań, w tym słynne pole psychotroniczne, rozgrywa się na poziomie wymiarów zamkniętych w leptonach, kwarkach, gluonach, barionach, mezonach i cholera wie czym jeszcze? I czy zajdzie w związku z tym jakaś znacząca zmiana, skoro i tak ludzki mózg nie jest gotowy na poznanie innych wymiarów?

– Mówię ci, idziemy w dobrym kierunku. Nikt już nie podważy naszych wyników – ucieszyła się Sylwia.

– Coś się dzieje? – spytała Grażyna, widząc grymas bólu na twarzy ukochanej.

– Boli mnie głowa. – Przewróciła oczami. – W końcu przyłożyłam sobie mikrofalówkę do mózgu.

ROZDZIAŁ 18

Monika przyszła do biura wcześniej rano. Otworzyła drzwi, usiadła za biurkiem i uruchomiła laptop. Była tak niewyspana, że ledwie utrzymywała opadającą głowę. Pięć minut później pojawił się Leon Kowal.

– Zrób mi kawę – rzucił.

Monika spojrzała na niego z wyrzutem.

– Nie przesadzasz?

– Zrób mi kawę, jutro ja zrobię tobie – powiedział. – To wasze pokolenie to jednak jest straszne. Za naszych czasów harowało się po dwadzieścia godzin na dobę, aby do czegoś dojść. Nikt nie pytał, czy coś boli albo czy jesteśmy zmęczeni.

– To było twoje pokolenie – ucięła, nie zamierzając mu tłumaczyć, że jej dotychczasowe życie wcale nie było usłane różami. – Nie moje.

Na tak przedstawiony argument Kowal nie znalazł odpowiedzi.

– Za godzinę przyjdzie Kamil Rozner, zrób mi mocną kawę. Muszę być w formie.

– Jasne, szefie. – Podniosła się niechętnie z krzesła. – Obejrzymy wspólnie ten film z pogrzebu Szczepkowskiej? – zapytała, nastawiając wodę w niedawno kupionym elektrycznym czajniku.

– Jasne, szefowo. – Zaśmiał się.

Monika zrobiła dwie kawy, jedną podała Leonowi, sama zaś upiła łyk drugiej. Skopiowała zawartość pendrive'a na dysk, aby stary gruchot

poradził sobie z dużym plikiem wideo, i włączyła film, który trwał ponad trzy godziny. Kowal usiadł obok Moniki i pijąc kawę, przyglądał się nagraniu. Kamerzysta zarejestrował pierwsze momenty, kiedy trumna z kobietą stała otwarta w kaplicy cmentarnej.

– To otwiera się jeszcze trumny? – zdziwił się.

– Jak rodzina sobie życzy, to owszem.

Oglądali przeniesienie trumny z kaplicy cmentarnej do kościoła, potem przez następną godzinę trwała msza. Kapłan wygłosił kazanie o istocie cierpienia. Zaakcentował, że tylko Bóg wie, dlaczego musimy doświadczać bólu, a ludzie powinni znosić wszelkie trudności z pokorą i cierpliwością jako nieodłączny element człowieczeństwa.

– Dziwne kazanie – podsumował.

– Że też ludzie jeszcze wierzą w takie rzeczy – wzburzyła się Monika. – Najlepiej, jak byśmy w ogóle nie łykali tabletek, bo ból głowy to też wola Boga, którą trzeba przyjąć z pokorą.

– Oglądajmy dalej. – Kowal zauważył, że jego asystentka nie jest dzisiaj w najlepszym nastroju.

Kondukt żałobny odprowadził trumnę na cmentarz, gdzie w głębokim grobie złożono ciało Jadwigi Szczepkowskiej. Babcia Zawadzkiej musiała być bardzo szanowana, ponieważ pogrzeb przyciągnął tłumy ludzi, wśród których trudno było dostrzec Magdę.

– Wyglądasz na zmęczoną – powiedział Kowal.

– Miałam jakieś koszmary i nie mogłam po nich zasnąć – wytłumaczyła.

– To zapewne przez minione zdarzenia. Co ci się śniło?

– Łączą się z naszym śledztwem, ale tylko częściowo – odpowiedziała lakonicznie.

Jak to bywa ze snami, trudno je sobie odtworzyć klatka po klatce i tylko niektóre fragmenty tkwią w pamięci, jakby wyrze w kamieniu ostrym

dłutem. Byli z Leonem w ogromnym szpitalu. W każdym z pokoiów stało łóżko, na którym leżała jakaś osoba. Na początku Monika sądziła, że wszyscy pacjenci są martwi, dopiero później zorientowała się, że ci ludzie po prostu śpią. Ich klatki piersiowe się poruszały, choć oczy były zamknięte. Potem uciekali przed wielką, niewidzialną siłą, która chciała ich dopaść i zamknąć w jednej z sal na zawsze. Na koniec – nie wiedzieć czemu – wylądowali w izolatce z wielkim biurkiem. Uprawiali seks. A najgorszy był fakt, że Monice bardzo się podobało.

– To opowiedz – nalegał.

– Naprawdę mało pamiętam – skłamała. – Biegaliśmy po jakimś szpitalu, ktoś nas gonił. Tyle.

– Rozumiem – mruknął. Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale nie wiedział, jak zacząć.

Jego myśli krążyły wokół wydarzeń z ubiegłej nocy, kiedy wrócił do domu spod krakowskiej wioski. Olga otworzyła mu drzwi w koszuli nocnej i mocnym makijażu.

– Ostatnio się między nami nie układało – powiedziała na przywitanie. – Ale czas to zmienić. – Uśmiechnęła się czule i kocim krokiem ruszyła w stronę salonu, gdzie czekała na nich późna kolacja przy świecach.

– To przez te problemy finansowe – odparł Kowal, zdejmując buty. – Ale dzięki sprawie Zawadzkiej wyjdziemy wreszcie na prostą. Musimy tylko znaleźć tę dziewczynę. Żywą lub martwą.

Podążył za żoną i przekonał się, że nos go nie zawiódł, już na klatce schodowej czuł zapach swojego ulubionego dania, smażonych krewetek w sosie koperkowym. I choć czuł zmęczenie, dał się porwać klimatowi wprowadzonemu przez żonę. Patrząc sobie w oczy, zjedli kolację, po czym wylądowali w sypialni. Kochali się namiętnie jak za dawnych czasów. Mieli

nadzieję, że ta noc będzie nowym początkiem dla ich małżeństwa. W końcu wiele par przechodzi kryzysy, z których udaje im się wyjść.

– Chciałabym wam pomóc w śledztwie – poprosiła Olga, muskając opuszkami palców klatkę piersiową Leona.

– Dobrze, kochanie. – Pocałował ją w usta. – Wpadnij rano do naszego biura. Na pewno nam się przydasz – powiedział, ziewając. Podróż z Warszawy do Krakowa i z powrotem dała mu się we znaki tak bardzo, że po kilku sekundach zasnął.

– Chcesz mi coś powiedzieć? – zagadnęła Monika, wyrrywając Kowala z zamyślenia.

– Za chwilę przyjdzie tutaj... – przerwał, kiedy usłyszeli kilka króciutkich i cichych dźwięków domofonu, trzaśnięcie drzwiami, a następnie parę zdecydowanych kroków. – Moja żona – dokończył, gdy w drzwiach do ich biura stanęła Olga. Miała na sobie czerwoną, długą sukienkę, której nie wkładała od kilku lat. O dziwo, mimo upływu czasu wciąż świetnie na niej leżała. Monika wykrztusiła z siebie ciche „Dzień dobry” i wbiła wzrok w ekran laptopa.

– Dobrze, że jesteś. – Kowal wstał od biurka. – Czekaliśmy na ciebie. Oglądamy film, o którym ci wczoraj wspominałem. Moja żona pomoże nam w śledztwie – wyjaśnił Monice obecność Olgi.

– Zrobić pani kawę? – zaproponowała Monika.

– Jeśli to nie problem? – poprosiła Olga, zamykając za sobą drzwi.

Monika przygotowała małą czarną, a Leon streścił Oldze przebieg śledztwa. Opowiadał właśnie o planach związanych z wyjazdem do Zakopanego, kiedy usłyszeli dzwonek domofonu.

– To Kamil Rozner – oznajmił Kowal. – Byliśmy umówieni.

Monika nacisnęła przycisk, aby odblokować wejście do klatki schodowej, po czym uchyliła drzwi do biura. Gdy Rozner wszedł do środka,

Kowal przedstawił mu żeńską część agencji detektywistycznej.

– Monikę już pan poznał, to moja asystentka. Dziś jest z nami także moja żona Olga, pomaga nam w śledztwie.

Rozner, lekko skonsternowany obecnością Olgi, a przede wszystkim jej ubiorem, przywitał się z kobietami, po czym zajął miejsce przed biurkiem detektywa.

– Czy to nie będzie problem, jeśli panie będą przysłuchiwać się naszej rozmowie? – spytał Kowal. – Znają szczegóły sprawy, może im pan zaufać.

– Okej – zgodził się Rozner.

Olga usiadła na jedynym wolnym krześle, założyła nogę na nogę i z niecierpliwością czekała, aby ujrzeć swojego męża w roli detektywa. Monika zajęła miejsce przy swoim świeżo zakupionym biurku i uruchomiła Word w laptopie, aby notować najcenniejsze informacje. Nie mogła się powstrzymać, aby nie zerknąć czasem na Olgę, musiała przyznać, że żona Kowala była piękną kobietą. Długie, czarne włosy otaczały okrągłą twarz z nielicznymi zmarszczkami. Mimo filigranowej postury Olga mogła się pochwalić i zgrabnym tyłkiem, i sporymi piersiami. Nic dziwnego, że mimo wybuchowego charakteru tak długo utrzymała Leona przy sobie. Monika uświadomiła sobie, że czuje przed żoną swojego pracodawcy paniczny strach. Okoliczności, w których się poznali, rzuciły się cieniem na ich krótką znajomość, a przecież miały wspólnie pracować. Postanowiła, że za wszelką cenę musi zatrzeć niekorzystne wrażenie i zdobyć przychylność Olgi. Na pewno nie zostaną przyjaciółkami, ale tylko w ten sposób spędzone razem godziny – a wyglądało na to, że będzie ich bardzo dużo – nie zamienią się w piekło.

Tymczasem Kamil Rozner relacjonował Kowalowi, jak wszedł w posiadanie CV kandydatów na pracowników firmy InfoSense.

– Wśród podań nie ma dokumentów Magdy Zawadzkiej. Wnioskuje z tego, że osoby, których CV zdobyłem, nie dostały się do pracy. Choć mogą się mylić – zaznaczył.

– Czyli mówi pan, że wszyscy kandydaci na testerów mają w sekcji „zainteresowania” wpisane różne rodzaje zdolności parapsychicznych – powiedział Kowal.

Rozner potaknął. Przekazał kartę pamięci z wykradzionym plikiem Monice, która wyświetliła jego zawartość na ekranie laptopa.

– Niezła mieszanka – oceniła Monika. – Mamy tu osoby umiejące wyjść poza swoje ciało, media widzące duchy, proroków przepowiadających przyszłość poprzez sny, ludzi potrafiących dostrzec ludzką aurę i wszelkie rodzaje kinez, o jakich tylko słyszał świat.

– Jakie na przykład? – zainteresowała się Olga.

– Umbrakineza to zdolność kontroli nad fotonami światła, pirokineza to umiejętność władania ogniem czy gyrokineza władza nad grawitacją.

– Tylko skąd ludzie kandydujący na stanowiska testerów wiedzieli, że wymaga się od nich zdolności parapsychicznych? – zastanawiał się Kowal.

– Też o tym pomyślałem. – Rozner postukał się palcem w skronie. – Przegrzebałem portale z ogłoszeniami o pracę i znalazłem ogłoszenie, w którym firma InfoSense poszukuje testerów oprogramowania medycznego. Zaznaczyli, że preferują osoby ze zdolnościami parapsychicznymi.

– Rozumiem. – Kowal pogładził się po brodzie. – A czy wie pan, gdzie odbywają się te testy?

– Niestety nie – zaprzeczył. – Adres firmy zarejestrowany jest w biurowcu, w którym mieszczą się dział kadr, HR i zespół programistów. Dział kontroli jakości zlokalizowany jest gdzie indziej. Mówiłem już, że

próbowałem wydobyć z Magdy informację o miejscu jej pracy, ale nie powiedziała mi nic, bo podobno obowiązywała ją tajemnica.

– Musimy się dowiedzieć, gdzie odbywają się te testy – stwierdził Kowal.

– Obawiam się, że nie na wiele się to zda – podważył pomysł detektywa.
– Nawet jeśli się tego dowiemy i tak nie dostaniemy się do środka. Wszystko jest utajone. Podejrzewam, że moja firma wykonuje jakieś zlecenie dla wojska albo rządu. Dlatego Magda zginęła. Dowiedziała się o czymś niewygodnym i ją zlikwidowali – insynuował Rozner.

– Chyba nie szedłbym tym tropem. – Kowal pokręcił głową, po czym opowiedział o zdarzeniach, które miały miejsce w trakcie śledztwa.

– Mógłbym zobaczyć film z pogrzebu babci Magdy? – zapytał podekscytowany.

– Jasne – zgodził się Kowal. – Ale nagranie ma ponad trzy godziny – ostrzegł.

– Wziąłem sobie urlop. Mam dużo czasu.

– A ja mam wakacje – odezwała się Olga, jakby chciała podkreślić, że dysponuje masą wolnego czasu i może w pełni zaangażować się w śledztwo.

– Dobrze, zatem obejrzymy film jeszcze raz – zdecydował Leon. – Może we czwórkę łatwiej będzie zauważyć coś istotnego.

Najbliższe trzy godziny spędzili przed ekranem laptopa, wpatrując się w materiał nakręcony przez poznanego wczoraj Romana Brodę. Pod koniec filmu Rozner nie był w stanie opanować łez cisnących się do oczu.

– Powiedźcie mi, że ona żyje – błagał.

– Macie jakieś spostrzeżenia na gorąco? – spytał Kowal, pomijając milczeniem słowa Roznera. Choć w duchu szczerze wątpił, aby była jeszcze nadzieja na odnalezienie dziewczyny żywej.

– Zapisałam co do sekundy momenty, kiedy na filmie widać Zawadzką – zaczęła Olga, która za wszelką cenę chciała przydać się w śledztwie. – Najdłuższy fragment z Magdą w roli głównej jest na samym początku, kiedy widać otwartą trumnę z Jadwigą Szczepkowską.

– Mogłabyś wyświetlić ten moment – poprosił Kowal.

Monika przewinęła film na sam początek, jeszcze zanim wyprowadzono trumnę z kaplicy cmentarnej. Poszczególne osoby podchodziły do zmarłej, aby się pożegnać. W pewnym momencie nad ciałem babki stanęła Magda Zawadzka. Patrzyła przez chwilę na jej szczupłą twarz, a potem zaczęła coś mówić. Kamerzysta zmienił kąt, aby lepiej uchwycić twarz dziewczyny. Cała scena trwała około dwóch minut.

– Nie da się pogłośnić?

Monika sprawdziła poziom głośności.

– Jest na maksa. Widocznie kamera była zbyt daleko, aby mikrofon uchwycił słowa Zawadzkiej – wywnioskowała.

– A jak z pozostałymi fragmentami? – zwrócił się do żony Kowal.

– To kilkusekundowe ujęcia. – Olga pokazała Monice notatki.

Szybko przejrzeni kadry, na których było widać Magdę, ale na żadnym z nich dziewczyna się nie odzywała.

– Nie ma się co dziwić – skwitował Kowal. – W końcu to pogrzeb.

– Zapomnieliście, że jestem programistą – powiedział ożywiony Rozner. – Dajcie mi na chwilę tego laptopa.

Uruchomił jakiś program, wczytał film z pogrzebu Szczepkowskiej, a następnie włączył kilka opcji wzmacniających dźwięk. Wreszcie raz jeszcze uruchomił scenę, na której Magda mówiła coś do babki leżącej w trumnie.

– Głośniej się nie dało, bo dźwięk byłby nieczytelny.

Wszyscy słuchali w skupieniu, próbując wyłowić z szumu słowa Magdy.

– Posłuchajcie. To chyba słowo „najgorsze” – wychwycił Rozner.

– Tak – potwierdziła Monika. – A teraz jeszcze „nie przyjdę”.

– I „zebranie” – dodał.

– Hm – mruknął Kowal. – Nie brzmi to jak treść modlitwy. Tak czy inaczej, niewiele nam to pomoże. Poproszę Stafieja, aby któryś ze specjalistów współpracujących z policją odczytał słowa z ruchów warg.

– Myśli pan, że pomogą? – powątpiewał Rozner, zrażony ostatnimi doświadczeniami z policją.

– Tak, jestem z nimi w ścisłym kontakcie. Obiecali pomóc mnie, a ja im. Barter. – Zaśmiał się. – Pójdę do nich jeszcze dziś – zdecydował. – Czy ma nam pan coś jeszcze do przekazania?

– Tak się zastanawiam, dlaczego Magda chciała uwiecznić przebieg pogrzebu. Po co kazała wysłać film na swój adres, skoro nie zamierzała go nawet obejrzeć?

– Nie wiem, może chciała coś tym filmem przekazać. Ale po kolei, przede wszystkim musimy poznać słowa, które mówiła do Szczepkowskiej.

– W takim razie... tyle. Dziękuję za waszą pracę – powiedział Rozner, podbudowany zapalem detektywa. Wciąż wierzył, że Magda się odnajdzie. – Proszę mi natychmiast dać znać, jeśli się pan czegoś dowie. Ja też będę miał oczy i uszy otwarte.

– Proszę uważać, jeśli pańska firma ma coś na sumieniu, może pan być w niebezpieczeństwie – ostrzegł go. – Zwłaszcza po tym, jak wykradł pan dokumenty.

– Niech się pan nie martwi. Potrafię zacierać za sobą ślady.

– Wiemy, co robić? – spytał Kowal po wyjściu Roznera.

– Rozkazuj, szefie – niemal wykrzyknęła Olga, zachwycona powiewem świeżości w swoim nudnym życiu.

– Chciałbym, abyście jeszcze raz przejrzały CV zdobyte przez Roznera i obejrzały film z pogrzebu Szczepkowskiej. Tylko wykorzystajcie kobiecą intuicję. Ja idę do Stafieja i poproszę go o odczytanie z ruchów warg słów Zawadzkiej – porozdzielał zadania.

Wsunął do kieszeni pendrive i opuścił biuro, zostawiając kobiety same.

Olga spojrzała na Monikę i uśmiechnęła się delikatnie.

– To może zaczniemy naszą znajomość od nowa? – zapytała nieśmiało Monika.

Olga przypomniała sobie sen, w którym nakryła Leona i Monikę uprawiających seks w jednej ze szpitalnych sal. Domyślała się, w jaką gierkę chce zagrać z nią młoda pani detektyw. Zamierza udawać oddaną przyjaciółkę, aby uśpić czujność Olgi, a za jej plecami będzie się bzykała z Leonem. Niedoczekanie twoje, pomyślała. Uśmiechnęła się sztucznie i wyciągnęła rękę do Moniki.

– Czemu nie? – powiedziała.

Monika odetchnęła z ulgą. Odwzajemniła uścisk dłoni i nawet pozwoliła sobie przytulić Olgę. Nie mogła wiedzieć, że nazajutrz rano żona Leona zamierzała spotkać się z jej byłym chłopakiem.

ROZDZIAŁ 19

Wcześniej

Po odkryciu Sylwii wyniki przeprowadzanych testów przerosły najśmielsze oczekiwania doktorantek i studentów. I tylko Wojciech Martens jako jedyny nadal nie mógł się pochwalić lepszymi rezultatami. Sfrustrowany niepowodzeniem po raz kolejny zdjął czepek i ze złością cisnął nim o podłogę. Przeklinał przy tym – jak to określił – głupie wymysły doktorantek. Gdy trochę ochłonął, przekonywany przez pozostałych o wartości każdej próby, kontynuował testy.

Poza tym jednym zdarzeniem dzień można było zaliczyć do bardzo udanych. Wszyscy chodzili w doskonałych nastrojach, ponieważ każda kolejna próba okazywała się lepsza od poprzedniej. Nie ulegało wątpliwości, że algorytm wyprowadzony przez Sylwię pozwalał tak zaprogramować czujniki BCI, że prawie każdy, kto poddawał się eksperymentowi, zyskiwał zdolności telepatyczne, psychokinetyczne i prekognicyjne.

– Może spróbujemy z innymi dziedzinami psychotroniki? – spytała rozentuzjasmowana Grażyna, która oczami wyobraźni widziała siebie na okładkach czasopism naukowych.

– Najpierw zajmijmy się rzetelnym udokumentowaniem trzech rodzajów oddziaływań – hamowała ją Sylwia. – Potem ogłosimy nasze

badania świata. I dopiero jak opadnie bitewny kurz, przyjdzie czas na kolejne dziedziny psychotroniki – radziła.

– Masz rację – przyznała. – Nie mogę się uspokoić. To wszystko wydaje mi się kompletnie nierealne. Tysiące lat ludzie próbowali dowieść tego, co nam udało się w zaledwie kilka tygodni.

– Może po prostu mieliśmy szczęście. Nieraz bywało czynnikiem decydującym w jakimś ważnym odkryciu – powiedziała skromnie Sylwia.

– Coś ty, żadne szczęście. To twój geniusz tego dokonał. – Grażyna nie zamierzała ukrywać podziwu dla ukochanej.

Po kilku dniach przeprowadziły jeszcze jedną serię testów. I choć wyniki nadal były imponujące, to mimo usilnych prób nie udało się ich już poprawić. Sylwia i Grażyna postanowiły zorganizować nadzwyczajne zebranie, na którym mieli przedyskutować dalsze losy eksperymentu. Spotkanie miało uroczysty charakter. Studenci przystroili salę balonami, a Jadzia upiekła nawet tort. Ktoś przyniósł kilka butelek szampana i kieliszki. Dochodziła dwudziesta, na zewnątrz było całkiem ciemno, jednak nikt nie myślał, aby wracać do domów czy akademików. Zaprosili również kilkoro zaprzyjaźnionych studentów, aby ich wielkie osiągnięcie miało więcej świadków.

– Jest co świętować. To prawda – zaczęła Grażyna. – Ale zastanawiamy się z Sylwią, co robić dalej.

– Zakończmy oficjalnie testy i ogłośmy światu nasze odkrycie – zaproponował Włodarczyk. – Cóż innego pozostało, prawda? – Spojrzał na pozostałych studentów.

– Oczywiście, że możemy to zrobić, ale ja zdecydowałabym się na jeszcze jeden, ostatni krok – powiedziała Sylwia.

– Tak? A jaki? – zaciekawiał się.

– Zwiększmy natężenie czujników poza bezpieczny zakres. Ostatni raz – zachęcała Sylwia. – Już raz to przerabialiśmy i nic się nie stało. Wiemy, jak nastawić czujniki BCI, aby właściwie stymulować nasze mózgi.

– Jestem za – wyrwała się Weronika, która ze wszystkich studentów uzyskała najlepsze wyniki. – Marzy mi się rezultat w okolicach dziewięćdziesięciu procent trafnych prób. Pomyślcie, co to mogłoby oznaczać. Zmienimy świat, i to w sposób, którego nawet nie jestem sobie w stanie wyobrazić.

Grażyna i Sylwia poddały propozycję pod głosowanie, podczas którego wszyscy jednomyślnie wyrazili chęć udziału w ostatniej turze testów z czujnikami BCI nastrojonymi powyżej granicy bezpieczeństwa. W sali dało się wyczuć podniosły nastrój, każdy był ciekawy swoich wyników i miał nadzieję, że ostatnie próby zakończą się spektakularnym sukcesem, który uczczą wiwatami i szampanem. Ten wieczór miał zapaść w pamięci zebranych na zawsze. Ustawili przy ścianie krzesła i niczym publiczność oczekująca na widowisko stulecia obserwowali Weronikę Kownacką odgadującą karty losowane przez Dopierałę.

– Dwudziestoprocentowe przekroczenie zakresu – poprosiła Weronika, zakładając czepek.

Sylwia Fornel ustawiła na komputerze zasugerowany przez Weronikę przedział oddziaływania fal elektromagnetycznych i rozpoczął się test.

– As karo – powiedziała spokojnie Weronika. Mimo początkowych obaw nie czuła żadnego dyskomfortu z powodu zwiększenia natężenia fal.

Grażyna podniosła kartę nad parawan. Rozległy się gromkie brawa świadczące o poprawnej odpowiedzi.

– Walet pik – zgadła po raz kolejny, co wywołało gorący aplauz publiczności.

Po pięciu udanych próbach studenci o mało nie pospadali z krzeseł, ciesząc się i skandując na cześć Kownackiej. Poklepywali się po plecach, ściskali sobie dłonie, a nawet całowali w policzki. Gdy Weronika zakończyła swoją serię, jej miejsce zajęła Sylwia. Poleciała Grażynie, aby jeszcze zwiększyła napięcie. Podobnie jak jej poprzedniczka, gładko odgadywała karty, co za każdym razem wywoływało euforię wśród studentów. W połowie talii wrzawa powoli ustawała, za to dało się słyszeć szepty, które z czasem przeradzały się w coraz głośniejsze komentarze wyrażające oburzenie.

– To oszustwo! – krzyknął wreszcie Martens, wstając z krzesła.

– Przecież nikt w to nie uwierzy – zawtórował mu Włodarczyk.

Weronika zgromiła ich spojrzeniem.

– Zarzucacie mi kłamstwo?! – fuknęła.

– Cisza – uspokajała Grażyna. – Skończmy serię. Na podsumowania przyjdzie czas.

– Dziewiątka kier – wymamrotała Sylwia, ale na nikim już nie robiło to wrażenia, wręcz przeciwnie, jedni studenci śmiali się pod nosem, jakby właśnie zdali sobie sprawę, że zostali złapani przez ukrytą kamerę, inni nie kryli wściekłości.

– To oburzające, jak mogliście zrobić z nas takich frajerów? – kipiał ze złości Martens.

– To może ktoś z was spróbuje? – zwróciła się do niedowiarków Grażyna. – Tylko tak udowodnimy, że eksperyment jest prawdziwy.

Na sali zapanowała cisza.

– Spróbuję – zgłosił się Martens. – Dotychczas szło mi najgorzej. Tylko na początek włączcie dziesięcioprocentowe przekroczenie granicy bezpieczeństwa – dodał.

Podszedł do Sylwii, aby zamienić się z nią miejscami. Ta jednak nie zamierzała wstawać z krzesła. Jej ręce wisiały bezładnie wzdłuż tułowia. Skóra na twarzy przybrała bladoszary kolor, a zaszklone oczy wpatrywały się w odległy punkt za oknem.

– Spójrzcie, co potrafię – powiedziała obcym głosem. Niebieski czepek najeżony czujnikami zsunął się z jej głowy i zawisł w powietrzu kilka centymetrów nad ziemią, przesuwając się w stronę widowni. Studenci, choć nadal w większości przekonani, że padli ofiarą jakiegoś telewizyjnego show, zaczęli z niepokojem spoglądać na siebie, czekając, aż ktoś zakończy kiepskie według nich przedstawienie.

– Dobra. Nieźle nas panie wkręciły – przyznał Włodarczyk. – Ale może już to zakończmy. – Wysilił się na sztuczny uśmiech.

Gdy tylko wypowiedział te słowa, czepek zbliżył się do niego, uniósł ponad głowę chłopaka, by po chwili na niej spocząć.

– A teraz odgadnę twoje myśli – powiedziała Sylwia głębokim, ochrypłym głosem.

Pozostali struchleli.

– Jezu, co się dzieje? – jęknęła Weronika.

Grażyna zerknęła na Sylwię i poczuła, że krew uderza jej do głowy. Odruchowo złapała się ławki i powstrzymała od krzyku. Ujrzała ten sam wyraz twarzy, ten grymas przypominający pysk wściekłego psa jak wtedy, gdy Sylwię opętał Baron Samedi, ojciec duchów śmierci.

– Zastanawiasz się – mówiła przesadnie powoli Sylwia – jak by mnie tu zerznąć. Ułatwię ci zadanie. – Wstała i z impetem rozdarła kremową koszulę, ukazując koronkowy stanik, po czym gwałtownie ruszyła w kierunku Włodarczyka.

– To nie jest żart! – krzyknęła Grażyna. – Uważaj na nią!

Uśmiech na twarzy Krzyśka zniknął w jednej sekundzie, gdy Sylwia złapała go za gardło i uniosła tak wysoko, że ten zawisł kilka centymetrów nad ziemią. Sapał i kasłał, próbując złapać oddech. Szarpał Sylwię za krótkie włosy, wpychał palce w oczy, ale nic nie pomagało. Jej żelazny uścisk jeszcze bardziej zaciskał się wokół szyi szamocącego się chłopaka. Tomek, Adam i Wojtek rzucili się na pomoc Krzyśkowi. Sylwia, mimo że jedną ręką trzymała swoją pierwszą ofiarę, bez większych trudności poradziła sobie z atakiem. Tomka kopnęła w krocze z taką siłą, że padł na podłogę i zwijał się bólu, rozpaczliwie przy tym kwiląc. Adam dostał mocny cios między oczy. Oszołomiony złapał się za twarz, poruszył lekko dłońmi i zawył dziko, gdy zobaczył, że między palcami przelatuje mu chrząstka nosowa. Ręce zabarwiły się ciemną czerwienią. Przechylił głowę do góry, aby zahamować krwotok. Na nic jednak się to zdało. Zaczął się krztusić i kasłać, rozchlapując wokół siebie krew. Kilka osób stojących najbliżej poczuło na twarzach ciepłe krople. Wojtek zawisł przez chwilę na szyi Sylwii, gdy ta rozprawiała się z jego kolegami. Później z nadludzką siłą wygięła jego rękę i strąciła go z siebie z taką mocą, że chłopak przeleciał trzy metry, rozrzucając swoim ciałem ławki i krzesła, i z impetem uderzył w ścianę.

Grażyna, gdy ocknęła się z odrętwienia, popędziła do wyjścia, aby wezwać pomoc. Szarpała za klamkę i uderzała ramieniem w drzwi, ale te ani drgnęły. Spojrzała na salę, uczestnicy badań, którzy godzinę wcześniej szykowali się do fetowania rewolucji w nauce, teraz wrzeszczeli jak opętani, chowali się za ławkami albo obryzgni krwią tulili głowy między kolanami. W kącie dostrzegła Weronikę Kownacką. Dziewczyna zdjęła koszulkę i zaczęła ją pożerać. Kawałek po kawałku wpychała ją sobie do gardła, próbując przełknąć niczym spaghetti.

Włodarczyk, który cały czas wisiał kilka centymetrów nad ziemią duszony stalowym uściskiem, powoli tracił przytomność. Gdy już czuł, że odpływa, Sylwia postawiła go na ziemi. Chłopak padł na podłogę, walcząc o każdy łyk powietrza. Studentka imieniem Flora podbiegła do Krzyska, aby pomóc mu wstać i odsunąć się od opętanej Sylwii.

– Widziałam, jak na niego patrzysz – syknęła Sylwia. – Marzyłaś, by choć przez chwilę potrzymać go za rękę. No to proszę bardzo – powiedziała. Złapała rękę Włodarczyka, uniosła ją i jednym wprawnym ruchem złamała w łokciu. Sala wypełniła się rozdzierającym krzykiem studenta.

– Zrób coś, kurwa! – jęknął.

– Ale co? – szlochała Flora. Chciała zatamować krew, która obficie wypływała z rany, ale gdy zobaczyła sterczącą kość, jej ciałem targnęły silne torsje. Zwróciła zawartość żołądka wprost na Krzyska.

– Pomóżcie nam – błagała z płaczem. – Ściągnęła koszulkę i przyciskała nią miejsce złamania.

Włodarczyk zawył z bólu i zemdłał. Flora, spanikowana, roztrzęsionymi dłońmi wciąż wciskała w ranę materiał, który błyskawicznie przybrał szkarłatny kolor.

– Boże, kurwa, Krzysiek – szlochała, mokra od łez i krwi wsączającej się w każdy skrawek jej odzieży. – Pomocy – powtórzyła jeszcze raz, ale już bardzo cicho, pewna, że demon, który zawładnął ciałem Sylwii, zamorduje ich wszystkich jeden po drugim. To tylko kwestia czasu. Studenci w akcie desperacji łapali za ławki, krzesła i inne przedmioty znajdujące się w sali i z dziką furią ciskali nimi w Sylwię. Jej oczy zapłonęły gniewem, sapała niczym rozwścieczony byk, by po chwili wybuchnąć głębokim, pustym śmiechem.

– Zróbcie coś, bo nas pozabija! – krzyknął ktoś.

Wojtek Martens, który doszedł nieco do siebie, spostrzegł gaśnicę stojącą w kącie sali. Jednym susem dopadł do niej, odbezpieczył i nacisnął dźwignię. Piana oblepiła każdy kawałek ciała Sylwii, kobieta znieruchomiała na moment, zapadła cisza, którą przerywały jedynie szybkie, płytkie oddechy studentów. Martens wzrokiem wyszukała Grażynę, jakby chciał usłyszeć od niej potwierdzenie, że udało się obezwładnić monstrum, ale wtedy szyby w oknach zadrżały od głośnego ryku Sylwii. Wszyscy zakryli dłońmi uszy, nie mogąc znieść przeszywającego, piskliwego, a jednocześnie donośnego dźwięku, który wydobył się z doktorantki. Sylwia otrzepała się z resztek piany i doskoczyła do Wojtka, mocnym kopnięciem w brzuch powaliła go na ziemię, złapała za nogę i ciągnęła po sali w stronę okna. Grażyna pewna, co zamierza zrobić Baron Samedi, ukryty w ciele Sylwii, wyszarpała kabel do zasilania z komputera, rozbiła butelkę szampana i kawałkiem ostrego szkła niezgrabnymi ruchami ucięła końcówkę, nie zważając na krew, która wypływała z jej dłoni.

– Samedi – wrzasnęła. – Pamiętasz mnie? Zostaw chłopaka.

Ale demon jakby w ogóle nie usłyszał jej słów, powolnym krokiem zbliżał się do okna.

– Sylwia – zawołała Grażyna. – Błagam cię, walcz, pokonaj go.

Tym razem zatrzymał się, odwrócił głowę i delikatnym głosem Sylwii odparł:

– Musimy dokończyć nasz eksperyment, jesteśmy już tak blisko celu.

I ruszył przed siebie.

Grażyna złapała drugą butelkę szampana i z kablem w dłoni podbiegła do Sylwii.

– Przepraszam, kochana – szepnęła. Roztrzaskała na jej głowie butelkę i przytknęła do szyi kabel.

Sylwia ryknęła, puściła Wojtkę, wygięła się porażona prądem i padła pod stopami Grażyny. W sali zapanowała ciemność. Nawet światła latarni i promienie księżyca nie były w stanie przedrzeć się przez żaluzje, aby zajrzeć do środka. A może po prostu nie chciały swym blaskiem odsłaniać makabrycznego krajobrazu po bitwie. Grażyna dyszała ciężko, bała się poruszyć, niepewna, czy walka dobiegła końca, czy Samedi za chwilę wstanie, wgrzyzie się w jej szyję i dokończy zaplanowane dzieło. Upływały długie minuty. Ciało Sylwii leżało bezwładnie na podłodze.

– Chyba się udało – wykrztusiła Grażyna. Pełna obawy, że prąd mógł zabić Sylwię, uklękła nad jej ciałem i szlochając, drżącą dłonią sprawdziła tętno na szyi. – Żyjesz – powiedziała do siebie. – Wojtek – szepnęła, jakby lękała się, że jakikolwiek głośniejszy dźwięk sprowadzi z powrotem demona. – W porządku?

– Chyba tak – odparł, również bardzo cicho. – Boli mnie ramię, bo prąd trochę mnie liznął, ale na szczęście szybko się wyrwałem, gdy tylko to coś zwolniło uchwyt.

Włączyły się światła awaryjne. Grażyna rozejrzała się po sali, za powywracanymi ławkami i krzesłami kryli się przerażeni studenci. Tomek, w pozycji embrionalnej, leżał na podłodze i pustym wzrokiem wpatrywał się w skowyczącego z bólu Adama, którego zmasakrowaną twarz trudno było rozpoznać. Na środku, w olbrzymiej kałuży krwi Flora wtulała się w nieprzytomnego Włodarczyka. Nie miała na sobie koszulki, którą zdjęła, aby zatamować krew tryskającą z rany. Jej spodnie, stanik, a nawet jasne wcześniej włosy zabarwiły się czerwienią. Pod wpływem szoku wciąż szeptała miarowo: „Wszyscy zginiemy, wszyscy zginiemy”.

Weronika dławiła się własnymi wymiocinami, wypluwała z gardła resztki materiału. Zdębiała patrzyła po sali, zakryła rękoma piersi, nie pojmując, co się wydarzyło i dlaczego jest półnaga. Pozostali zerkali na nią

z trwogą, ktoś nawet zasugerował, żeby ją „związać albo poczęstować prądem”. Jadzia, najgłębiej schowana, niemal wciśnięta w ścianę, kucała z głową schowaną między kolanami i rękoma splecionymi na szyi.

Nagle do sali wpadł ochroniarz.

– Chryste – jęknął. – Już jadą policja i pogotowie.

– Gdzie pan był? – spytała z wyrzutem Grażyna.

– Słyszałem krzyki, dobijałem się do drzwi, ale były zamknięte, więc wróciłem po telefon, aby wezwać pomoc. Z oddali słyszeli już syreny, po chwili na ścianach pojawiły się czerwono-niebieskie światła. Grażyna obserwowała, jak medycy opatrują rannych, pomagają im wyjść albo zabierają ich na noszach. Dochodziły do niej głosy policjantów, którzy zbierali zeznania i zabezpieczali przedmioty. Nigdy nie przypuszczała, że eksperyment, dzięki któremu mieli przejść do historii i trafić na karty podręczników, zakończy się taką tragedią. Wolała sobie nie wyobrażać, z jaką traumą będą musieli zmagać się jej studenci. Głęboki strach, którego doświadczyli w momencie zagrożenia życia, będzie miał spustoszenie w ich psychice. Depresje, zwątpienie, apatia, a być może nawet próby samobójcze, gdyż nie każdy poradzi sobie z przytłaczającymi wspomnieniami.

– Dzień dobry, musimy zadać kilka pytań – usłyszała z oddali. Zdziwiła się, że policjant stoi tuż obok.

– Oczywiście – odparła.

ROZDZIAŁ 20

Monika i Olga przeglądały materiały zebrane w sprawie zaginięcia Magdy Zawadzkiej. Młoda asystentka poszła po czekoladki, aby wkupić się w łaski żony Leona. Podzieliły się pracą w taki sposób, że Olga weryfikowała dokumenty, które udało się pozyskać od policji, a Monika postanowiła raz jeszcze obejrzeć film z pogrzebu Jadwigi Szczepkowskiej.

Spoglądały na siebie co jakiś czas, obdarzając się uśmiechem, jakby chciały utwierdzić się w przekonaniu, że okoliczności, w których się poznały, zostały wyjaśnione, a między nimi nie ma śladu zawiści. W myślach zaś snuły najczarniejsze wizje. Olga nie miała wątpliwości, że Monika chce uwieść jej męża. Monika zaś czuła się niekomfortowo w obecności Olgi, mając świadomość, że ta jest zazdrosna o Leona i na pewno podejrzewa ją o nieczne zamiary.

– Nie szkoda ci czasu na dłubanie przy tej sprawie? – zagadnęła Monika.

– Ależ skąd. Biznes mojego męża jest moim biznesem. Chciałabym, aby mu się udało – odparła Olga.

– Rozumiem. – Monika wróciła do oglądania filmu, na którym proboszcz głosił kazanie o cierpieniu. – Myślisz, że uda się odszyfrować słowa Zawadzkiej?

– Pewnie – rzuciła. – Skoro Leon tak uważa, to nie ma innej opcji – dodała.

– Czy to pożegnalny list Zawadzkiej? – Podniosła kserokopię kartki z odręcznym pismem.

– Tak – potwierdziła Monika. – Znalezione go w kurtce zostawionej na Orlej Perci.

– Dlaczego niektóre wyrazy zostały tak nienaturalnie podzielone?

– Jakie wyrazy?

– Spójrz tutaj. W tym wyrazie. Między literą „r” i „a” jest spory odstęp. No co? – Spojrzała na Monikę. – Jestem nauczycielką polskiego.

– Myślisz, że to może mieć jakieś znaczenie?

– Bez wątpienia – odpowiedziała Olga. – Zastanów się, czy pisząc słowo „pożegnanie” albo „przykro” robiłabyś dwumilimetrową przerwę między literami. Gdyby jeszcze Magda zrobiła coś takiego tylko w jednym słowie, to można byłoby przypuszczać, że coś ją rozproszyło, ale taka przerwa występuje aż w czterech wyrazach.

– Racja – przyznała Monika. – Tylko jakie to może mieć znaczenie?

– Nie wiem, ale może to jakaś zaszyfrowana informacja, którą chciała przekazać Magda.

– Jeśli ją rozszyfrujesz, to Leon cię ozłoci – powiedziała przesadnie uprzejmie, pewna, że Olga nigdy w życie tego nie rozgryzie. – Wracam do filmu.

Pracowały w milczeniu ponad godzinę. Monika nie mogła skupić się na nagraniu, jej myśli wciąż krążyły wokół Olgi, aż zaczęła się bać, że wpadnie w obsesję. Może myliła się co do niej? Była pewna, że żona Leona włączyła się w śledztwo, aby pilnować męża, tymczasem nie tylko wykazuje zaangażowanie, lecz także dostarczyła cennych spostrzeżeń.

– Ci kandydaci są bardzo różni – odezwała się ponownie Olga. – W różnym wieku, różne zawody, różne wykształcenie. O, jest nawet sześćdziesięcioletnia niania.

– Zakładam, że do testów w InfoSense nie są potrzebne jakieś nadzwyczajne umiejętności – stwierdziła Monika, nie przerywając oglądania filmu. – A może właśnie chcieli, aby ich kandydaci prezentowali różne grupy zawodowe czy społeczne?

– Wiesz co? Zgłoszmy swoje kandydatury – wypaliła Olga. – Napiszemy niestworzone historie, jakimi to jesteśmy wspaniałymi wrózkami, medium czy czymś tam jeszcze.

Monika zatrzymała nagranie i zmrużyła oczy, zastanawiając się nad propozycją Olgi.

– To nie jest wcale taki zły pomysł – uznała.

Tymczasem Kowal wszedł do komendy, skinieniem głowy przywitał się z policjantem dyżurnym, którego znał od wielu lat, i od razu skierował kroki do gabinetu Waldemara Stafieja, którego mina zdradzała, że nie ma humoru do rozmów. Kowal opowiedział inspektorowi o przebiegu śledztwa i przekazał kopię filmu z pogrzebu Szczepkowskiej.

– Zaszedłeś dalej niż my – mruknął Stafiej. – Dobrze, że zechciałeś się podzielić wynikami śledztwa.

– Znajdziesz kogoś, kto odczyta z ruchów warg słowa Magdy? – przeszedł do konkretów Kowal. Nie siadał na krześle, stał i przez jedyne okno w biurze wpatrywał się w śmietnik.

– Jasne, mamy jednego fachowca. Zaraz zlecę mu tę robotę.

– Nie dziwi cię trochę fakt, że nie dotarliście do tych materiałów? – powiedział rozczarowany pracą kolegów. – Nie przesłuchaliście nawet nikogo z kawiarni, w której Magda czekała na autobus.

Stafiej wyczuł pretensjonalny ton wypowiedzi Kowala.

– Za to ty dotarłeś do Andrzeja Rozchwieja, dla którego spotkanie z tobą nie skończyło się najlepiej – odciął się.

– Masz mi coś do zarzucenia?

– Zrozum – złagodniał Stafiej – przecież sam byłeś na moim miejscu przez wiele lat. Wiesz, jak jest – zawiesił głos, jakby zastanawiał się, czy jeszcze coś dodać. Wreszcie westchnął ciężko i rzekł: – Kuzyn komendanta zmarł w bardzo dziwnych okolicznościach. Wyglądało na samobójstwo, ale podejrzewamy, że ktoś macał w tym palce. Rozumiesz? To był priorytet. Musiałem wrzucić w to śledztwo wszystkich swoich ludzi, a sprawa Magdy zeszła na dalszy plan.

– Aha, czyli po staremu. – Kowal pożałował, że pozwolił się ponieść emocjom. Nie mógł wchodzić w konflikt z człowiekiem, który jeszcze wiele razy może okazać się pomocny, w tym śledztwie i innych.

– Wiem. Mogliśmy zrobić więcej – drażył Stafiej. – Ale znasz starego, potrafi uprzykrzyć życie, a i na każdego coś znajdzie – skarżył się. – Dlatego ci pomagam, dogrzebiesz się do czegoś więcej, to i nasze śledztwo ruszy z miejsca. A ty przy okazji trochę zarobisz. I wszyscy będziemy zadowoleni.

– Daj mi znać, jak się dowiesz, co mówi Zawadzka na tym filmie.

– Jasna sprawa, zadzwonię.

– Zawsze zadziwiał mnie widok z twojego okna – powiedział Kowal przed wyjściem.

– Dzięki niemu nie zapomnę, gdzie pracuję. – Zaśmiał się Stafiej.

Kowal po drodze do biura wstąpił do pizzerii, aby kupić coś na kolację. Olga i Monika niemal krzyknęły z radości, gdy wkroczył z dwoma ogromnymi pudełkami, z których wydzielał się zapach pizzy. Szybko zrobili miejsce na biurku i rzucili się na jedzenie.

– Tego mi było trzeba – wyznała Monika.

– Masz sos na ustach – zwrócił jej uwagę Kowal, czego szybko pożałował, gdy poczuł na sobie wzrok Olgi. Wspólna praca z żoną i młodą asystentką nie będzie łatwa, ale nie miał wyboru, jeśli nie chciał każdego

dnia odpierać ataków zazdrości Olgi, choć przypuszczał, że i tak powinien być na nie przygotowany. Skądinąd musiał przyznać, że schlebiała mu ta rywalizacja, nawet jeśli on jest tylko jej pretekstem. Monika chciała wykazać się jako pracownik, ale podejrzewał, że nie powstrzyma się, aby utrzyć nosa Oldze, która już pierwszego dnia nie zrobiła na niej dobrego wrażenia. Olga zaś postawiła sobie za cel nie dopuścić do zdrady, ale Kowal wcale nie miał pewności, czy popchnęła ją do tego miłość do męża (w co wątpił), czy raczej chęć udowodnienia samej sobie, że mimo upływu lat wciąż jest atrakcyjną kobietą i może w walce o względy rozłożyć na łopatki młodsze konkurentki.

– I jak? Udało się? – szybko zmieniła temat Monika.

– Zobaczymy, Stafiej obiecał, że znajdzie kogoś, kto czyta z ruchu warg.

– Coś minę masz nietęgą – zauważyła Olga.

– A bo się trochę z Waldkiem poprzytykaliśmy.

– O śledztwo?

Przytaknął.

– Jestem jakiś rozdrażniony – dodał Kowal.

– Pewnie to dlatego, że wczoraj mało spałeś, biedaku – powiedziała Olga, uśmiechając się zalotnie.

– Wpadłyśmy na ciekawy pomysł. – Monika zdecydowała, że nie da się sprowokować, choć mogłaby wytknąć Oldze, że skoro tak dobrze układa jej się z mężem, to czemu wpycha się do śledztwa, aby go pilnować.

– Ja wpadłam – poprawiła ją Olga. – Z przejrzaných dokumentów wynika, że od kandydatów na stanowisko testerów w InfoSense wymaga się w zasadzie jednej rzeczy: zdolności parapsychicznych. Gdyby którejs z nas udało się dostać do InfoSense, nie tylko poznałybyśmy osoby z otoczenia Zawadzkiej, ale też przekonały się na własne oczy, czym tak naprawdę zajmuje się ta firma.

– Tak? A jakie macie zdolności parapsychiczne? – zakpił.

– Coś się wymyśli, szefie. Mamy wiele zdolności – zapewniła Monika.

– Sądzicie, że mogłybyście się wkręcić do InfoSense? – zapytał zaskoczony pomysłem Kowal.

– Zawsze warto spróbować – odparła Monika.

– To nawet niegłupi pomysł. Złóżcie swoje CV na portalu dla pracowników. – Ledwie skończył zdanie, gdy w jego kieszeni zadzwonił telefon komórkowy. Wyciągnął go i odebrał.

– Tak? Poczekaj, znajdę coś do pisania.

Monika natychmiast wyciągnęła z drukarki kartkę i podała ją Kowalowi. Notował coś przez chwilę, marszcząc przy tym brwi, podziękował Stafiejowi za pomoc, rozłączył się i odczytał tekst:

– „Babciu, nie wiem, co mam zrobić. Nie zdołam dłużej utrzymać przejścia. Przygotowałam się na najgorsze. Sprawdziło się wszystko, o czym mi mówiłaś. Jadę w góry, tam stoczę ostatni pojedynek. Nie przyjdę na zebranie. Mam zostawić wskazówkę? Dla kogo? Dobrze, zostawię”.

– Na pewno dobrze usłyszałaś? – wołała się upewnić Olga.

– Tak, Stafiej czytał bardzo powoli i głośno. Ale racja napiszę mu SMS, żeby wysłał tekst mailem.

Kowal wyciągnął telefon, postukał palcem po ekranie i po paru minutach otrzymał wiadomość od Stafieja.

– Identyczna treść. Słowo w słowo – oznajmił. – Brzmi jak rozmowa, a nie monolog – zauważył. – Szczególnie pod koniec.

– Ostatni pojedynek? Przejście? Wskazówka? Więcej pytań niż odpowiedzi. To nam nic nie da – marudziła Monika.

– No i jeszcze ta wskazówka dla kogoś – zamyślił się Kowal. – Dziś już nic nie uradzimy. Jutro jedziemy do Zakopanego – postanowił. – Jedziesz z nami? – zwrócił się do Olgi.

– Nie mogę, jutro mamy w szkole zebranie dla nauczycieli – skłamała.

ROZDZIAŁ 21

Samuel czekał przed restauracją Polka zlokalizowaną tuż obok Zamku Królewskiego. Był przystojnym, wysokim młodzieńcem około trzydziestki. Miał niewielką brodę i wystrzyżone wąsy, które dodawały mu szarmanckości. Gdy witał się z Olgą, zmierzył ją od stóp do głów badawczym spojrzeniem. Miała na sobie białe materiałowe spodnie i jasną bluzkę z szerokimi rękawami. Włożyła również szpilki, które świetnie maskowały jej niski wzrost. Gdy wchodzili do środka, puścił Olgę przodem, wcale nie dlatego, że był dobrze wychowany, ale po to, by popatrzeć na jędrne pośladki. Nie chcąc zepsuć wizerunku dobrze wychowanego mężczyzny, odsunął krzesło Olgi, aby mogła wygodnie usiąść. We wnętrzu stały zabytkowe meble, a sufit i ściany zdobiły misterne malunki. Niektórzy z gości zajmowali miejsca na wygodnych kanapach i opierali się o jeszcze wygodniejsze poduszki. Dworski wystrój restauracji idealnie dopełniały zwisające tu i ówdzie ciężkie zasłony. Olga od razu zauważyła, że Samuel jest typem cwaniaka z dziwnie przenikliwym błyskiem w oku. Nie można mu było jednak odmówić niezwykłego, wręcz hipnotyzującego uroku.

– Nie było nic tańszego? – spytała bez ogródek Olga, zerkając na ceny w menu.

– Stać mnie – powiedział zdecydowanie.

Pod wpływem jego niskiego, głębokiego głosu Olga poczuła ciepło między nogami. Do tej pory wydawał jej się przystojnym łobuzem, teraz musiała się bronić przed natłokiem erotycznych scen, które podsuwała jej bujna wyobraźnia.

– Załatwmy to szybko. Jestem mężatką, nauczycielką polskiego. Nie chciałabym, aby któryś z moich uczniów zobaczył mnie w tym miejscu – tłumaczyła pośpiesznie.

– Potrzebujesz materiałów, które zdyskredytowałyby Monikę Wójcik w oczach twojego męża? – wszedł jej w słowo.

– Tak – potwierdziła. – Muszę tę lafiryndę odsunąć od mojego męża. Tak aby mógł się przekonać, co ta mała suka knuje.

– A co knuje?

– Nie wiem. Ty mi powiedz.

– Na pewno jest bardzo pazerna na kasę. Jak byliśmy razem, prawie wyczyściła mi konto – poskarżył się.

– Coś jeszcze?

– A co, gdybym zaproponował ci coś lepszego niż jakieś smętne opowiadki?

Olga uniosła brwi i spojrzała na Samuela z ciekawością.

– Co takiego?

Rozmowę przerwał im kelner, który podszedł przyjąć zamówienie. Oboje poprosili tylko o kawę.

– Jestem informatykiem – podjął rozpoczęty wątek Samuel. – Włamałem się na konto w chmurze Moniczki i znalazłem coś, co mogłoby cię zainteresować.

– Co? – niecierpliwiła się. – Co tam było?

– I tak za darmo mam ci to dać? – droczył się.

– Powiedz chociaż, czy to dowód zdrady mojego męża?

Uśmiechnął się delikatnie, przetarł usta ręką i nachylił w stronę Olgi.

– A jeśli powiedziałbym, że tak? – wyszeptał tym zniewalającym głosem.

– Dlaczego mam ci wierzyć?

Do stolika podszedł kelner z zamówioną kawą. Samuel upił łyk kawy, nie odrywając wzroku od Olgi. Temperamentna, mała pani od polskiego wzbudziła jego zainteresowanie.

– Nie musisz mi wierzyć, ale z tego, co pamiętam, to ty do mnie napisałaś – odparł. – Co byłąbyś skłonna mi dać za te materiały?

Olga milczała, przez głowę przetoczyła jej się setka myśli, w jaki sposób mogła zapłacić Samuelowi za dowody zdrady męża, ale żadna z nich nie nadawała się do wypowiedzenia jej głośno w restauracji.

– Ile chcesz? – rzuciła, przekonana, że chodzi mu o pieniądze. – Ale uprzedzam, nie jestem bogata.

– Masz wszystko, czego potrzebuję – zapewnił.

– Naprawdę? – zdziwiła się.

Samuel dopił kawę i skinął na kelnera, aby przyniósł im rachunek. Opłacił należność i z czarującym wzrokiem powiedział:

– Chcę ciebie. – Położył przed Olgą małą karteczkę. – Tu jest mój numer telefonu. Zadzwoń, jak będziesz gotowa.

Olga odprowadziła go wzrokiem do wyjścia. Siedziała oburzona bezczelnym szantażem Samuela, a jednocześnie podniecona myślą, że stała się obiektem pożądania młodego, przystojnego mężczyzny.

Tymczasem Monika i Leon wczesnym rankiem wybrali się do zimowej stolicy Polski. Kowal w ogóle nie lubił Zakopanego, a myśl o wspinaczce najtrudniejszym szlakiem Tatr przyprawiała go o mdłości.

– Że też ta Zawadzka musiała wybrać akurat Orlą Perć – marudził Kowal. – Wczoraj zdążyłem jeszcze umówić nas z przewodniczką.

– To nie idziemy sami? Zabrałam wszystko, co wydawało się potrzebne.
– Monika chciała zaimponować szefowi. – Przeczytałam pół Internetu i obejrzałam masę filmów, wydaje mi się, że znam ten szlak jak własną kieszeń. Nic nam nie grozi. Trzeba tylko ostrożnie stawiać kroki i mieć kask – dodała z przekonaniem.

– Najpierw wstąpimy do domku, w którym Zawadzka wynajęła pokój. Może uda nam się dowiedzieć czegoś więcej niż to, co wyciągnęła z gospodyni policja. Miej oczy i uszy szeroko otwarte.

Widok Zakopanego rozculił Monikę. Górskie chatki z misternymi zdobieniami, dziewiętnastowieczne wille, nowoczesne pensjonaty i tłumy ludzi. Miłośnicy górskich wędrówek z plecakami, latarkami i odpowiednimi butami i bogaci turyści w eleganckich strojach, którym wystarczą zniewalające krajobrazy. A nad tym wszystkim potężny Giewont, czuwający nad miastem. Tak zapamiętała Zakopane przed kilkoma laty i tak wyglądało obecnie. Nic się nie zmieniło.

– Dlaczego wybrała właśnie to miejsce? – spytała, gdy stanęli przed dwupiętrowym domkiem ze strzelistym dachem, w którym nocowała Zawadzka. Było to typowe dla Zakopanego miejsce, gdzie przyjezdni za rozsądną cenę mogli wynająć maleńki pokój z łazienką.

Przywitała ich kobieta koło sześćdziesiątki, dość tęga i szorstka w obejściu jak na kogoś, kto utrzymuje się z wynajmu pokoi.

– Policja wypytywała mnie ze trzy razy o tę dziewczynę. Co mogę więcej powiedzieć – mówiła. – Zwykła miastowa, w kurtce i jeansach. Chyba miała trampki. Zapytała, ile za pokój, zapłaciła za jedną dobę i tyle.

– Widziała pani, jak Magda wychodziła rano?

– Nie. Sprawdziłam koło dwunastej, że pokój jest pusty, i wysprzątałam go. U nas doba trwa do jedenastej – wyjaśniła.

– A czy podczas sprzątania zwróciła pani uwagę na coś szczególnego? – spytała Monika.

Góralka spojrzała na nią poirytowana.

– Nie wyczyściła ubikacji po sraniu. To pomoże w śledztwie? – burknęła.

– Czy moglibyśmy obejrzeć pokój, w którym spała Monika? – poprosił Kowal.

– Tak. Tylko proszę nie nabałaganić, żebym nie musiała sprzątać – zgodziła się niechętnie, po czym zaprowadziła gości na poddasze do małego pokoiku z łazienką. Mieściły się w nim tylko łóżko, mały stolik i wąska szafa. Również łazienka była tak ciasna, że kiedy usiadło się na sedesie, kolanami dotykało się umywalki.

– Goście zostawiają klucz w drzwiach i po prostu odjeżdżają – poinformowała kobieta. – Wy też tak zróbcie, jak skończycie. Mam kupę roboty – dodała, po czym zeszła schodami do piwnicy, gdzie znajdowała się jadalnia dla gości i kuchnia.

– Przeszukaj pokój dokładnie – powiedział Kowal i zdał sobie sprawę, jak niedorzecznie to zabrzmiało. Bo niby co takiego mogli znaleźć na dziesięciu metrach kwadratowych?

Przejrzeli niewielki pokój, wyszli nawet na balkon obity drewnem, z którego rozciągał się piękny widok na góry. Pewnie dlatego pensjonat, mimo skromnych warunków, ściągał mnóstwo turystów. Monika zwróciła uwagę na napisy, które pozostawili po sobie goście. Znalazły się klasyczne teksty w stylu „Nie było mnie tu, syn Tony'ego Halika” czy „Sanok 2020”. Jeden zdawał się stosunkowo świeży, co więcej składał się z sekwencji liter i cyfr: „A1B2C3”, zakończonej wielokropkiem.

– I co? Masz jakiś pomysł? – spytała Monika.

– Nic tu nie znajdziemy – stwierdził. – Chodźmy, przed nami długi dzień.

Zgodnie z życzeniem gospodyni zostawili klucz w drzwiach i wyszli bez pożegnania. Zapachy unoszące się po pensjonacie przypomniały im, że nic dziś nie jedli poza hot dogami na stacji.

– Też jesteś głodna? – spytał dla formalności.

– Jeszcze jak. Tylko nie oscypki, śmierdzą mi skarpetą.

– Poszukamy czegoś szybkiego i taniego, potem jedziemy do Palenicy Białczańskiej. Jesteśmy umówieni z przewodniczką na piętnastą. Jesteś gotowa?

– Witaj, przygodo – zawołała Monika, ale swoim udawanym entuzjazmem nie zwiodła Kowala, który od rana widział, że dziewczyna jest dzisiaj bardzo spięta.

Na parkingu odnaleźli przewodniczkę, była nią dwudziestoparoletnia dziewczyna z czarnymi włosami splecionymi w warkocz. Miała na sobie czarny polar i obcisłe fioletowe spodnie. W ręku trzymała duży plecak z niezbędnym wyposażeniem.

– Dzień dobry, Zuzanna Bator – przywitała się. – Proponuję przejść na ty. Taki mamy zwyczaj, będzie też nam wygodniej – zaproponowała.

– Jasne, Leon.

– Monika.

– Jesteście gotowi? – spytała, mierząc ich wzrokiem. – Mam nadzieję, że wiecie, jak trudna jest Orła Perć. Jakie szlaki już przeszliście?

Zapadło krępujące milczenie. Kowal liczył, że Monika wymyśli naprędce jakąś sensowną odpowiedź, choćby mijającą się z prawdą, ale zamiast tego usłyszał:

– Morskie Oko.

– Aha – mruknęła Zuzanna. – Spokojnie, damy radę, ze mną jesteście bezpieczni. – Uśmiechnęła się. – Plan jest następujący, dziś idziemy tylko do schroniska w Dolinie Pięciu Stawów. Jest już późno, ale przed zmierzchem się wyrobimy. Dolina to dobry punkt wypadowy na Orlą Perć. Ale to jutro. Dziś zaprawa.

– Ile czasu zajmie nam przejście Orlej Perci? – Monika spojrzała na buty przewodniczki, aby się upewnić, czy kupiła odpowiedni rodzaj. Wczoraj wieczorem razem z Kowalem wybrali się na szybkie zakupy, ale sprzedawca nie wzbudził ich zaufania. Wyglądał na człowieka, który widząc, że trafił na żółtodziobów, wciska im najdroższe, wcale niekoniecznie najlepsze produkty.

– To zależy, czy przechodzimy całą. Z tego, co pamiętam, wspominałeś o Zamarłej Turni – zwróciła się do Kowala.

– Zgadza się – potwierdził.

– W takim razie proponuję wejście niebieskim szlakiem na Zawrat, tam zaczyna się Orła Perć. Później Mały Kozi Wierch, Zmarzła Przełęcz, Zamarła Turnia, Kozi Wierch i czarnym szlakiem zaczniemy schodzić. Wrócimy Doliną Roztoki, a później już tylko asfaltem na parking – opowiadała z zapalem.

– Czyli ile? – powtórzyła pytanie Monika.

– Przy waszych możliwościach zakładam, że około dziewięciu, jedenastu godzin – odparła. – Wiem, to wyczerpująca trasa – dodała, widząc nietęgą minę Moniki. – Ale wierzcie mi, warto. Ruszajmy – powiedziała energicznie.

Do Doliny Pięciu Stawów prowadził szlak przez urokliwą Dolinę Roztoki z dziką przyrodą, wartkimi strumieniami i potężnym wodospadem Sikławica. I mimo że trasa wymagała od Olgi i Leona morderczego wysiłku, w schronisku oboje przyznali, że było warto.

Noc nie przyniosła potrzebnego odpoczynku, musieli spać na stole, co nie było niczym nadzwyczajnym w miejscu, gdzie kawałek podłogi był cenniejszy niż złoto. Wczesnie rano w dobrych nastrojach, choć kompletnie niewyspani i z pewnymi obawami, wyruszyli szlakiem prowadzącym na Orlą Perc.

– Na razie idziemy bez uprzęży i lonż, założymy je dopiero po Zawracie – powiedziała Zuzanna. – Korzystajcie z chwili, gdy możecie jeszcze swobodnie podziwiać piękno gór. Później każdy krok będzie wymagał maksymalnej koncentracji. – Wyciągnęła rękę i powoli obróciła się wokół własnej osi, jakby bardzo się bała, że Monice i Kowalowi umknie to, co według niej w tej wyprawie jest najważniejsze, góry. Piękne, majestatyczne, otulające, a jednocześnie groźne.

Szli w milczeniu, delektując się tak cennymi momentami spokoju, wiedzieli, że z każdym krokiem zbliżają się do miejsca, które bez krzty litości wystawi na próbę ich odwagę.

– Ciągle nie mogę dojść, dlaczego Zawadzka przyszła akurat tutaj – odezwał się Kowal.

– Nie mam pojęcia – odparła Monika, lekko drżącym głosem. Pnąca się w górę ścieżka, zaczęła dawać im się we znaki. – Mówiła coś o pojedynku.

– No dobrze, ale dlaczego akurat w Tatrach?

– Może z jakiegoś powodu musiała się znaleźć bliżej nieba.

– Góry zbliżają do Boga – wtrąciła się Zuzanna. – Wiele osób podkreśla, że na najwyższych szczytach czują jego namacalną obecność. To mistyczne doświadczenie. Zresztą sami się przekonacie, na Orlej Perci jest wiele miejsc, które wprawiają w ekstatyczny stan. Co nie zmienia faktu, że nawet na sekundę nie można stracić czujności – przypomniała.

Na Zawracie pogoda się załamała i pojawiły się mgły, utrudniające dalszą drogę.

– Idziemy dalej? – Monika już przy podejściu na przełęcz bladła z każdym krokiem.

– Tak. Bywałam tu w gorszych warunkach. Włóżcie uprząże i lonże – poprosiła przewodniczka. – I błagam, każdy krok z maksymalną koncentracją. Zaczyna się szlak jednokierunkowy.

– Magda pewnie szła tą samą drogą. Wspominała coś o przejściu, którego nie może utrzymać, musi to mieć jakiś związek z tym szlakiem – powiedziała Monika, po czym złapała łańcuch. Z otuchą odkryła, że mgła w wysokich partiach gór jest błogosławieństwem, wijące się między nimi szarobiałe kręgi szczelnie zakrywały otaczające ich przepaście.

– Magda wypowiedziała wiele niezrozumiałych słów. Stoczenie walki. Zebranie. Wskazówka. Być może wszystko łączy się z górami, a może nic – odparł oschle.

– Zbliżamy się do Małego Koziego Wierchu, później będzie niebezpieczny Żleb Honoratki, często jest tu mokro i ślisko. Pamiętajcie o uprzążach, jeśli tylko poczujecie się niepewnie, przypinajcie lonże do łańcuchów – poinstruowała Zuzanna. – Rozumiem, że macie do wyjaśnienia ważną sprawę, ale milczenie pomaga w koncentracji – uraczyła ich trafnym spostrzeżeniem i bardzo powoli ruszyli ciasnym przejściem między skałami.

Kowalowi zakręciło się w głowie, przystanął na chwilę i wziął kilka głębokich wdechów, przekonany, że to od zmęczenia. Przez mgłę stracił z oczu Monikę i Zuzannę, spanikowany chciał je zawołać, ale słowa uwięzły mu w gardle, sapał i charczał, próbując wezwać pomoc. Mgła gęstniała, czuł jej wilgoć i zimno, owijała się wokół niego coraz ciaśniej i ciaśniej. Usłyszał urywane głosy, krzyki, a może śmiech, szeptane zaklęcia, błagalne modlitwy.

– Co jest, kurwa – jęknął.

– Leon! – usłyszał wrzask Moniki. Mgła się rozwiała. Ujrzał przerażoną Zuzannę spoglądającą w dół i ramiona lonży napinające się do granic możliwości. Monika osuwała się po skałach, próbując się którejs złapać. Wkrótce zatrzymała się, opierając stopy na potężnym głazie.

– Ratujcie mnie! – błagała.

– Monika, zejść do ciebie i pomogę ci wejść. Na szczęście przepaść nie jest bardzo stroma – starała się uspokoić ją Zuzanna. Wyjęła z plecaka linę, przymocowała do łańcucha i bardzo powoli, skała po skale, schodziła do Moniki.

– Nie patrz w dół – poradziła. – Widzisz te skałki? Staraj się ich chwytać, a stopą szukaj podparcia. Będę za tobą. To naprawdę nie jest wysoko – tłumaczyła łagodnym, opanowanym tonem. – No, dawaj, mała.

Monika położyła drżącą dłoń na skale, uniosła nogę i bardzo powoli ustawiła stopę na niewielkim głazie, poruszała nią, aby się upewnić, czy podpora się nie przechyla.

– Właśnie tak – pochwaliła ją Zuzanna. – Jeszcze dosłownie dwa kroki.

Gdy wróciły całe i zdrowe, Leon przytulił rozdygotaną i szlochającą Monikę.

– Nie dam rady – mówiła w jego ramię. – Mam lęk wysokości.

– Co? I dopiero teraz o tym mówisz? – wybuchł nieoczekiwanie. – A tak chciałaś jechać.

– Żeby cię nie zawieść. – Oderwała się od jego piersi i roztrzęsioną dłonią wytarła łzy. – Dajcie mi chwilę, muszę się pozbierać.

Leon spojrzał Monice głęboko w oczy, rozczerło go jej wyznanie. Dziewczyna z lękiem wysokości zdecydowała się wyruszyć na najtrudniejszy szlak w Tatrach tylko po to, żeby zyskać uznanie w jego oczach.

– Już jesteś bezpieczna. – Przytulił ją ponownie. – Bałem się, że coś ci się stanie.

– Jestem twardsza niż te skały – szepnęła, sycąc się jego bliskością.

Kowal otulił jej twarz swoimi dłońmi, odchylił lekko głowę Moniki i delikatnie pocałował w usta.

– Nie giń mi tu – zażądał, gdy już oderwał się od jej warg.

Monika nic nie odpowiedziała, oszołomiona upadkiem i pocałunkiem Leona.

– Ruszajmy – poprosiła Zuzanna. – Wymieniła lonżę Moniki, komentując, że ma nadzieję, a wręcz pewność, że nie będzie już musiała tego robić.

Po kilkunastu minutach dotarli do Zmarzłej Przełęczy ze słynnym głazem nazywanym „Chłopkiem”. Mgła już dawno rozwiała się na dobre. Widok na południową ścianę Zamarłej Turni przyprawiał o zawrót głowy. Pod Moniką ugięły się nogi. Leon, widząc jej strach, złapał ją za rękę.

– Spokojnie – zareagowała Zuzanna. – Będziemy szli półkami po północnej stronie.

Opuścili przełęcz i zatrzymali się w połowie szlaku biegnącego wzdłuż ściany Zamarłej Turni.

– Nie wiemy, gdzie dokładnie leżała kurtka Magdy. Pod jakimś dużym kamieniem – powiedział Kowal, ostrożnie się rozglądając.

– Czy możliwe, aby ktoś spadł z takiej wysokości i przeżył? – spytała Monika, zerknęła jedynie w dół doliny rozciągającej się u podnóża góry i szybko odwróciła wzrok.

– Gdyby miał na sobie kask i mnóstwo szczęścia, to jest to możliwe, ale mało prawdopodobne.

– A jak z ciałem? Trudno je znaleźć?

– Zimą owszem. Gruba warstwa śniegu znacznie to utrudnia, no i czasem jest po prostu zbyt niebezpiecznie...

– Ale wiosną i latem raczej nie ma opcji, aby ciało się gdzieś tu zawieruszyło? – przerwała jej Monika.

– Na tym odcinku grań jest jednolita, z helikoptera można bez problemu zauważyć człowieka. No i TOPR spokojnie mógłby przeczesać teren, oczywiście przy sprzyjającej pogodzie.

– Rozumiem – zamyśliła się Monika. – A ty co o tym sądzisz? – zwróciła się do Kowala. – Leon? Leon? – powtórzyła.

– Tak? – odezwał się w końcu, potrząsając głową, jakby chciał wyrzucić z niej niechciane myśli.

– Ustalamy, na ile to możliwe, by ciało Magdy wciąż mogło gdzieś tu leżeć. Albo czy w ogóle dziewczyna...

– To szyfr. – Nie dał jej dokończyć. – Monika, ona w liście zaszyfrowała wiadomość. Jak mogliśmy od razu na to nie wpaść – mówił z przejęciem.

– Faktycznie, Olga zauważyła, że niektóre wyrazy zostały nienaturalnie podzielone, pewnie dlatego. – Monika czuła, jak ogarnia ją euforia. Nareszcie przełom. – Pytanie tylko, jak rozszyfrować wiadomość – zagryzła wargi. Wtedy przed oczami stanęły jej litery i cyfry wyryte na balkonie przyległym do pokoju, w którym nocowała Magda.

– Czyżby to miało być aż tak proste? – spytała samą siebie. – Masz ten list?

– Mam zdjęcie w komórce – powiedział. – Ale może znajdziemy lepsze miejsce.

– Popisuję się pod tym obiema rękami – zaaprobowała propozycję Zuzanna.

Zatrzymali się dopiero na Kozim Wierchu. Monika w trakcie wspinaczki, a zwłaszcza przy drabince nad Kozią Przełęczą, zaczęła

odmawiać przeróżne modlitwy, nie pamiętała dokładnie tekstów, więc wymyślała wezwania do przeróżnych świętych, aby doprowadzili ich do samochodu w jednym kawałku. Obiecała też pójść do spowiedzi, pojechać na pielgrzymkę i pościć w każdy piątek. Na szczycie poszukali bezpiecznego miejsca, co nie było proste, i zaczęli rozszyfrowywać list.

Posłużyli się najprostszym kodem, jaki mógł wymyślić człowiek. Zamieniali poszczególne litery na ich cyfrowe odpowiedniki, traktując literę A jako jeden, B jako dwa i tak dalej. Piętnaście minut później uzyskali długi ciąg cyfr.

– I co teraz? – spytała Monika.

– Zaznaczmy miejsca, o których mówiła Olga.

Spojrzeli jeszcze raz na list, by znaleźć wprowadzone przez Magdę odstępy między literami, i zaznaczyli je kreską na ich sekwencji cyfr.

– Mamy.

Kowal zabrał od Moniki telefon i wpatrywał się ze skupieniem w ekran.

– Spójrz, to może być długość i szerokość geograficzna. A te następne cyfry wglądają jak data i godzina, reszty nie potrafię odkodować.

Monika wpisała w Google Maps współrzędne geograficzne.

– To okolice Lasu Zabierzowskiego. Dokładnie krajobrazowy rezerwat przyrody Skała Kmity – powiedziała z zadowoleniem.

– Data jest jutrzejsza, godzina dziesiąta – dodał Kowal, drapiąc się po brodzie.

– Aż taki mamy fart? – nie dowierzała Monika.

– Na to wygląda. O ile dobrze rozkodowaliśmy przekaz – skwitował. – Najwyraźniej przynosisz mi szczęście. – Zaśmiał się.

ROZDZIAŁ 22

Wcześniej

Gabinet rektora Uniwersytetu Humanistycznospołecznego urządzony był skromnie, ale gustownie. W rogu stała kanapa obita ekoskórą, na której zwykł przyjmować gości. Sam zajmował miejsce za dużym dębowym biurkiem z sześcioma szufladami, w których trzymał najprzeróżniejsze przedmioty, które stały się największą tajemnicą uczelni. Pracownicy uniwersytety prześcigali się w wymyślaniu najbardziej barwnych historii na ich temat.

– Zdaje sobie pani sprawę – zaczął rektor, przeglądając pisma z prokuratury – jakie to może mieć konsekwencje dla uczelni.

Grażyna była zmęczona, od trzech dni prawie nie zmrużyła oka. Zaciśnięty ze stresu żołądek nie chciał przyjmować żadnego pokarmu, dlatego jej nieliczne posiłki składały się wyłącznie z kawy i cukru.

– Krzysztof Włodarczyk cudem uszedł z życiem. Poskładali mu rękę, ale nie wiadomo, czy odzyska pełną sprawność. I kiedy, jeśli już. Pani przyjaciółka z Uniwersytetu Warszawskiego, jak się ona nazywała...

– Sylwia Fornel – odpowiedziała Grażyna.

– Właśnie, Sylwia Fornel leży w śpiączce z kiepskimi rokowaniami na wybudzenie. Weronika Kownacka, nasza studentka, trafiła do zakładu psychiatrycznego. Inny student ma złamany nos, a i Martens odniósł

poważne obrażenia. Czy mam wymieniać dalej? Gdyby ktoś zginął, prokurator dobrałby nam się do tyłka tak konkretnie, że pamiętalibyśmy o tym jeszcze przez pięćdziesiąt lat, albo i dłużej.

– Nasze badania szły w dobrym kierunku – próbowała się bronić. – Nikt nie mógł przypuszczać...

– Kto wam pozwolił przekroczyć dozwolone wartości w czujnikach BCI? – zagrział rektor, kładąc, a właściwie rzucając okulary na biurko.

– Wszyscy się na to zgodzili – odparła. – Są dorośli.

– Gównu mnie to obchodzi. To pani, jako opiekun grupy, odpowiadała za bezpieczeństwo testu.

Na podobny argument Grażyna nie miała żadnego wytłumaczenia. Spuściła głowę, gotowa ponieść konsekwencje.

– Policja nie postawi pani zarzutów, bo wszyscy podpisali klauzulę, że zgadzają się na ryzyko negatywnych skutków związanych z testami. Te papierki uratowały pani tyłek, i mój zresztą też.

– Osiągnęliśmy zadowalające rezultaty eksperymentu – powiedziała cicho.

– Przypominam, że mówi pani o eksperymencie, podczas którego grupa studentów ledwie uszła z życiem. Kilka osób ma trwały ubytek na zdrowiu fizycznym i psychicznym. Nawet do końca nie wiadomo, jaki wpływ na ich życie będzie miało to wydarzenie. Już widzę wnioski do sądów cywilnych, w których w rodzice oskarżają uczelnię o zaniechanie. I co najgorsze, będą mieli rację. Jakie odszkodowania będzie musiał wypłacić uniwersytet? Gazety już się rozpisują na nasz temat. Zniszczyłyście reputację uczelni, kto teraz do nas przyjdzie? Czy urządzając całe to przedstawienie, pomyślała pani choć raz o konsekwencjach?

– Pani profesor Aldona Lorens była informowana o przebiegu eksperymentu – przypomniała Grażyna.

– I pani profesor wyraziła zgodę na przekroczenie bezpiecznej granicy natężenia fal elektromagnetycznych w czujnikach BCI? – Każde słowo wypowiadał powoli i głośno, aby dać do zrozumienia, na jak głupi według niego krok zdecydowały się doktorantki. – Jestem zmuszony usunąć panią z naszej uczelni.

Nie protestowała, wiedziała, że tak to się skończy, czekała tylko na ogłoszenie werdyktu. Będzie cudem, jeśli za jakiś czas nie dostanie z sądu pisma z pozwem złożonym przez rodziny studentów poszkodowanych w trakcie testów. Policja wciąż prowadziła dochodzenie, które miało wyjaśnić przyczyny tragicznego w skutkach finału eksperymentu.

– Proszę zabrać swoje rzeczy i podbić obiegówkę – zakończył rektor.

Grażyna opuściła gabinet i z ciężkim sercem przemierzała korytarz do pokoju asystentów, aby spakować swoje rzeczy. Postanowiła skopiować dokumentację z przebiegu prowadzonych badań, wzory wyprowadzone przez Sylwię, a także zgrać filmy. Włożyły zbyt dużo pracy w eksperyment, aby jego wyniki miały przepaść w archiwach uczelni.

Gdy opuściła uniwersytet, pierwsze kroki skierowała wprost do szpitala, w którym leżała Sylwia. Widok ukochanej leżącej pod aparaturą podtrzymującą życie nappełnił ją poczuciem winy. W końcu to ona zdecydowała się na użycie prądu. Przez te trzy dni wymyślała miliony różnych scenariuszy minionego wydarzenia, nie zwiększała w nich natężenia, szybciej dostrzegała, co dzieje się z Sylwią, nie wpuszczała innych studentów poza uczestnikami badań i przede wszystkim nie razila Sylwii prądem. Niestety nie mogła cofnąć czasu, zresztą nie miała pewności, czy każdy inny scenariusz nie zakończyłby się podobnie dramatycznie albo jeszcze gorzej.

– Przepraszam cię, najdroższa – powiedziała, patrząc na rurki, które pozwalały Sylwii oddychać. – To ja cię tak załatwiłam. Skąd miałam wiedzieć? – zaszlochała.

Trwała przy najbliższej jej sercu osobie jeszcze przez wiele długich minut. Odtwarzała przebieg badań z najdrobniejszymi szczegółami, jakie zdołała wygrzebać z pamięci. Gdzie popełniły błąd?

W głowie huczały jej słowa lekarza, który oschle informował, że dla stanu Sylwii najistotniejsze będą pierwsze dni. Wtedy szansa na wybudzenie się ze śpiączki jest największa. Po tygodniu zmniejszała się o trzydzieści procent, a po miesiącu... cóż, każdy wie, jak niewiele osób się wybudza. Dopierała trzymała się nadziei, że jej ukochana wyrwie się z bezlitosnych objęć komy. Rodzice Sylwii nie żyli, nie miała rodzeństwa, kto miałby się zająć kwestiami formalnymi, gdyby po upływie pół roku nadal musiała być hospitalizowana? Po tym czasie należało ją przenieść do wyspecjalizowanego ośrodka, gdzie czekałaby na wybudzenie ze śpiączki. Niestety państwo nie refinansowało całego kosztu pobytu pacjentów w podobnych zakładach. Część pieniędzy pochodziła najczęściej od rodzin chorych. Bywało również tak, że nie miał kto płacić. Długi pacjentów leżących w śpiączkach były tak ogromne, że miały one istotny wpływ na decyzje konsyliów lekarskich orzekające o odpięciu leżącego od aparatury podtrzymującej życie. Oczywiście formalne raporty lekarskie mówiły o nikłych szansach na wybudzenie pacjenta z komy, o bardzo długim braku reakcji na bodźce i inne zawile medyczne sformułowania, które miałyby uzasadnić przerwanie czyjegoś istnienia. Nikt głośno nie mówił, że tak naprawdę chodzi o pieniądze.

ROZDZIAŁ 23

Leon wszedł do szpitala na wdechu. To był jego sposób na uniknięcie brutalnego ataku drażniącej go woni środków higienicznych, która od zawsze wywoływała u niego mdłości. Pędem przemierzał korytarz, aby jak najszybciej dotrzeć do pokoju, w którym przebywał Marian. Poczł, że kręci mu się w głowie, oparł się o ścianę, aby uniknąć upadku. Spojrzał przed siebie, obliczając, ile jeszcze metrów dzieli go od właściwego pomieszczenia. Zacisnął pięści i ruszył dalej, próbując oddychać tak płytko, jak to tylko możliwe. Gdy dotarł do celu, nacisnął klamkę i zajrzał do środka. Zobaczył jakąś kobietę, najprawdopodobniej pielęgniarkę, która pochylała się nad łóżkiem pacjenta. Wszedł do wnętrza i rozejrzał się po sali. Miał wrażenie, że pokój brata wygląda inaczej niż ostatnim razem, na pewno jest większy. Może go przenieśli? Ale w takim razie, skąd wiedział, gdzie iść? Podszedł do pielęgniarki, która wydała mu się znajoma, i nie mogąc się powstrzymać, zajrzał pod krótką spódnicę. Kobieta nie miała bielizny, poczuł rosnące podniecenie, wtedy pielęgniarka odwróciła się i spojrzała mu w oczy.

– Co ty tu robisz? – spytał zdziwiony.

Monika złapała Leona za rękę i zaprowadziła do stojącego pod ścianą biurka, podobnego do tego, przy którym pracował jako policjant. Wskoczyła na blat, rozpięła pasek Leona i zsunęła jego spodnie, razem z bokserkami. Złapała go za plecy i pociągnęła do siebie. Gdy nabrzmiały

członek dotknął jej mokrej pochwy, położyła się na biurku i nogami oplotła biodra Leona.

Kowal wszedł w nią gładko i mocnymi pchnięciami doprowadzał oboje do niewyobrażalnej rozkoszy. Nagle zwrócił uwagę na pacjenta znajdującego się w sali. Rozpoznał w nim brata, choć to coś leżące na łóżku w niczym go nie przypominało. Pacjent miał obrzydliwie chudą twarz ze skórą naciągniętą niczym pergamin na kości policzków i brody. Rozorane wargi zwisały bezładnie, jakby za chwilę miały odpaść, za nimi zaś sterczały fragmenty zgniłych zębów. Kowal nie miał wątpliwości, że widzi przed sobą ciało w stanie rozkładu.

– Braciszku, co oni ci zrobili? – załkał, odsuwając się od Moniki.

– Kiepsko mnie tu żywią – wydusił ledwie słyszalne słowa. – Ta suka nie daje mi nic do jedzenia, bo sama wszystko zżera. A potem chce się tylko pieprzyć. – Zacharczał.

Kowal otworzył oczy, uniósł głowę i rozejrzał się po pokoju. Odetchnął z ulgą, bo zdał sobie sprawę, że miał koszmar. Przez zasłonki przedzierało się światło, a z korytarza dobiegały odgłosy krzątających się gości hotelu, co oznaczało, że do życia budził się nowy dzień. Na drugim łóżku Monika przekręcała głowę z boku na bok i mamrotała:

– Różnij mnie mocniej. Nie patrz na tego zgniłka, nie dorasta ci do pięt. Zresztą już mi się znudził. To na ciebie mam zlecenie.

Czy to mogła być prawda? Czyżby śnił się jej ten sam sen?

– Monika, zbudź się – powiedział, łapiąc ją za ramię.

Drgnęła pod jego dotykiem i gwałtownie otworzyła oczy.

– Gdzie ja jestem? – spytała, po czym przypomniała sobie, że wczoraj w nocy wynajęli pokój w podkrakowskiej miejscowości. W zasadzie wynajęli dwa osobne, ale po godzinie właścicielka błagała ich, czy mogliby się przenieść do innego, ponieważ pomyliła się, rezerwując miejsca dla

jakiejs pielgrzymki, i brakuje jej kilku miejsc. Kowal stwierdził, że skoro wszyscy święci, których Monika błagała o przychylność na Orlej Perci, wypełnili wzorowo swoje obowiązki, to teraz ona powinna im się odwdzińczyć i ustąpić miejsca strudzonym pielgrzymom. W taki sposób wylądowali razem w ciasnym pokoju, za co Monika po cichu jeszcze raz podziękowała świętym.

– Boże, ale posrany sen – powiedziała, podnosząc się z łóżka. Miała na sobie cieniutką piżamę, przez którą prześwitywały jędrne piersi. – Możesz się odwrócić? Chcę się przebrać, a wolę nie wychodzić na korytarz w tym stroju.

– Jak muszę.

– Musisz, musisz, no już – ponagliła go. – Nie zapominaj, że od dwóch dni jestem przyjaciółką twojej żony. – Uśmiechnęła się zawadiacko.

– No tak – westchnął. Odsunął się od łóżka i podszedł do okna. Słyszał za plecami szelest ubrań wkładanych przez Monikę, odgiął zasłonkę i wpatrywał się w widok za oknem, usilnie odpychając natrętnie powracające sceny z dzisiejszego snu.

– Gotowa – oznajmiła.

Przewiewną piżamkę zastąpiła białą bluzką i czarnymi legginsami.

– Jak już wspomniałam. Miałam dziwny sen. – Monika nie zamierzała odpuścić temu. – Zresztą śni mi się nie pierwszy raz.

– Też miałem dziwny sen – odparł. – Chyba podobny. Albo identyczny – poprawił się.

– I co? Podobało cię się?

– Podobało – przyznał. – Ale wolałbym, żeby się nie ziścił – dodał, gdy przypomniał sobie brata.

– Która godzina? – spytała Monika, widząc nagle rozdrażnienie Leona.

– Siódma. Lepiej ruszajmy, nie wiadomo, co jeszcze nas dziś czeka. Kawę kupimy na stacji benzynowej.

Jechali przez rezerwat przyrody Skala Kmity, z niecierpliwością oczekując, aż dotrą na miejsce wyznaczone przez nawigację. Było nieco po ósmej, kiedy na ekranie telefonu pojawił się zakręt w lewo prowadzący do zamkniętej części lasu. Kowal zatrzymał się na poboczu i wysiadł z samochodu. Podeszedł do tabliczki stojącej przy szlabanie zagrażdżającym wjazd i przeczytał :

– „Teren Lasów Państwowych zakaz wstępu”.

Uniósł rogatekę w górę i wrócił do auta.

– Jakiś leśniczy nas nie przegoni?

– Najwyżej nas przegoni. Zamkniemy szlaban, jak przejadę – odparł.

Przedzierali się przez leśne ostępy z żółtym tempem. Droga, choć całkiem przyzwoita jak na las, miała sporo dziur i kolein, co zmuszało do powolnej jazdy.

– Dobrze, że wcześniej wyjechaliśmy – przyznała Monika. – GPS wskazuje, że do celu jeszcze trzy kilometry.

Nawigacja doprowadziła ich do polany otulonej gęstymi zaroślami i wysokimi drzewami.

– Spójrz, tam jest jakaś chata. Pewnie leśniczówka – zgadywała Monika.

– I kilka samochodów. Tak mi się wydawało, że przed nami musiał ktoś jechać – powiedział Kowal.

Zaparkował auto kilkanaście metrów od domku, obok innych pojazdów. Wysiadł i rozejrzał się. Na skraju polany stał sporej wielkości drewniany domek ze spadzistym dachem i kominem. Miał okiennice i stare rzeźbione drzwi z kołatką. Do jednej ze ścian przylegała niewielka dREWUTNIA.

Zmierzając do chaty, zauważyli, że między drzewami coś się porusza. Kowal pewnym ruchem schwytał Monikę za rękę i pociągnął dziewczynę za sobą. Schowali się za boczną ścianą domku i obserwowali, co dzieje się w lesie. Kilka osób w ciemnozielonych kombinezonach oraz maskach na twarzach przemieszczało się między pniami drzew, chowało w gęstwinach i strzelało do siebie plastikowymi kulkami z farbą.

– Paintball – zauważyła Monika.

– Nie inaczej – zgodził się Kowal, któremu wyraźnie ulżyło.

W pewnym momencie jeden z uczestników bitwy opuścił las i wyszedł na polanę, trzymając rękę w górze.

– Dostałem, odpadam – krzyknął do pozostałych. Wtedy Kowal wyskoczył z domu i popędził w stronę mężczyzny. Wyrwał mu pistolet do paintballa, po czym zanurkował w zaroślach. Po kilkudziesięciu minutach na polanie siedziało już parę osób, które zostały postrzelone pociskami z farbą, a Leon wciąż się nie pojawiał. W końcu, dostojnym krokiem, wyłonił się lasu. Nie miał na sobie ani grama czerwonej farby. Monika wybiegła z za ściany i dołączyła do osób zgromadzonych na polanie.

Niski, muskularny mężczyzna z brodą sięgającą klatki piersiowej zdjął maskę i przywitał się z Moniką i Kowalem. Miał łysą głowę, przez której środek biegł pięciocentymetrowej szerokości tatuaż.

– Dobrze, że jesteście. Zapraszam do środka. – Dłonią wskazał na drzwi. Sam zdjął kombinezon i razem z maską wrzucił do drewni, pozostali amatorzy paintballa zrobili to samo.

– Śmiało, śmiało – ponaglił ich.

Detektywi wymienili zdezorientowane spojrzenia i ruszyli za brodaczem. Wewnątrz chaty było tylko jedno duże pomieszczenie, pachnące malinami i suszonymi owocami. Przy ścianie stał piec z żeliwną

plytą, na której w trzech dużych garnkach bulgotały jakieś napary. Na środku zaś ustawiono połączone ze sobą trzy duże stoły nakryte białym obrusem. Jakaś chuda kobieta krzątała się po pokoju, co jakiś czas wracając do garnków i mieszając ich zawartość drewnianą łyżką. Wszyscy zasiedli za stołem i skupili się na przybyszach. Była tam starsza pani w czerni, obok niej siedziała około trzydziestoletnia dziewczyna z włosami zaplecionymi w warkocze i piegami na nosie, a dalej trzech mężczyzn przypominających urzędników. Mieli zakola i brzuszki. Pot spływający po ich czołach był dobitnym znakiem, że gra w paintballa musiała ich mocno zmęczyć.

– Siadajcie – powiedział brodac. – Jestem Gienek Rozchwat, wróżbita.

– To Monika Wójcik, a ja jestem... – Kowal nie zdążył skończyć, gdy Rozchwat wszedł mu w słowo.

– Wiem, kim jesteście. Jesteście najważniejszymi gośćmi dziesiątego sabatu.

– Czego, przepraszam? – Monika zdębiała.

– Nigdy nie słyszeliście o sabacie? Zlocie czarownic, wróżbitów i innych osób ze zdolnościami parapsychicznymi?

– Owszem, słyszeliśmy – odparł lekceważącym tonem Kowal. – Ale sądziliśmy, że to raczej legendy.

– Faktycznie, dawno żadnego sabatu nie organizowaliśmy. Kiedy był ostatni? – zwrócił się do kobiety w czerni, która bez wątpienia była najstarszą uczestniczką spotkania.

– W tysiąc dziewięćset czternastym – powiedziała. – To w tym roku zdaniem Świadków Jehowy Chrystus miał powrócić na Ziemię i zniszczyć świat pogan. A tamto pokolenie miało nie przeminąć, tylko żyć wiecznie na przeminionej przez Chrystusa Ziemi.

– Na szczęście władze Strażnicy zarzuciły tę doktrynę w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym roku – uzupełniła piegowata

dziewczyna.

– Przedstawiam wam Krystiana Zochaja, Filipa Czerwonaka, Janinę Piętę, Edwarda Tryta i Malwinę Białowąs. – Rozchwat wskazywał kolejne osoby, z których Monika zapamiętała dwa, może trzy nazwiska.

– Co wyście tam robili? – spytał Kowal.

– Jak to co? – zdziwił się Rozchwat. – Ćwiczyliśmy przed nieuchronnym Armagedonem. Hartujemy nasze ciała i umysły na trudny czas, który nieuchronnie nadejdzie.

– Survival to nasze drugie imię – powiedział Filip, klepiąc się po obfitym brzuchu.

– Daleko nam jednak do twoich umiejętności strzeleckich. Rozwaliłeś nas jak dzieci – przyznał Rozchwat.

– Trochę mnie poniosło. – Kowal speszył się pochwałą. – Jak zobaczyłem broń, nie mogłem się opanować. Dawno nie byłem na strzelnicy, nie mówiąc już o walce w terenie.

– Macie jakąkolwiek wątpliwość, że mamy przed sobą wybrańca? – Rozchwat popatrzył na zgromadzonych przy stole.

Wszyscy pokiwali głowami z aprobatą.

– Kim wy jesteście? – spytał z uśmiechem Kowal.

– Krystian jest światowej sławy medium, jednocześnie jest znanym fizykiem kwantowym, profesorem w Instytucie Fizyki Teoretycznej i Astrofizyki Uniwersytetu Gdańskiego. Filip to wróż bita, ma tyle roboty, że musi kupować kalendarze rok do przodu. Jego głównymi zleceniodawcami są policjanci, również ci z zagranicy. Został także obdarzony zdolnościami telepatycznymi.

– Najczęściej szukam zaginionych albo ich ciał – wtrącił Filip.

Monika od razu spojrzała na Kowala, podniosła wysoko brwi i skrzywiła usta.

– Sabat? – szepnęła.

– Siadajcie – jeszcze raz poprosił Rozchwat. – Raczcie się, czym chata bogata. Zaraz przyjadą pozostali uczestnicy i zaczniemy obrady. Matylda przygotowała dla nas prawdziwą ucztę. – Wskazał na kobietę, która krzątała się przy garnkach i nie brała udziału w paintballu.

– A ty kim jesteś? – spytała Monika.

– Na co dzień prowadzę firmę zajmującą się wylewaniem posadzek żywiczych. A ponadto jestem wróżbitą i prezesem Polskiego Związku Parapsychicznego – powiedział z dumą w głosie. – Zazwyczaj mówimy o sobie Parapsychiczni, żeby było krócej.

Kowal i Monika usiedli za stołem i nalali sobie wody do szklanek. Matylda doniosła jeszcze dzbanek z czerwonym naparem, który wyglądał jak sok, a następnie wróciła do garnków, mieszając drewnianą chochlą wywary gotujące się na piecu.

– To pozwoli wam się rozluźnić – zachęcił ich do picia Rozchwat. – Mamy trochę czasu, pewnie macie sporo pytań.

– Tak, ja mam jedno zasadnicze – wyrwała się Monika. – Czy to nie jest żart?

Janina Pięta, kobieta w czerni, która z długim, krzywym nosem i brodawką na policzku naprawdę wyglądała jak czarownica, przypatrywała się przez chwilę Monice i Kowalowi, po czym rzekła:

– Najpierw wy odpowiedzcie nam na pytanie. Jak ocenicie to, co wam się ostatnio przytrafiło? – Nie poczekała na odpowiedź i kontynuowała: – Przychodzi do was Rozner i prosi o odnalezienie dziewczyny, która zginęła w górach, niedługo po tym, jak miała wizję na kole młyńskim, że siedzący przed nią mężczyzna popełni samobójstwo. Twój brat – zawiesiła głos i wpatrzyła się w Leona. – Wspomina o Honoracie. Gdy tylko udało wam się coś o niej dowiedzieć, słyszycie również, że popełniła samobójstwo.

Podczas spotkania z Rozchwiejem, ten umiera na waszych oczach. I do tego sny.

Milczeli. Skąd Janina wiedziała o przebiegu ich śledztwa? Mieli tylko znaleźć ciało Magdy, Kowal w ogóle nie brał pod uwagę, że dziewczyna mogła przeżyć, tymczasem dotarli do chaty skrytej w rezerwacie, a kobieta, która uważa się za czarownicę, opowiada im historię sprawy Zawadzkiej. Rozmowie przysłuchuje się grono osób ze zdolnościami parapsychoicznymi.

– Odpowiadając na twoje pytanie – przerwała ciszę Janina. – Nie. To nie jest żart.

Matylda przyniosła kolejny dzbanek, tym razem z fioletowym wywarem. Rozchwat rozlał go do szklanek i wręczył uczestnikom sabatu.

– Co tym razem dla nas uwarzyłaś? – zaciekawiał się Krystian.

– To niespodzianka – odparła Matylda z uśmiechem. – Spróbujcie i podzielcie się odczuciami.

– Matylda jest mistrzynią zielarstwa, choć czasem mam wrażenie, że próbuje nas otruć – zażartował Rozchwat.

Zebrani skosztowali trunku, również Leon i Monika nie odmówili. Smakował jak kompot z suszu, tylko o intensywniejszym aromacie, i przede wszystkim stawiał na nogi skuteczniej niż mocna kawa.

– Dobrze. I kopie. – Monika doceniła pobudzające działanie napoju.

Degustację przerwało głośnie pukanie do drzwi.

– O, mamy kolejnych gości – powiedział Rozchwat. Otworzył drzwi i szeroko rozłożył ramiona. – Adrian – wykrzyknął, złapał przybysza w objęcia i wysoko podniósł. Gdy zwolnił uchwyt, niskorosły mężczyzna z bandaną w trupie czaszki uśmiechnął się do osób zgromadzonym w chacie.

– Adrian, światowej sławy telepata – przedstawił gościa, prowadząc go do stołu.

– A poduszka? Geniek, gdzie twoje maniery? – udał oburzenie Adrian.

Rozchwat natychmiast przyniósł poduszkę, dzięki czemu jego przyjaciel mógł wygodnie zająć miejsce przy stole.

– Właśnie opowiadamy Monice i Kowalowi, w jakim celu się tu dziś zgromadziliśmy – powiedziała Janina.

– Spotykamy się częściej – nadmienił Adrian. – Ale nigdy na sabacie. Ten zostawiamy sobie na szczególne okazje.

– To, co tu usłyszycie, może nie do końca zgadzać się z waszym pojmowaniem świata – uprzedziła.

– Ostatnie wydarzenia solidnie nas do tego przygotowały – stwierdził Kowal.

– Słyszeliście zapewne o równoległych światach, wieloświecie czy alternatywnych rzeczywistościach – zaczęła Janina. – Różnie to nazywają.

– Fizycy kwantowi są zgodni, że istnieje coś takiego jak wieloświat – włączył się Krystian. – Nasza rzeczywistość najprawdopodobniej jest jedenastowymiarowa, tylko że nasze zmysły radzą sobie zaledwie z czterema. Reszta wymiarów skurczyła się do mikroświatów. Zauważcie, że ludzie od tysiącleci uprawiali różnego rodzaju magię. Dziś mówimy o parapsychologii. I choć nadal przeciętnemu człowiekowi trudno zrozumieć zjawiska paranormalne, z pomocą przychodzi fizyka kwantowa.

– Ponoć daleko nam jeszcze do jej zrozumienia – przypomniał Kowal.

– Prawda – zgodził się Krystian. – Na szczęście wielkimi krokami zbliżamy się do momentu, kiedy światy nauki, parapsychologii czy nawet religii i mistycyzmu zderzą się ze sobą i odkryją, że są jednością.

– Wróćmy do światów równoległych – poprosiła Janina. – Nie mamy całego dnia, żeby tłumaczyć naszym gościom zawilosci fizyki kwantowej. Niedługo dotrą pozostali członkowie naszego stowarzyszenia. Wiemy,

jakim jesteś gadułą. Możesz godzinami rozprawiać o tych swoich kwarkach.

– Krystian, spróbuj łopatologicznie wyjaśnić naszym gościom, czym jest jedenaście wymiarów – zasugerował Rozchwat. – Bez podstawowej wiedzy trudno będzie im pojąć to, co chcemy im przekazać.

Profesor napił się wody i wstał od stołu. Dopiero teraz Monika zauważyła, że miał protezę dłoni. Często chował ją do kieszeni, jakby wstydził się niepełnosprawności.

– Mój wywód może być mętny, dlatego przerywajcie mi, kiedy będzie trzeba coś powtórzyć – ustalił Krystian. – Chyba wszyscy rozumiemy trzy wymiary. I czwarty. Czas.

– To, kim byliśmy minutę temu, nie jest tym samym, kim jesteśmy teraz – upewniła go Monika, że na razie wszystko jest jasne.

– Teraz uwaga. – Podniósł palec sprawnej ręki. – Ponieważ zostaliśmy stworzeni do życia w trzech wymiarach, czas jest dla nas tworem w jakimś stopniu abstrakcyjnym, trudniejszym do uchwycenia.

– Einstein dowiódł, że czas jest wymiarem, co więcej, jest skalowalny i zmienny w zależności od prędkości poruszającego się obiektu. – Kowal udowodnił, że profesor nie ma do czynienia z kompletnym ignorantem.

– Brawo. Właśnie tak jest. Widzę, że będzie mi łatwiej, bo dużo już rozumiecie – ucieszył się Krystian. – A teraz wyobraźcie sobie kogoś, kto żyje w czterowymiarowym świecie bez czasu. Będzie on widział moment od naszych narodzin do śmierci jako jedną linię z wieloma klatkami z naszego życia. To jakby rozwinąć te klatki filmu na rolce i widzieć je w jednym czasie.

– Czyli dla osoby w czwartym wymiarze czas jest kolejną zmienną, jak długość czy szerokość?

– Dokładnie – potwierdził. – Wszyscy wiemy, że dla nas czas miał swój początek wraz z Wielkim Wybuchem.

– Dobrze, choć to zawile, to jesteśmy w stanie wyobrazić sobie czterowymiarowy świat. A co z kolejnymi wymiarami? – Kowal skrzyżował ręce na piersi.

– Dodam tylko, że niezrozumienie wyższych wymiarów niż te, w których żyjemy, idealnie obrazuje wstęga Möbiusa – odezwał się Rozchwat. – Płaszczak poruszający się po wstędze, jak po autostradzie, nie miałby pojęcia, że tak naprawdę jest w trzecim wymiarze. Dla niego droga nieustannie prowadziaby prosto, aż do punktu początkowego, który jest również metą. Dopiero obserwator w trójwymiarowym świecie zauważyłby, że tak naprawdę płaszczak poruszał się w trzecim wymiarze. To dlatego naszym zmysłom tak trudno jest zrozumieć wyższe wymiary.

– Dzięki. Idziemy dalej. Weźmy na przykład życie pojedynczej osoby jak Adrian. W każdym momencie nasz przyjaciel ma mnóstwo możliwości wyboru, jednak z jakiegoś powodu decyduje tak, a nie inaczej. To wcale nie znaczy, że te alternatywne wybory przestały istnieć. To, na co się zdecyduje, istnieje jednocześnie z setkami możliwości, które odrzucił. A zatem piąty wymiar to nieskończona ilość możliwości, jakie daje życie w czterech wymiarach – ciągnął Krystian. – Rozumiecie?

– Tak, proszę mówić dalej – powiedział Kowal. – Zanim się zgubimy.

– Szósty wymiar stanowi wszystkie warianty wszechświata, jakie mogą istnieć od Wielkiego Wybuchu aż do końca czasu tego wszechświata.

– A siódmy? – zainteresowała się Monika.

– Teraz po prostu musimy wyskoczyć z naszego wszechświata i wyobrazić sobie inny, który również ma sześć wymiarów – wytłumaczył Krystian.

– Czy zatem ósmy wymiar to wszystkie warianty możliwych wszechświatów? – spytała.

– Nie inaczej. Natomiast dziesiąty wymiar to możliwość przeskoczenia z jednego wybranego wszechświata do dowolnego innego. To trochę podobnie jak obserwacja przeszłych i przyszłych wydarzeń w czterowymiarowej przestrzeni. Pamiętacie porównanie do filmu? Dziesiąty wymiar to taka klisza z wszystkimi wszechświatami. Teoria strun głosi, że struny wibrują w dodatkowym, jedenastym wymiarze i oddziałują na każdy poniższy wymiar. To jakby spoiwo dziesięciu wymiarów. Skończymy jednak ten przydługi wywód. – Uśmiechnął się. – Powiedziałem wam to wszystko po to, by nakreślić, czym się zajmujemy. Próbuje wyczuć wibrację jedenastego wymiaru, aby odkryć pole, jakim oddziałuje na naszą rzeczywistość.

– Teraz dowiemy się, dlaczego zwołano ten sabat? – Kowal przed ostatnim słowem zrobił krótką pauzę, wciąż nie mogąc się przyzwyczaić do kuriozalnej sytuacji.

– Nasz mózg jest rodzajem portalu między światami. Każdy z nas czuje czasami jakąś mistyczną moc – odpowiedział Rozchwat. – Jedni utożsamiają ją z religią, inni z filozofią. Każdy ma po części trochę racji. Nasz mózg ma zdolność zarówno wpływania na inne wymiary, jak i odbierania oddziaływania innych wymiarów.

Kowal przypomniał sobie wczorajszą wyprawę w góry, jak wydawało mu się, że zgubił się pośród mgieł. Albo gdy czuł przechadzające się zło przy zwłokach Rozchwieja.

– Tak. Zostałeś wybrany – zwrócił się do niego Rozchwat. – Jesteś ważną częścią tego, co obecnie dzieje się na świecie.

– A co się dzieje? – chciała uściślić Monika.

– Zwykle światy się nie przenikają, poza oddziaływaniem na komórki naszych mózgów. Jednak jakiś czas temu na świecie wydarzyło się coś naprawdę niedobrego. Nieprawdopodobnie silne medium znalazło sposób, aby otworzyć przejście do innego świata.

– Przejście? – powtórzył Kowal.

– Ktoś znalazł sposób, aby przedrzeć się z innego świata do naszego – powiedziała dobitnie Janina.

– Ktoś?

– Poza światami, które są bardzo podobne do naszego, istnieją światy zamieszkiwane przez istoty przeniknięte złem.

– Takie, gdzie nasze alter ego jest złym człowiekiem?

– Nie. – Pokręciła głową. – To światy, w których istnieją złe siły, które my nazywamy duchami, demonami czy diabłami. Te twory wypełniają przestrzeń grozą i okrucieństwem. Sieją smutek, samotność i gorycz. Nienawidzą i chcą być nienawidzone. I jeśli tylko znajdą możliwość przeniknięcia do innego świata, natychmiast korzystają z takiej okazji.

– Co to oznacza dla nas? – spytała Monika.

– Siejące zniszczenie zło zapanuje najpierw nad naszymi umysłami, a potem również nad ciałami – odpowiedział Rozchwat. – Demon śmierci chce upodobnić nasz świat do swojego. Jak już wspominałem, znalazł przejście. Przez długi czas trwał uspiiony, ale w ostatnich tygodniach obserwujemy zjawiska, które świadczą, że zło przybiera na sile. Kolejni ludzie stają się bramą do innego świata.

– Kim oni są?

– Zrobiliśmy mały rekonesans. Na Uniwersytecie Humanistycznospołecznym grupa studentów pod przewodnictwem dwóch doktorantek przeprowadziła pewien eksperyment. Nie mamy, co prawda, dostępu do wyników ich testów, ale ostatniego dnia badań doszło

do tragedii. Uczelnia musiała sporo zapłacić, ponieważ sprawę szybko wyciszono, ale z pewnych źródeł wiemy, że doktorantka zapadła w śpiączkę, jedna studentka została zamknięta w szpitalu psychiatrycznym, a kilku innych studentów odniosło ciężkie obrażenia. Podejrzewamy, że przez stymulację mózgu podczas tamtego eksperymentu otworzyli bramę między światami.

– Interfejs mózg-komputer – szepnął Kowal. Nagle elementy układanki zaczęły składać się w całość. – Jak się nazywały doktorantki prowadzące eksperyment?

– Sylwia Fornel i Grażyna Dopierała.

Kowal i Monika spojrzeli na siebie porozumiewawczo.

ROZDZIAŁ 24

Olga Kowal otworzyła oczy. Mimo krótkiej drzemki nadal czuła ćmiący ból w okolicach skroni. Przewróciła się na drugi bok, aby jeszcze odpocząć, kiedy do jej uszu dotarły odgłosy jęków i krzyków. Podniosła się z łóżka i podeszła do drzwi. Gdy je otworzyła, znalazła się na szpitalnym korytarzu. Ruszyła przed siebie, aby znaleźć salę, z której dochodziły zwierzęce okrzyki. Powoli zyskiwała pewność, że słyszy piskliwy głos tej suki Moniki. Z furią przemierzała korytarz, zbliżając się do źródła dźwięków. Wparowała do małego pomieszczenia, w którym jej mąż uprawiał seks z tą małą rozpustnicą. Biurko trzęsło się pod nagim ciałem Moniki, a Leon mocnymi pchnięciami doprowadzał oboje do orgazmu.

– Możesz pakować swoje rzeczy! Nasze małżeństwo to fikcja – krzyknęła Olga.

Zignorował jej słowa, penetrując wilgotne wnętrze Moniki.

– Odpieprz się ode mnie – prychnął. – Ty nigdy się tak dobrze nie różnęłaś – powiedział, po czym wydał z siebie przenikliwy jęk świadczący o przeszywającym jego ciało orgazmie.

Wystraszona Olga oderwała głowę od poduszki i spojrzała na zegarek. Leon nadal był w Zakopanem. Pewnie siedział w hotelu z tą małą dziwką i pieprzył ją na każdy możliwy sposób.

– Nigdy nie byłam dobra w łóżku? A zatem kochałeś się ze mną tylko z małżeńskiego obowiązku? – mówiła do siebie. W przyplywie złości

sięgnęła po telefon i zadzwoniła do Samuela. Odebrał po kilku sekundach.

– Czyżbyś jednak się zdecydowała?

– Gdzie i o której?

– Przyjdź do mnie do mieszkania, wyślę ci adres SMS-em.

Olga przegrzebała szafę i włożyła najseksowniejszą bieliznę.

– Koniec z naszym małżeństwem – zadeklarowała, przeglądając się w lustrze.

Godzinę później była w dwupokojowym mieszkaniu Samuela, który przygotował lekką kolację i otworzył wino. Nie zdążył rozlać go do kieliszków, gdy Olga zrzuciła z siebie czerwoną sukienkę. Jakże wielkie było zdziwienie Samuela, kiedy dostrzegł, że pas trzymający pończochy odsłaniał kobiecość Olgi. Przyłgnęła do Samuela i wpiła się w jego usta. Odrywając na chwilę wargi, zdzierała z niego ubranie. Jęknęła, gdy jej dłoń dotknęła nabrzmiałego członka. Chciała poczuć go w sobie. Rzuciła Samuela na kanapę i usiadła na nim okrakiem, rozkoszując się zagłębiającym się w niej penisie. Jej obfite piersi podskakiwały przy każdym ruchu. Samuel złapał je w dłonie i zamknął oczy, bał się, że za moment eksploduje. Schwytał biodra kochanki, aby uspokoić szaleńcze tempo. Olga, widząc, że Samuel jest bliski spełnienia, zwolniła, aby maksymalnie przedłużyć wypełniającą ich rozkosz. Syciła się jego widokiem, młodego chłopaka, rozpalonego, dyszącego i co najważniejsze – uległego. Widziała w jego oczach błaganie o jeszcze, a jednocześnie obawę, że skompromituje się zbyt szybkim końcem. Miała pełną władzę, nawet na sekundę nie oddała mu inicjatywy, czyniąc się jedynym maszynistą tej rozpędzonej lokomotywy, która taranowała wszystko, co napotkała na swojej drodze. Seks z obcym mężczyzną wyzwolił w niej głęboko skrywane żądze, wreszcie mogła poluźnić cugle. Uświadomiła sobie, że choć nigdy

nie posądziłaby się o pruderię, to przez wiele lat stawiała sobie granice, hołdując zasadzie, że to mężczyzna dowodzi w łóżku.

– I jak, jestem lepsza od tej zdziry Moniki? – spytała, widząc, że Samuel nie zdoła już dłużej powstrzymać nadchodzącego orgazmu.

– Jesteś najlepsza – wydyszał. – Ta mała cipka nie dorasta ci do pięt.

Jego wyznanie podziałało na Olgę jak najlepszy afrodyzjak, gorąca fala orgazmu przeszła jej po kręgosłupie, znajdując ujście w okolicach podbrzusza.

Wyczerpani po namiętym seksie, długo leżeli w milczeniu.

– No dobra, pokazuj, co tam zdobyłeś – odezwała się Olga.

Samuel włożył bokserki i poszedł po laptop.

– Masz tu kilka fotek, które wykradłem z jej konta w chmurze – powiedział. Otworzył plik ze zdjęciami Moniki i pokazał je Oldze.

– Co to, kurwa, jest? – fuknęła.

– Prawie naga Monika Wójcik w biurze twojego męża – odparł Samuel, tłumiąc śmiech.

– Pojechało cię? Co to ma być? Przecież widać, że jest sama.

– Kto wie, może twój mąż jest pod biurkiem, na którym siedzi Monika.
– Zaśmiał się.

– Kurwa, przecież to nie są żadne dowody. – Olga, rozwścieczona, zaczęła zbierać swoje rzeczy i chaotycznymi ruchami wciskać je na siebie.

– Już się zbierasz? Liczyłem na powtórkę.

– Chyba żartujesz – warknęła. – Zapomnij o moim istnieniu. To była jednorazowa przygoda.

– Nie sądzę. – Pokręcił głową.

– A jednak.

– Rozwaliałaś mnie w łóżku, to muszę przyznać – mówił z uśmiechem nie schodzącym mu z twarzy. – Ale trochę się przygotowałem do naszego

spotkania. – Wskazał na kamerę umieszczoną w kącie salonu. – Zapewne te ujęcia wyszły bardzo dobrze. Chętnie je sobie obejrzę.

– Ty skurwysynu – syknęła.

– Będziemy się bzykać, jak przyjdzie mi na to ochota. – Podeszedł do Olgi i pogłaskał ją po policzku. – Jesteś w te klocki naprawdę niezła. Chyba że chcesz, żeby mąż pooglądał sobie porno z tobą w roli głównej? Wie, jaka z ciebie kocica?

Olga wymierzyła mu policzek, zamachnęła się jeszcze raz, ale Samuel złapał ją za rękę i wyprowadził z mieszkania.

– Jednak na dziś mi wystarczy. Zadzwońię do ciebie – oznajmił, zamykając za nią drzwi.

– Ty skurwysynu. – Waliła pięściami w zamknięte drzwi. – Popamiętasz mnie jeszcze.

Z mieszkania obok wyszła starsza kobieta.

– Co się tak kochanieńka wydzierasz? Nie jesteś na polu – burknęła.

Olga obrzuciła ją gniewnym spojrzeniem i skierowała się na schody.

– Nie jedna taka pięknisia waliła w te drzwi. To znany drań i pies na baby – krzyknęła za nią kobieta.

ROZDZIAŁ 25

Wcześniej

Grażyna Dopierała siedziała przy łóżku Sylwii i patrzyła na aparaturę pomiarową podtrzymującą życie ukochanej. Choć wczorajszego wieczoru nie wypła zbyt dużo, to zmęczenie w połączeniu z alkoholem sprawiły, że ledwie widziała na oczy. W głowie kołatały jej słowa rozmowy, którą kilka miesięcy temu przeprowadziła z lekarzem.

– Nie będę pani oszukiwał. Minął ponad rok od czasu, kiedy pani Fornel zapadła w śpiączkę. Sądziliśmy, że pierwsze miesiące przyniosą jakiś przełom, ale niestety, nic się nie zmieniło. Nie będę ukrywał, że rokowania są kiepskie. Z panią Sylwią nie ma żadnego kontaktu, nie reaguje na ból, źrenice nie reagują na światło. To wskazuje na głębokie uszkodzenie układu nerwowego.

– Przecież tomografia komputerowa wykluczyła uszkodzenie mózgu – stwierdziła Grażyna.

– Czasami zmiany zachodzą na poziomie komórkowym, nie widać ich na tomografii komputerowej – tłumaczył lekarz.

– Czy śpiączka mogła być wynikiem wstrząsu elektrycznego?

– To możliwe, choć rzadko odnotowujemy przypadki zapadnięcia w śpiączkę w wyniku porażenia prądem. Tacy pacjenci wcześniej czy później wybudzają się z komy. Dlatego początkowo byliśmy dobrej myśli.

– To co takiego się stało?

– Naszym zdaniem u pani Sylwii nastąpiło uszkodzenie tworów siatkowatego rdzenia kręgowego. Co gorsza, chora nie oddycha samodzielnie i wymaga ciągłego podłączenia do respiratora.

– Co to oznacza? – spytała Grażyna, choć domyślała się odpowiedzi. Zamknęła powieki, aby powstrzymać łzy napływające do oczu.

– Medycznie rzecz ujmując, pani Sylwia jest prawie martwa – powiedział, przy czym słowo „prawie” z trudem przeszło mu przez gardło.

– Nie rozumiem. To jest martwa czy nie jest?

– Jeśli rodzina nie będzie miała nic przeciwko, a konsylium lekarskie uzna, że należy odłączyć panią Fornel od respiratora, to najprawdopodobniej tak właśnie się stanie. Chyba że ktoś pokryje przynajmniej część kosztów związanych z utrzymywaniem chorej w stanie śpiączki.

Grażyna czuła, jak narasta w niej gniew. Bezsilność i złość. A więc tak to się skończy. I jak zwykle chodzi o pieniądze, których ona oczywiście nie ma.

– Przecież to eutanazja. Chcecie zabić człowieka – wycodziła.

– Można mówić o eutanazji w przypadku pacjenta, który rokuje na wybudzenie. U pani Sylwii przez rok nie uzyskaliśmy absolutnie żadnych postępów – odparł oschle.

Wiedziała, że nic nie wskóra, że nie znajdzie żadnych argumentów. Dla lekarzy Sylwia była sztucznie podtrzymywanym przy życiu ciałem, które chce umrzeć. Niechcianym pokłosiem ogromnego postępu medycyny.

– Proszę mnie poinformować, jak konsylium lekarskie podejmie decyzję w sprawie Sylwii. – Odwróciła wzrok, dając znać, że rozmowa skończona.

Lekarz odchrząknął.

– Musimy wiedzieć jeszcze jedną rzecz. Czy ewentualnie będzie pani skłonna płacić za utrzymywanie pani Fornel w stanie śpiączki? Wiemy, że rodzina nie chce pokryć kosztów.

– A jakie to koszty?

– To ustali konsylium lekarskie, każdy podobny przypadek traktowany jest indywidualnie.

– Pokryję koszty – zapewniła Grażyna, choć wiedziała, że to pobożne życzenie. Nie miała żadnych pieniędzy.

Zła sława, którą okryła się po nieszczęsnym eksperymencie, odstraszała od bystrej psycholożki jakichkolwiek pacjentów, włącznie z tymi, których miała już wcześniej. O zatrudnieniu w placówce medycznej też nie było mowy. Musiała więc imać się każdego zajęcia, aby zarobić na prywatny ośrodek dla Sylwii. Zdarzało jej się nawet pracować na dwa etaty. Wracała do domu styrana i topiła ból i smutek w alkoholu. Funkcjonowała jak maszyna, robiła, co do niej należało, wracała do domu, krótki sen, potem znowu praca. Każdą wolną chwilę spędzała u Sylwii i tylko tam tliła się w niej nadzieja, że coś może się zmienić, ale też tam rozpadała się na tysiące kawałków, łkając wtulona w skamieniałe ciało ukochanej. Gdy wychodziła z ośrodka, wpadała na powrót w zbawienną rutynę, która mobilizowała jej organizm do wstania z łóżka.

Grażyna ścisnęła dłoń Sylwii, mając nadzieję, że to właśnie dziś, teraz, jej ukochana da znać, że jest świadoma tego, co się wokół niej dzieje, ale jak milion innych razy nadzieja ją zawiodła.

– To przeze mnie tu leżysz – powiedziała z bólem. – Nigdy nie pozwolę ci odejść, nigdy, obiecuję – zarzekała się. Czowała, że po długim, ciężkim dniu jej oczy robią się jak z ołowiu. Mrugała powiekami, aby pokonać senność, ale jej głowa opadała na łóżko Sylwii.

Gdy się ocknęła z drzemki, spostrzegła, że spała na krześle ustawionym na korytarzu wielkiego szpitala. Wystraszyła się, że Sylwię gdzieś przeniesiono, a ona z przepracowania i obficie wlewanego w siebie alkoholu zupełnie o tym zapomniała. Ruszyła przed siebie, aby znaleźć salę, w której leży Sylwia. Przeszła kilkanaście metrów, zaglądając do każdego pomieszczenia, wszystkie były puste, a korytarz, zamiast się kończyć, ciągle się wydłużał, pojawiały się kolejne drzwi, potem następne i następne. Nagle usłyszała, że ktoś woła ją po imieniu, zawróciła, podążając za głosem. Weszła do małej sali, do której – mogła przysiąc – już zaglądała, ale nikogo w niej nie było, i zobaczyła Sylwię. Wciągnęła głośno powietrze, zaskoczona tym, kogo ujrzała. Kobieta leżąca na łóżku była ledwie widoczna, jakby przezroczysta. Przez jej ciało dało się dostrzec fałdy prześcieradła.

– To przedsiónek – wyszeptała Sylwia, nie patrząc na Grażynę.

– Przedsiónek czego?

– Innego świata. Musisz mnie stąd wyciągnąć.

– Jak mam to zrobić?

– Pamiętasz nasz eksperyment? Zabrałaś z uniwersytetu wyniki.

– Tak. Wzięłam je na wszelki wypadek. Mam również dane z arkusza kalkulacyjnego, który wtedy stworzyłaś.

– Użyj ich, aby się ze mną skomunikować. Czekam tu na ciebie.

Grażyna otworzyła oczy, przetarła dłonią spoconą twarz, Sylwia leżała na łóżku, pompa respiratora, pojękując miarowo, tłoczyła powietrze do jej płuc.

– Co za sen – wymamrotała do siebie.

Zabrała swoje rzeczy i wyszła z kliniki. Po drodze wracały do niej sceny ze snu. Szpital, długi korytarz i Sylwia, która mówiła coś o eksperymencie i dokumentacji. Grażyna pomyślała, że może faktycznie powtórne użycie

czujników mogłoby wybudzić Sylwię, ale przecież ich nie miała i na pewno nie da rady ich zdobyć. Było już późno, a musiała się napić, wstąpiła do monopolowego i poprosiła o pół litra wódki, gdy wychodziła, przed wejściem do sklepu stał wysoki mężczyzna w kapeluszu.

– Czy z panią Dopierałą? – zaczepił ją. Miał obcy akcent i przyjemny dla ucha tembr głosu.

– A z kim mam przyjemność? – spytała.

– Fabrizio Trapanelli, jestem prezesem InfoMedu, dużej firmy medycznej.

– Chce mi pan zaproponować pracę? – zażartowała.

– Zgadła pani – odparł. – Dowiedziałem się od pani byłych studentów o badaniach, które przeprowadzała pani wraz z Sylwią Fornel. Bardzo mnie zainteresowały, choć trudno znaleźć jakiegokolwiek informacje na ich temat.

– Do tego jestem panu potrzebna?

– Właśnie.

– Ile pan płaci?

– Wystarczy, aby pokryć koszty pobytu pani Sylwii w klinice. I jeszcze sporo zostanie – dodał z emfazą. – Chciałbym zaproponować pani stanowisko dyrektora wykonawczego w nowej firmie, którą zamierzam otworzyć.

– Oczywiście jestem zainteresowana. O ile to nie żart – powiedziała. Dopiero teraz zorientowała się, że w dłoni trzyma butelkę wódki. Szybko schowała ją do torebki. – Eksperyment wiele mnie kosztował, czasem to jedyny sposób, żeby zapomnieć – chciała się wytłumaczyć.

– Jesteśmy dorośli. – Uśmiechnął się. – Chodźmy do jakiejś knajpki, przedyskutujemy szczegóły pani umowy i zakres obowiązków.

Grażyna czuła się nieswojo, siedząc naprzeciwko dystyngowanego gentelmana w ekskluzywnej restauracji, w której gościom umiłał czas jazzowy zespół złożony z trzech muzyków. O dziwo, artyści zupełnie nie przeszkadzali podczas rozmowy.

Gdy kelner podszedł do ich stolika, Trapanelli poprosił o butelkę Querceto z Toskanii i dwa kieliszki.

– Przejdźmy do sedna – zwrócił się do Grażyny. – Pamięta pani Krzysztofa Włodarczyka?

Na twarzy Grażyny pojawił się cień smutku. Przed jej oczami stanął obraz zakrwawionego Krzyśka, mdlejącego z bólu. Odwiedziła go tylko raz, kiedy był po serii operacji, które miały przywrócić sprawność w ręce.

– Tak. To jeden z moich studentów. Byłych – uściśliła.

– Przypadkowo miałem możliwość porozmawiać z nim. I opowiedział mi bardzo ciekawą historię o czujnikach BCI i wzorze wyprowadzonym przez panią Sylwię Fornel.

Grażyna zauważyła, że Trapanelli miał specyficzną manierę, co chwilę wycierał chusteczką usta, jakby panicznie się bał, że mogą znaleźć się na nich resztki jedzenia czy picia, choć jeszcze niczego nie skosztowali.

– Za tamto wydarzenie usunęli mnie z uczelni – nadmieniła Grażyna.

– Czy wyniki były takie spektakularne, jak opowiadał mi Krzysztof?

– Osiągnęliśmy odchylenie od rachunku prawdopodobieństwa na poziomie siedemdziesięciu procent. – Przerwała na chwilę, gdy zbliżył się kelner z winem. Napęłnił ich kieliszki i skierował się do innego stolika. – Ostatniego dnia, a w zasadzie wieczoru, każda próba była udana. Rozumie pan? Sto procent – podekscytowała się. – Ale zrobiliśmy o jeden krok za dużo i doszło do tragedii. – Skosztowała wina, które było wprost wyborne.

– Wiecie, dlaczego tak się stało?

– Pozwoli pan, że opowiem w największym skrócie i pomnę wykład o fizyce kwantowej i M-teorii. Na pewno bym się zaplątała w ich zawiłościach. – Uśmiechnęła się. – Sylwia na podstawie dokumentacji z przeprowadzonych badań wyprowadziła algorytm, według którego nastawiliśmy czujniki BCI. Miały w taki sposób oddziaływać na synapsy mózgowe, aby pośrednio wpłynąć na niewidzialne wymiary. – Starła się tłumaczyć jak najprościej. – I pewnie eksperyment skończyłby się sukcesem, gdyby nie ten fatalny krok, o którym wspomniałam. Przekroczyliśmy granicę bezpieczeństwa natężenia fal elektromagnetycznych.

– Miałyście siedemdziesięcioprocentową skuteczność w odgadywaniu myśli drugiego człowieka? – Trapanelli świdrował Grażynę przenikliwymi ciemnymi oczami.

– Takie wyniki osiągnęliśmy – potwierdziła. – Proszę mi jeszcze opowiedzieć o pracy, którą miałabym wykonywać.

– Rozumiem, że ma pani dokumentację z eksperymentu? – drążył Trapanelli.

– Tak. Zachowałam ją.

– Świetnie. Co do pracy. Chciałbym powierzyć pani grupę ludzi, z którymi kontynuowałaby pani badania z zakresu psychotroniki, rozpoczęte na Uniwersytecie Humanistycznospołecznym. Oczywiście nie będziemy przekraczali norm ustalonych przez producentów czujników BCI. Nie chcemy żadnego skandalu. Założymy firmę córkę, która będzie podlegała pod InfoMed, i rozpoczniemy zakrojone na szeroką skalę badania.

– A jaki będzie ich cel?

– Na razie spróbujmy dorównać waszym osiągnięciom. Później zastanowimy się, jak wykorzystać je w praktyce.

– Jest tylko jeden kłopot – zaczęła Grażyna. Nie chciała zdradzać niewygodnych szczegółów z przebiegu eksperymentu, a zwłaszcza z ostatniego dnia, ale bardzo potrzebowała dobrze płatnej pracy.

– Tak? – Trapanelli zmarszczył brwi.

Grażyna odchrząknęła.

– Zauważyliśmy, że dużo lepsze wyniki osiągały osoby, które, mówiąc najogólniej, wykazywały zdolności parapsychiczne.

– To żaden problem. – Odetchnął z ulgą. – Zaznaczymy w ogłoszeniu, że preferujemy osoby ze zdolnościami parapsychicznymi. Po okresie próbnym zdecydujemy, czy chcemy kontynuować współpracę z danym testerem, czy nie.

– I jeszcze jedna sprawa.

– Proszę mówić. Zrobię wszystko, co w mojej mocy.

– Chciałabym podpiąć czujniki BCI do głowy Sylwii. Może wtedy udałoby się udowodnić, że ona żyje i jest świadoma.

– Oczywiście, załatwię niezbędną aparaturę – odparł. – Choć może być mały problem. – Podrapał się po łysinie. – Nie wiem, czy lekarze z ośrodka zgodzą się na podłączenie czujników.

– Niech pan spróbuje jakoś ich przekonać – nalegała.

– Zobaczę, co da się zrobić – obiecał. – W końcu jesteśmy korporacją medyczną. Mamy swoje sposoby na wywieranie wpływu na lekarzy. – Uśmiechnął się.

Grażyna nie mogła uwierzyć, że w jej beznadziejnym życiu w końcu coś drgnęło. Nareszcie nie będzie musiała martwić się o pieniądze na opłacenie kliniki, a do tego być może uda się skontaktować z Sylwią. To byłaby rewolucja w leczeniu pacjentów w stanie głębokiej śpiączki.

ROZDZIAŁ 26

Monika była pewna, że gdzieś widziała nazwisko Grażyny Dopierały, ale za nic w świecie nie mogła sobie przypomnieć gdzie. Z pomocą przyszedł Kowal.

– Na stronie InfoMedu została zamieszczona krótka informacja o nowo powołanej spółce InfoSense. Zawierała między innymi dane personalne kierownictwa nowej firmy.

– Jasne – przypomniała sobie Monika. – Grażyna Dopierała jest dyrektorem wykonawczym w InfoSense. Rozner miał rację. Musieliśmy zatoczyć szerokie koło, aby potwierdzić, że kluczem do zagadki jest jego firma.

W ciągu godziny na sabat przyjechało jeszcze dziesięć osób z Polskiego Związku Parapsychicznego. Na pierwszy rzut oka były to zwyczajne osoby, wśród których znaleźli się fryzjerka, krawcowa i lekarz. Kowal rozpoznał Stefana Nowaka. Znany radiesteta potrafił namagnetyzować wodę, by miała lecznicze właściwości. Co istotne, przynosiło mu to gigantyczne zyski. Łysy, niski mężczyzna koło sześćdziesiątki, który z tyłu głowy miał zawieszoną dziwną firankę ciągnącą się od jednego ucha do drugiego, przywitał się ze wszystkimi. Szczególną uwagą obdarzył Monikę, wpatrywał się przez chwilę w jej oczy, po czym uniósł jej dłoń i pocałował z estymą.

– Proszę usiąść – poleciła Matylda. – Zaraz zacznie się kulinarna część spotkania – obwieściła. Przywołała do siebie Filipa i po chwili wrócili, dźwigając olbrzymi półmisek z pieczonym cielęcim. Opiekany przez wiele godzin nad paleniskiem umiejscowionym nieopodal drewni.

– Widzę, że obiad zjemy po królewsku – ucieszył się Adrian.

– Niewykluczone, że to będzie też nasza kolacja. Zobaczymy, ile czasu zajmie nam debata i podjęcie decyzji – powiedział Rozchwat i zabrał się za krojenie pieczeni. Jeden z gości przywiózł ze sobą wyborne wino. Kowal nie omieszkał uraczyć się zycznym trunkiem.

– Mamy jeszcze kilka pytań – zagadnął.

– Śmiało – zachęcił ich Filip.

– Co wiecie o Grażynie Dopierale?

Filip opowiedział ze szczegółami o eksperymencie przeprowadzonym na Uniwersytecie Humanistycznospołecznym.

– Sylwia Fornel od tamtego wydarzenia jest pogrążona w śpiączce.

– Próbowaliście do niej dotrzeć?

– Tak – włączyła się Janina. – Wiemy nawet, w którym ośrodku przebywa. I mimo że nie ma z nią kontaktu, potężne zdolności parapsychiczne Sylwii tworzą wokół niej barierę ochronną.

– Kim była dla Dopierały?

– Krążą plotki, że kobiety były kochankami. Zresztą Dopierała bardzo często odwiedza Sylwię w szpitalu – odparł Filip, wkładając do ust kawałek cielęciny. Zmrużył oczy, delektując się niezwykle miękkim i idealnie przyprawionym mięsem.

– Nie pojmuję jednej rzeczy – odezwała się Monika. – Podobno nie znaleźliśmy się na sabacie bez przyczyny. Skąd Zawadzka wiedziała, że to my mamy do was dotrzeć? Skąd wy wiecie, że właściwe osoby rozszyfrowały list? Przecież sprawą zajmuje się także policja. Czy

informacja, którą zakodowała Magda, była przeznaczona właśnie dla nas? Czy dla kogoś innego?

– Magda nie wiedziała, kto przybędzie na sabat. Miała zostawić wiadomość ze współzrędnymi, to było jej zadanie. Nawet my, mimo wielkich zdolności, nie możemy przewidzieć wszystkich przyszłych zdarzeń – wyjaśnił Filip. – Ale bardzo się cieszymy, że do nas trafiliście.

– To Szczepkowska wpadła na pomysł, by wiadomość zaszyfrować w liście – uściśliła Janina. – Babka Magdy była potężną wiedźmą. Potrafiła przepowiadać przyszłość nawet z fusów po kawie – powiedziała z uznaniem. – Obie wiedziały, że muszą zostawić znak dla wybrańca.

– Wiecie, co się stało z Magdą? – spytał Kowal.

– Niestety nie żyje – odparł smutno Rozchwat. – Jej ofiara nigdy nie zostanie zapomniana.

– Ofiara? – Monika prawie zadławiła się kęsem mięsa.

– Tak. Podobnie zresztą jak ofiara Honoraty Jaromir – dodała Janina.

– W korze dębu, na którym się powiesiła, był wryty pentagram na tle krzyża, podobno to znak transferu. – Monika poczuła lęk powracający wraz ze wspomnieniem wizyty w domu Honoraty.

Janina potaknęła.

– O co z tym chodzi? – dociekała Monika.

– Po kolei. – Rozchwat odłożył sztućce, po czym wytarł serwetką usta, dając znać, że jest gotowy na dłuższy wywód. – Grażyna Dopierała i Sylwia Fornel najprawdopodobniej jako pierwsze otworzyły przejście do równoległego świata. Gdyby skończyło się na tym jednym zdarzeniu, pewnie nie zwrócilibyśmy na nie uwagi. Jednak kilka miesięcy temu wyczuliśmy mocniejsze oddziaływanie sił demonów zła. Otworzyło się kolejne przejście do innego świata, a miesiąc później następne. Stara legenda mówi, że po otwarciu dziesięciu wrót zło całkowicie przedostanie

się do naszego świata. – Przerwał na moment. – Wszyscy to czuliśmy, nie mogliśmy jednak nic zrobić. Magda zorientowała się, że dzieje się z nią coś niezrozumiałego. Otrzymała moc, która ją przerażała i która, jak potem zauważyła, chciała nad nią zapanować. Dziewczyna traciła nad sobą kontrolę, wpadała w depresyjne stany, coś wyniszczało ją od wewnątrz. Gdy postanowiła zwierzyć się babce, dowiedziała się o jej śmierci.

– Czy to możliwe, że podczas pogrzebu rozmawiała ze swoją zmarłą babką? – Kowal przypomniał sobie scenę z filmu Brody i odczytane później słowa Magdy.

– Tak. Zamieniając się w bramę, otrzymała nadzwyczajne zdolności. Szczepkowska poprosiła ją, żeby zostawiła wam wiadomość. Powiedziała też, że Magda musi stoczyć pojedynek z demonem, który chce nią zawładnąć. Jeśli przegra, musi zamknąć bramę.

– Zamknąć bramę, czyli się zabić? – spytała Monika.

– Tak. To jedyny sposób. Niewykluczone, że Magda poprzez swoją ofiarę nie pozwoliła złu przedrzeć się do naszego świata – powiedział Rozchwat. – Być może miała być dziesiątą bramą.

– A co z Honoratą Jaromir i Jadwigą Szczepkowską? – napomknął Kowal, ocierając pot z czoła.

– Szczepkowska umarła śmiercią naturalną – odparł Rozchwat. – A Honorata to inna historia.

– Jak to? – zdziwił się.

– Jak już mówiłem, udało nam się dotrzeć do źródła, czyli pierwotnego momentu, kiedy zło pojawiło się w naszym świecie. Wśród uczestników eksperymentu na Uniwersytecie Humanistycznospołecznym była Weronika Kownacka. Honorata odnalazła ją w zakładzie psychiatrycznym dla bardzo ciężkich przypadków.

– Czy ta Weronika również była bramą? – spytała Monika.

– Tak. Honorata zdecydowała się na bardzo odważny krok.

– Transfer – dopowiedziała Monika.

– Tak. Przyjęła do siebie zło, sądząc, że zdoła się z nim rozprawić. Niestety moce z innego świata były tak silne, że jedyne, co Honorata mogła zrobić, to zlikwidować bramę.

– Popęłnić samobójstwo?

– Właśnie – potwierdził, wypuszczając ciężko powietrze. – Sami widzicie, z jak potężnymi siłami mamy do czynienia. Nawet największe media przegrywają z nimi walkę.

– To InfoSense jest miejscem, gdzie tworzone są bramy – odkryła Monika. – Najprawdopodobniej to testerzy interfejsu mózg-komputer.

– I w taki oto sposób płynnie przeszliśmy do głównej części naszych obrad – oznajmił Adrian, który nagle spoważniał, choć dotychczas uśmiech nie schodził z jego twarzy. – Musimy obmyślić sposób, jak powstrzymać przedzierające się do naszego świata zło.

– Co się stanie, kiedy dziesięć bram zostanie otwartych? – spytał przejęty Kowal.

– Najpierw ludzie zaczną się wyżywać na swoich pupilach, później w amoku zabiją najbliższe sobie osoby. Wyjdą na ulice i zaczną mordować kogo popadnie. – Z każdym słowem głos Adriana przyjmował coraz bardziej profetyczny ton. – Ostatecznie ludzkość ulegnie anihilacji. Zniszczymy siebie nawzajem.

– Jak można to powstrzymać?

– Przede wszystkim trzeba zamknąć bramy – powiedział Adrian.

– Ile może być obecnie bram? – spytała Monika.

– Jak już mówiliśmy osiem, a może nawet dziewięć – stwierdził Rozchwat ze smutkiem w głosie.

– Co zrobić, by je zamknąć?

– Są dwa sposoby. Można odprawić rytuał przemiany albo po prostu zniszczyć ich ciała, które są bramą między światami – mówił Filip, spoglądając najpierw na Rozchwata, a potem na pozostałych uczestników sabatu.

– Czy taki rytuał można odprawić na sobie? – Kowal wciąż nie dowierzał, jaki obrót przyjęło śledztwo w sprawie Zawadzkiej. Jego pierwsze zlecenie.

– Teoretycznie tak – powiedział Filip. – Ale jest to bardzo trudne, trzeba być niezwykle potężnym medium – podkreślił.

– Nie mogliście jakoś pomóc Magdzie i Jadwidze? – Odezwała się z żalem Monika.

– Działy w pojedynkę – odparł jej zarzuty Rozchwata. – Gdyby zwróciły się do nas o pomoc, być może by żyły.

– Skupmy się na żywych, a nie zmarłych – napomniała ich Janina. – Musimy dotrzeć do wylęgarni zła, czyli do miejsca, w którym ludzie zamieniani są w bramy.

– Czyli do pomieszczeń firmy InfoSense, gdzie testowany jest interfejs mózg-komputer – sprecyzował Kowal.

– I tu liczymy na waszą pomoc. – Rozchwata spojrział na detektywów.

– Czy nie możecie w inny sposób odnaleźć tych osób? Czy tam bramy? – wymigiwała się Monika. – Przecież macie te swoje zdolności parapsychiczne?

– Już mówiłem, zło, które opętało bramy, jest tak potężne, że blokuje jakikolwiek przepływ energii. Nie jesteśmy w stanie przeniknąć do ich mózgów – tłumaczył. – A poza tym nie powiedzieliśmy wam o jeszcze jednej kluczowej rzeczy.

– Jakiej? – niecierpliwił się Kowal.

– To ty jesteś wybrany – oświadczył z powagą.

– Tak? I co to niby oznacza?

Rozchwat spojrział porozumiewawczo na Filipa. Ten wstał od stołu i rozprostował palce.

– Czy słyszeliście o zwojach z Qumran odnalezionych przez Beduinów w połowie dwudziestego wieku? – zaczął.

– Te zwoje z Qumran? – dopytał Kowal, spoglądając na Monikę, która zdawała się równie skołowana przebiegiem rozmowy.

– Tak. Te – potwierdził Edward Tryt. – W grocie jedenastej znaleziono bibliotekę społeczności Qumran. Był tam zwój Księgi Kapłańskiej zapisany pismem paleohebrajskim.

– Były tam również zbiór psalmów, Targum Hioba oraz zapisany pismem z okresu Heroda Zwój Świątynny – wymieniała Janina. – Wśród tych pism znalazła się również przepowiednia końca świata. Według niej jeden człowiek, który widzi, wybrany spośród ludu, zapobiegnie złu, które będzie się chciało przedostać do naszego świata.

– I wy naprawdę sądzicie, że tym wybranym jestem ja? – Kowal mało nie wybuchnął śmiechem.

– Jesteśmy o tym przekonani. To ty przybyłeś na sabat, odgadłeś zagadkę, prowadzisz śledztwo w sprawie firmy, w której ludzie zamieniani są w bramy. Zgodnie z przepowiednią to również ty sprawisz, że zło będzie musiało odejść – przekonywał Rozchwat.

Kowal potrząsnął głową, jakby słowa, które przed chwilą usłyszał, kompletnie do niego nie docierały.

– Dlaczego właśnie ja?

– Tego jeszcze nie wiemy. Ale wkrótce to się zmieni – stwierdził Edward. – Przygotowujemy się do Armagedonu od lat, a ty musisz nas poprowadzić.

– No dobrze. I co mam zrobić, kiedy dotrę do osób będących bramami?

– Wówczas poinformujesz mnie i Janinę. Spróbujemy odprawić starodawny rytuał przemiany, który, miejmy nadzieję, zamknie bramy – powiedział Rozchwat.

– Czyli moim zadaniem jest ich odnalezienie? – uściślił Kowal.

– Tak. – Adrian, ucieszony, spojrział na Rozchwata, po chwili zaś zwrócił się do dwojga detektywów. – Jesteście najbliżej InfoSense. Tylko wy możecie dotrzeć do tych ludzi. No i masz znajomości na policji. Możesz wykorzystać ich kartoteki.

– Dobrze – przystał na ich prośbę. – Ale pod jednym warunkiem. Pomóżcie mi odnaleźć ciało Magdy?

– Chciałbyś zakończyć jej sprawę i zainkasować pieniądze? – odezwał się Krystian.

– Pewnie, potrzebuję ich. Moja sytuacja finansowa nie jest zbyt korzystna. Ja pomogę wam, a wy pomożecie mnie.

– Chyba da się to zrobić. – Adrian spojrziała na pozostałych członków Polskiego Związku Parapsychicznego.

Filip przyniósł z kuchni kadzidła, położył je na stole i zapalił. Przyjemny dla nosa zapach sandałowca wypełnił pomieszczenie. Wszyscy zebrani złapali się za ręce. Na zewnątrz zerwał się gwałtowny wiatr. Uderzał w chatę, szarpał korony drzew i zawodził, jakby nawoływał dusze zmarłych. W powietrzu unosiły się zerwane gałęzie, które później spadały na dach lub odbijały się od szyb.

– Przybyły dusze zmarłych, aby pomóc nam odnaleźć Magdę – szepnął Rozchwat. – Wyobraźcie sobie, że jesteście Magdą Zawadzką – dodał głośno. – To są wasze ostatnie chwile przed śmiercią.

Kowal zamknął oczy i poczuł, że ogarnia go błogość, jaką czuje się chwilę przed zaśnięciem. Ujrzał iglasty las, za którym majaczyły szczyty gór. Z gęstwiny wynurzył się niewielki kopiec przylegający do powalonych

drzew, przypominał niedźwiedzią gawrę. Był na tyle duży, że mógł się w niej zmieścić dorosły człowiek.

– A teraz unieśmy się wysoko ponad korony drzew, aby dokładniej zlokalizować miejsce, gdzie leży Magda – dyrygował Rozchwat.

Kowal w jednej chwili stracił całą wagę ciała i stał się lekki niczym pyłek targany przez wiatr. Poszybował wysoko, przeleciał między drzewami, aby wznieść się jeszcze wyżej. Nie miał wątpliwości, że znajduje się kilkaset metrów na zachód od Morskiego Oka. Rozpoznał szczyty Rysów, Żabiego Mnicha i Żabiego Kapucyna.

Seans dobiegł końca. Wiatr na polanie ucichł, zza chmur wyszło chylące się ku zachodowi słońce.

– Mam jej szukać niedaleko Morskiego Oka? – odezwał się Kowal.

– To, co widziałeś, to jedynie wskazówka – odparł tajemniczo Rozchwat.

– Ale ślady Magdy urywają się na Orlej Perci, dokładnie na Zamarłej Turni. Jakim cudem ciało dziewczyny znalazło się w lesie opodal Morskiego Oka?

– Nie na wszystkie pytanie znamy odpowiedzi. Nie każde pytanie ma odpowiedź – spuentował patetycznie Janina.

Spędzili w chatce jeszcze kilka godzin, rozprawiając o zagładzie, która wisi nad światem, i o planach powstrzymania zła. Późnym wieczorem pożegnali się z Parapsychicznymi i ruszyli do Zakopanego, aby odnaleźć ciało Magdaleny Zawadzkiej.

ROZDZIAŁ 27

Fabrizio Trapanelli zajrzał do piekarnika, aby sprawdzić, czy lasagne jest już upieczona, gdy rozległ się odgłos dzwonka. Włoch wyrzwał przez okno i zobaczył czarnego mercedesa stojącego przed bramą wjazdową. Podeszedł do domofonu i wcisnął guzik. Kuta brama rozsunęła się, wpuszczając pojazd na posesję. Ubrany w płócienne spodnie i podkoszulek, wyszedł z domu i stanął na podjeździe, aby przywitać gości.

Dom Fabrizia przypominał dwupiętrowy dworek. Wejście zdobiły dwie kolumny pokryte malunkami przedstawiającymi sceny z walk rzymskich gladiatorów. W ogrodzie, poza misternie wystrzyżonymi krzewami, uwagę zwracał postument Heliosa w rydwanie zaprzężonym w cztery konie. Całość umieszczona była w okrągłej fontannie, z której wytryskała woda, obmywając powóz boga i jego rumaki. Przepych bijący z każdego zakamarka posesji przyprawiłby niejednego bogacza o kompleksy.

Z mercedesa wysiadła przysadzista kobieta w czarnej, długiej sukni. Choć było ciepło, szyję otaczał jedwabny szal. Włosy miała uczesane w idealny kok, a twarz pokrywała gruba warstwa pudru i różu.

– Cześć, mamusiu – przywitał się Fabrizio.

– Nieźle się tu urządziłeś – powiedziała Beatrice, rozglądając się wokół siebie. – A gdzie służba?

– Dałem im dzisiaj wolne. Wołałem, żeby nie było świadków – wyjaśnił.

– Bardzo słusznie. – Poklepała go po ramieniu z uznaniem i skierowała się do wejścia. Zdjęła jedwabny szal i zawinęła go sobie wokół ręki.

– Gustavo. – Fabrizio rozłożył szeroko ręce, witając swojego brata.

– Cześć, braciszku. – Mężczyźni wpadli sobie w ramiona. – No nieźle, nieźle – powiedział i zagwizdał przeciągle. – Urządziłeś się tu lepiej niż my we Włoszech.

– Zapraszam do środka.

Gustavo ruszył za matką, choć nie kulał, miał ze sobą laskę z dużą mosiężną kulką zamiast rączki.

– Czyżbyś przygotował nasze ulubione danie? – spytała Beatrice, kładąc szal na kanapie.

– Zgadłaś, mamusiu. Zrobiłem ją zgodnie z twoim przepisem.

– Brawo, moja szkoła. – Podeszła do Fabrizia i poklepała go po policzku.
– Jak ci się wiedzie w tej Polsce?

– Moja firma prosperuje doskonale – pochwalił się.

– Pięknie, pięknie, synku, jednak nie zapominaj, skąd pochodzisz i dokąd zmierzasz – upomniała go.

– Nie zapominam, właśnie dlatego was do siebie zaprosiłem – powiedział Fabrizio, wyciągając lasagne z piekarnika. Pokroił ją, na każdym talerzu położył spory kawałek, a następnie zaniósł naczynia do jadalni. Wrócił do kuchni, wyciągnął z szafki kieliszki, a z lodówki białe wino.

– Siadajcie. Na pewno jesteście zmęczeni po podróży.

Zjedli ze smakiem przygotowany przez Fabrizia obiad i wypili po kieliszku wina. Pani Trapanelli zatarła ręce, jakby dała znak, że jest gotowa, aby przejść do głównej części spotkania.

– Zejdźmy do piwnicy. Tam będziemy mogli spokojnie porozmawiać – zaproponował Fabrizio.

– Obawiasz się czegoś? – spytał Gustavo.

– Nie, ale lepiej dmuchać na zimne.

– Masz rację. Prowadź.

Zeszli schodami do mieszkalnej piwnicy, gdzie było znacznie chłodniej. Fabrizio podszedł do dużych drzwi przypominających wejście do schronu. Wprowadził na panelu dotykowym kod, włącz się rozsunął i weszli do pokoju przypominającego bunkier. Na środku pomieszczenia stał stół z czterema krzesłami, z boku zaś znajdowała się minikuchnia, gdzie można było przyrządzić sobie herbatę czy kawę.

– Siadajcie do stołu. – Wskazał im miejsca, sam zaś ponownie wprowadził kod, aby zamknąć drzwi.

– Powiedz nam zatem, w jakim celu nas tu sprowadziłeś – spytał Gustavo. Na palcu miał duży sygnet, którym co chwilę stukał o mosiężną kulkę laski. Na pierścieniu widniał obwiązany rzemieniem pęk różg, z zatkniętym weń toporem wojennym o podwójnym ostrzu.

– Po latach poszukiwań znalazłem wreszcie sposób, aby nasza wielka sprawa mogła wrócić na właściwe tory – powiedział.

– Mówisz poważnie? – Matka nie kryła zaskoczenia. – Wiesz, jak przywrócić faszyzm we Włoszech?

– Tak, mamusiu – zapewnił ją. Spojrzał z czcią na ukochaną twarz i ucieszył się, gdy dostrzegł na niej dumę i szczere zainteresowanie słowami syna.

– Zamieniamy się w słuch, synku.

– Jakiś czas temu założyłem firmę InfoSense, filię InfoMedu. Oczywiście wszystkie prace, jakie w niej prowadzę, są tajne, ale i wielce obiecujące. Szefową jest Polka, która osiągnęła rzecz, wydaje się, niemożliwą. – Podszedł do szafki stojącej obok telewizora, otworzył ją i zatarł ręce, kiedy ujrzał niewielki sejf. Wprowadził kod, po czym

wyciągnął papierową teczkę z aktami. Wręczył dokumenty matce, która od razu przystąpiła do lektury.

– Zmusimy parapsychologię, aby nam służyła. Będziemy telepatycznie sterować ludzkimi umysłami. Rozkażemy naszym wrogom, aby działali zgodnie z naszą wolą. Będziemy mogli czytać ludzkie myśli – mówił z emfazą, jakby był na wiecu i przemawiał do szerokiej publiczności.

– Niemożliwe – powiedział Gustavo, wyszarpując matce teczkę z aktami.

– Teraz ja czytam, nie widzisz – bąknęła.

– Wyniki badań są wielce obiecujące – ciągnął Fabrizio. – Za pomocą tych technik przejmemy władzę najpierw we Włoszech, a potem ruszymy na podbój świata. Dokończymy misję, którą zaczął *Duce*.

– To ja się męczę, aby wejść w koalicję z tym durniem Francesco – oburzył się Gustavo. – A ty mi takie sensacje obwieszczasz?

– Spokojnie, twoja praca nie pójdzie na marne – pocieszyła go Beatrice.

– Dzięki partii Francesca przekroczymy dziesięcioprocentowy próg wyborczy i może wejdziemy do parlamentu. Trzeba się dostać do Izby Deputowanych.

– Prowadzę jeszcze rozmowy z naszymi sycylijskimi przyjaciółmi, aby nas poparli – dodał Gustavo z uśmiechem.

– Wspólnie zawojujemy świat – ekscytował się Fabrizio. – Pomyślcie, ile możemy zyskać dzięki technologii, jaką rozwinę w InfoSense.

Beatrice skończyła czytać akta i przekazała je synowi, który rzucił się na lekturę niczym wygłodniały tygrys na mięso.

– Kiedy będą pierwsze efekty? – zapytała Beatrice. – Do wyborów pozostał niecały rok. Nie możemy czekać na kolejną kadencję. – Wstała od stołu i podeszła do syna. Zaczęła gładzić go po łysinie, jakby nagradzając za

dobrze wykonaną pracę. Fabrizio nadstawiał głowę niczym pies łaszący się do swojej pani.

– Brawo, synku – szeptała mu do ucha. – Bałam się, że twój wyjazd do Polski nie przyniesie nam żadnego pożytku.

– Zostaniecie u mnie na trochę? – poprosił Fabrizio.

– Najwyżej dwa, trzy dni – odparła. – Potem wracamy do Włoch. Mamy zobowiązania.

Gustavo skończył lekturę i spojrział z niedowierzaniem najpierw na matkę, potem na brata.

– Chryste – szepnął podekscytowany. – Przecież dzięki temu przywrócimy naszemu państwu potęgę rzymskiego imperium. – Podeszedł do brata i ucałował go w policzek.

ROZDZIAŁ 28

Wcześniej

Ordynator ośrodka zmierzył Grażynę Dopierałę wzrokiem, próbując odgadnąć jej intencje. Wreszcie machnął ręką i powiedział:

– Ma pani dwadzieścia cztery godziny na wypróbowanie tej piekielnej aparatury. Jeśli coś się stanie, wyrzekniemy się wszystkiego i to pani poniesie pełną odpowiedzialność za uszczerbek na zdrowiu pacjentki.

Grażyna zaśmiała się, słysząc bezmyślnie wypowiedziane słowa ordynatora.

– A czy można pacjentce wyrządzić jeszcze jakąś krzywdę?

Lekarz wziął do ręki pierwsze lepsze papiery i zaczął je studiować, dając Grażynie do zrozumienia, że zakończył rozmowę. Niebotyczna kwota, jaką otrzymał od Fabrizia Trapanello, skutecznie uspiła jego moralność i poczucie odpowiedzialności za pacjentów ośrodka.

Grażyna wróciła na salę, którą przez cały ranek przygotowywała do przeprowadzenia testu. Wniosła do niej komputer i ustawiła na niewielkim stoliku. Rozstawiła również stelaż z najnowocześniejszymi czujnikami BCI, jakie dostępne były na rynku. Oczywiście zakup sfinansował jej nowy pracodawca. Nie mogła przestać myśleć o wypłacie, która każdego miesiąca miała wpływać na jej konto.

Włożyła Sylwii na głowę niebieski czepek i sprawdziła, czy wszystko dobrze przylega. Następnie wróciła do komputera i uruchomiła program. Spędziła mnóstwo czasu, aby zapoznać się z materiałami, które Sylwia sporządziła podczas eksperymentu jeszcze na Uniwersytecie Humanistycznospołecznym. Musiała przyznać, że jej ukochana jest prawdziwym geniuszem. Na ekranie pojawił się wykres pracy fal mózgowych Sylwii. Odczyty były stabilne, jak podczas głębokiego snu.

– Słyszysz mnie? – spytała.

Wykres fal ani trochę się nie zmienił, Grażyna powtórzyła pytanie.

– Słyszysz mnie? Daj mi jakiś sygnał, że mnie rozumiesz.

Mimo kilku prób Sylwia nadal nie reagowała. Grażyna uśmiechnęła się delikatnie, po czym wybrała w programie funkcję, która przełączyła czujniki w tryb nadawania. Wczytała macierz liczb z arkusza kalkulacyjnego i zwiększyła natężenie fal oddziałujących na komórki mózgowe do wartości nieznacznie przekraczającej dopuszczalną normę.

Uruchomiła czujniki i spojrzała na wychudzoną twarz ukochanej. Ze zniecierpliwieniem czekała, co się wydarzy. Przeszła ją obawa, że i dziś podłączenie czujników BCI do mózgu Sylwii może zakończyć się tragedią. Przecież zdawała sobie sprawę z potężnej mocy, która kryła się w tym tak dobrze znanym jej ciele, z ogromnego parapsychofizycznego potencjału Sylwii, który objawił się już dwa razy. Czy niczym doktor Frankenstein nie próbuje za pomocą elektryczności ożywić tworzone miesiącami monstrum? Ale jeśli był to jedyny sposób, aby skontaktować się z Sylwią, nie zmieniła podjętej decyzji.

– Pytam raz jeszcze. Słyszysz mnie?

Wykres obrazujący przepływ fal mózgowych w okolicach mózdzka pokazał niezwykle silny impuls elektryczny, w którym wzięło udział ponad tysiąc neuronów.

Grażyna poczuła przyływ adrenaliny, serce przyspieszyło bicie. Czyżby to mogło się udać? Czyżby ta nieśmiała myśl, która zrodziła się w jej głowie, że czujniki umożliwią komunikację, okaże się przebłyskiem geniuszu?

– Czy możesz ze mną porozmawiać?

Kolejny impuls elektryczny dał jej do zrozumienia, że Sylwia nie tylko słyszy, co się do niej mówi, ale potrafi również odpowiadać na pytania.

– Czy ty żyjesz, jesteś świadoma?

Sylwia ponownie potwierdziła.

– Czy możesz poruszyć swoim ciałem? – spytała, aby sprawdzić, w jaki sposób Sylwia udzieli negatywnej odpowiedzi. Tym razem czujniki nie wykazały żadnej aktywności mózgu.

Grażynę przepełniła głęboka radość. Do oczu napłynęły łzy. Była szczęśliwa i dumna, że ich wspólne dzieło pomoże im znowu być razem.

– Udało się, udało – mówiła, całując ręce i usta Sylwii.

Gdy już dała upust rozpierającemu ją szczęściu, podeszła do komputera. Skonfigurowała prosty mechanizm, dzięki któremu syntezytor mowy miał wygenerować odpowiedź „tak”, jeśli czujniki wykryją aktywność komórek mózgowych, lub „nie”, w przypadku braku aktywności komórek.

– Czy oni cię więżą? – zadała pytanie, które dręczyło ją, odkąd Sylwia jest w śpiączce.

– Tak – odpowiedziała Sylwia elektronicznym głosem syntezytora mowy.

– Czy to Baron Samedi?

– Tak.

– Czy inne demony również?

– Tak.

– Czy jesteś w piekle? – spytała i poczuła, jak ciarki przechodzą jej po plecach.

– Tak.

– Czy tam są demony, diabły, duchy i wszystkie te siły, których tak bardzo się boimy?

– Tak.

– Czy oni coś ci robią?

– Tak.

Grażyna zaszlochała. Złapała dłoń Sylwii i mocno ją ścisnęła.

– Czy to cię boli?

– Tak.

– Bardzo? – jęknęła.

– Tak.

Sięgnęła po chusteczkę i wytarła mokrą od łez twarz. Chciała zadać kolejne pytanie, ale słowa więzły jej w gardle. Zakryła twarz dłońmi i gorzko płakała. Wyrzucała z siebie strzępy niezrozumiałych słów, którymi przeklinała życie, moment ich spotkania i wspólny eksperyment. Gdyby nie to, Sylwię nie spotkałby tak okrutny los. Wtedy przypomniała sobie, że w jej śnie Sylwia prosiła, by wyrwać ją z okropnego miejsca, w którym się znalazła.

– Czy jest jakiś sposób, aby cię wyciągnąć? – spytała.

– Tak.

– Czy potrzebujemy do tego czujników BCI?

– Tak.

Grażyna odetchnęła głęboko, wytarła ostatnie łzy i zadała Sylwii serię pytań, dzięki którym uzyskała odpowiedź, jak wyzwolić ukochaną z sidła zła.

– Czyli potrzebna jest ofiara?

- Tak.
- Jedna?
- Nie.
- Dwie?
- Nie.
- Dużo więcej?
- Tak.
- Dziesięć?
- Tak.
- Dziesięć ludzkich ofiar?
- Tak.

Grażyna odsunęła się od Sylwii, zszokowana wpatrywała się w twarz ukochanej. Co miało to oznaczać? Co oznacza ofiara z dziesięciu osób? Ktoś musiał zginąć? Podeszła do ściany i uderzyła w nią ręką, przeszywający ból udowodnił jej, że to wszystko nie jest koszmarem, z którego mogłaby się wybudzić. Odwróciła się i oparta plecami o ścianę osunęła się na podłogę. Oplotła rękoma kolana i patrzyła na Sylwię. Przypomniała sobie dzień, w którym się spotkały, płomienną rozmowę i pierwszą noc, którą spędziły razem. Poczula pieczenie w okolicach serca, doskonale знаła to uczucie, towarzyszy jej, odkąd Sylwia zapadła w śpiączkę – niedające się uciszyć poczucie winy. Tak, to przez nią Sylwia tkwi w obcym, brutalnym świecie i to ona musi zrobić, co w jej mocy, aby ją stamtąd wyciągnąć.

ROZDZIAŁ 29

– Znajdziemy ją? – spytała Monika, wpatrując się w niewyraźny zarys gór widoczny w bocznej szybie samochodu. Nie wyspali się zbytnio, bo łóżka w wynajętym małym pokoju na poddaszu były nie tylko stare, lecz także strasznie niewygodne.

– Nie wiem – wymamrotał Leon. – Ale nie mamy nic do stracenia – stwierdził.

– Dziwne – westchnęła. – Wszyscy widzieliśmy to samo. Może to zbiorowa halucynacja? W końcu nie wiemy, co uwarzyła ta Matylda.

– Być może. – Zatrąbił na samochód, który nagle musiał zmienić pas. – Kurwa, kto dostaje te prawo jazdy – burknął. – Może rzeczywiście uraczyli nas wywarem z grzybków. – Zaśmiał się. – Co nie zmienia faktu, że są jeszcze inne rzeczy trudne do wyjaśnienia. Na przykład nasze sny. – Spojrzał na Monikę. Odniósł wrażenie, że lekko się zaczerwieniła.

– Albo naprawdę wpakowaliśmy się w coś, co trudno pojąć naszym ograniczonym rozumem, albo ktoś chce zrobić z nas wariatów – skwitowała, nie podejmując wątku snu. Niechętnie, ale musiała przyznać, że obecność Kowala zaczyna ją peszyć. Nie mogła zapomnieć o pocałunku w górach. Delikatnym, a jednocześnie namiętym. Czemu w ogóle to zrobił? Pod wpływem silnych emocji? No i te sny, z których budziła się mokra.

– Może i ktoś nas wkręca – usłyszała Kowala. – Mam wrażenie, że ci Parapsychiczni coś przed nami ukrywają i nie powiedzieli nam całej prawdy – dodał. – Tak czy inaczej, mam nadzieję, że znajdziemy ciało Magdy i dostanę kaszkę od Roznera.

Pół godziny później dotarli do Zakopanego. Nie mieli ani sił, ani ochoty na męczące podejście do Morskiego Oka, dlatego wynajęli bryczkę, która zawiozła ich wprost do celu.

Kowal stanął przy barierce, za którą rozpościerał się krystalicznie czysty górski staw. Rozglądał się, próbując zidentyfikować miejsce, które widzieli podczas sesji w leśnej chacie.

– Chyba powinniśmy wejść w ten las, a potem ruszyć na południe.

– A wiesz, że nie wolno zbaczać ze szlaków? – upomniała go z przekąsem w głosie Monika.

– Wytłumacz to Roznerowi – odgryzł się.

Szli ostrożnie przez las, zachowując odstęp kilku metrów, aby móc przeczesać większy teren. Oddalili się na kilkaset metrów od szlaku prowadzącego do schroniska nad Morskim Okiem, kiedy Kowal ujrzał niewielką górkę, pokrytą mchem i gałęziami, przylegającą do dwóch potężnych pni powalonych drzew. Przywołał gestem Monikę i bardzo ostrożnie zbliżyli się do gawry.

– To chyba to miejsce – szepnęła Monika. – A jeśli jest tam niedźwiedź?

Kowal schylił się i zajrzał przez spory otwór w ziemi do wnętrza.

– Strasznie ciemno – powiedział, zapalając latarkę w telefonie.

– Śmierdzi rozkładem. – Monika zakryła twarz.

– Wchodzę do środka – zdecydował.

– Leon. – Złapała go za rękę. – To niebezpieczne. Zadzwońmy po policję.

– Spokojnie, niedźwiedź na pewno szuka jakichś turystów. – Zaśmiał się. – Jest lato, misie opuściły gawry – dodał zdecydowanym głosem. I miał wielką nadzieję, że tak właśnie jest.

Wcisnął się do wnętrza nory i zauważył, że ciasny korytarz wydrążony w ziemi jest dość długi. Czołgał się powoli, oświetlając drogę latarką w telefonie. Na końcu tunelu znajdowała się spora jama, w której dostrzegł ciało w stanie głębokiego rozkładu. Nie miał żadnych wątpliwości, że to Magda Zawadzka. Ubrana była w czerwony polar i ortalionowe spodnie. Wargi wyschły, ukazując dwa rzędy zębów. Z nosa wypełznął biały robak, któremu najwyraźniej przeszkadzało mocne światło, bo natychmiast schował się w pustym oczodole. Na lewym policzku widoczna była wielka dziura, w której wiły się larwy much. Zmarła w jednej dłoni trzymała telefon komórkowy z rozbitą szybką, a w drugiej jakby różaniec, który zwieńczony był krzyżem z pentagramem.

Kowal zrobił kilka zdjęć i zaczął się wycofywać z tunelu. Kaszłał, dusząc się fetorem gnijącego ciała. Czuł, że zaczyna brakować mu powietrza, coraz gwałtowniejszymi ruchami próbował wyczołgać się z jamy. Wtedy zawaliła się ziemia. Z oddali usłyszał krzyk Moniki. Kopał rękoma w piachu, aby jak najszybciej wydostać się na powietrze, z każdą sekundą jego organizm, odłączony od tlenu, słabł. Kręciło mu się w głowie, wysiłek i brak powietrza robiły swoje. Ogarnęło go przekonanie, że to koniec, że zostanie pochowany żywcem. Wtedy poczuł czyjąś dłoń na swoich rękach. Ktoś szarpał go, próbując wydobyć spod ciężkiego piachu.

– Leon, kurwa, pomóż – usłyszał Monikę.

Podciągnął się ostatkiem sił i głową przedarł się przez ziemię. Monika szybkimi ruchami odkopywała resztę jego ciała spod ziemi. Gdy w końcu mógł oddychać, krótkimi haustami wciągał powietrze i wypluwał z ust ślinę z piachem. Po chwili przekreślił się na plecy i patrząc w niebo,

delektował się każdym oddechem. Obok siedziała zmęczona Monika, słyszał, jak dyszała i pociągała nosem.

– Dzięki – powiedział. – Myślałem, że już po mnie.

– Co ty – wysapała. – Zapomniałeś, że przynoszę ci szczęście?

Kowal odwrócił się w jej stronę i lekko uśmiechnął.

– Chcesz ją zobaczyć? – spytał po chwili.

– Oszczędzę sobie tych widoków – odparła.

Kowal sięgnął do kieszeni, aby wyjąć telefon i powiadomić policję, wtedy przypomniał sobie, że wypuścił go z ręki, gdy wykopywał się spod zawałonej ziemi.

– Zgubiłem telefon, pomóż mi go poszukać – bąknął.

Szybko przegrzebali ciężki piach i odnaleźli komórkę. Na szczęście działała. Kowal wybrał numer Stafieja.

– Przyślij tu kogoś z Zakopanego. Niedaleko Morskiego Oka znalazłem ciało Magdaleny Zawadzkiej – poinformowałem. – Potrzebuję również techników, którzy odczytają dane z zepsutego telefonu komórkowego. I jeśli możesz, znajdź mi jak najwięcej informacji o Sylwii Fornel i Grażynie Dopierale.

Skończył rozmowę, schował telefon do kieszeni, po czym spojrzał na Monikę i oznajmił z wyraźną ulgą:

– Zadanie wykonane. Chodźmy do schroniska i poczekajmy na policjantów. Potem wracamy do Warszawy, żeby zainkasować należność za naszą pierwszą sprawę.

– I co? Na tym kończymy śledztwo? – spytała zdziwiona. – A co z przepowiednią o dziesięciu bramach, które doprowadzą do zagłady świata? – przypomniała.

– Poważnie się zastanawiam, czy chce mi się ratować świat przed Armagedonem. Wcześniej czy później i tak się unicestwimy.

– Musimy znaleźć tych ludzi. Obiecałeś pomóc – nalegała. – Przecież wskazali ci ciało Zawadzkiej.

– Nie można im ufać, to szaleńcy.

– Przecież tak nie można – oburzyła się Monika.

– A tobie czemu tak na tym zależy?

– A Jeśli faktycznie dzieje się coś niedobrego? Sam widzisz, że coś jest na rzeczy. Znaleźliśmy ciało, zgodnie z wizją podczas seansu. A do tego sny, śmierci, samobójstwa. I ta zaszyfrowana wiadomość. Leon, nie możemy tego tak zostawić.

– Dobrze – odparł z niechęcią. – Zastanowię się po powrocie do biura.

Wrócili do schroniska, aby spotkać się z policją i zaprowadzić ich do miejsca, w którym znaleźli Zawadzką. Funkcjonariusze z pomocą techników kryminalistyki sądowej wydobyli jej ciało spod ziemi i zabezpieczyli teren. Po upewnieniu się, że zwłoki zostaną przewiezione do stolicy, Kowal i Monika pożegnali się z mundurowymi i ruszyli w drogę powrotną.

Po przyjeździe do Warszawy Monika i Leon, mimo późnej pory, postanowili zajechać jeszcze do biura, aby pokrótce omówić sprawę. Umówili się z Olgą, że będzie tam na nich czekała. Na przywitanie przygotowała nawet dzbanek gorącej herbaty. Kowal streścił żonie przebieg wyjazdu do Zakopanego, pomijając pocałunek po upadku Moniki na Orlej Perci oraz sen, który im się przyśnił, i opowiedział o nieprawdopodobnym spotkaniu z członkami Polskiego Towarzystwa Parapsychicznego.

– Sabat? – dopytała Olga, aby upewnić się, że dobrze usłyszała. – Taki z czarownicami, wróżami i innymi dziwadłami?

– Dotąd nie wierzę, że tam byłam. – Monika pokręciła głową.

– Czekaście, czekaście. – Olga najwyraźniej coś sobie przypomniała. – Mówicie, że kazali wam przedrzeć się do struktur InfoSense?

– Tak – potwierdziła Monika. – Tam ludzie zmieniają się w bramy, jak to nazywają.

– Wczoraj zadzwonili do mnie z InfoSense z wiadomością, że zostałyśmy przyjęte do pracy na okres próbny. Czekają na nas jutro. Najwyraźniej dobrze nawymyślałyśmy w CV.

– Widzisz, Leon? – powiedziała triumfalnie Monika. – Musimy doprowadzić sprawę do końca.

– Ale co będziemy z tego mieli? – burknął. – A ty? – zwrócił się do Olgi. – Jeszcze niedawno trulaś mi głowę, że biuro jest stratą czasu, a teraz chcesz, żebyśmy brnęli w jakąś szemraną sprawę?

– A masz jakieś inne zlecenie? – uświadomiła mu Monika. – Spójrz na to szerzej. Ludzie, których wczoraj spotkaliśmy, mogą być bardzo pomocni w kolejnych śledztwach. Czego najlepszym dowodem jest odnalezienie ciała Magdy. Pomóż im, a wtedy będą mieli u ciebie dług wdzięczności.

Argument Moniki padł na podatny grunt.

– Okej – zgodził się Kowal. – Dopóki nie znajdziemy niczego nowego, możemy zająć się tą sprawą. W takim razie idźcie jutro do InfoSense i zorientujcie się, co się tam dzieje – zdecydował. – Ja spotkam się z Kamilem Roznerem i zainkasuję pozostałą część zapłaty za odnalezienie ciała Zawadzkiej.

– Tu jest adres. – Olga wręczyła Monice kawałek kartki z danymi firmy.

ROZDZIAŁ 30

Monika i Olga przed pójściem do pracy ustaliły, że się nie znają. To był najlepszy sposób, aby nie budzić niepotrzebnych podejrzeń. O ósmej stawily się w recepcji wysokiego biurowca w centrum Warszawy. Wylegitymowały się, po czym otrzymały karty uprawniająca do wejścia do pokoju dwadzieścia siedem, znajdującego się na trzynastym piętrze. W obszernej sali siedziała jeszcze jedna dziewczyna, szatynka o miłej aparycji. Miała długie, proste włosy, jasną cerę i zielone oczy, od których nie można było odciągnąć wzroku.

– Jestem Paulina Migut – przedstawiła się.

– Olga Kowal.

– Monika Wójcik. Też jesteś nowa? – spytała Monika.

– Tak i trochę się boję – odpowiedziała Paulina.

Minutę później do pokoju weszła kobieta w białej koszuli z żabotem i czarnej spódnicy za kolano. Usiadła przy stoliku i zwróciła się do nowych pracownic:

– Witam panie. Nazywam się Grażyna Dopierała i będę waszą bezpośrednią przełożoną. Zacznę od prośby, abyśmy przeszły na „ty”. To znacznie ułatwi nam pracę.

Olga, Monika i Paulina pokiwały głowami na znak zgody.

– Wspaniale – ucieszyła się Grażyna. – A zatem cieszymy się, że dołączyliście do wspaniałego zespołu firmy InfoSense. Od teraz ta sala

będzie waszym miejscem pracy.

– Czyli to tutaj mamy zawsze przychodzić? – dopytała Monika.

– Tak – potwierdziła szefowa. – Na piętrze są też inne pokoje, ale wasze karty nie pozwalają wam się do nich dostać. Tak naprawdę najprawdopodobniej nie spotkacie w InfoSense żadnych innych osób poza mną i wami trzema. Chyba że ktoś napatoczy się w windzie albo na korytarzu. Niemniej chciałabym, abyście wiedziały, że kontakty z innymi pracownikami firmy nie są mile widziane – poinformowała.

– Czy testy, którym będziemy poddawane, są tajne? – spytała Paulina, rozglądając się po sali, jakby szukała ukrytych kamer.

– Tak. Badanie jest objęte ścisłą tajemnicą. Do tego też się zobowiązaliście – przypomniała im. – Wasza grupa będzie testowała nowoczesne technologie stymulujące mózgi w zakresie telepatii. Z CV wynikało, że macie takie predyspozycje.

– Będziemy się zajmowały tylko telepatią? – spytała Monika.

– Tak. Oczywiście w różnych jej aspektach, ale o tym dowiecie się później.

– A co z naszymi godzinami pracy? – odezwała się Olga. – Podobno mają być elastyczne?

– Wasza praca liczona jest godzinowo. Jeśli w danym dniu będzie do przetestowania moduł, który nie wymaga uczestnictwa dwóch czy trzech osób, to oczywiście można swoją pracę wykonać nawet w nocy. Karta upoważnia was do wejścia w dowolnym czasie.

– A co z działem kadr, jakimiś sprawami pracowniczymi? Gdzie mamy się udać? – drążyła Olga.

– Administrację mamy w biurowcu przy ulicy Marszałkowskiej. Tam załatwicie formalności – odparła Grażyna. – I podpiszecie z nami umowę,

że nie ujawnicie lokalizacji miejsca pracy. Jak powiedziałam, nasze testy są tajne.

– Czy możemy liczyć na umowę na stałe? – spytała Paulina.

– To zależy, jak się sprawdzicie podczas okresu próbnego. Jeśli będziemy z was zadowoleni, to oczywiście kariera w InfoSense stoi otworem – powiedziała z uśmiechem. – Spojrzała na nowe pracownice i nie słysząc żadnych pytań, sięgnęła po pilot leżący na biurku, za pomocą którego zasłoniła rolety w oknach i rozsunęła składane na dwie części, przesuwane na szynie drzwi oddzielająca pokój od drugiego, jeszcze większego pomieszczenia. Przypominało salę wykładową połączoną ze świetnie wyposażonym gabinetem lekarskim. Znajdowały się w nim cztery ławki z krzesłami, rzutnik, dwie leżanki, fotele podobne do dentystycznych i kilka czepków z czujnikami BCI. Pośrodku stały trzy stoliki z laptopami, do których były podłączone przyrządy pomiarowe, oraz mała, dźwiękoszczelna budka z jednym wejściem, podobna do fotobudek rozstawionych w galeriach handlowych. Szefowa nazywała ją izolatką.

Grażyna wyjaśniła nowym pracownikom, do czego służą i jak działają sprzęty zgromadzone w sali, a następnie poprosiła, aby usiadły przy ławkach i wypełniły ankietę, na podstawie której miała porozdzielać pracę między członkiniami zespołu. Przyglądała się wynikom przyszłych testerek z tajemniczym uśmiechem na twarzy.

– Aż tak źle wypadłyśmy? – zmartwiła się Monika.

– Nie – zaprzeczyła stanowczo Grażyna. – Wręcz przeciwnie. Zrobimy zatem tak. Olga będzie kimś w rodzaju kierownika zespołu, zaś Monika i Paulina będą testerkami.

– Co dokładnie mamy robić? – spytała Paulina.

– Nasz zespół developerów raz w tygodniu będzie nam przekazywał nową wersję oprogramowania, a my będziemy je testować.

– Co to za oprogramowanie? – zainteresowała się Olga.

– Ma wzmocnić wasze umiejętności telepatyczne – odparła Grażyna. – Chodzi o to, abyście osiągały coraz lepsze wyniki w komunikacji na odległość, aż do stuprocentowej skuteczności – wytłumaczyła.

– Czy to w ogóle możliwe? – powątpiewała Olga.

– Nie wiem, to właśnie chcemy sprawdzić. Teraz same rozumiecie, dlaczego nasze badania są utajone. Rezultaty naszej pracy mogłyby zostać wykorzystane w niewłaściwym celu.

– Czy możemy poznać szczegóły związane z testowanym przez nas oprogramowaniem? – poprosiła Olga.

Grażyna odchrząknęła, poprawiła się na krześle i kontynuowała wypowiedź:

– Programiści na podstawie osiągniętych przez was wyników będą nanosili na algorytm poprawki, abyście przy kolejnych próbach uzyskiwały lepsze rezultaty. To najczęściej parametry dla czujników BCI, którymi będziemy stymulować wasze mózgi. Z tego również powodu poproszę o podpisanie stosownego oświadczenia, że bierzecie na siebie ryzyko ewentualnych problemów zdrowotnych spowodowanych eksperymentem – zastrzegła. – Chodzi o to, abyście w razie czego nie rościły żadnych pretensji w stosunku do firmy InfoSense.

– To brzmi niepokojąco – zauważyła Monika. – Czy coś nam grozi?

– W zasadzie nie – odparła Grażyna. – Nie będziemy przekraczali granicy bezpiecznego natężenia fal elektromagnetycznych, ale same wiecie. Każdy eksperyment jest obarczony ryzykiem.

Monika, Olga i Paulina poprosiły, aby jeszcze tego samego dnia przeprowadzić pierwszy test. Chciały jak najszybciej zapoznać się ze sposobem działania czujników BCI.

Monika i Paulina włożyły na głowy czepki z czujnikami BCI, ich zadaniem było odgadnięcie przedmiotu, o którym będzie myślała Olga. Aby nie słyszeć swoich odpowiedzi, miały komunikować się za pomocą terminala tekstowego. Grażyna i Olga weszły do dźwiękoszczelnej budki i obserwowały, co dzieje się z testerkami przez duży ekran dotykowy, umieszczony na jednej ścianie.

– Z lewej strony wyświetli się zdjęcie przedmiotu, o którym masz myśleć, dobrze? – instruowała Grażyna. – Paulina i Monika będą starały się odgadnąć twoje myśli. Przez pierwsze dni algorytm będzie uczył się waszych fal mózgowych, więc nie przejmuj się niepowodzeniami – uprzedziła. – To normalne, że na początku wasze wyniki będą mizerne.

– W takim razie zaczynamy – zapaliła się Olga.

– Dobrze. – Grażyna wprowadziła na komunikatorze wiadomość, że rozpoczynają test. – Włóż czepkę z czujnikami – poprosiła Olgę, po czym nacisnęła „start” na ekranie. Po lewej stronie pojawiła się dmuchana piłka plażowa.

– Myśl o niej intensywnie. Możesz sobie wyobrazić plażę, wodę i to, że gracie tą piłką – poradziła Grażyna.

Przez minutę Olga próbowała skupić się na wyświetlonym przedmiocie, ale jej myśli nieustannie zbaczały w stronę SMS-a, którego rano otrzymała od Samuela. Napisał, że muszą jak najszybciej się spotkać, ponieważ ostatni raz było mu tak dobrze, że nie może zapomnieć jej smaku i zapachu. Oczekuje Olgi dziś o osiemnastej w jednym z warszawskich hoteli. Jeśli nie przyjdzie, prześle kompromitujący ją film Leonowi.

Grażyna poinformowała testerki, aby skupiły się na odbieraniu myśli Olgi. Ich odpowiedzi przesyłane za pomocą terminala tekstowego były odległe od przedmiotu wyświetlonego na ekranie.

– Naszym zadaniem jest nie tylko testowanie zdolności telepatycznych – zagadnęła Grażyna – ale również weryfikacja, jakie dana osoba uzyska wyniki przy odpowiedniej stymulacji emocjonalnej.

– Nie rozumiem. – Olga pokręciła głową.

– Z ankiety psychologicznej wynika, że Monika jest osobą bardzo pragmatyczną, żeby nie powiedzieć cyniczną – mówiła Grażyna. – Spróbuj najpierw wprowadzić Monikę w delikatną irytację, a potem wykonajcie test ponownie. Jeśli chodzi o Paulinę, to na nią powinny zadziałać pochwały i pochlebstwa. Napisz jej coś miłego i powtórz eksperyment.

Olga uśmiechnęła się do siebie, ponieważ potwierdziły się jej przypuszczenia co do Moniki.

– Jasne – odparła, zadowolona, że będzie mogła odegrać się na Monice. Spróbuje wyciągnąć z niej szczegóły dotyczące romansu z Leonem.

– Jeśli będziesz miała problem z wymyśleniem sposobu, jak wprowadzić testera w odmienny stan emocjonalny, klikasz tutaj i nasz komputer wygeneruje sugestię – podpowiedziała Grażyna.

– To jest fantastyczne – przyznała Olga. – Czy są przewidziane zamiany ról? – spytała.

– Na razie nie – zaprzeczyła. – Komputer potrzebuje czasu na naukę waszych profili psychologicznych. Za tymi testami stoi niezwykle skomplikowany algorytm, który nie tylko analizuje pracę waszego mózgu, lecz także weryfikuje wasze zachowanie i to, jak się komunikujecie. To wszystko ma wpływ na wynik eksperymentu.

– A będziemy wiedziały, że komputer stymuluje nasze mózgi?

– Nie. To dzieje się bez waszej wiedzy, ale będziecie informowane o skuteczności waszych testów i o tym, czy wasze wyniki ulegają poprawie.

– Czy to ty będziesz przeprowadzała testy?

– Nie, nad testami będzie czuwał komputer i nasi pracownicy. Ja będę was odwiedzała tylko wtedy, kiedy zajdzie taka potrzeba. Mam na głowie wiele podobnych zespołów – wyjaśniła.

– Rozumiem – przytaknęła Olga.

– I jeszcze jedno. – Spojrzała w oczy Oldze. – Nie mów Paulinie i Monice tego, co ci przed chwilą powiedziałam – poprosiła. – Wasze role zostały skrupulatnie wydzielone. To ważne dla powodzenia eksperymentu. Liczę na waszą uczciwość.

– Dobrze. Ani słowa – obiecała Olga.

Pierwszy dzień pracy w InfoSense dobiegł końca. Zarówno Olga, jak i Monika zdawały się bardzo poruszone przebiegiem testów.

– Idziemy opowiedzieć o wszystkim Leonowi? – zaproponowała Monika.

– Muszę jeszcze załatwić coś w szkole. Niby są wakacje, ale mamy różnego rodzaju spotkania i dyżury – wymigała się Olga, spoglądając na zegarek. – Widzimy się jutro w nowej pracy.

– Jasne. W porządku. Do zobaczenia jutro – rzuciła na pożegnanie Monika. Ale ani myślała spuszczać Olgi z oczu.

Udała, że kieruje się na przystanek, po czym wmieszała się w tłum ludzi zmierzających do metra. Znalazła bezpieczne miejsce i obserwowała, co robi Olga. Ta rozejrzała się kilka razy i wsiadła do tramwaju jadącego na most Poniatowskiego prowadzący na Pragę. Monika zmarszczyła brwi, próbując przypomnieć sobie, gdzie znajduje się szkoła, w której pracuje Olga. O ile dobrze pamiętała, na Mokotowie. Mruknęła pod nosem i ruszyła na swój przystanek. Nie mogła się doczekać, żeby zdać relację Leonowi z pierwszego dnia pracy.

ROZDZIAŁ 31

Gdy Monika weszła do biura, ujrzała Leona rozmawiającego z zapłakany Roznerem.

– Cześć – przywitał się, widząc Monikę. – Właśnie powiedziałem panu Kamilowi o Magdzie.

Monika podeszła do Roznera i pogłodziła go po plecach.

– Bardzo mi przykro – powiedziała.

– Czy ona naprawdę się zabiła? Popęniła samobójstwo?

– Wszystkie fakty na to wskazują – odparł Kowal. – Policja sprawdza jeszcze, jak to się stało, że porzuciła kurtkę na Orlej Perci w okolicach Zamarłej Turni, a potem dostała się w okolice Morskiego Oka. I dlaczego wyłączyła telefon komórkowy.

– Może się po prostu rozładował? – zasugerował Rozner.

– To mało prawdopodobne. Takie rzeczy się sprawdza przed wyjściem w góry.

– Chyba że ktoś nie zamierza z nich wrócić – powiedział smutno.

– Panie Kamilu, naprawdę nam przykro, że nie mamy lepszych wieści, ale prosił nas pan o znalezienie ciała i je znaleźliśmy – podkreślił Leon, dając jasno do zrozumienia, że czeka na pieniądze.

Rozner spojrział najpierw na Monikę, potem na Leona, wreszcie odpowiedział:

– Oczywiście, należy się państwu zapłata. – Wyciągnął kopertę z pieniędzmi i wręczył ją detektywowi. – Chciałbym jednak, abyście kontynuowali śledztwo. Jeśli wyjaśnicie tę sprawę do końca, nie będę skąpił grosza. Bardzo mi na tym zależy. Policja miota się jak dzieci we mgle. Zajmijcie się tym – nalegał.

– Taki mamy zamiar – uspokoił go. – Monika i Olga były dziś w pana pracy, cały dzień, więc na pewno mają dużo do opowiadania.

Monika poczuła się wywołana do tablicy, ze szczegółami zrelacjonowała spotkanie z Dopierałą, wygląd sali i przebieg pierwszych testów.

– Czyli testerzy pracują niemal po sąsiedzku. – Pokręcił głową, dowiedziawszy się o miejscu, w którym InfoSense prowadzi testy oprogramowania tworzego przez jego zespół. – A myślałem, że gdzieś dalej, może nawet poza granicami miasta.

– Obawiam się – zaczął Kowal – że rozwiązanie tej sprawy może okazać się niezwykle trudne. Za InfoSense stoją poważni gracze, którzy za wszelką cenę będą chronili tajemnicy spółki. Zrobimy jednak, co w naszej mocy, aby wyjaśnić, co takiego sprawiło, że Magda popełniła samobójstwo.

– Rozpoczęliśmy obserwacje – wtrąciła Monika. – Już po pierwszym dniu można wnioskować, że firma stara się izolować nas od wszelkiej informacji. Naszym zadaniem jest testowanie oprogramowania aktualizowanego raz w tygodniu przez zespół programistów.

– Czyli między innymi przeze mnie – zaznaczył Rozner.

– Musimy zdobyć więcej informacji. – Kowal spojrzał na niego wymownie.

– Zrobię, co będę mógł – zapewnił.

– Potrzebowalibyśmy listy osób pracujących w InfoSense albo byłych pracowników, którzy z jakiegoś powodu zostali zwolnieni.

– Spróbuję coś wykraść, choć nie obiecuję, że mi się uda. – Rozner podrapał się po głowie. – No nic, wykorzystam tę samą sztuczkę co poprzednio.

– W takim razie na dziś tyle, będziemy w kontakcie. – Kowal wyciągnął dłoń na pożegnanie.

Rozner uściskał ją mocno.

– Dziękuję za odnalezienie ciała Magdy. Choć prawdę mówiąc, liczyłem, że zobaczę ją żywą – wyznał ze smutkiem.

– Postaramy się dopaść tych, którzy są odpowiedzialni za jej śmierć – powiedział Kowal, odprowadzając go do wyjścia.

– I co, szefie? – odezwała się Monika, gdy za Roznerem zamknęły się drzwi. – Teraz przynajmniej masz motywację, aby kontynuować śledztwo.

Kowal zignorował jej uszczypliwość.

– To jest biznes – stwierdził – a nie instytucja charytatywna. Muszę zarabiać pieniądze, a nie ratować świat. – Usiadł ponownie za biurkiem.

– Jest jeszcze jedna sprawa – zagadnęła. – Nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie, ale Olga chyba ma jakąś tajemnicę. Powiedziała mi, że idzie do szkoły, a pojechała tramwajem w przeciwnym kierunku. O ile pamiętam, pracuje w szkole na Mokotowie.

– Zgadza się. Sugerujesz, że mnie zdradza?

– Niczego nie sugeruję – zaprotestowała stanowczo. – Mówię tylko, jak było. W końcu jestem detektywem.

Kowal przewrócił oczami i sięgnął po materiały, które otrzymał od policji.

– Mam trochę informacji na temat Grażyny Dopierały i Sylwii Fornel. – Podał je Monice.

Otworzyła teczkę i przejrzała znajdujący się na samej górze plik fotografii. Dokumentowały masakrę, która wydarzyła się na Uniwersytecie

Humanistycznospołecznym. Monika z niedowierzaniem oglądała zdjęcia zakrwawionych studentów, powywracanych ławek i krzeseł, rozbitych szkielec i nieprzytomnej kobiety.

– To przerażające. – Rzuciła fotografie na biurko. – Co się tam wydarzyło?

– Protokół z miejsca zdarzenia opisuje atak szału Sylwii Fornel, to ta nieprzytomna na zdjęciu. – Wskazał. – Która podczas eksperymentu zaatakowała pozostałych uczestników badania. Jest ktoś jeszcze. – Przerzucił zdjęcia. – Weronika Kownacka. – Pokazał dziewczynę z obłędem w oczach. – Od tamtego wieczoru przebywa w zakładzie psychiatrycznym. Mówi ci coś to nazwisko?

– Czy to nie jest czasem ta dziewczyna, którą próbowała uratować Honorata Jaromir?

– Zgadłś – potwierdził Kowal.

– Przecież to wygląda jak plan zdjęciowy horroru – powiedziała. – Jeśli tak ma wyglądać Armagedon, o którym wspominali Parapsychiczni, to nie chcę brać w nim udziału.

– W tę Sylwię wstąpiła jakaś nadludzka siła, która sprawiła, że bez większego problemu odpierała ataki ławkami i krzesłami, dusiła jednego studenta, złamała mu rękę, innemu nos – streszczał policyjny raport. – Nikt nie mógł jej powstrzymać, aż w końcu Grażyna Dopierała poraziła ją prądem. Od tamtej pory Sylwia jest w śpiączce.

– Czy Dopierała poniosła jakieś konsekwencje?

– Wszyscy podpisali oświadczenia, że zgadzają się na ryzyko związane z ewentualną utratą zdrowia, a nawet życia, podczas wykonywania testów. Dopierałę wywalili z uczelni, ale nic więcej nie mogli jej zrobić. Ostatecznie wylądowała na cztery łapy jako dyrektor w InfoSense.

Monikę przeszedł nieprzyjemny dreszcz.

– O co chodzi? – spytał Kowal, widząc zmianę na jej twarzy.

– My też musiałyśmy podpisać taką zgodę.

– Kurwa – zaklął. – Nie wracajcie tam. Cała ta firma to przykrywka. W jej pomieszczeniach dzieją się rzeczy, o których nie mamy zielonego pojęcia.

– Będziemy ostrożne – zapewniła.

– Tak? A myślisz, że ci studenci nie byli ostrożni?

Kowala zaczął rozglądać się nerwowo po biurze, w jego oczach pojawił się strach. Otworzył szeroko usta, aby wziąć kilka głębszych oddechów.

– Leon, co się dzieje?

– Wydarzy się coś złego – wymamrotał.

– Znowu to czujesz? – dopytywała. – To uczucie smutku? Opuszczenia?

– Gorzej, ostatnio zamieniło się ono w paniczny strach. To samo czułem w górach. Myślałem, że się zgubiłem. Wszędzie była mgła, słyszałem jakieś krzyki, zawodzenia – powiedział. – A co, jeśli Parapsychiczni mieli rację i jestem wybrańcem, o którym napisano w zwojach z Qumran?

– Jeśli jesteś wybrańcem, twój los nie leży w twoich rękach. Nie uciekniesz od niego – odparła. – Leon, wiem, że to wszystko jest nieźle popaprane, ale jedyne, co możemy zrobić, to iść po nitce do kłębka. Teraz musimy się skupić na tej podejrzanej firmie. Piorą w niej ludziom mózgi. Albo robią coś jeszcze gorszego.

– Masz rację – przyznał. – Rozchwat mówił, że niedługo otworzy się dziewiąta brama. Co z pozostałymi ludźmi? Co się z nimi stało? Musimy zdobyć listę nazwisk. Oby Roznerowi się udało.

– A ta kobieta, która zaatakowała studentów? Czy to nie od niej się zaczęło?

– Na to wygląda – zamyślił się, przygryzając wargę.

Zapadła krępująca cisza. Zdawali sobie sprawę, że przyszło im się zmierzyć z wrogiem dużo potężniejszym, niż mogliby przypuszczać. Kowal spojrzał na twarz Moniki, która wyrażała spokój. Jakby w trakcie śledztwa niepostrzeżenie zamienili się rolami. Teraz to on czerpał od niej siłę i energię do szukania odpowiedzi, kto stoi za śmiercią Magdy Zawadzkiej. I nie tylko jej.

– Przyszedł mail – zauważyła Monika.

– A, tak. – Kowal spojrzał na ekran laptopa. – To Waldek. Wyciągnęli dane z telefonu Magdy Zawadzkiej. Znaleźli w nim filmy nagrane w ostatnich godzinach życia.

Monika otworzyła szeroko oczy.

– Co w nich było?

– Waldek pisze, że policja nie wie, jak ma zinterpretować ten materiał. Dlatego poprosili nas o pomoc.

Do maila załączono kilkanaście plików wideo z dnia, w którym Zawadzka przebywała na Orlej Perci. Część filmów pochodziła z godzin popołudniowych i wieczornych.

– Oglądamy chronologicznie? – zapytał Kowal.

– Puszczaj. – Monika nie mogła się doczekać, co na nich zobaczy.

Uruchomił pierwszy z filmów, na którym widać było zmęczoną twarz Magdy Zawadzkiej.

„Przez pół nocy odprawiałam zakłęcie ochrony”, mówiła. „Nie wiem, jak długo będę w stanie bronić się przed obcym, który próbuje opanować mój mózg i ciało. To wdzierało się we mnie od kilku tygodni. Czuję, że tracę nad tym kontrolę”.

Na drugim nagraniu Zawadzka przemierzała górski szlak prowadzący na Orlą Percć.

„Idę w góry, aby spróbować wyrzucić z siebie obcą istotę, która zawładnęła moim umysłem i ciałem. Stoczę ostatnią walkę. Mam nadzieję, że góry pomogą mi odeprzeć zło”.

Na następnym filmie stała na Zamarłej Turni i wypowiadała zaklęcia w niezrozumiałym języku. Jej twarz się zmieniła. Miała popękane wargi, wielkie sińce pod oczami i niezwykle bladą skórę, na której zieleniły się meandry żył. Wyglądała, jakby w jej wnętrzu żyło przynajmniej kilka osób, które próbowały przejąć kontrolę nad jej ciałem.

„Boże, daj mi siłę, abym mogła pokonać demona, który próbuje wdrzeć się do naszej rzeczywistości. Na szczęście zabezpieczyłam się zaklęciem ochrony. W najgorszym wypadku obca istota i tak poniesie klęskę”. Roześmiała się, prezentując przekrwione dziąsła.

Później Magda rzuciła się z grani, wciąż trzymając w ręku telefon komórkowy. W pewnym momencie zobaczyli skalną ścianę i uciekającą przestrzeń. Nastąpiło uderzenie. Kamera nie przestała jednak pracować, nadal utrwalając niebo i masyw Zamarłej Turni.

Monika i Kowal wymienili spojrzenia, w ich głowach zrodziło się to samo pytanie: kto nagrał kolejne filmy?

– Najwyraźniej wcześniej wyciągnęła kartę. Telefon znaleziony przy Magdzie już jej nie miał.

– Rozumiem. – Zagryzła wargę. – Zastanawiam się, czy chcę oglądać kolejne nagrania.

Kowal nie odpowiedział i włączył następny film. Kadry były słabo widoczne, rozmazane, jakby ktoś zawiesił telefon na sznurku, który kołysze się przy każdym kroku. Na niektórych kadrach dało się dostrzec fragmenty gór, szlaku i schroniska. Co jakiś czas słychać było odgłosy głośnego mlaskania.

Później ujęcia trochę się zmieniły. Pojawiły się pnie drzew, mały kopczyk obok powalonych drzew, a w końcu ciasna jama.

– To ta gawra, w której odnaleźliśmy ciało – skomentował Monika.

Na ostatnim filmie widać było zmasakrowaną twarz Magdy. Kość lewego policzka przebiła skórę i wyszła na wierzch. Jedno oko wypłynęło i wisiało na fragmentach tkanek. Spod okaleczonych i zakrwawionych warg wystawały pokruszone zęby. Wydawało się, że Magda delikatnie się uśmiecha.

– Straszne – westchnął Kowal. – Rzuciła się w przepaść, aby zatrzymać demony wdzierające się do naszego świata.

– Mówiła coś o zaklęciu ochrony, które wcześniej czy później zniszczy zło w jej ciele – przypomniała Monika. – Widziałeś jej uśmiech na ostatnim filmie? Jakby chciała pokazać zwycięstwo nad demonem, który zawładnął jej ciałem.

– Honorata Jaromir zrobiła podobnie. Wykazały się wielką odwagą.

Monika spojrzała na żaluzje w oknie, chciała się upewnić, że na zewnątrz nikt nie stoi. Choć znajdowali się w centrum dużego europejskiego miasta, miała wrażenie, że tkwią zupełnie sami w środku nieprzebytego lasu, gdzie zewsząd czyhają na nich dzikie zwierzęta i siły, o jakich im się nawet nie śniło.

– Boję się – wyznała cicho. – Czy mogę się przytulić?

Kowal wstał od biurka i wziął Monikę w objęcia. Czuł jej serce, które szamotało się w klatce piersiowej niczym zwierzę w potrzasku. Trwali wtuleni w siebie, kojąc nerwy bliskością swoich ciał.

– Zawadzka zginęła – zastanawiała się na głos Monika. – Przecież widzieliśmy, jak spada w przepaść przy Zamarłej Turni. Nie mogła przeżyć upadku z takiej wysokości. Jakim cudem znalazła się w lesie obok Morskiego Oka?

– Byłem dotychczas sceptycznie nastawiony do zdarzeń, które nas spotykały – powiedział Kowal. – Ale boję się, że mój zdrowy rozsądek będzie musiał zostać odsunięty na bok. Musimy spojrzeć prawdzie w oczy.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– To nie była Zawadzka. Jakaś obca siła zawładnęła jej ciałem. Za wszelką cenę próbowała utrzymać ciało dziewczyny przy życiu, bo ta najprawdopodobniej była dziesiątą bramą.

Monika jeszcze mocniej wtuliła się w pierś Leona.

– Janina miała rację. InfoSense to wylęgarnia zła.

– Spójrz, jak to perfidnie zorganizowali – ciągnął Kowal. – Proces przemiany w bramę trwa na tyle długo, aby nikt nie podejrzewał, że za drastyczną zmianą osobowości pracowników stoją testy przeprowadzane w InfoSense. Nie zdziwiłbym się, gdyby przełożeni, widząc, że testerzy stają się coraz bardziej nieobliczalni, zwalniali ich z pracy. Kto powiąże dziwne zachowanie człowieka z testami oprogramowania, które były przeprowadzane pół roku wcześniej? Musimy zdobyć nazwiska osób, które pracowały w InfoSense. Tylko tak dotrzemy do bram – stwierdził. – Zło wciska się do naszego świata i obawiam się, że jest bardzo blisko celu.

– Może Magda i Honorata, dzięki swoim ofiarom, odwlekły zagładę.

– Jeśli nawet tak było, to InfoSense działa dalej. Lada moment kolejne bramy mogą zostać otwarte, albo już się to dzieje.

– Myślisz, że ten Włoch, który zarządza InfoMedem, wie, co się odwała w InfoSense?

Kowal nie zdążył odpowiedzieć na pytanie, gdy usłyszał dźwięk telefonu oznaczający nadejście SMS-a. Wyjął z kieszeni komórkę i spojrział na wyświetlacz.

– To Olga. Píše, że idzie na piwko z koleżankami ze szkoły i wróci dopiero późną nocą – oznajmił Kowal, po czym wypuścił ciężko powietrze.

- Powiedz mi szczerze. Czy ona mnie zdradza?
- Nie wiem. Na pewno coś przed tobą ukrywa – odparła Monika.
- Mam prośbę.
- Tak?
- Obserwuj ją. Większą część dnia będziecie razem, więc będziesz miała więcej możliwości niż ja – wymamrotał.
- Dobra, będę ją szpiegowała. – Uśmiechnęła się.

ROZDZIAŁ 32

Wcześniej

Grażyna Dopierała uśmiechnęła się zadowolona, że udało się znaleźć kolejną osobę podatną na działanie czujników BCI. Znając idealny profil testera, nie miała większych trudności z wyborem odpowiednich kandydatów. Poprawiła się na wygodnym fotelu i połączyła się z Danielem Stępnem, analitykiem i kierownikiem odpowiedzialnym za zespół developerów w InfoSense.

– Dzień dobry, szefowo – przywitał się Stępień, który lizusostwo miał opanowane do perfekcji. – Jak zawsze pani głos brzmi świeżo i pięknie.

– Chciałabym, abyście przygotowali mi nakładkę na wizualizację odczytów dla czujników BCI – poprosiła.

– Nakładkę? – zdziwił się.

– Wizualizację natężenia fal elektromagnetycznych producenta czujników BCI należy zamienić na naszą wersję wizualizacji – wytłumaczyła.

– Aha – mruknął. – A w jaki sposób?

– Chciałabym sama móc konfigurować wizualizację natężenia fal elektromagnetycznych.

– Jak dobrze mniemam, takie mapowanie należy zrobić w pełnym zakresie fal? – dopytał.

– Oczywiście.

Stępień milczał przez chwilę, próbując dobrze zrozumieć polecenie szefowej.

– A czy mogę wiedzieć, w jakim celu mamy wykonać taką zmianę? – dążył.

– Bardzo często odczyty producenta czujnika nie są miarodajne. Chciałabym wprowadzić własną miarę – powiedziała Grażyna.

Po tym wyjaśnieniu Stępień i podległy jemu zespół developerów przystąpili do realizacji prac programistycznych.

Jedną z pierwszych osób przyjętych na stanowisko testera w InfoSense była Janina Maj. Miała koło pięćdziesiątki, nosiła długie, luźne sukienki, aby zatuszować krągłości ciała, których najwyraźniej się wstydziła. Była niezwykle wdzięczna Grażynie Dopierale, że przyjęła ją do pracy, oferując wysokie wynagrodzenie, mimo że wcześniej Janina przez wiele lat pracowała jako sprzątaczką. Na jej korzyść przemawiał fakt, że Maj nie miała ani męża, ani dzieci, a jej rodzice nie żyli.

– Pisała pani, że potrafi przepowiadać przyszłość – zagadnęła Grażyna podczas pierwszej rozmowy z Janiną.

– Tak. Stawiam tarota, który zresztą bardzo często się sprawdza – pochwaliła się.

Grażyna najprościej, jak się dało, poinstruowała nową pracownicę, co ma robić, i dwa dni później Janina z czujnikiem BCI na głowie starała się odgadnąć obrazy wybierane przez algorytm z biblioteki kilkuset wzorów generowanych przez komputer.

– Program wylosuje obraz, którego ani pani, ani ja nie będziemy widziały – zaczęła Grażyna. – Pani zadaniem będzie odgadnąć, co wybrał komputer. Ja zaś sprawdzę, czy odpowiedź jest właściwa.

– Czy to jest bezpieczne? – zapytała Janina, patrząc na wskaźnik natężenia czujników BCI, który zbliżał się do granicy bezpieczeństwa, zaznaczonej czerwonym kolorem.

– Oczywiście – zapewniła ją Grażyna. – Proszę zauważyć, że nigdy nie przekraczamy granicy wyznaczonej przez producenta czujników.

– To dobrze, bardzo dobrze – odparła z ulgą Janina, nieświadoma, że przyjmowała dawkę znacząco przekraczającą dopuszczalną normę.

Któregoś dnia Grażyna uprzedziła ją, że natężenie fal elektromagnetycznych może wywołać ból, który ta ma zignorować i dalej odgadywać obrazy. Janina walczyła z uporczywym ćmieniem w okolicach skroni, jednak ku swemu zaskoczeniu wizje obrazów, które miała odgadywać, objawiały się przed jej oczyma tak wyraźnie, jak nigdy wcześniej.

– To jest parasolka – powiedziała z ekscytacją w głosie. – Widzę to wyraźnie.

Grażyna wcisnęła klawisz na klawiaturze laptopa. Na ekranie pojawiła się parasolka.

Z czasem ból robił się nie do zniesienia, Janina miała wrażenie, że ktoś wbija jej w głowę tysiące małych szpilek.

– Pęka mi głowa – narzekała, zwracając się w stronę Grażyny.

– Proszę wytrzymać. Jeszcze tylko kilka prób i kończymy.

– To jednorożec – zgadła. – Skończmy już test. Nie dam rady dłużej – błagała. Złapała za czepek, aby ściągnąć go z głowy, ale wtedy doskoczyła do niej Grażyna i przytrzymała go siłą.

– Muszę to zdjąć – krzyczała Janina, szarpiąc się z szefową. Odepchnęła Grażynę i zrzuciła z głowy czujniki. Wyczerpana, padła na kolana i trzymała się za skronie, aby uciszyć bolesne pulsowanie.

– Dobrze się pani spisała. Proszę trochę odpocząć – powiedziała Grażyna, zadowolona z wyników. – Jutro będziemy kontynuowały.

Z czasem stan psychiczny Janiny znacząco się pogorszył. Unikała kontaktu z ludźmi, straciła apetyt i zaczęły ją nękać koszmary, aż z czasem przestała spać, zadowolając się kilkoma krótkimi drzemkami. Później przyszły halucynacje. Dręczył ją duch ojca, który zmarł kilka miesięcy temu. Chudy i pomarszczony, jak w ostatnich dniach przed śmiercią, kiedy choroba nowotworowa wyniszczyła jego ciało, siadał przy jej łóżku i jakby nigdy nic zaczynał mówić. Na początku Janina, sparaliżowana strachem, nie miała pojęcia, co robić. Zaciskała mocno oczy i czekała, aż ojciec odejdzie. Z dnia na dzień przywykła do jego obecności.

– Wiesz, moja kochana, że zmarnowałaś sobie życie? – spytał któregoś razu.

– Wiem, nie musisz mi przypominać – odparła oburzona.

– Ale przynajmniej teraz wreszcie nam się przydasz.

– Tak? – zdziwiła się Janina. – A niby do czego?

– Dzięki tobie zdobędziemy wasz świat i zamienimy go w podobny do naszego – syknął nienaturalnym głosem.

– Co ty gadasz? Pleciesz jakieś bzdury.

– Będziemy się przez ciebie przesączali bardzo powoli. Potem przez innych, podobnych tobie. A gdy dopełni się liczba, nic nas nie powstrzyma.

Po paru miesiącach Janina stała się wrakiem człowieka, z którym trudno było się skomunikować, nie mówiąc już o poddawaniu się testom. Grażyna wezwała ją do swojego gabinetu, wyciągnęła z szuflady wypowiedzenie umowy o pracę i położyła je na stole.

– Co to jest? – bąknęła Janina.

– Wypowiedzenie – odparła Grażyna. – Wystarczy podpisać.

– Dlaczego? – spytała słabym głosem.

– Ze względu na pani pogarszający się stan zdrowia musimy zrezygnować z pani usług. Chyba sama pani zauważyła, że nie jest z panią najlepiej. Potrzebuje pani odpoczynku.

– Aha – mruknęła. – Ale za co będę żyć?

– Wypłacimy pani trzykrotność pensji.

Apatyczna i zrezygnowana, podpisała dokument. Grażyna uścisnęła jej rękę i wysłała byłą pracownicę do działu kadr. Janina zdała karty dostępowe do pomieszczeń InfoSense, gdzie odbywały się testy, podbiła kartę obiegową i odebrała świadectwo pracy.

Niestety stan jej zdrowia pogorszył się tak bardzo, że zaczęła być groźna dla otoczenia. Doszło nawet do tego, że rzuciła się z nożem na sąsiadkę, która zmuszona była wezwać policję. Po interwencji Janina została zamknięta w oddziale dla osób chorych psychicznie.

ROZDZIAŁ 33

– Kawka? – zapytała Monika.

Olga przytaknęła, zatarła ręce i ruszyła w kierunku kuchni. Było to jedyne miejsce, w którym mogły spotkać testerów InfoSense spoza własnej trójki. W kącie siedziała młoda dziewczyna. Odkąd Olga, Paulina i Monika weszły do kuchni, ani razu nie spojrzała w ich stronę.

– Cześć – przywitała się Monika. – Jesteśmy nowe. Fajnie, że udało się spotkać kogoś z innej grupy – powiedziała z uśmiechem.

– Cześć – odparła zdawkowo, nie odrywając się od konsumowania kanapki.

– Jak już wspomniałam, jesteśmy nowe – spróbowała ponownie Monika. – I nie pamiętamy dokładnie zasad InfoSense. W kuchni chyba możemy rozmawiać o pracy, co?

Dziewczyna rozejrzała się nerwowo, spojrzała na umieszczone w rogach kuchni kamery i odparła:

– Kierownictwo nieprzychylnie patrzy na jakiegokolwiek dyskusje o pracy. Nasze badania są tajne.

– Myślę, że pracujemy dla jakiejś jednostki rządowej albo dla wojska – szepnęła Olga. W jej kieszeni zawibrował telefon, wyjęła go i odczytała SMS. Monika, która siedziała na tyle blisko Olgi, żeby choć częściowo poznać treść wiadomości, nie przepuściła okazji i zerknęła na wyświetlacz.

O mało nie wyrwało jej się z ust „wiedziałam”, kiedy kątem oka zobaczyła fragment brzmiący „mam ochotę na seks”.

– Raczej nie – zaprzeczyła dziewczyna. – InfoSense to sektor prywatny. – Szybko po sobie posprzątała i wstała od stolika. – Wracam do pracy. Mam małe dziecko i potrzebuję pieniędzy, a za tego typu rozmowy można stąd wylecieć.

– Poważnie? – Olga udała zdziwienie. – My też się zbieramy – zwróciła się do Pauliny i Moniki.

Gdy wróciły do sali, zastały w niej szefową.

– Jakies nowe wytyczne? – spytała Olga.

– Chcemy sprawdzić – zaczęła Dopierała – jak dalece można wpłynąć na czyjeś decyzje za pomocą telepatii. Olga, przebywając w odosobnieniu, będzie próbowała telepatycznie stymulować mózg Pauliny. Ty zaś – zwróciła się do Pauliny. – Będziesz wymierzała Monice kary.

– Kary? – przejęła się Monika. – Jakiego rodzaju kary?

– Zastanawialiśmy się, co poprawi skuteczność testujących. Jak zwiększyć ich motywację – ciągnęła Grażyna. – Przeanalizowaliśmy różnego rodzaju badania na ten temat.

– I do jakiej konkluzji doszliście? – zaciekawiała się Olga, uradowana, że niebawem będzie miała okazję do małej zemsty na Monice.

– Otóż człowiek najbardziej boi się straty. W tym wypadku jest to strata komfortu fizycznego. Kara musi być dotkliwa. Osoba testująca powinna się jej bać. Lęk wyzwoli w niej dodatkowe pokłady mobilizacji i skupienia. To mechanizm pierwotny, który działa u wszystkich zwierząt.

– Zaczynam się bać – powiedziała niepewnie Monika. – Czyli rozumiem, że będzie mnie bolało?

– To jest elektrostymulator. – Grażyna wskazała na urządzenie znajdujące się na mobilnym stoliku ustawionym pod ścianą. – Będziemy

go używali właśnie do wymierzania kar.

Kobiety zmarszczyły czoła ze zdziwienia. Monika wydała cichy pomruk dezaprobaty.

– Jak bardzo to będzie bolesne? – zapytała. Nie podobała jej się rola ofiary, która jej przypadła. Nie chciała jednak narzekać, pamiętając, w jakim celu znalazła się w InfoSense.

– Od razu uprzedzę, że trochę tak – przyznała szefowa. – Ale bez obaw. Prąd nie wyrządzi wam krzywdy – dodała z uśmiechem. – Rozpocznijcie test. Będę was obserwowała z osobnego pomieszczenia. Jak zawsze porozumiewamy się za pomocą komunikatora – poinstruowała Grażyna i opuściła salę.

Monika westchnęła ciężko, uzmysławiając sobie, że dzisiejszy dzień nie będzie należał do najlepszych w jej życiu.

Olga zajęła miejsce w izolatce. Paulina założyła na głowę czepek naszpikowany czujnikami i usiadła przy konsoli sterującej, przy której użyciu mogła dawkować prąd elektryczny przesyłany z elektrostymulatora do elektrod przypiętych do nadgarstków i łydek Moniki.

Po paru minutach Olga ujrzała na ekranie komunikatora pierwsze wskazówki od Dopierały.

Każ Paulinie zwiększać natężenie prądu elektrycznego wysyłanego przez elektrostymulator do elektrod, aż do momentu, gdy ta nie będzie chciała sprawiać Monice więcej bólu. Musimy ustalić próg wrażliwości Pauliny.

Olga z głęboką satysfakcją wydała Paulinie polecenie, aby co kilkanaście sekund zwiększała dawkę prądu, jaką miała otrzymać Monika. Migut włączyła elektrostymulator i zgodnie z sugestią podnosiła natężenie.

– To nie jest takie straszne – stwierdziła Monika z ulgą w głosie. Odczuwała jedynie delikatne mrowienie w kończynach. – Sądziłam, że

będzie gorzej.

Niestety z czasem ból wzrastał. Monika zaciskała zęby i przymykała oczy, starając się przetrwać jak najdłużej. Zamierzała udowodnić Oldze, że zadziera z twardą zawodniczką.

– Chyba mam już dość – powiedziała w końcu.

Grażyna wraz z grupą pracowników InfoSense sprawowała pieczę nad przebiegiem eksperymentów realizowanych w poszczególnych salach. Spojrzała na ekran, na którym widział wykrzywioną z bólu twarz Moniki.

Zapytaj Pauliny, czy ma zamiar podnieść natężenie prądu – napisała do Olgi.

Paulina odpisała, że oczywiście nie, ponieważ Monika i tak już bardzo cierpi.

Włóż czepek z czujnikami BCI i spróbuj przekonać Paulinę, aby jednak zwiększyła natężenie prądu – nakazała Grażyna. – *Jakich myśli użyjesz, to już twoja sprawa.*

Olga zaśmiała się pod nosem. Przywołała w myślach najgorsze skojarzenia z Moniką. Oskarżała ją o kuszenie Leona swoimi wdziękami i obwiniła o zdradę męża, której była pewna.

„Monika to ladacznica, która pieprzy się z moim mężem przy każdej nadarzającej się okazji. Od samego początku omotała go swoim urokiem, aby go uwieść i mi go zabrać. Jest cyniczna i wyrachowana, jak tylko zdobędzie Leona, zostawi go dla innego frajera. Ta kobieta jest do szpiku kości zła i po prostu zbiera trofea” – przekazywała w myślach.

Tak bardzo skupiła się na swojej rywalce, że nawet nie zauważyła, kiedy Paulina zwiększyła natężenie prądu. Rozległ się krzyk Moniki, która – nie mogąc znieść bólu – zdarła z siebie elektrody.

– Popieprzyło was? – Podbiegła do Pauliny i ze złością odepchnęła jej rękę od elektrostymulatora. – Przecież mówiłam, że więcej nie wytrzymam.

– Przepraszam – powiedziała Paulina. – Coś w głowie kazało mi to zrobić – tłumaczyła się nieporadnie.

– Co niby? – syknęła Monika. – Co słyszałaś? – spytała, zerkając w stronę izolatki, w której wciąż przebywała Olga.

– Że jesteś ladaczną i pieprzysz się z jej mężem – odparła Paulina.

Monika zagryzła wargi, nie chcąc zdradzać, jak bardzo jest wściekła na Olgę. Wiedziała, że żona Leona nie pała do niej sympatią, ale nigdy by nie przypuszczała, że niechęć, którą poczuła wobec Moniki od pierwszego dnia, z czasem zamieni się w tak wielką nienawiść.

– Jeśli ona dalej będzie taką suką, to bez wahania to zrobię. Poza tym sama nie jest lepsza – wymamrotała, przypominając sobie treść SMS-a, którego udało jej się podejrzeć w kuchni. – Ale nie powtarzaj jej tego – dodała po chwili.

ROZDZIAŁ 34

Grażyna gładziła dłoń Sylwii.

– Brakuje tylko jednej osoby – powiedziała. Spojrzała na Sylwię i zacisnęła zęby ze złości. – Kurwa mać – wycedziła. – Czy tym cholernym demonom nie wystarczy to, co już dostali? Dlaczego musi być akurat dziesięć ofiar? – spytała, choć doskonale zdawała sobie sprawę, że nie otrzyma odpowiedzi. – Mam nową kandydatkę. Powinna się nadać – dodała spokojniejszym głosem. Podniosła się z krzesła i podeszła do okna zasłoniętego żaluzjami. – Nikt nie był mi tak bliski jak ty. – Do oczu napłynęły jej łzy. Znowu będzie musiała stoczyć z nimi nierówną walkę. – Zrobię, co w mojej mocy, aby cię odzyskać.

Odwróciła się i ponownie usiadła na krześle obok łóżka Sylwii. Przybliżyła twarz do ucha leżącej, jakby chciała wyznać jej wielką tajemnicę.

– Nazywa się Olga Kowal. Przez najbliższe dni będę stymulowała jej mózg falami elektromagnetycznymi przekraczającymi bezpieczny zakres. Oczywiście wykorzystam do tego opracowany przez ciebie algorytm – wyszeptwała. Uniosła głowę i upewniła się, że drzwi do izolatki nadal są zamknięte. – Pomysł z nakładką na wizualizację czujników BCI sprawdził się doskonale. Mam pod sobą durnego informatyka, który wykonuje moje polecenia bez mrugnięcia okiem. Stworzyliśmy prosty program komputerowy, który dogrywa się do oprogramowania producenta

elektrostymulatora i zmienia odczyty. Teraz możemy przeprowadzać testy z dwukrotnie silniejszym natężeniem fal elektromagnetycznych, a ci biedacy niczego nie zauważą – mówiła, szczęśliwa, że dzień wybudzenia Sylwii ze śpiączki zbliża się wielkimi krokami. Grażyna, wiedzona ogromnym pragnieniem odzyskania ukochanej, wyzbyła się wszelkich skrupułów, a powracające co jakiś czas dylematy moralne uciszała alkoholem. Nie śledziła losów osób poddanych zbyt silnemu natężeniu fal, choć dochodziły ją słuchy, że najczęściej trafiali do zakładów psychiatrycznych albo błąkali się po zaułkach miasta. Dla niej liczyła się tylko ich liczba i to, że proces psychicznego rozpadu niektórych pracowników InfoSense przebiegał na tyle wolno, że nikt nie skojarzył tego faktu z firmą medyczną, która ich zatrudniała. Grażyna wielokrotnie wyobrażała sobie dzień, w którym Sylwia się wybudzi. I choć za każdym razem nanosiła wiele poprawek na wyimaginowane scenariusze, jedno pozostawało bez zmian – to będzie najszczęśliwszy dzień w jej życiu. Miała świadomość, że upłynie trochę czasu, zanim Sylwia wróci do w miarę normalnego funkcjonowania – na pewno czeka ją długa rehabilitacja – ale ze wsparciem Grażyny i pieniędzmi Trapanellego pokonają i tę przeszkodę. Potem może będą kontynuowały karierę naukową. Liczyła się z tym, że jej drogi z InfoSense pewnie się rozejdą, domyślała się, że właściciel firmy ma przed nią tajemnice i zapewne planuje wykorzystać wyniki przeprowadzanych testów w innym celu. Ale do tego czasu potrzebowała świetnie działającego sprzętu i pieniędzy.

Wróciła myślami do rozmowy z Sylwią, kiedy lekarze po raz ostatni zezwolili podłączyć czujniki BCI do mózgu pacjentki. Z rozżaleniem pytała wówczas ukochaną, dlaczego nic się nie dzieje, skoro miały już dziesięć ofiar.

– Magda jest dziesiąta – powiedziała Grażyna. – Przemiana już powinna się dokonać. Co jeszcze mam zrobić? Dlaczego się nie budzisz? Czy nie tego chcieli ci, którzy cię więżą? Dziesięciu ofiar?

Spojrzała bezradnym wzrokiem na kamienną twarz Sylwii. Zastanawiała się, jak pokierować rozmowę, aby uzyskać wskazówkę, co jeszcze powinna zrobić. Zadała dziesiątki pytań o eksperyment, algorytm, testerów, ale z odpowiedzi nic nie mogła wywnioskować. Wreszcie zrozumiała, że powinna zacząć od podstawowej kwestii.

– Czy jest dziesięć ofiar? – spytała.

– Nie – usłyszała sztuczny głos syntezy mowy.

– Czy zrobiliśmy wszystko, co chcieli?

– Nie.

– Czy chodzi o Magdalenę Zawadzką?

– Tak.

– Czy coś się z nią stało?

– Tak.

– Nie żyje?

– Tak.

Dopiero poczuła, jak gorąca fala krwi uderza jej do głowy. Zrobiło jej się słabo.

– Czy to oznacza, że nie ma dziesięciu ofiar? – zapytała.

Syntezy potwierdził jej przypuszczenie.

– Potrzebujemy kolejnej ofiary?

– Tak.

Otrząsała się ze wspomnień, spojrzała na zegarek, pocałowała Sylwię w policzek i szybko wyszła z sali. Pędem opuściła klinikę i ruszyła do samochodu stojącego na parkingu. Droga do centrum zajęła jej mniej

czasu, niż sądziła. Zaparkowała auto niedaleko włoskiej restauracji Carpaccio, w której była umówiona z Fabrizio Trapanellim.

– Wyglądasz bardzo dobrze – powiedział na przywitanie.

– Rozumiem, że wcześniej nie wyglądałam?

– Gdy cię spotkałem, byłaś w opłakanym stanie. Jak się czuje twoja przyjaciółka? – spytał, strzepując pyłek z marynarki.

– Bez zmian – odparła Grażyna.

Do stolika podszedł kelner z butelką wina.

– Zamówiłem Lupo Bianco. – Spojrzał na Grażynę, czekając na aprobatę.

– Zdaję się na ciebie – powiedziała z uśmiechem.

Trapanelli dał znak kelnerowi, aby nalała wina do kieliszków.

– A jak tam postępowanie naszych prac?

– Jutro przedstawię ci raport z ostatnich trzech miesięcy – poinformowała. – Będziesz zadowolony. Moim zdaniem jesteśmy gotowi, by przejść do kolejnego etapu – dodała pewnie.

– Tak? – zdziwił się. – Masz jakieś propozycje?

– Wyprodukujemy okulary z czujnikami BCI, które umożliwią przepływ myśli między dwiema osobami.

– Czy będzie można wpływać na umysł odbiorcy? – zaintrygował się.

– Jak najbardziej – potwierdziła. – Choć ja nazwałabym to delikatną perswazją. – Uśmiechnęła się.

– Cudownie – ucieszył się. – Wypijmy zatem za nasz sukces. – Uniósł kieliszek.

Po wzniesionym toaście Trapanelli zmrużył oczy, przetarł usta, co według psycholożki było jego natręctwem, i ściszone głosem zwrócił się do Grażyny.

– Dochodzą mnie niepokojące sygnały, jakoby testerzy zwalniani z InfoSense mieli poważne problemy psychiczne.

Grażyna sprawdziła, czy stoliki obok są puste, po czym nachyliła się do Trapanello i bardzo cicho powiedziała:

– Proszę zauważyć jedną rzecz – zaczęła. – Zatrudniamy osoby, które deklarują, że posiadają zdolności paranormalne. Musimy liczyć się z tym, że część z nich może mieć problemy psychiczne. Dlatego, gdy tylko dostrzeżemy u kogoś symptomy choroby psychicznej, dyskretnie się go pozbywamy.

– Tylko żeby nie skończyło się to pozwami skierowanymi w naszą stronę – zaniepokoił się Trapanelli.

– Każdy sąd odrzuciłby podobne pozwy – zapewniła go Grażyna.

Fabrizio, uspokojony jej słowami, skierował rozmowę na inne tory.

– Zatrudniłaś ostatnio dziewczynę. Młoda blondynka o bardzo zmysłowych kształtach.

– Monika Wójcik – powiedziała Grażyna. – Czyżby wpadła ci w oko? – zgadywała.

– Zobaczyłem ją podczas wczorajszej wizyty w InfoSense. Czym się zajmuje?

– Telepatią.

– To świetnie. – Nie krył radości. Upił łyk wina, otarł usta i spytał z tajemniczym uśmiechem: – A czy dałoby się telepatycznie na nią wpłynąć?

– Żeby... – pociągnęła go za język.

– Żeby mnie pożądała – odparł, podkreślając każde słowo, jakby delectował się ich brzmieniem.

Grażyna nie powstrzymała wybuchu śmiechu, aż swym zachowaniem zwróciła uwagę kilkorga gości.

– Przecież jesteś Włochem, podrywanie powinienes wyssać z mlekiem matki – stwierdziła z rozbijającą szczerością.

– Gdyby jednak trochę pomóc telepatią, byłoby bardziej podniecająco. – Uśmiechnął się lubieżnie.

– Proponuję perswazję. Mniej misteryjna, za to bardziej skuteczna – zasugerowała Grażyna, przypomniawszy sobie portret psychologiczny Moniki. – Tylko użyj silnego argumentu.

– Czyli jakiego? – szczerze się zaciekał.

– Zaproponuj Monice seks za pieniądze. Duże – zaznaczyła. – Gwarantuję, że ci nie odmówi. Przyjdź jutro. Przedstawię cię dziewczynom.

Trapanelli żałował, że nie doświadczy flirtu z dreszczykiem wywołanym działaniem mocy nadprzyrodzonych, niemniej nie zamierzał rezygnować z tak smacznego kąsku, jakim wydała mu się Monika.

ROZDZIAŁ 35

Grażyna nie uprzedziła Olgi, Moniki i Pauliny o wizycie prezesa, dlatego gdy Trapanelli, ubrany w modny garnitur, przechadzał się między sprzętami, rozsiewając zapach francuskich perfum, pracownice przyglądały mu się z lekkim przejęciem, ale i zaciekawieniem. Nie wiedziały, jak mają się zachować w obecności prezesa. Czy pozwolić mu obserwować ich pracę, czy zrobić przerwę i opowiedzieć Trapanellemu o przebiegu testów.

– Mogę panu pokazać wewnątrz izolatki – zaproponowała Olga, widząc, że szef z zainteresowaniem ogląda małe pomieszczenie ustawione na środku sali.

– A czy tamta pani mogłaby mi pokazać? – spytał, wskazując na Monikę.

– Oczywiście – odparła rozpromieniona Monika. Zbliżyła się do Włocha, który zniewalał swoim uroczym uśmiechem i otaczającą go aurą tajemniczości, i przedstawiła się, wyciągając do niego rękę. Trapanelli schylił się, ujął delikatnie jej dłoń i złożył na niej pocałunek.

– Spośród nas trzech to ja najlepiej znam wyposażenie izolatki – nie poddawała się Olga. – Każdego dnia spędzam w niej wiele godzin.

– Pani Wójcik na pewno da sobie radę. – Otworzył drzwi i zaprosił Monikę do środka.

Wewnątrz zmierzył ją od stóp do głów, po czym poprosił, by podzieliła się z nim, jak wygląda ich praca. Monika zbyt dobrze знаła damsko-męskie gierki, aby nie zorientować się, o co tak naprawdę chodzi prezesowi. Jego plany nawet były jej na rękę, dzięki krótkiemu flirtowi z włoskim milionerem może uda jej się wyciągnąć od Trapanellego cenne informacje o firmie InfoSense.

Monika z wrodzoną pewnością siebie streściła prezesowi, jak wygląda ich przeciętny dzień pracy. Później zaczęła tłumaczyć, do czego służy izolotka i poszczególne elementy jej wyposażenia. Nie przejmowała się, że czasem musiała trochę zmyślać, bo doskonale wiedziała, że szef w ogóle nie jest w tej chwili tym zainteresowany.

– Czyli panie na zewnątrz nie słyszą, co mówimy? – spytał Trapanelli.

– Takie jest przeznaczenie tego pomieszczenia – wyjaśniła Monika, zaskoczona, że Włoch jednak trochę słuchał. – Komunikujemy się za pomocą terminali tekstowych.

– I nikt nas nie widzi?

– Paulin i Olga nie, ale jest tu kamera, przez którą zapewne w swoim biurze obserwuje nas Grażyna.

– Grażyna – rzucił w powietrze Trapanelli. – Widzisz nas?

– Bardzo dobrze – usłyszeli jej głos.

– Czy mogłabyś dać nam dziesięć minut sam na sam? – poprosił.

– Jasne – zgodziła się Grażyna.

Monikę przeszedł dreszcz ekscytacji. Choć Trapanelli nie był w jej typie, schlebiało jej to, że bogaty, przystojny Włoch, który może mieć mnóstwo kochanek, zwrócił na nią uwagę.

– W takim razie jesteśmy sami – zaczął cicho. – Gdy tylko panią zobaczyłem, wiedziałem, że właśnie takiej kobiety mi trzeba.

– Do prawdy? Czyli jakiej? – spytała, włączając się do rozpoczętej przez niego gry.

– Odważnej, pewnej siebie, no i pięknej – podkreślił. Ujął jej twarz w dłonie i pomuskał palcami usta. Zbliżył swoje wargi do ucha Moniki i powiedział:

– Czekam na panią w moim domu dziś o godzinie osiemnastej. To moja wizytówka.

Monika poczuła, jak Trapanelli do tylnej kieszeni jej obcisłych spodni wciska małą karteczkę.

– Chyba jestem dziś zajęta – przekomarzała się.

– Naprawdę jest coś ważniejszego niż dziesięć tysięcy? – szepnął. Złapał ustami płatek ucha Moniki i zaczął go ssać. – I dobry seks – dodał. Otworzył drzwi i wyszedł bez słowa, zostawiając Monikę samą. Obdarzył Olgę i Paulinę swoim uroczym uśmiechem i machnął im na pożegnanie.

– Co się tam stało? – spytała Olga, widząc zdeorientowaną minę Moniki.

– A co mogło się stać? – Monika wzruszyła ramionami. – Pogadałam, co do czego służy, i sobie poszedł.

– Jasne – burknęła Olga, nie wierząc w ani jedno jej słowo.

Po skończonej pracy Monika udała się na przystanek autobusowy. Stała z wizytówką Trapanello w ręku i biła się myślami, czy skorzystać z propozycji Włocha. Romans, nawet krótki, może pomóc w prowadzonym wraz z Leonem śledztwie. Przeniknie w szeregi wroga, dzięki czemu będzie mogła zdobyć znacznie więcej informacji niż jako zwykła pracownica. Wskoczyła do autobusu jadącego na Mokotów, po czym wysiadła na wskazanym przez aplikację przystanku. Musiała jeszcze trochę podejść ulicą, aby trafić do dzielnicy zamieszkiwanej przez bogaczy. Każda posesja była bardziej spektakularna od poprzedniej i wprost onieśmiała

przepychem. Odnalazła właściwy adres i miała już zadzwonić do furtki, kiedy otworzyła ją starsza kobieta o ciemnej karnacji z siwymi włosami zaplecionymi w warkocz.

– Czy pani Wójcik? – zapytała z włoskim akcentem.

Monika spojrzała najpierw w prawo, potem w lewo, jakby chciała się upewnić, że nikt nie widzi, jak wchodzi do jaskini lwa. Nagle poczuła, że w kieszeni wibruje jej telefon. Spojrzała na wyświetlacz i zobaczyła informację od Leona, w której pytał, czy przyjdzie dziś do biura zdać relację z kolejnego dnia pracy w InfoSense.

Odpisała, że nie, bez zbędnych wyjaśnień. W końcu była już po godzinach pracy i mogła robić ze swoim życiem, na co tylko przyszła jej ochota.

– Pan Fabrizio czeka na panią – powiedziała starsza kobieta. – Proszę za mną. – Ruszyła w stronę wejścia do ogromnego domu przypominającego dworek. Miała na sobie czarną, długą suknię i kulą na jedną nogę.

Monika po drodze zachwycała się precyzją ogrodnika, który strzygł mały krzaczek z taką dbałością, jakby był cenionym fryzjerem, na którego fotelu zasiadł światowej sławy aktor. Fabrizio Trapanelli wyszedł na zewnątrz, aby przywitać upragnionego gościa. Jego mina zdradzała, że swoim przybyciem Monika utwierdziła Włocha w przekonaniu, że żadna kobieta nie oprze się jego wdziękowi i bogactwu.

– Jak ci się podoba moja posesja? – spytał.

– Jest, jakby to powiedzieć... zajebista – oceniła Monika, nie siląc się na bardziej wyszukane słowa. Nie chciała też dać po sobie znać, że luksus, w którym pływał się Trapanelli, wzbudził w niej zazdrość. Marzyła skrycie, aby kiedyś dysponować podobnym majątkiem. Jak dotąd nic tego nie zapowiadało, ale jeszcze się nie poddawała. Wnętrze domu zdradzało

przywiązanie właściciela do antyku. Na komodach stały wazony pokryte starożytnymi wzorami, zaś w rogach salonu znajdowały się popiersia rzymskich cesarzy. Jedno z nich przedstawiało szlachetną twarz Trapanello, którego czoło zdobił wieniec laurowy. Monika prychnęła po nosie, zdeglustowana niebotycznym ego Włocha.

– Zapewne chciałabyś się odświeżyć po pracy – powiedział Fabrizio.

– O tak. – Pokiwała głową.

Trapanelli skinął na gospodynię, aby wskazała Monice łazienkę. Kobieta poprowadziła ją marmurowymi schodami na górę i otworzyła drzwi do przestrzennego, białego pomieszczenia z wielkimi lustrami i ulokowaną pośrodku ogromną wanną na mosiężnych nogach.

Monika napuściła wody, dodała płynu do kąpieli i zanurzyła się w pianie. Przez ułamek sekundy miała nawet wyrzuty sumienia, że dla pieniędzy skłonna jest wskoczyć do łóżka pierwszemu lepszemu mężczyźnie, ale otrzeźwienie przyszło błyskawicznie. Przede wszystkim nie był to pierwszy lepszy mężczyzna, tylko jej szef, i to obrzydliwie bogaty i całkiem przystojny. Po drugie – nie była przecież w żadnym stałym związku, a zatem mogła sypiać, z kim tylko chciała. Dodatkowe pieniądze na pewno jej się przydadzą, szczególnie w obecnej sytuacji materialnej. I co najważniejsze, mogła uszczknąć trochę informacji o InfoSense. Skończywszy kąpiel, włożyła miękki szlafrok, przygotowany specjalnie dla niej, klapki i wyszła z łazienki. Za drzwiami spotkała Fabrizia, miał na sobie tylko slipki, na których widniały zwierzątka z kreskówki. Jego klatkę piersiową, w przeciwieństwie do czaszki, porastała gęsta szczecina. Monika zdławiła śmiech, aby nie urazić swojego szefa i nie odejść z niczym. Choć musiała przyznać, że bez garnituru tracił swój urok.

Trapanelli wręczył jej kieliszek szampana i poprowadził do sypialni. Gdy otworzył drzwi, Monika zdębiała. Pośrodku pokoju stało olbrzymie

łóżko. Na ścianie, bezpośrednio nad nim, wisiał ogromny portret Benito Mussoliniego w pełnym umundurowaniu. W przeciwległym rogu pokoju ujrzała dwumetrowe postumenty rzymskich legionistów oraz samego Juliusza Cezara.

– To jest moja samotnia – powiedział uroczyście.

Monika, wciąż lekko zszokowana, zdjęła szlafrok i zupełnie naga weszła do pokoju.

Trapanelli natychmiast zamknął drzwi, po czym wyciągnął rękę z kieliszkiem, aby uczcić tę ważną chwilę. Wypili szampana i rzucili się na łożo. Trapanelli nie był bogiem seksu, ale starał się, jak tylko mógł, aby zaspokoić Monikę. Niezaprzeczalną zaletą minionego aktu był dla niej fakt, że włącznie z grą wstępną trwał niewiele ponad godzinę. Wyczerpany Fabrizio leżał w łóżku i spoglądał na sufit, na którym widniały namalowane różgi liktorskie, symbol włoskiego faszyzmu.

– Czy mogę mieć prośbę? – odezwała się Monika.

– Jasne.

– Chciałabym, aby nasze spotkanie pozostało tajemnicą.

– Nikt się o tym nie dowie – zaręczył.

– A co z kasą? – przypomniała.

Trapanelli uniósł krzaczaste brwi i głośno się roześmiał. Zwlekł się z łóżka i podszedł do obrazu na ścianie, który przedstawiał tym razem samą twarz Duce, odsunął go i wprowadził szyfr do ukrytego za portretem sejfu. Wyjął odliczoną kwotę, zamknął skrytkę i wrócił do łóżka z pokazną kopertą pieniędzy. Monika nie planowała jeszcze wychodzić, przytuliła się do Fabrizia i gładząc go po podbrzuszu, zagadnęła:

– Czy ma pan pełną kontrolę nad testami przeprowadzanymi pod pieczę Grażyny Dopierały?

– Oczywiście – odparł pewnie. – Zdaje mi na bieżąco relacje z przebiegu prac. Traktuję InfoSense trochę jak inwestycję na przyszłość.

– A czy słyszał pan o osobach pracujących w InfoSense? Wie pan, że niektóre z nich dziś borykają się poważnymi problemami psychicznymi albo nawet są zamykani w ośrodkach? – drążyła.

– Analizujemy każdy taki przypadek – powiedział niechętnie, wyraźnie zirytowany pytaniem Moniki. – Okazało się, że wszyscy ci, którzy wylądowali w psychiatryku, już wcześniej wykazywali niepokojące zachowania. Dlaczego pytasz?

– Pracuję w InfoSense, chciałabym spokojnie dożyć starości. – Zaśmiała się. Widząc badawcze spojrzenie Trapanellego, chciała obrócić rozmowę w żart. Kochali się jeszcze raz, po czym Monika opuściła dom Włocha, zawiedziona mizernym efektem próby pozyskania informacji. Albo Grażyna mydliła mu oczy, a Trapanelli nie chciał dostrzec skutków ubocznych testów przeprowadzanych w jego firmie, albo nie chciał zdradzić się przed Moniką – co było wielce prawdopodobne, zważywszy, że znają się od rana. Skarciła się za naiwność, ale gruba koperta schowana w torebce rekompensowała niepowodzenie zawodowe.

ROZDZIAŁ 36

Monika zmarszczyła czoło, próbując za wszelką cenę odgadnąć myśli Olgi. Paulina Migut, siedząca obok niej, robiła to samo, zaś Olga, zamknięta w izolatce, intensywnie wyobrażała sobie przeróżne sceny związane z przedmiotem wylosowanym przez komputer. Byłby to dzień jak każdy inny, gdyby nie jeden istotny szczegół – czujnik BCI umieszczone na głowie Olgi przekazywały fale elektromagnetyczne stymulujące te obszary mózgu, które w sposób pośredni komunikowały się z innymi wymiarami. Co gorsza, natężenie fal przenikających przez jej komórki znacznie przekraczało granicę bezpieczeństwa. Olga na początku nie odczuła żadnej różnicy, koncentrując się na przedmiotach wyświetlanych na monitorze, tym bardziej że dzień testów nie należał do najlepszych.

– Trzeba coś zmienić – stwierdziła poirytowana Monika, gdy kolejna próba zakończyła się niepowodzeniem.

Pracownik z biura zmienił nastawy czujników BCI i wtedy stało się coś zaskakującego. Monika i Paulina jednocześnie ujrzały scenę namiętnego seksu z perspektywy kobiety, która z dziką rozkoszą ujeżdżała swojego partnera. Monika w ogarniętym rozkoszą mężczyźnie rozpoznała Samuela. Zdezorientowana, ściągnęła z głowy czujniki i spojrzała na Paulinę.

– Widziałas to? – zapytała.

– Tak – odpowiedziała równie zaskoczona Paulina. – To myśli Olgi?
A może wspomnienia?

– Ten facet był moim chłopakiem.

W tym momencie Olga wyszła z izolatki. Trzymała się za głowę i stawiała niepewnie kroki.

– Zróbmy sobie przerwę, co? – zaproponowała. – Źle się czuję.

W milczeniu udały się do kuchni na kawę.

– Widziałyśmy twoje myśli – zagadnęła Paulina.

– To chyba dobrze, o to w tym chodzi – powiedziała. – Zrób mi mocną kawę – poprosiła Monikę. – Może postawi mnie na nogi.

– Żartujesz sobie? – fuknęła Monika. – Przespałaś się z moim byłym chłopakiem. Widziałam to w twoich myślach.

– Coś sobie ubzduriałaś – zaprzeczyła. – Cały czas skupiałam się na wyświetlanym przedmiocie. Co tam ostatnie było? Chyba winda. Tylko to miałyście zobaczyć – tłumaczyła się poddenerwowana.

– Nie ubzduriała sobie. Ja też to widziałam. – Paulina potwierdziła słowa Moniki.

– Jak możesz? – wycedziła Monika. – Ruchasz się z tym fiutem Samuelem, a przy tym wężysz za Leonem, który jest ci wierny. Nigdy mnie nie bzyknął, choć może nawet miałby na to ochotę. Ja zresztą też.

Olga skamieniała, porażona ostatnimi słowami Moniki. Zażenowanie zniknęło z jej twarzy, na policzkach pojawiły się wypieki, a oczy zapłonęły wściekłością.

– Ty mała kurwo! – syknęła i złapała Monikę za szyję. Ścisnęła ją tak mocno, że ta momentalnie posiniała.

– Co ty wyrabiasz? Puść ją! – krzyknęła Paulina. – Słyszysz? Puść ją. – Szarpała Olgę za rękę. – Udusisz ją – warknęła i wymierzyła jej solidny policzek.

Olga puściła szyję Moniki, zatrzepała głową niczym pies po kąpielu i odetchnęła głęboko.

– Przepraszam, źle się czuję. Muszą wziąć sobie wol... – Nim skończyła mówić, zakryła usta dłonią, podbiegła do zlewu i zwymiotowała.

Paulina nachyliła się nad dyszącą Moniką i spytała:

– W porządku?

– Tak – wysapała. – Trzeba powiadomić Grażynę.

– Nie zostawię cię samej.

– Idź, najgorsze chyba minęło.

Paulina wybiegła z kuchni i po minucie wróciła razem z Grażyną, po drodze opowiedziała o całym zdarzeniu.

– Jutro weekend. Odpocznij trochę – powiedziała szefowa, gładząc Monikę po ramieniu. – Idźcie. Na dziś koniec. Ja porozmawiam z Olgą.

Po pracy Monika udała się do biura detektywistycznego, aby porozmawiać z Kowalem o zachowaniu Olgi. W wejściu rozminęła się z Kamilem Roznerem, który wyglądał na bardzo zadowolonego. Nie miał zbyt wiele czasu, więc tylko się przywitał i zniknął za drzwiami.

– Cześć, szefie – powiedziała do Leona, który w skupieniu wpatrywał się w ekran laptopa.

– Cześć. Gdzie byłeś wczoraj po pracy? – spytał, nie odrywając wzroku od monitora.

– Musiałam pomóc koleżance w przeprowadzce – skłamała.

– Aha. A jak testy w InfoSense? Dowiedziałyście się czegoś istotnego?

– Wczoraj był u nas Trapanelli – zaczęła. – Błąkał się po sali, pytał o naszą pracę. Wygląda na to, że dał Grażynie wolną rękę i nie bardzo wie, co się dzieje z jej pracownikami. Albo nie chce wiedzieć. – Monika zręcznie pominęła wątek przygodnego seksu z Włochem, a jednocześnie przekazała

Leonow wnioski, które wyciągnęła po ich krótkim spotkaniu. – Czy zauważyłeś, że z Olgą dzieje się coś niepokojącego? – zmieniła temat.

– Nie – odparł. – A coś się dzieje? Ostatnio tylko się mijamy. Zresztą mam wrażenie, że unika ze mną kontaktu, a na pewno rozmowy.

– Martwię się o nią. Dzisiaj podczas testów źle się poczuła, później rzuciła się na mnie z rękami i chyba chciała mnie udusić.

– Olga jest bardzo wybuchową osobą – powiedział. – Mnie nieraz chciała pobić. – Zaśmiał się. Monika usiadła na krześle obok Kowala i zerknęła na laptop.

– Co studiujesz?

– Roznerowi udało się wykraść listę osób zatrudnionych w InfoSense. Są na niej także byli pracownicy. Przez kilka miesięcy działalności firmy wyleciało z niej ponad trzydziestu testerów. W pozostałych działach rotacja jest znacznie mniejsza – zauważył.

– I tak spokojnie to mówisz? – Przynęła bliżej krzesło. – Dzięki tej liście dotrzemy do osób zamienionych w bramy. Kto tam jest pierwszy? Każdego musimy znaleźć – gorączkowała się. – Nie ma czasu do stracenia.

– Ty też? – spytał. – Wystarczy, że Rozchwat wydzwania do mnie trzy razy dziennie z pytaniem, jak śledztwo. Stafiej nam pomoże. Wysłałem mu listę, żeby sprawdził każde nazwisko. Jeśli ktoś przejawiał agresywne zachowania, na pewno był notowany.

– A jeśli będzie ich więcej niż dziesięć? Albo znacznie mniej? Pięć, sześć? – zmartwiła się.

– Nie ma co gdybać. Poczekajmy na wiadomość od Stafieja.

– A jeśli, damy na to, będziemy mieli te dziesięć osób – nie ustępowała.

– Co wtedy?

– Przekażemy listę Rozchwatowi – odparł.

– I?

– I zajmiemy się kolejnym śledztwem – oznajmił, poddenerwowany natarczywością Moniki.

– A co z Armagedonem? Nasz świat czeka zagłada – powiedziała z wyrzutem.

– To nie nasza sprawa – zaperzył się. – Niech ratowaniem świata zajmą się ci, którzy się na tym znają.

Monika chciała spojrzeć mu prosto w oczy, ale Kowal unikał jej wzroku.

– Ty się boisz – wypaliła, uśmiechając się szeroko. – Masz pietra.

– Spieprzaj – bąknął. – Nawet nie wiesz, co się dzieje w mojej głowie. Jeśli przez najbliższe dni nie zabiorą mnie do czubków, to będę zaskoczony.

– Znowu te złe myśli? – spytała.

– Teraz to już nawet nie są myśli. Widzę cienie, czasami ktoś stoi w rogu biura i przygląda się mojej pracy. Próbuję do niego podejść i wtedy znika. Jestem przerażony – żalił się.

Monika, zaaferowana pracą w InfoSense, dopiero teraz zauważyła, że Kowal nie wygląda dobrze. Był nieogolony, miał przekrwione oczy, co świadczyło o braku snu, i od kilku dni nie zmieniał ubrania. Robił dobrą minę do złej gry, nie chcąc budzić litości, tymczasem stał się cieniem człowieka, ciągnął resztką sił.

– Musisz trochę odpocząć – poradziła Monika.

– Odpocznę, jak to wszystko się skończy – stwierdził.

– A co z InfoSense? Nie będziemy chcieli ujawnić ich matactw?

– Marne szanse, żeby cokolwiek im udowodnić. Sama pomyśl, jak to wygląda. Firma, która zamienia ludzi w krwiożercze potwory, aby zło mogło opanować nasz świat? Tak będzie brzmiał zarzut? Jakiego paragrafu użyć? – parsknął. – Za które krzywdy miałyby odpowiadać firma Trapanello?

Monika zamilkła, zgadzała się z Kowalem w stu procentach, nie mieli najmniejszych szans, aby dostać się do tyłka władzom InfoSense. Nagle mocno ścisnęła rękę Leona.

– A jeśli Olga jest bramą? – powiedziała z trwogą. – Stąd to agresywne zachowanie?

– Już ci mówiłem, moja żona ma porywczy charakter. A jak wiesz, na ciebie jest cięta – upierał się przy racjonalnym wytłumaczeniu zachowania Olgi. Położył dłoń na jej nadgarstku. – Wiem, że ostatnio sporo przeszliśmy, ale nie możemy dać się zwariować.

– Masz rację – przyznała. – Ale pogadaj z nią, okej?

– Pewnie, jak tylko wrócę do domu. Ale podejrzewam, że nic mi nie powie.

– A może powinniśmy ją śledzić?

– A niby jak chcesz to zrobić? Myślisz, że cię nie pozna?

– Mam pewien pomysł – powiedziała z figlarnym uśmiechem. Kowal ucieszył się, że Monika trochę się rozpogodziła. – Wystarczy dobrze się przebrać. Jutro rano będę czekała pod waszym mieszkaniem. Daj mi znać, kiedy Olga wyjdzie z bloku.

– Dobra, Watsonie.

ROZDZIAŁ 37

Wieczorem Leon próbował zachęcić Olgę do rozmowy, ale żona posłała mu tylko pogardliwe spojrzenie i położyła się spać. Nie chciał jej naciskać, co mogłoby się spotkać z jeszcze większym oporem. Wieloletnie doświadczenie podpowiadało mu, że najlepiej przeczekać ciche dni, aż jej nastrój się poprawi.

Nazajutrz około szóstej rano Olga wyszła z mieszkania i udała się na przystanek, gdzie wsiadła do autobusu jadącego w stronę Ochoty. Jej śladem podążał brodaty mężczyzna w czapeczce z daszkiem z herbem Legii Warszawa i starym, brudnym plecakiem. Miał na sobie luźne ogrodniczki i flanelową koszulę w kratkę. Autobus był prawie pusty, dlatego Olga zwróciła uwagę na podejrzanego typa siedzącego z tyłu pojazdu. Mrużyła oczy, zastanawiając się, czy nie jest to czasem jakiś znajomy. Facet ewidentnie kogoś jej przypominał. Monika modliła się w duchu, by Olga jej nie rozpoznała. Lekko spanikowana wpadła na dziwaczny pomysł. Nabrała powietrza i beknęła tak głośno, że zaskoczyła samą siebie, jak obrzydliwe głosy może z siebie wydobyć. To był strzał w dziesiątkę. Olga odwróciła wzrok, zdeglustowana ordynarnym zachowaniem mężczyzny. Wsiadła na ulicy Raławickiej i skierowała się w stronę ogródków działkowych. Przeszła przez bramę i zagłębiła się w zielonych alejkach. Aż trudno było uwierzyć, że ten skrawek ziemi porośnięty bujną przyrodą znajdował się w zabetonowanej dzielnicy

Warszawy. Większość działkowiczów pielęgnowało swoje trzy ary, najlepiej, jak potrafiło, dzięki czemu niektóre z ogródków wyglądały wprost spektakularnie. Działka państwa Kowalów prezentowała się przy nich mizernie, porastała ją wysoka trawa i dziko rosnące krzaczki. Olga otworzyła bramkę i ruszyła prosto do szopy z narzędziami. Wyszła z niej po chwili, trzymając w ręku łopatę. Stała na skraju działki, a następnie odmierzała kroki niczym pirat poszukujący skarbów na bezludnej wyspie. Wreszcie, upewniwszy się, że znajduje się we właściwym miejscu, zaczęła kopać. Pracowała bez odpoczynku, aż natrafiła na twardą powierzchnię. Wydobyła z ziemi drewniany kufer, otworzyła wieko i wyciągnęła z niego plastikowy worek, w którego wnętrzu znajdowało się kilka okazałych plików banknotów. Odliczyła niewielką sumę, a resztę schowała z powrotem. Raz jeszcze schyliła się do niewielkiej skrzyni, włożyła worek z pieniędzmi i wyjęła pistolet. Rozejrzała się wokół, a następnie wsadziła go do torebki. Kufer ponownie zakopła i przykryła darnią. Zadowolona, wyszła z terenu ogródków działkowych, nie zwracając uwagi, że niedaleko ich działki na ławce leżał mężczyzna w czapce z daszkiem z herbem Legii Warszawa.

Monika odczekała piętnaście minut, aby upewnić się, że Olga wsiadła do autobusu. Następnie wyszukała miejsce, w którym widziała żonę Kowala. Gdy tylko przeskoczyła niewysoką bramkę, spostrzegła świeżo zakopany dół. Zdjęła czapkę, wytarła pot z czoła i podrapała się po głowie, zastanawiając się, co takiego mogło być ukryte pod ziemią. Podeszła do szopy, złapała za klamkę, ale drzwi oczywiście były zamknięte. Zrobiła krok w tył, aby z lepszej perspektywy popatrzeć, gdzie Olga mogła ukryć klucze, wtedy nad wejściem zauważyła wystającą deseczkę. Zbliżyła się, wyciągnęła rękę i macała kawałek drewna, czekając, aż trafi na klucz. Jęknęła cicho, gdy poczuła silne ukłucie. Spojrzała na dłoń, w kciuku tkwiła

spora drzazga. Wyciągnęła ją i dalej szukała klucza, tym razem zachowując większą ostrożność. Mruknęła zadowolona, gdy jej palce natrafiły na metalowy przedmiot. Otworzyła drzwi i zajrzała do szopy, w której panował niemały bałagan. Narzędzia ogrodowe leżały gdzie popadnie, tak samo wiadra, jakieś butelki i stare ubrania. Na środku stała kosiarka do trawy. Monika zaśmiała się pod nosem, wyobrażając sobie Leona spacerującego z tym urządzeniem po działce. Wzięła łopatę i zabrała się do kopania. Praca nie nastęczyła jej wielu trudności, ponieważ ziemia była już spulchniona przez Olę. Monika obawiała się tylko, czy któryś z działkowiczów nie zainteresuje się mężczyzną szperającym na działce Kowalów, ale wyglądało na to, że w najbliższym sąsiedztwie nikt o tak wczesnej porze nie przychodził do swojego kawałka ogrodu w mieście. Monika z werwą kopała w ziemi, aż usłyszała uderzenie łopaty o coś twardego. Resztę czarnego piachu odgarnęła rękoma i ujrzała niewielką skrzynię. Otworzyła ją i wyciągnęła gruby worek na śmieci, w którego wnętrzu kryły się pliki banknotów. Rozejrzała się, chcąc raz jeszcze się upewnić, że nikt jej nie obserwuje, a następnie włożyła pieniądze do plecaka. Pospiesznie zakopała kufer w ziemi, starannie wyrównała teren, aby trawa wyglądała dokładnie tak, jak zostawiła ją Olga. Odniosła łopatę do szopy, zamknęła drzwi i schowała klucz. Szybkim krokiem opuściła teren działek, przeskakując przez bramę, i wsiadła do autobusu, który zawiózł ją wprost do mieszkania.

Na szczęście w soboty współlokatorzy najczęściej nie było w pokoju, ponieważ wyjeżdżała do rodziny, ale na wszelki wypadek Monika zamknęła drzwi na klucz. Zmyła z siebie charakterystyczną, zdjęła męską odzież i włożyła swoje ubrania. Usiadła przed biurkiem, aby policzyć wykopane pieniądze. Z każdym kolejnym plikiem przecierała oczy ze zdumienia. Na blacie leżało sto dziewięćdziesiąt tysięcy złotych. Skąd na

działce Kowalów znalazła się taka gotówka? Przecież Leon zawsze narzekał na brak pieniędzy. Monika wiedziała, że został usunięty z policji za korupcję. Czyżby to łapówki? Teraz to nie było najistotniejsze, lecz to, jaką część zabrała Olga i po co. A może chciała zapłacić kochankowi za milczenie. Ostatnio była rozdrażniona, no i te SMS-y. To podobne do Samuela. Wykorzystał okazję, by pobzykać się z seksowną, temperamentną kobietą, a kiedy mu się znudziło, zażądał pieniędzy za milczenie. Monika zaczęła pakować pieniądze do plecaka, gdy usłyszała, że ktoś wszedł do mieszkania. Szybko wrzuciła resztę i pobiegła przekręcić klucz w drzwiach od pokoju, aby nie budzić podejrzeń.

– Po co się zamknęłaś? – spytała współlokatorka, która słyszała zgrzyt otwieranego zamka. – Masturbowałaś się?

– A jeśli nawet, to co? Nie wolno? – rzuciła prowokacyjnie Monika.

Współlokatorka wzruszyła ramionami i sięgnęła po zeszyt leżący na jej łóżku.

– Zapomniałam zabrać, a w poniedziałek mam kolokwium – wyjaśniła, choć Monikę to wcale nie interesowało. – Na razie – pożegnała się i wyszła z mieszkania.

Monika rozmyślała, co zrobić z pieniędzmi. Były zbyt łakomym kąskiem, by tak po prostu z nich zrezygnować. Kowal zdobył je nielegalnie, więc przywłaszczenie sobie pokaźnej gotówki nie wydawało jej się niczym złym. W wyobraźni już snuła wizję, jak znalezione pieniądze odmienią jej życie. Przywróciła się do porządku, należało ustalić plan działania. Przede wszystkim trzeba ukryć zdobycz i właściwie rozegrać sprawę, aby podejrzenie zrzucić na Olgę. Pojedzie do biura i opowie Kowalowi, że widziała, jak jego żona zabrała coś z działki. Nie miała złudzeń, że prawda wcześniej czy później wyjdzie na jaw, ale wtedy ona będzie już daleko. Znaczna gotówka, która dziś szczęśliwym trafem wpadła w jej ręce,

pieniądze Trapanellego i zapłata za zlecenie, które musiała jak najszybciej zakończyć, zapewnią jej nowy start. I oczywiście musi jeszcze odwiedzić tego gnojka Pawła i pozbawić go złudzeń, że jego konto wzbogaci się o dziesięć tysięcy. To będzie mała zemsta za jego zdradę.

Godzinę później Monika w radosnym nastroju zjawiła się w biurze Leona Kowala, aby zdać mu relację z akcji śledzenia Olgi.

– I jak? – zapytał zniecierpliwiony Leon.

– Była tu niedaleko, na ogródkach działkowych Obrońców Pokoju – powiedziała Monika. – Coś stamtąd zabrała i odjechała autobusem w kierunku Ochoty, ale nie zdążyłam do niego wsiąść.

Kowal momentalnie poczerwieniał i wybiegł z biura bez słowa wyjaśnienia. Przejechał kawałek dzielący jego biuro od ogródków działkowych niczym kierowca rajdowy, klnąc pod nosem na czym świat stoi. Zaparkował samochód, wyskoczył z auta i pobiegł alejkami do własnej działki. Dotarłszy na miejsce, otworzył szepę, złapał łopatę i z furią zaczął kopać w miejscu, gdzie ziemia była zruszona. Odkopał skrzynię, otworzył ją i mało nie zemdleł, gdy zobaczył pusty worek.

– Ty kurwo – wycedził. Wrzucił kufer do wnętrza dołu, wyciągnął z kieszeni komórkę i wybrał numer do żony. O dziwo, ta od razu odebrała.

– Czego chcesz? – spytała z pretensją w głosie. – Źle się czuję.

– Gdzie są moje pieniądze? – syknął.

– Spokojnie, odniosę je z powrotem, jak wszystko przebiegnie po mojej myśli – zapewniła zmęczonym głosem.

– A po co ci pistolet?

– Też go odniosę. Muszę coś załatwić. Potem wszystko wróci do normy.

– Co ty wyprawiasz? – spytał. – Do czego jest ci potrzebne dwieście tysięcy złotych?

– Ile? – krzyknęła. – Zabrałam tylko dziesięć.

– W worku nic nie ma, gdzie niby jest reszta?

– Wzięłam tylko dziesięć – zarzekała się. – Zaraz, zaraz, a skąd wiesz, że byłam na działce? – Nie poczekała na odpowiedź. Już ją знаła. Przypomniała sobie faceta z czapką z daszkiem z herbem Legii Warszawa. To ta cipa z biura Leona. Dlaczego była taka głupia i nie zachowała ostrożności? Trudno, najpierw rozprawi się z Samuelem, a potem z tą blondwłosą dziwką. I choć nie czuła się najlepiej, doprowadzi sprawę do końca.

– Kończę – rzuciła, nie słuchając, co mówi do niej mąż. – Wszystko załatwię, obiecuję. Nie martw się – dodała, po czym się rozłączyła.

Kowal dzwonił do niej jeszcze kilkakrotnie, ale nie odbierała. Z wściekłością podniósł łopatę i cisnął nią w szopę. Podobnie zrobił ze skrzynią. Usiadł na ziemi, wpił ręce we włosy i krzyknął tak rozpaczliwie, że spłoszył kilka kruków odpoczywających w koronach drzew.

ROZDZIAŁ 38

Monika Wójcik nacisnęła przycisk na domofonie i odczekała chwilę.

– Słucham? – usłyszała męski głos.

– To ja – powiedziała. – Wpuść mnie.

– Monika? – zdziwił się Samuel. – Wchodź.

W rekordowym tempie pokonała schody prowadzące na drugie piętro. W otwartych drzwiach do mieszkania stał Paweł, jej były chłopak, który w sieci ukrywał się pod pseudonimem Samuel.

– Czym zasłużyłem sobie na tę wizytę? – Skłonił się.

– Wejźmy do środka, bo nie chcę cię opieprzać na korytarzu – warknęła.

Rozejrzała się po mieszkaniu, wspominając czasy, kiedy była z Pawłem w związku, który zakończył się z powodu jego zdrady. Choć i ona dołożyła do tego cegiełkę, traktując chłopaka bardziej jak sponsora niż partnera.

– Szantażujesz Olgę Kowal? – spytała wzburzona. – Nawet nie próbuj kłamać – ostrzegła. – Już raz zrobiłeś mnie w klacz, drugi raz się nie dam.

Uśmiechnięty dotychczas Paweł stracił rezon. Ściągnął usta i zrobił poważną minę.

– Spotkałem się z nią raz czy dwa – odparł.

– Szantażujesz ją. Czego od niej chcesz? – naciskała.

– Bzykamy się czasem, ale ona to lubi. Nawet nie wiesz, jaka z niej kocica – tłumaczył się.

– A czy czasem nie zachciało ci się seksu na dziesięciu tysiącach złotych?

Paweł się skrzywił, widząc, że nie uda mu się niczego ukryć przed Moniką.

– To jest karalne. – Wbiła mu palec w klatkę piersiową. – Jeśli powiem o twoim postępku policji, pójdziesz za kratki.

Usiadł na kanapie i wypuścił głośno powietrze.

– Może faktycznie się zagalopowałem – przyznał.

– Wziąłeś od niej pieniądze?

– Jeszcze nie.

– W takim razie zaraz do niej zadzwonisz albo napiszesz jej SMS-a, że z wami koniec, i już nigdy więcej się do niej nie odezwiesz – zażądała Monika.

– Dobrze – zgodził się niechętnie. – Zrobię, jak każesz.

– Teraz – nalegała. – Chcę to zobaczyć.

Paweł wyciągnął z kieszeni telefon komórkowy i napisał SMS do Olgi. Zanim wysłał wiadomość, pokazał jej treść Monice.

– Okej. Wysyłaj – rozkazała.

Gdy upewniła się, że wykonał jej polecenie, burknęła coś na pożegnanie i ruszyła do drzwi. Paweł podbiegł do niej i złapał za rękę.

– Puść mnie. Muszę iść – powiedziała, przekręcając zamek.

– Pamiętasz, jak kochaliśmy się na stoliku? – spytał, gładząc ją po udzie. Dotyk Pawła nieoczekiwanie wywołał przyjemne mrowienie na całym jej ciele. Objęła go w pasie i pocałowała. W łóżku zawsze dobrze im się układało, nieco gorzej było poza nim, gdzie spore różnice charakterów utrudniały wspólne funkcjonowanie. Całując się, przeszli spod drzwi wejściowych do kuchni, gdzie stał spory dębowy stół.

– A wiesz, że kupiłem dla ciebie prezent, jak jeszcze byliśmy razem? Wciąż go trzymam – powiedział, gładząc jej policzek. Dobrze pamiętał, że jego była dziewczyna uwielbiała drogie niespodzianki.

Poszedł do pokoju i wrócił z papierową torebką, którą wręczył Monice. Zajrzała do środka i wyciągnęła czarną gustowną bieliznę. Nie trzeba było długo czekać, by paradowała przed Pawłem w koronkowych majtkach i staniku.

– Jesteś taka seksowna – mruknął.

Monika usiadła na stole w kuchni i objęła Pawła udami.

– Czy naprawdę Olga była taka dobra w łóżku?

– Nie dorasta ci do pięt – skłamał.

Po kilku minutach gry wstępnej Monika była już tak rozpalona, że tylko trzęsienie ziemi mogłoby ją zatrzymać przed pójściem na całość. Ściągała z Pawła resztki ubrań, gdy do mieszkania wpadła Olga.

– Ty kurwo – fuknęła. – Jesteś z nim w znowie!

– Jak się tu dostałaś? – spytał Paweł.

– Tak wam się zachciało pieprzyć, że zapomnieliście zamknąć drzwi.

– Wiesz, bo ja już... – jękał się.

– Zamknij się! – krzyknęła. Zdjęła z ramienia torebkę i wyciągnęła z niej pistolet. – Już nigdy więcej nie będziecie mnie szantażowali. A ty, mała suczko, nie zabierzesz mi męża.

– Olga, nie jestem z nim w znowie. Przysięgam – mówiła Monika, nerwowo zbierając swoje ubrania. Przeklinała się w myślach, że była tak głupia i została u Pawła. Co gorsza, to ona otworzyła zamek w drzwiach, przez co Olga zdołała wdrzeć się do mieszkania, bo do samego bloku mogła wejść na wiele różnych sposobów, choćby wciskając komuś bujdu o gazetkach.

– Schowaj to, bo jeszcze komuś stanie się krzywda – poprosił łagodnie Paweł.

– Idź do pokoju i na moich oczach usuń materiały, które mogłyby mnie skompromitować w oczach męża – rozkazała, trzymając go na muszce.

– A mogę coś na siebie włożyć?

– Tylko szybko.

Paweł błyskawicznie wsunął bokserki i zarzucił koszulę na plecy.

– No już, ruszajcie się. – Olga niebezpiecznie pomachała pistoletem.

Przeszli do pokoju, Paweł usiadł przed laptopem i właśnie miał go włączyć, gdy w pomieszczeniu rozległ się huk wystrzału. Monika wrzasnęła i zakryła uszy, popatrzyła na Pawła, który osuwał się na fotelu, uklękła przy nim i zobaczyła, że koszula barwi się na czerwono.

– Ja pierdołę – jęknęła. – Ona cię postrzeliła.

Paweł spojrzał zamglonym wzrokiem na Monikę i próbował coś powiedzieć, ale z jego ust wydobywał się tylko niewyraźny charchot.

– Koch... koch... cię... – wykrztusił.

– Paweł, przestań. Trzeba wezwać karetkę, nic nie mów. – Zerwała się, aby poszukać telefonu.

– Nigdzie nie zadzwonisz – usłyszała władczy głos Olgi, która mierzyła do niej z pistoletu.

– Trzeba mu pomóc – błagała Monika. – On umrze.

– Już nie żyje – oznajmiła spokojnie. – To męt, a nie człowiek, nie ma czego żałować.

– Coś ty zrobiła? – Monika nachyliła się nad ustami Pawła, ale na swoim policzku nie wyczuła najmniejszego oddechu. Zrozpaczona, przytknęła ucho do jego mostka i z trwogą skonstatowała, że serce przestało bić.

– Chciałam go tylko nastraszyć, żeby przestał mnie szantażować – powiedziała Olga. – I broń sama wypaliła.

– Jak to: sama? – Monika czuła, że narasta w niej wściekłość.

– No jakoś tak – odparła z głupkowskim uśmiechem, który zaniepokoił Monikę. Miała pewność, że Olga postradała zmysły. Musiała jak najszybciej zabrać jej broń. – A ty co? Myślisz, że nie wiem, co uknułaś? – kontynuowała Olga. – Zajebałaś kasę Leona i chcieliście razem z tym lowelasem dymać się na niej, szydząc z naszej głupoty. Nie doczekanie twoje – sarknęła. – Oddawaj pieniądze.

– Olga, nie byłam w nim w zмовie – zaręczyła Monika. – Chciałam go zmusić, żeby przestał cię szantażować.

– Zamknij się! Dawaj, kurwa, pieniądze. – Głos Olgi zabrzmiał obco. Jej twarz wykrzywiła się z bólu, a w oczach pojawił się obłęd. Padła na podłogę i wyla się, wstrząsana konwulsjami. – Zabrałaś... pieniądze Leona – grzmiała grubym głosem.

Monika rzuciła się do ucieczki, przebiegła przez salon i dopadła do wyjścia. Nacisnęła na klamkę i z hukiem otworzyła drzwi, wtedy poczuła gwałtowne szarpnięcie i z powrotem znalazła się w mieszkaniu Pawła. Przeleciała przez salon, uderzyła w ścianę i półprzytomna osunęła się na parkiet.

Jak przez mgłę ujrzała Olgę, wyglądającą jak najgorsze wcielenie diabła. Miała puste, nieobecne oczy, podniesione wargi, z których kapła ślina, i cienką, wręcz przezroczystą skórę, przez którą prześwitywały żyły. Żona Leona była bramą. Jej najmroczniejsze przypuszczenia się potwierdziły.

– Jakie to wspaniałe uczucie. – Olga zarechotała. – Dokonało się. – Uniosła w górę ręce. Jej ciało drżało, targane pokonującymi ją siłami ciemności. Ponownie wycelowała w leżącą na podłodze Monikę. – Im więcej czyniłam zła, tym szybciej przeistaczałam się w bramę między

światami – powiedziała z satysfakcją. – A teraz pokażę ci, co się stanie, kiedy moi pobratymcy wedrą się do waszego świata. To już niebawem.

– Oczerniałaś nas, a sama zdradzałaś Leona – zaczęła Monika, aby zyskać na czasie.

– To już nie ma żadnego znaczenia. Podobnie jak to, że zabrałaś nasze pieniądze. Nic ci już z nich nie przyjdzie, bo nie wyjdiesz stąd żywa.

– Skąd Leon miał tyle kasy? – spytała, przesuwając się w stronę wyjścia.

Olga opuściła broń, choć nadal trzymała ją w ręku.

– Dostał pieniądze od handlarza samochodów, aby przymknąć oko na jego proceder. Facet ściągął auta z zagranicy, przebijał numery seryjne i podkręcał liczniki. O układzie wiedział kolega Leona i zażądał swojej części.

– I co? – podtrzymywała rozmowę Monika. Wstała powoli, ciągle przylegając plecami do ściany.

– Nic. Leon odpalił mu działkę, ale za małą, i jego koleżka z policji doniósł na niego przełożonym. Podłożył do szafki Leona trochę tej kasy i podkablował, że pieniądze pochodzą od handlarza samochodów, którego zresztą zmusił, by zeznawał przeciwko Leonowi. Groził mu więzieniem.

– Ale twój mąż nie poszedł siedzieć? – Od otwartych drzwi dzieliły ją niecałe dwa metry. Serce biło jej tak mocno, że czuła jego pulsowanie w skroniach.

– Nie poszedł, ale z pracą musiał się pożegnać. – Olga nie spuszczała Moniki z oka. Napawała się jej strachem i złudną nadzieją. Bawiła się ze swoją ofiarą jak kot z myszą.

– Więc te pieniądze były od handlarza samochodami?

– Zgadza się. Gdy Leona wywalili z pracy, postanowiliśmy zakopać pieniądze. Ale jak mówiłam, teraz to już nie ma znaczenia. Teraz czeka was tylko ból – syknęła.

Monika postawiła wszystko na jedną kartę. Oderwała się od ściany i jednym długim skokiem znalazła się za drzwiami mieszkania. Nie patrząc za siebie, wbiegła na schody i przeskakując po kilka stopni, dotarła do wyjścia z bloku. Była już pewna, że uda jej się uciec, gdy jakiś wielki ciężar przygniótł ją do ziemi. Zepchnęła z siebie Olgę, która musiała wyskoczyć z drugiego piętra przez okno na klatce schodowej, i poderwała się do ucieczki.

– Ty mała kurewko. – Olga złapała ją za łydkę, powaliła na chodnik i ciągnęła do mieszkania Pawła, kulejąc na jedną nogę, która ucierpiała podczas upadku z dużej wysokości. Monika miotła się jak poparzona, łapała stopni schodów i poręczy, ale za nic w świecie nie mogła pokonać żelaznego uścisku demona.

– Wracamy do mieszkania tego frajera, który próbował mnie wydymać. Choć kilka razy mu się to nawet udało. – Olga wybuchła śmiechem.

Z drzwi jednego z mieszkań wyłonił się około pięćdziesięcioletni mężczyzna z długimi, przetłuszczonymi włosami.

– Ki jebany? – rzucił. – Co się tu dzieje?

Olga, jedną ręką trzymając Monikę, podeszła do niego i spojrzała na mięsiste policzki i bulwiasty nos mężczyzny.

– Nic – wymamrotała, ukazując zakrwawione dziąsła i zęby. Wolną ręką uderzyła go z taką siłą w brzuch, że pięćdziesięciolatek wylądował na ścianie niewielkiego przedpokoju. Weszła do mieszkania i kolejnym ciosem przebiła jego skórę, jakby była z dykty.

– Co, do kurwy? – wycharczał. Patrząc ogromnymi oczami, jak drobna kobieta kręci ręką w jego trzewiach i wyciąga z nich wnętrzności.

– Spójrz tylko, co z siebie zrobiłeś – powiedziała, wręczając mężczyźnie do ręki jego własny żołądek. – Podziękuj mi, że zrobiłam ci odsysanie tłuszczu. Pewnie niedługo i tak byś kopnął w kalendarz.

Pięćdziesięciolatek runął na podłogę i ciężko oddychając, konał w męczarniach.

– A my idziemy dalej – zwróciła się do Moniki, która tkwiąc w żelaznym uścisku Olgi, patrzyła przerażona na zmasakrowane ciało.

Dociągnęła swoją zdobycz do mieszkania Pawła, wepchnęła ją do środka i zamknęła drzwi. Monika dygotała ze strachu, wielkie krople potu spływały jej po czole. Szeroko otwarte źrenice, niczym po solidnej dawce narkotyku, spoglądały niemo na Olgę, próbując pojąć bezmiar szaleństwa rozgrywającego się dookoła.

– Poszukaj w szafie jakichś kabli od odkurzacza albo sznura. Czegoś, czym mogłabym cię związać – rozkazała Olga, ale Monika stała jak sparaliżowana. – Rób, kurwa, co mówię, bo skończę z tobą tak jak z tym grubasem – krzyknęła.

Monika podeszła do szafy i otworzyła ją. Trzęsącymi się rękoma wyciągnęła odkurzacza, a następnie rozwinęła pięć metrów kabla.

– Nada się? – spytała.

– Idealny – ucieszyła się Olga. Wyjęła z szuflady nóż i rzuciła w stronę Moniki. – Odetnij kabel – nakazała. – Zabrała jeszcze sznurek do wieszania bielizny, który mógł się przydać do skrępowania ofiary.

Gdy tylko Monika schwytała ostry nóż, rzuciła się na Olgę i z ogromną siłą chciała wbić go prosto w jej serce. Ta jednak zrobiła unik i ostrze utkwilo w ramieniu. Z rany wyciekła krew, Olga złapała za rękojeść i bez najcichszego jęku wyciągnęła nóż z ciała.

– Ty głupia cipo. – Zaśmiała się. – Nie czuję bólu. Nic mi nie możesz zrobić. – Popchnęła Monikę w stronę pokoju Pawła, zrzuciła jego zwłoki z fotela i posadziła na nim Monikę. Przywiązała ją kablem do oparcia, a sznurkiem znalezionym w kuchni skrępowwała jej nogi i ręce.

– Poszukajmy jeszcze czegoś, czym można byłoby przywiązać fotel, aby był stabilniejszy. Nie będziesz mi tu jeździła po pokoju. – Podeszła do szafy, stojącej po przeciwnej stronie, przesunęła drzwi z lustrem i uśmiechnęła się jadownicie, widząc żelazko i suszarkę do włosów. Kablem od suszarki przywiązała fotel z unieruchomioną na nim Moniką do kaloryfera, a żelazko podłączyła do prądu.

– Masz zbyt ładną buzię – stwierdziła. – Musimy coś z tym zrobić.

Wystawiła język i przyłożyła go do gorącej stopki żelazka. Monika usłyszała syknięcie i poczuła swąd przypalonej skóry. Zaczęła jeszcze mocniej się szarpać i wrzeszczeć, wzywając pomocy.

– Nie, nie – błagała, gdy Olga złapała ją za włosy, odchyliła głowę, a do policzka przystawiła rozgrzane żelazko. Rozległ się przeraźliwy krzyk, który niósł się po całym bloku. Olga rozkoszowała się wonią palonego mięsa i bólem, który sprawiała Monice.

– Teraz nie tylko Leon cię nie zechce, ale żaden facet nie tknie cię nawet kijem – powiedziała, odrywając żelazko od policzka.

– Jesteś pojebana! – wydusiła z siebie Monika, zanosząc się gorzkim płaczem. Słone łzy spływały jej po twarzy, sprawiając jeszcze większy ból, gdy docierały do miejsca, w którym skóra policzka zamieniła się w krwawą miazgę.

– Musimy przypiec symetrycznie, inaczej będzie brzydko – uznała Olga, po czym przyłożyła żelazko do drugiego policzka.

Monika szarpnęła się tak mocno, że zerwał się kabel, którym fotel był przymocowany do kaloryfera. Zwaliła się na podłogę, uderzając dotkliwie głową o panele. Wciąż skrepowana pełzała, próbując uciec przed oprawcą. Olga, widząc jej daremne wysiłki, zaśmiała się szyderczo.

– Szkoda, że się nie widzisz. Jesteś żałosna – powiedziała z pogardą. Podniosła fotel z Moniką i ponownie przywiązała do kaloryfera. – Co by tu

teraz – rozmyślała, gdy nagle usłyszała pukanie do drzwi.

– Panie Pawle, czy wszystko w porządku? – usłyszała głos dobiegający z klatki schodowej.

Podeszła do drzwi i uchyliła je. Rozwarła usta w upiornym grymasie, a z jej gardła dobył się dziki skowyt. Sąsiadka patrzyła na Olę zahipnotyzowana. Po chwili po jej nogach zaczęła spływać cienka stróżka moczu.

– Rozumiem – powiedziała pokornie. – W takim razie nie przeszkadzam – dodała i poczłapała do swojego mieszkania. Zamknęła drzwi i zaciągnęła zamek.

Olga wróciła do sponiewieranej Moniki, wyswobodziła z więzów jej jedną rękę, a później sznurkiem obwiązała przedramię tak mocno, że po kilku sekundach skóra na dłoni zrobiła się sina.

– Co robisz? – Monika potrząsnęła głową, aby pozbyć się potu i łez oblepiających oczy.

– Myślisz, że zabiję cię tak zwyczajnie jak tego frajera? – spytała, patrząc na martwego Pawła.

– Odpierdol się. – Splunęła Oldze w twarz.

Ta zlizwała ślinę z warg i powiedziała:

– Wiesz, dlaczego tak bardzo zależy nam na waszym świecie?

– Gówno mnie to obchodzi.

– Wasz strach. To on sprawia, że czujemy się tak wspaniale. Sprawimy wam więcej bólu, niż zdołacie sobie wyobrazić. Wizja piekła, którą od pokoleń pielęgnujecie w waszych umysłach, jest niewinną igraszką przy tym, co zgotujemy wam na ziemi.

– Nie przestraszysz mnie – wymamrotała Monika. – Jesteś głupią krową, która nie potrafi nawet zaspokoić swojego faceta. Nic dziwnego, że bez najmniejszego wahania przeleciał mnie na swoim biurku.

– Pieprzyłaś się z nim. Wiedziałam, bezwstydną suką.

– Rzęnęłam się z nim kilka razy dziennie, gdy tylko nie było cię obok. Mówił, że nigdy nie było mu tak dobrze – prowokowała. Sama już nie wiedziała, na co może liczyć. Ból był nie do zniesienia, a szansa na uwolnienie nikła. Jedyne, czego chciała, to jak najszybciej zakończyć swoją mękę. – Brzydził się tobą. Już dawno by od ciebie odszedł, ale kto prąby mu skarpetki. – Próbowwała się zaśmiać, ale zamiast tego żałośnie jęknęła.

Olga odnalazła w szufladzie szalik i wepchnęła go do ust Moniki.

– To żebyś już tyle nie gadała.

Złapała obwiązaną sznurkiem rękę i przez chwilę przyglądała się sinei dłoni.

– Spróbujemy? – spytała, oblizując zdrętwiałe palce. Zatrzymała się przy najmniejszym, włożyła go w usta i ugryzła. Wyłynęła krew, jednak nie tyle, ile można byłoby spodziewać się po amputowanej części ciała. Monika zagryzła materiał tkwiący w jej ustach. Patrzyła obojętnie na częściowo zdrętwiałą dłoń, próbowała wyrwać rękę z uścisku Olgi, ale traciła władzę nad niedokrwioną kończyną. Olga, umazana krwią, przeżuwała palec Moniki z lubieżnym uśmiechem i dziką rozkoszą w oczach.

– Jesteś żyłasta i gumowata. – Wypluła resztki skór i kości. – Nie wiem, co mój mąż w tobie widział. Mimo wszystko skuszę się na jeszcze jeden kawałek.

Zlizala językiem krew z twarzy i zagłębiła zęby w kciuku. Żuła palec, jakby raczyła się niedopieczonym szaszłykiem. Później odwiązała sznurek ściskający przedramię Moniki. Wraz z krwią przyłynęła fala potwornego bólu. Dziewczyna wydała z siebie niemy krzyk. Po policzkach spłynęły łzy. W myślach przeklinała dzień, w którym zjawiła się w biurze Leona, swoją pazerność i Pawła, to jego machlojki doprowadziły do dzisiejszego

spotkania z Olgą, które zakończy się jej śmiercią w męczarniach. Szamotała się na fotelu, potrząsała głową, starając się wypluć z ust szalik, którym była zakneblowana.

Olga zbliżyła swoją twarz do poranionych policzków Moniki, polizowała jeden i szepnęła:

– Czyżbyś chciała coś powiedzieć? Obiecuj, że nie będziesz krzyczeć.

Monika potaknęła.

– Ty kurwo! Udław się – sarknęła, gdy tylko mogła mówić.

– Klnij, ile tylko chcesz. Te słowa są dla mnie jak muzyka – powiedziała Olga. – Możesz też się chwalić, co robiłaś z moim mężem. Choć sama nie wiem, czy mogę jeszcze tak go nazywać. Jestem tą samą osobą, ale w zupełnie nowym wcieleniu. Wcieleniu zła, które pochodzi z innej rzeczywistości. – Odsunęła się od Moniki i popatrzyła na nią z pogardą. – Nie masz pojęcia, jak jesteśmy potężni. Wtargniemy do waszych umysłów i zawładniemy nimi. Zresztą już się to dzieje. Ludzie szaleją. Dają upust chowanej nienawiści. Folgują swoim skrywanym żądzom. Nadchodzi czas gniewu i mordu. Świat spłynie krwią.

– Zabij mnie – wybełkotała Monika. Zakrwawiona i wyczerpana patrzyła na ogarniętą obłędem Olgę, a raczej na to, co z niej zostało. Straciła wszelką nadzieję, że wyjdzie stąd żywa. Wypełniły się słowa Rozchwata, a ona jest jedną z pierwszych ofiar demonów, które wtargnęły do ich rzeczywistości.

– Tak szybko nie dam ci umrzeć – wycodziła Olga. – Za to, co musiałam przez ciebie przejść, jeszcze się trochę pomęczysz. – Podeszła do biurka, obok którego leżało ciało Pawła, i zabrała ołówek.

– Bawimy się dalej?

– Zabij mnie – błagała Monika.

Olga jednym szybkim ruchem wbiła ołówek w jej szyję. Pławiła się wrzaskiem Moniki, zlizywała krew tryskającą na jej twarz i śmiała się donośnym, pustym śmiechem.

Nagle odwróciła głowę niczym pies, który zwęszył trop. Okręciła się kilka razy wokół własnej osi i powiedziała:

– Wzywają mnie. Pobawiłabym się z tobą dłużej, ale chyba będziemy musiały kończyć. A na pożegnanie pocałunek śmierci.

Zbliżyła usta do poparzonego policzka Moniki. Wgryzła się w świeżą ranę i wyszarpała resztkę skóry, mięśni i tkanek, wielka dziura w twarzy Moniki natychmiast zalała się krwią, która spływała po ramionach i klatce piersiowej. Zbliżał się koniec, tego Monika była pewna i tego teraz pragnęła, choć jeszcze tak niedawno, gdy liczyła pieniądze Kowala, wierzyła, że doczekała chwili, kiedy zacznie lepsze, bogatsze życie. Uśmiechnęła się gorzko na to wspomnienie. Zamknęła oczy i osunęła się nieżywa na fotel.

Olga wytarła twarz szalikiem i ruszyła do biurowca InfoSense, gdzie miała się stawić na wezwanie wielkiego kapłana.

ROZDZIAŁ 39

– Cześć – przywitał się przez telefon Stafiej. – Jak interesy?

– Bardzo dobrze – skłamał Kowal. Od kilku godzin beczynn timer tkwił w biurze i czekał na jakąkolwiek wiadomość od Olgi albo Moniki. Dzwonił do nich wielokrotnie, ale żadna nie odbierała telefonu. Przeczynawał, a nawet miał pewność, że stało się coś niedobrego, zwłaszcza że w grę wchodziły duże pieniądze. – Niech zgadnę. Masz dla mnie dane osób, o które cię prosiłem.

– Co ty, i nieprędko będę je miał. Mamy dziś urwanie głowy. Od rana otrzymujemy mnóstwo zgłoszeń, jakby w mieście zapanowała jakaś psychoza.

– Co się dzieje? – spytał zaniepokojony.

– Nie wiem, co jest grane. Ludzie zaczęli rzucać się sobie do gardeł. Jakies bójki, nożownicy, przemoc domowa.

– Może dałbyś radę sprawdzić chociaż kilka osób? Dwie, trzy?

– Dlatego dzwonię. Wiem, że bardzo ci na tym zależy. Niejaka Janina Maj niedługo po zwolnieniu z InfoSense, gdzie pracowała kilka miesięcy, trafiła na oddział psychiatryczny w Szpitalu Bielańskim. Na razie tylko tyle. Jak uporam się z tym pierdolnikiem, sprawdzę resztę.

– Dzięki, stary – rzucił do telefonu i nie czekając na odpowiedź, rozłączył się.

Po kilku minutach był już w drodze do szpitala. Domyślał się, że Janina Maj musiała być jedną z bram, której poszukiwali Parapsychiczni. Zastanawiał się, czy nie powinien od razu zadzwonić do Rozchwata i dać mu znać, że znalazł jedną z osób, ale doszedł do wniosku, że najpierw spotka się z Janiną i upewni się, czy to nie jest fałszywy trop.

Gdy stał na światłach, był świadkiem, jak mężczyzna idący chodnikiem wskoczył wprost pod koła rozpędzonego samochodu. Uderzenie było tak potężne, że pieszego odrzuciło na kilkanaście metrów. Zszokowany kierowca wyszedł z auta i dzwonił po pogotowie. Jacyś ludzie podbiegli sprawdzić, czy mężczyzna żyje, inni szukali tylko sensacji i robili zdjęcia. Kowal postanowił jechać dalej, stwierdzając, że nic więcej w obecnej sytuacji nie robi. Zanim ruszył spod świateł, został zaatakowany przez starszą kobietę. Stała naprzeciwko jego samochodu i z nienawiścią w oczach zaczęła bić pięściami w maskę auta. Kowal chciał już otworzyć drzwi, aby powstrzymać napastniczkę, kiedy ta nieoczekiwanie uciekła. Pół godziny później zaparkował samochód pod szpitalem i udał się do recepcji. W budynku było nadzwyczaj głośno, dzwoniło kilka telefonów naraz, a personel biegał po korytarzu, jakby się paliło.

Podszedł do kobiety w recepcji, która też oczywiście rozmawiała przez telefon.

– Dzień dobry. Szukam Janiny Maj, jest u was w szpitalu. Gdzie mógłbym ją znaleźć? – powiedział głośno. Z gestów recepcjonistki wywnioskował, że chce, aby poczekał albo sobie poszedł. – Halo! Proszę pani. Szukam Janiny Maj. Maj – powtórzył jeszcze głośniej.

– Niech pan przyjdzie kiedy indziej – burknęła, zakrywając ręką słuchawkę. – To nie jest najlepszy moment na odwiedzin.

– Co się stało?

– Uciekło kilku pacjentów z oddziału zamkniętego – wyjaśniła.

– Jak to: uciekło?

– Nie wiem, mnie się nikt nie spowiada. Ta pana Maj też uciekła – dodała.

– Czy nie ma pani wrażenia, że w Warszawie dzieje się coś dziwnego? – spytał, przecierając zmęczoną twarz.

– Tak. Mam takie wrażenie. Mamy dziś więcej roboty niż zwykle.

– A co się dzieje? – dążył.

– Proszę stąd odejść. Widzi pan, że mamy urwanie głowy – powiedziała i wróciła do rozmowy przez telefon.

Kowal wybiegł ze szpitala, po raz kolejny zadzwonił do Olgi, a później do Moniki. Nie odbierały. Nie wiedział, co ma robić. Wsiadł do samochodu i postanowił wrócić do biura. Może będzie tam Monika. Po drodze obserwował, co dzieje się na ulicach. Zdawało mu się, że większość ludzi zachowywało się nerwowo. Kilkanaście razy uderzali w przycisk, aby zapaliło się zielone światło, inni wręcz siłą zatrzymywali samochody, aby przejść na drugą stronę, był również świadkiem interwencji policji, która rozdzielała kilka bijących się kobiet. Wspomniał słowa Waldka, że od rana odnotowali mnóstwo przypadków agresji. Sam, jadąc do szpitala, widział, jak jakiś mężczyzna chciał popełnić samobójstwo.

Lękając się najgorszego, włączył radio.

„Od rana w całej Polsce notowane są niewyjaśnione przypadki agresji. Policja i służby porządkowe starają się na bieżąco weryfikować każde zgłoszenie. Prosimy o pozostanie w domach i zgłaszanie na policję wszystkich przypadków łamania prawa”.

Zmienił stację.

„Na całym świecie dochodzi do wypadków, których nie da się racjonalnie wytłumaczyć. Port lotniczy Narita, obok Tokio, został zamknięty z powodu dwóch katastrof lotniczych. Na jednej z ulic Rzymu

doszło do wybuchu bomby, w wyniku którego zginęło kilka osób, a kilkanaście trafiło do szpitala z ciężkimi obrażeniami. W Ankarze na targu grupa młodych ludzi dotkliwie pobiła kilkunastu sprzedawców. Również w Warszawie i innych miastach Polski zgłoszono wiele przypadków brutalnych pobić, a także zabójstw. Nie wiadomo jeszcze, co jest przyczyną eskalacji agresji".

Kowal wyłączył radio. Nie miał już żadnych wątpliwości. Zło triumfowało. Rozpoczął się Armagedon. Ogarnęło go przygnębienie, które towarzyszyło mu od początku śledztwa. Ale teraz nawet nie starał się z nim walczyć. Ulżyło mu na myśl, że nie jest wariatem, jak nieraz przypuszczał, to niepojęte siły z innej rzeczywistości przesączały się do jego świata, aby teraz uderzyć całą swoją potęgą. Martwił się nie o przyszłość ludzkości, rozczarowała go wiele razy, tylko o najbliższe osoby. O starą matkę i brata, który leżał w szpitalu psychiatrycznym. Bał się, że jego żona Olga może być już martwa, podobnie jak Monika, za którą w jakiś sposób czuł się odpowiedzialny. Po wejściu do biura znowu zadzwonił do dziewczyn. Nie odbierały. Co mógł zrobić? Czy w ogóle można było coś zrobić? Krążył po biurze, zerkając co pewien czas przez okno z nadzieją, że zobaczy Monikę lub Olgę. Zamiast nich ujrzał sześciuosobową delegację Polskiego Związku Parapsychicznego. Wszedł, aby im otworzyć. Pierwszy stał barczysty Rozchwat, za nim Janina Pięta, Filip Czerwonaka, Krystian Zochaj i Edward Tryt, na końcu zaś Adrian.

– Co wy tu robicie? – zapytał Leon.

– Zaczęło się – odparł Rozchwat. – Możemy wejść?

– Jasne. – Zaprowadził ich do swojego biura. – Nie mam zbyt wiele miejsca, ale siadajcie, gdzie się da.

– Sytuacja jest coraz gorsza – zaczęła Janina, siadając na biurku.

– Coraz gorsza? – powtórzył Kowal ze zdziwieniem. – Świat oszalał. To jakaś zbiorowa paranoja. Ludzie się zarzynają lub rzucają się pod tramwaje.

– Zło znalazło przejście – powiedział Adrian. – Przypuszczamy, że otworzyło się dziesięć bram. Świat niedługo zamieni się w piekło.

Rozchwat, który przez okno obserwował, co dzieje się na ulicy, odwrócił się w stronę Kowala.

– Zgodnie ze starodawnym proroctwem wielki kapłan zbierze osoby przemienione w bramy w jednym miejscu. Odprawią starożytną ceremonię przejścia, która otworzy wrota dla zła. Świat, jaki znamy, przestanie istnieć.

Kowal przełknął.

– To co można zrobić? Jak to zatrzymać?

– Musimy się dostać na zebranie wielkiego kapłana i odprawić rytuał, który zamknie wrota. – Janina skrzyżowała ręce na piersi i wpatrzyła się w detektywa.

Leon opadł ciężko na fotel i przeczesał włosy. Monika miała rację, powinien bardziej zaangażować się w poszukiwanie osób zamienionych w bramy. Może wtedy ludzkość nie stanęłaby na krawędzi zagłady. Trzymał się myśli, że z czasem to, co ich spotkało w trakcie śledztwa, da się jakoś logicznie wyjaśnić, a proroctwo przywołane przez Rozchwata okaże się wymysłem bandy szaleńców. Jakby wierzył, że ignorowanie usłyszanych wówczas słów sprawi, że nigdy się nie spełnią.

– Kto jest tym wielkim kapłanem? – spytał, unosząc głowę.

– Domyślamy się, że to Sylwia Fornel – odezwał się Adrian. – To ona kierowała poczynaniami Dopierały.

– Ale jak ją do tego zmusiła?

– Tego niestety nie wiemy. – Rozchwat dalej patrzył przez okno. – Najprawdopodobniej uciekła się do podstępu. Może zapewniła, że dzięki ofierze dziesięciu osób ona wybudzi się ze śpiączki? Tak czy inaczej, Grażyna jest tylko pionkiem.

– Czy udało ci się zdobyć personalia osób, które zamieniły się w bramy?
– wtrąciła się Janina.

– Jeszcze nad tym pracuję. Na razie mam tylko jedno nazwisko.

– Kto to taki?

– Janina Maj. Niedługo po tym, jak skończyła pracę w InfoSense, trafiła na oddział psychiatryczny. Byłem tam dzisiaj i okazało się, że kobieta uciekła ze szpitala. Zresztą nie tylko ona. Podobno wyważyła drzwi.

Janina i Adrian wymienili spojrzenia.

– To bez wątplenia musi być jedna z bram – zauważyła. – Ludzkie ciało staje się potężne i nie czuje bólu. Ta Maj i inne bramy zostały wezwane na spotkanie z wielkim kapłanem. Tylko gdzie? – zamyśliła się. – Mówiłeś, że z zakładów uciekli pacjenci. Policja powinna dostać zgłoszenia.

– Racja. – Wyciągnął komórkę z kieszeni. – Już dzwonię.

Gdy rozmawiał ze Stafiejem pozostali wsłuchiwali się w jego słowa, chcąc rozszyfrować z nich informacje uzyskane od policjanta.

– Nie myliłaś się. Policja włączyła się w poszukiwanie kilku pacjentów. Dostawali nadludzkiej siły, wyrywali kraty, wyważali drzwi. Nikt nie mógł ich powstrzymać.

– Wiadomo, gdzie uciekli? – spytał Krystian Zochaj z nadzieją w głosie.

– Tak. – Kowal pokiwał głową. Zamilkł na chwilę, gdy uświadomił sobie, że zgadzając się na pracę Olgi i Moniki, posłał je w paszczę lwa.

– Gdzie? – niecierpliwił się Rozchwat.

– Strażnicy z jednego z zakładów podążyli śladem uciekiniera – kontynuował beznamiętnie, jakby uszła z niego resztką nadziei. – Dotarli

do centrum miasta, pod wysoki biurowiec.

Rozchwat klasnął w dłonie.

– Siedziba InfoSense.

– Na to wygląda.

– A zatem stoczymy bitwę w siedlisku zła.

– Chcecie tam pójść?

– A niby kto ma iść? – zapytał Adrian, unosząc brwi.

– Nie wiem. Wyślijmy tam wojsko albo chociaż policję.

– Tylko my możemy pokonać zło – przypomniał Rozchwat. – Nikt inny sobie z nim nie poradzi.

– Przez lata przygotowaliśmy się do tej konfrontacji – dodał Edward. Kował głęboko się nad czymś zastanawiał, po czym westchnął ciężko.

– Dajcie mi godzinę.

ROZDZIAŁ 40

Grażyna Dopierała, jak niemal każdego dnia przez ostatnie kilka miesięcy, siedziała przy łóżku Sylwii i zdawała jej relację, jak przebiega proces stymulowania mózgow testerów InfoSense.

– Już niedługo znów będziemy razem – oznajmiła poruszona. – Napromieniowałam Olgę taką dawką, że przemiana powinna nastąpić lada moment. Zresztą nie tylko ją. Nie mogę ryzykować, że ktoś popełni samobójstwo, jak ta Zawadzka, albo zginie w wypadku. Jeśli ktoś się przyczepi, że w InfoSense pracownikom dzieje się krzywda, to Trapanelli będzie się musiał tłumaczyć, ja mam to gdzieś. Nie zamierzam czekać nie wiadomo ile, aby cię odzyskać. – Gładziła dłoń Sylwii.

W pewnym momencie odniosła wrażenie, że mały palec lewej dłoni Sylwii delikatnie się poruszył. Zerwała się na równe nogi. Patrzyła na ukochaną, której najpierw drgnęły powieki, a potem otworzyły się oczy.

– A więc stało się! – krzyknęła rozentuzjasmowana. – Odzyskałam cię? Puścili cię?

Sylwia leżała nieruchomo i patrzyła w sufit. Otworzyła usta, próbując coś powiedzieć.

– Kurwa, jakie to ciało jest skostniałe – wykrztusiła wreszcie.

– Boże, nawet nie wiesz, jak się cieszę, że znowu jesteś ze mną. – Zbliżyła się do Sylwii, chciała ją przytulić albo pocałować, ale obawiała się, że mogłaby jej zaszkodzić. – Możesz ruszyć ręką?

– Będę próbowała – odparła głębokim głosem.

– Czy jak tu leżałaś, słyszałaś wszystko, co do ciebie mówiłam?

– Owszem – przytaknęła. – Chwała ci za to, że znalazłaś sposób, aby się ze mną skomunikować. Jesteśmy ci bardzo wdzięczni.

– My? – zdziwiła się. – Kim byli ci, którzy cię tam trzymali?

– Nawet nie wiesz, jak tam było pięknie.

– Pięknie? Ale przecież chciałaś, żeby cię stamtąd wyciągnąć. Pamiętasz? Błagałaś mnie o to w moim śnie. A później żaliłaś się, że bardzo cierpisz – mówiła szybko, nie rozumiejąc wcześniejszych słów Sylwii.

– Prawda jest nieco inna. – Sylwia nadal leżała nieruchomo. – Moi nowi przyjaciele poprosili mnie, aby wykorzystać cię jako łącznik z waszą rzeczywistością. Potrzebowaliśmy dziesięciu bram, dzięki którym moglibyśmy przedostać się do waszego świata.

– Ale jak to, nie rozumiem, to znaczy – płątała się Grażyna. – Czy to ma coś wspólnego z naszymi testami na Uniwersytecie Humanistycznospołecznym? – spytała wreszcie.

– Nie zdawałyśmy sobie wówczas sprawy, że otworzyłyśmy bramę do innego świata – ciągnęła Sylwia. – Niestety była zbyt ciasna. Potrzebowaliśmy prawdziwych wrót i...

– I te dziesięć osób miało je otworzyć – dokończyła. Przymknęła oczy. Dotarło do niej, jak okrutnie z niej zadrwiono. – Wykorzystałaś moją miłość do ciebie. Wiedziałaś, że dla ciebie nie cofnę się przed niczym, nawet przed najgorszym łajdactwem. Skrzywdziłam tych ludzi. – Zapłakała gorzko.

– Jeśli ma to dla ciebie jakieś znaczenie, to Sylwia Fornel kochała cię miłością czystą i niewinną.

Grażyna spojrzała w oczy ukochanej i dostrzegła w nich tę samą pustkę, którą widziała w ostatnim dniu testów na Uniwersytecie

Humanistycznospołecznym i wcześniej podczas rytuału opętania. Jakże była naiwna. Pomogła złu wdrzeć się do tego świata, a wszystko w imię jakiegoś nieuchwytnego uczucia nazywanego miłością.

– W takim razie – bąknęła. – Kim ty właściwie jesteś?

Sylwia uniosła się kilka centymetrów nad łóżkiem.

– Jam jest wielki kapłan, który został zapowiedziany w prastarych legendach – rzekła. – Mam powołać dziesięć bram, aby przy pomocy wybrańca otworzyć przejście między naszymi światami.

Grażyna, sparaliżowana strachem, patrzyła, jak demon porusza ciałem Sylwii. Nie odnalazła w sobie siły, aby wezwać pomoc. Bo też nie wierzyła, by ktoś mógł pomóc. Zło triumfowało, a ona się do tego przyczyniła. Sylwia uniosła się wyżej, aż pod sufit, przekręciła się tak, że teraz lewitowała w pozycji pionowej. Zbliżyła się do Grażyny i stanęła na nogach.

– A teraz pokażę ci, jakim gównem karmiliście mnie przez ten czas – powiedziała.

Grażyna, zmuszona przez tajemniczą siłę, położyła się na łóżku, chciała zaprotestować, wyrwać się, odskoczyć, ale organizm jej nie słuchał. Obezwładniona przyglądała się, jak Sylwia sięga w kierunku szafki, wyjmując z szuflady długopis, który Grażyna przyniosła pewnego dnia, i wbija go w jej rękę. Zawyla z bólu, ale z jej gardła nie wydobył się żaden dźwięk. Ręka pulsowała niewyobrażalnym bólem, który promieniował na pół ciała.

– A teraz zobacz, jak to jest leżeć przez tyle czasu w bezruchu i żreć to gówno z torebki. – Sylwia wyciągnęła sobie z żołądka silikonową rurkę, przez którą wylało się trochę ciemnej, gęstej substancji. Następnie zdjęła worek z żywnością, przyczepiony do wieszaka, i odgryzła jego górną część. Zwymiotowała do niego czarną wydzielinę, która zmieszała się z płynnym pożywieniem.

– Żryj, ukochana – powiedziała. Wyjęła z ręki Grażyny długopis, którym wcześniej trochę poruszała, aby zwiększyć średnicę rany, i wsunęła jej w żyłę silikonową rurkę. Nacisnęła na worek, aby przesączyć do krwiobiegu Dopierały jego zawartość.

Oczy sparaliżowanej doktorantki były szeroko otwarte. Czuła, jak trująca substancja dostaje się do jej przedramienia i wędruje żyłami w kierunku serca. Ból był nie do zniesienia, normalnie zemdlałaby, ale niewoląca ją siła utrzymywała ją w stanie pełnej świadomości.

– Pobawiłabym się z tobą dłużej, niestety mam nowe zadania do wykonania – powiedziała Sylwia, patrząc, jak z Grażyny wolno uchodzi życie. Skóra najpierw przybrała kolor żółty, a później szary. Żyły, które rozprowadzały po ciele śmiertelny płyn, przypominały cienkie stróżki atramentu. Z ust wydobyło się ciche westchnienie, opadły powieki.

Sylwia wyszła na korytarz i podążyła w stronę wyjścia.

– Proszę się zatrzymać – krzyknęła pielęgniarka dyżurna, zszokowana widokiem pacjentki, która jeszcze dziś rano leżała pogrążona w śpiączce.

Usłyszawszy wołanie, Sylwia się odwróciła. Jej oczy były całe czarne, jak dwie wypolerowane bryłki węgla. Usta wykrzywiły się w potwornym uśmiechu. Ryknęła wściekle. Ciałem korpulentnej pielęgniarki wstrząsnęła ogromna siła. Kobieta przeleciała kilka metrów i upadła na podłogę. Sunęła po śliskiej posadzce, aż uderzyła w ścianę. Sylwia sapnęła, potrząsnęła głową i skierowała się do wyjścia. Nikt już nie próbował jej przeszkodzić. Na zewnątrz wezwała jedną z taksówek stojących obok kliniki.

– Do biurowca InfoMedu – rozkazała, zajmując miejsce na tylnym siedzeniu.

Jadąc, obserwowała z zadowoleniem, jak Warszawa pogrąża się w chaosie. Ludzie rzucali się sobie do gardeł niczym wygłodniałe zwierzęta, przegryzali sobie tętnice i mordowali się gołymi rękami. Policja,

straż pożarna, pogotowie i służby miejskie nie nadążały z interwencjami. Wielu drobniejszych przestępców wykorzystało okazję i okradało sklepy, które opuszczone przez właścicieli stawały się łatwym łupem. Liczba wypadków samochodowych i stłuczek tak wzrosła, że tylko jakimś sobie znanym sposobem taksówkarz dowiózł Sylwię na miejsce.

– Dokonało się! – oświadczyła z zadowoleniem. Spojrzała na grubego mężczyznę siedzącego za kierownicą, który od razu się zorientował, że nie otrzyma zapłaty za usługę. Pożegnał się i czym prędzej odjechał spod wieżowca InfoMedu. Sylwia, napawając się szaleństwem ogarniającym miasto, weszła do budynku i skierowała się do recepcji. Przywitał ją ochroniarz, który przerwał na chwilę pożeranie młodej recepcjonistki. Wypluł resztki skóry i kości, podszedł do Sylwii, uklonił się i podążył za nią korytarzem, na którym rozgrywały się dantejskie sceny. Pracownicy nieprzeistoczeni w żadne mięsa monstra barykadowali się w pokojach i salach konferencyjnych, uciekając przed odrażającymi potworami. Inni, obojętni wobec cierpienia i śmierci, błakali się po budynku, odbijając się od ścian niczym ślepcy.

Sylwia zatrzymała się przy tablicy, na której widniały nazwy firm mieszczących się w wieżowcu. InfoMed zajmował piętra od dziesiątego do dwudziestego pierwszego. Na dwudziestej drugiej kondygnacji znajdowała się siedziba InfoSense. Wsiadła do windy, wjechała na osiemnaste piętro, po czym odszukała biuro prezesa. Po drodze dołączyło do niej kilka osób zataczających się jak pijani. Wyważyła drzwi gabinetu i ujrzała skulonego w kącie Fabrizio Trapanello.

– Kim jesteś? – spytał. – Czego ode mnie chcesz?

– Nie poznajesz mnie? Jestem tą kobietą, którą dyrektor wykonawcza w InfoSense utrzymywała przy życiu. – Stała przy przeszklonej ścianie i podziwiała panoramę Warszawy.

– Jesteś koleżanką Grażyny? Jesteś Sylwią Fornel?

– Kiedyś nią byłam – poprawiła go. – Teraz jestem wielkim kapłanem, który zamieni wasz świat w siedlisko zła.

– Czego chcesz? – Trapanelli jeszcze mocniej wciskał się w kąt.

– Twoja firma pomogła mi przemienić dziesięć osób w apostołów. To bramy, przez które demony wnikają do waszego świata – powiedziała. Zamknęła oczy i rozłożyła ręce jak do błogosławieństwa.

– A teraz wzywam was moi apostołowie, stawcie się u mych stóp – wyrecytowała głębokim głosem.

Trapanelli zerwał się do ucieczki, ale jeden z upiorów podążających za Sylwią złapał go za szyję i z powrotem wniósł do środka.

– Co się tu, kurwa, dzieje? – krzyknął Fabrizio. – Wypuście mnie – błagał, zalewając się łzami. Nikt jednak nie przyszedł z pomocą.

ROZDZIAŁ 41

Leon Kowal zajechał samochodem przed budynek InfoMedu. Miał na sobie spodnie w moro, wysokie wojskowe buty i koszulkę z napisem „Kill'em All!”, widniejącym pod zdjęciem pierwszej płyty Metalliki. Wyciągnął z bagażnika ciężką torbę o tajemniczej zawartości. W kaburze u pasa tkwił szesnastostrzałowy glock wraz z zapasem magazynków. Ulice pustoszały, pojedynczy ludzie biegli do swoich mieszkań lub kryli się gdzie popadnie przed goniącymi je osobami wyglądającymi jak zombie, wyły alarmy pozostawionych samochodów, na chodnikach stały dziecięce wózki i rowery. Wszędzie leżały śmieci i drobne przedmioty porzucone przez uciekających mieszkańców miasta. Pięć minut później pojawił się van Rozchwata. Otworzyły się przesuwne drzwi i po chwili szóstka Parapsychicznych stanęła naprzeciwko Leona.

– Wyglądamy jak łowcy duchów z filmu *Ghostbusters* – zażartował Kowal.

– Nie będzie ci do śmiechu, jak zobaczysz, z czym przyjdzie nam się zmierzyć – zgañił go Rozchwata. W ręku trzymał pistolet, a do skórzanego pasa miał przytroczone kilkanaście zapasowych magazynków. Pozostali również byli uzbrojeni i bardziej przypominali żołnierzy z jednostki specjalnej niż cywili zajmujących się parapsychologią.

– Jesteście przygotowani na najważniejszy pojedynek w życiu? – zapytał Zochaj.

– Nie jesteśmy – wyznał Kowal. – Jaki jest plan?

– Musimy odnaleźć bramy i odprawić rytuał przemiany. Wówczas pozbawimy wielkiego kapłana mocy – odparł.

– Jak chcecie tego dokonać?

– Bramy udały się na spotkanie z wielkim kapłanem. Mam nadzieję, że znajdziemy wszystkich w jednym miejscu – mówił Filip, sprawdzając broń. Trzymał w rękach strzelbę SAI M870 z sześcioma nabojami, potocznie zwaną shotgunem. Nie ulegało wątpliwości, że Parapsychiczni od dawna przygotowywali się do tego dnia. Kowal nie mógł się nadziwić, jakim arsenałem dysponują. Nawet służąc w policji, nie miał zbyt wielu okazji, aby obcować z podobną bronią.

– Są nadludzko silni – przypomniał Kowal. – W jaki sposób zamierzacie ich złapać?

– Owszem, są silni – odezwał się Edward Tryt. – Ale wciąż są śmiertelni. Budząca grozę potęga drzemie w kapłanie.

– Legenda głosi, że wielki prorok potrafi unosić się w powietrzu, przenosić przedmioty czy nawet wpływać na ludzkie myśli – dodał Adrian.

– Coś jak Lord Vader i Jedi? – spytał. Czuł się dziwnie. Z jednej strony widział na własne oczy, co dzieje się na ulicach, zdawał sobie sprawę, że włączył się w misję, której być może nie przeżyje. Z drugiej zaś – nie mógł pozbyć się wrażenia, że uczestniczy w grze komputerowej, w której to on jest głównym bohaterem. Towarzyszyło mu przenikliwe poczucie pustki, ale przywykł już do tego stanu. Wręcz unosił się na jego skrzydłach, utwierdzając się w przekonaniu, że jest wybrańcem, który ma ocalić świat przed zagładą.

– Co ty masz w tej torbie? – zaciekała się Janina. – Przecież taki bagaż będzie nas spowalniał.

– To moje zabezpieczenie, gdyby wszystko inne zawiodło – odpowiedział lakonicznie detektyw.

– W takim razie chodźmy. Skonfrontujmy się z nieuniknionym – oświadczył Rozchwat, ruszając w stronę wejścia do wieżowca. O dziwo, bez większych przeszkód weszli do środka, a potem dostali się do recepcji, w której nikogo nie było.

– Co dalej? – spytał Kowal.

Filip stanął pośrodku holu i zamknął oczy.

– Co on robi?

– Jak myślisz, dlaczego to właśnie my tu jesteśmy, a nie komandosi z GROM-u? – burknął Rozchwat.

– Nie było pytania. – Kowal położył ciężką torbę na podłodze.

Wszyscy ze zniecierpliwieniem czekali, co ustali pogrążony w transie Filip. W końcu wróżbita otworzył oczy i wskazał palcem na sufit.

– Są na górnych piętrach. Pojedziemy windą – oznajmił.

– Czy ktoś zna rozkład tego budynku? Jeśli te bestie zapędzą nas w kozi róg, nie będziemy mieli szans – zauważył Kowal.

– Spokojnie, z nami nie zginiesz – powiedział Filip. – Przestudiowaliśmy wcześniej rozkład pomieszczeń w budynku. Wiemy, gdzie co jest.

Wsiedli do obszernej windy i wybrali przycisk z liczbą osiemnaście. Z napięciem patrzyli na wyświetlacz w windzie, który niczym wyrocznia odmierzał kolejne piętra, przybliżające ich do ostatecznej konfrontacji. Dotarli do szesnastej kondygnacji, kiedy dźwig nieoczekiwanie wyhamował.

Filip wycelował w stronę drzwi, spodziewając się ujrzeć za nimi hordy krwiożerczych monstrów. Kiedy winda się otworzyła, na korytarzu nikogo nie było. Odetchnęli z ulgą i postanowili, że pozostałą drogę pokonają

schodami. Posuwali się bezszelestnie niczym członkowie SWAT-u. Zaglądali do każdej sali, aby się upewnić, że nie czai się w niej zagrożenie. Kowal, mimo znacznego obciążenia, dotrzymywał im kroku. W pewnym momencie zza drzwi od małego pomieszczenia gospodarczego wyłonił się szczupły mężczyzna o długich kręconych włosach. Parapsychiczni w sekundzie wycelowali w niego bronią.

– Poczekajcie – krzyknął Leon, przecierając oczy. – Przecież to mój klient, Kamil Rozner.

Gdy tylko programista zobaczył Leona, na jego twarzy wykwitł szeroki uśmiech. Zbliżył się do detektywa. Pozostali śledzili każdy jego ruch.

– Jesteś normalny? – zapytał Zochaj, wciąż trzymając go na muszce.

– Tak – odparł, zaskoczony pytaniem. – Nawet pan nie wie, jak się cieszę, że pana widzę – zwrócił się do Kowala. – Tu się rozgrywają dantejskie sceny. Mój szef Daniel Stępień chciał mi odgryźć kawałek twarzy, ale udało mi się uciec. Niestety kilku moich kolegów nie miało tyle szczęścia i zginęło – wspominał, trzęsąc się ze strachu. – Schroniłem się w pomieszczeniu gospodarczym. Jak krzyki ucichły, zdecydowałem, że wyjdę na korytarz i schodami wymknę się z budynku. Wtedy spotkałem was. – Gdy skończył mówić, rozwarł szeroko szczękę i rzucił się na szyję stojącego najbliżej niego Edwarda. Zochaj był szybszy. Jeden strzał w głowę zrobił w czaszce Roznera wielką dziurę. Krew i fragmenty mózgowia rozprysnęły się na wszystkie strony. Bezładne ciało programisty osunęło się na ziemię.

– Musimy bardziej uważać – powiedział Rozchwat. Dla pewności celował w truchło Roznera z broni. – Siły ciemności są podstępne i wykorzystają każdą okazję, aby się do nas dostać.

– Lubilem go i miałem do niego sentyment – podsumował Kowal, patrząc na Roznera, z którego głowy wyciekała krew. – Był moim

pierwszym klientem. Dzięki niemu wystartowałem z detektywistycznym interesem. Na szczęście zdążyliśmy się rozliczyć.

– Lepiej się martw, abyśmy wyszli z tej kabały w jednym kawałku – stwierdził Filip.

– A gdzie jest twoja urocza asystentka? – napomknął Edward, wycierając rękawem krew z twarzy.

– Nie wiem. I to mnie martwi. Moja żona też zniknęła.

Ledwie dokończył zdanie, drzwi prowadzące na klatkę schodową otworzyły się z hukiem. Na korytarz wylała się fala ogarniętych obłędem pracowników InfoMedu. Ich zęby ociekały krwią, byli rozwścieczeni, spragnieni świeżego ludzkiego mięsa.

– Zostawcie to mnie. – Adrian zrobił krok do przodu. Otworzył szeroko oczy i wyciągnął przed siebie ręką. Chciał telepatycznie wpłynąć na napastników, aby się zatrzymali, ale wściekła masa nadal parła w ich kierunku. Pozostali trzymali broń w pogotowiu, spodziewając się najgorszego, jednak ludzie przypominający zombie najpierw zwolnili, później zatrzymali się i dreptali w miejscu jak dzieci, które muszą niezwłocznie udać się do ubikacji. Na czole Adriana pojawiły się gęste krople potu, wykrzywił usta w nadludzkim wysiłku, aby zmusić ich do wypełnienia jego woli.

– Wiem, co kombinuje – mruknęła Janina. – Patrzcie teraz. – Ledwie dokończyła zdanie, monstra rzuciły się na siebie. Walka rozgorzała na dobre. Dusił się, gryzły i deptały, wydłubywały sobie oczy i łapały za genitalia.

– Na końcu korytarza jest wejście na drugą klatkę schodową. Dostaniemy się nią na górę – rzucił Adrian, ocierając pot z czoła. Jego twarz zdradzała niezmierne zmęczenie, jakby przez te kilkanaście sekund przybyło mu z dziesięć lat.

Nikt nie dyskutował, wszyscy zgodnie ruszyli przed siebie.

– Jak długo będą ze sobą walczyć? – spytał Kowal.

– Dopóki nie dostaną nowych rozkazów od wielkiego kapłana – odparł Adrian. – Dlatego radzę, byśmy się pospieszyli.

Dostali się na klatkę schodową i pokonując kilka stopni naraz, biegli w górę. Byli na wysokości siedemnastego piętra, gdy drogę zagroził im półnagi rosy mężczyzna. Szcherzył zęby, tocząc pianę z ust.

– Uważajcie – ostrzegł Filip. – To najprawdopodobniej jedna z bram. Ma wielką siłę.

– Wyjdźmy na korytarz i spróbujmy dostać się do innych schodów – zaproponował Kowal. Otworzył drzwi klatki schodowej i sprawdził, czy nie widać żadnego zagrożenia. Fala rozszalałych pracowników Trapanellogo dobijała się do każdej sali na piętrze.

– Wolimy bramę czy tych bezmózgich typków? – zapytał, patrząc na mężczyznę w bokserkach w różowe kwiatki, który nadal stał na schodach.

– Ilu ich jest? – Rozchwat kiwnął głową w stronę drzwi.

– Na oko dwudziestu, może trzydziestu. – Wyjrzał jeszcze raz. – Bliżej trzydziestu.

– Powinniśmy zająć się bramą – uznał Adrian. – Nawet jeśli jakimś cudem przedrzemy się przez tę horde upiorów, nie wiemy, co czeka nas na innych schodach.

– Racja – poparł go Zochaj. – Pamiętajcie, że naszym głównym celem jest pozbycie się bram. Skoro ten golas w bokserkach włązi w nasze łapy, to powinniśmy wykorzystać okazję i go załatwić. Nie marnujmy sił na inne potyczki.

– Dobra – zdecydował Rozchwat. – Leon, zabarykaduj drzwi gaś nicą. Wyglądają na solidne. Powinny przetrwać napór opętańców.

Pólnagi mężczyzna nadal warczał i sapał, ale nie rozpoczynał ataku, czekając na pierwszy ruch przeciwników.

– Co z nim zrobimy? – spytała Janina. – Ma ktoś jakiś pomysł?

– Trzeba odprawić rytuał przemiany – powiedział Filip. – Przynajmniej sprawdzimy, czy zadziała.

– Tylko czy wyjdziemy z tego żywi? – W Edwardzie topniała odwaga. – Zaczniemy rytuał, a gość rzuci się nam do gardeł.

– Odsuńcie się. Zobaczycie wreszcie, po co taszcze ten ciężar – powiedział Kowal. Odsunął zamek torby i ku zdumieniu pozostałych wyciągnął z niej paralizator strzelający. – Obezwładnimy bramę, a wy odprawiajcie sobie te swoje obrzędy – dodał, po czym wystrzelił dwie elektrody zakończone ostrymi haczykami, które wbiły się w ciało mężczyzny. Elektryczność o niskim natężeniu i napięciu dwustu tysięcy volt przeszła jego ciało. Wygiął się w łuk, a potem upadł na ziemię.

Rozchwat i pozostali zdążyli złapać się za ręce i wypowiedzieć kilka słów, gdy usłyszeli trzask zamykanych drzwi i wściekły ryk. Z góry po schodach – zwinnymi ruchami niczym dziki zwierz – zbiegał niski, dwudziestoparoletni chłopak. W ręku trzymał ostry nóż, który ociekał krwią.

– Strzelać! – krzyknął Rozchwat. Wszyscy złapali za broń i nastąpiła kanonada, której nie powstydziliby się oddział profesjonalnych żołnierzy. Kule przeszły ciało chłopaka, zostawiając z niego krwawą miazgę. Gdy rozprawiali się z rozwścieczonym napastnikiem, porażony prądem mężczyzna zaczął dźwigać się z podłogi.

– Brama wstaje! – wrzasnął Leon.

Jego ostatnie słowo zagłuszył huk wystrzałów, które błyskawicznie powaliły demona na schody. Wokół jego zwłok utworzyła się ogromna czerwona kałuża. Kowal wytarł krew z twarzy, odczepił elektrody od

paralizatora i schował urządzenie do torby. Zbliżył się do zastrzelonego mężczyzny na odległość dwóch kroków.

– Myślicie, że nie wstanie? – zapytał.

– Kilka kul trafiło w mózg. Nie podniesie się z tego – zapewniła Janina.

– Magda Zawadzka po upadku z Zamarłej Turni zdołała przejść jeszcze kilka kilometrów – powiedział Kowal, kopiąc leżącego, jakby chciał się upewnić, że ten się nie podniesie.

– Najwidoczniej głowa Zawadzkiej nie została uszkodzona. – Rozchwat postukał palcem po skroni. – Mózg jest najważniejszy. Tam lęgnie się zło.

– Czy teraz, kiedy zabiliśmy jedną z dziesięciu bram, zło nie będzie mogło przedostać się do naszego świata? – Kowal odsunął się od zwłok i podniósł torbę. – Wielki kapłan nie będzie mógł odprawić rytuału przejścia?

– Nie możemy się wycofać, jeśli to masz na myśli – oświadczył Rozchwat. – Musimy doprowadzić sprawę do końca. Rozprawimy się z pozostałymi bramami. Ruszajmy.

– Niezły arsenał niesiesz w tej torbie – nadmienił Filip, gdy pokonywali schody w kierunku osiemnastego piętra. – Co jeszcze masz w zanadru?

– Z policyjnych raportów dowiedziałem się, że Sylwia Fornel została unieszkodliwiona prądem – wyjaśnił Kowal. – Pomyślałem, że zabiorę ze sobą paralizator i zapas naboji.

– A można go użyć w walce bezpośredniej?

– Jasne. Można strzelać na odległość, a jak nie ma naboji, wykorzystać jak zwykły paralizator.

– Sprytne – ocenił Rozchwat.

Kowal ostrożnie uchylił drzwi prowadzące do korytarza na osiemnastym piętrze.

– Gdzie jest gabinet Trapanellego? – spytał.

– Na końcu korytarza – odpowiedział Rozchwat. – Jak teren?

– Jest kilku obłąkańców. Wychodzimy?

– Po to tu jesteśmy.

Gdy tylko wyszli na korytarz, paru otępiałych pracowników ruszyło w ich kierunku. Posuwali się bardzo powoli, bełkotali i wypluwali z gardeł fragmenty skór i kości.

– Na mój znak strzelamy – instruował Rozchwat.

Wtem władający ludzkimi ciałami demony rozstały się, tworząc szpaler, którym szła naga kobieta.

– Czy to kolejna brama? – zwrócił się do Adriana Rozchwat.

– To moja żona. – Kowal nie dowierzał własnym oczom.

Miała zakrwawioną twarz, a jej zionące pustką oczy zdjęły ich trwogą. Stała na czele nielicznego zastępu demonów i zmierzyła przeciwników wzrokiem. Przypominała dowódcę, który przygotowuje swoje wojsko do natarcia na armię wroga.

– To co? – odezwał się Rozchwat. – Nie ryzykujmy. Wpakujmy jej kulkę w łeb.

– W żadnym wypadku – zaprotestował Kowal. – To moja żona.

– To nie jest już twoja żona – zaznaczył Adrian. – Ona jest bramą.

– Odprawiajcie te swoje gusła – powiedział zrozpaczony. – Nie zamierzam strzelać do Olgi. Edward, Filip i Janina cofnęli się o krok i złapali się za ręce. Monotonnym głosem recytowali zaklęcia. Pozostali trzymali Olgę na celowniku. Przez kilkanaście sekund trwało swego rodzaju zawieszenie broni, nikt nie wykonał żadnego gestu. Wreszcie kilku mężczyzn wystąpiło zza pleców Olgi i zaczęło podążać w stronę Kowala i Parapsychicznych. Za nimi poszli następni. Co więcej, z drzwi prowadzących do różnych pomieszczeń wyłaniali się kolejni pracownicy InfoMedu, poruszający się równym krokiem, jakby ktoś wybijał im takt.

– Nie przerywajcie – nakazał Kowal. – My ich gdzieś odciągniemy i spróbujemy zatrzymać. Najważniejsze, aby nie zranić mojej żony.

– Zrozum wreszcie, że to już nie jest twoja żona! – krzyknął Rozchwat.

Zaczęli się wycofywać do jednej z sal konferencyjnych, gdzie zwykle spotykał się zarząd firmy. Horda nacierająca od strony korytarza miała utrudnione zadanie, ponieważ musiała przedrzeć się przez wąskie drzwi, które były bezustannie ostrzeliwane. Monstra padały na ziemię jeden po drugim, formując naturalną zaporę. Edward, Filip i Janina, osłaniany przez resztę grupy, odprawiali rytuał przemiany.

– Nie przerywajcie, poradzimy sobie – zapewnił Kowal.

Wtedy w drzwiach pojawiła się jego żona. Była wściekła i poruszała się zwinnie niczym dziki kot. Jednym długim skokiem dopadła do ramienia Janiny Pięty.

Kowal otworzył torbę i wyjął z niej paralizator. Próbował złapać Olę, aby porazić ją prądem, ale ta odepchnęła go jedną ręką z taką łatwością, jakby bawiła się pluszową zabawką. Wbiła zęby w delikatną szyję Janiny i rozpruła jej tętnicę. Kobieta miotła się i wierzgała, próbując wyrwać się z żelaznego uścisku szczęki, ale szybki upływ krwi pozbawił ją życia. Olga rzuciła martwe ciało na podłogę i z prędkością błyskawicy schwytała Adriana. Ścisnęła za szyję i uniosła wysoko, patrząc z pogardą, jak szarpie się w jej dłoni. Co gorsza, z korytarza napłynęła fala żądnych mięsa upiorów w ludzkich ciałach.

– Musimy coś zrobić. Inaczej zginiemy – krzyknął Rozchwat, nie przestając strzelać. Obawiał się, że świszczące kule mogą zranić słabnącego z każdą sekundą Adriana, ale nie mieli innego wyjścia. Filip zaś starał się telepatycznie powstrzymać nacierające demony.

– Pomóżcie Adrianowi. Ja zyskam trochę na czasie – powiedział.

Zdzicziali pracownicy InfoMedu zatrzymali się i stąpali w miejscu, wpatrując się w sufit. Rozchwat wycelował prosto w głowę Olgi – tylko w ten sposób można było ją unieszkodliwić. Naciskał spust tak długo, aż pistolet nie wydał z siebie odgłosu świadczącego, że magazynek jest pusty. Olga przeszywana kulami Rozchwata długo utrzymywała się na nogach, by w końcu opaść na podłogę wraz z Adrianem.

Kowal, nie zważając na niebezpieczeństwo, uklęknął przy żonie. Dostrzegł, że jeszcze oddycha. W przeciwieństwie do Adriana, który z przedziurawionym przez nabój gardłem leżał obok Olgi.

– Nie umieraj – błagał żałośnie Leon, potrząsając ciałem żony. Olga uchyliła delikatnie oczy. Jej źrenice ponownie były brązowe. Mówiła coś ledwie słyszalnym głosem, Kowal nachylił się jeszcze bardziej, aby uchwycić jej słowa.

– Zdradziłam cię – wymamrotała. – I to z byłym facetem Moniki.

– Ja cię nigdy nie zdradziłem – odparł.

– Nigdy nie zrobiliście tego z Moniką?

– Nigdy.

– Ta suka zabrała twoje pieniądze.

– Nie chce mi się wierzyć, że Monika mogłaby to zrobić – stwierdził. – Śledziła cię. Widziała, że byłaś na działce.

– Wzięłam tylko dziesięć tysięcy. Musiałam zapłacić Samuelowi, żeby przestał mnie szantażować.

– Teraz to nieważne – szepnął.

– Tej suce od zawsze zależało tylko na pieniądzach. Zabiłam ją, i to z wielką przyjemnością. Nie chciałam cię stracić. Nie mogłam pozwolić, aby ona mi ciebie zabrała – dodała głośnie i rozwarła szczęki, aby zatopić je w szyi Kowala, ale on był szybszy. Odskoczył i wypalił z pistoletu, który nieustannie trzymał w pogotowiu, robiąc w czole Olgi wielką dziurę.

– Miałaś pecha, bo właśnie mnie straciłaś. Ogłaszam rozwód – oświadczył. – Czy była szansa, by ją uratować? – spytał.

– Wydawało się, że tak – rzekł ze smutkiem Edward. – Ale rytuał przemiany nie zadziałał.

– A powinien?

– Teoretycznie powinien. Jak już mówiliśmy, nie mieliśmy nigdy możliwości, aby to sprawdzić.

– Pięknie – skwitował, wycierając krew z czoła. – Czyli wygląda na to, że wszystkie osoby zamienione w bramy musimy po prostu zabić.

– To chyba jedyne wyjście – przytaknął Rozchwat, po czym ciężko westchnął. – Na nasze nieszczęście pozostało ich jeszcze osiem.

– Straciliśmy Janinę i Adriana – powiedział Edward.

Kowal nie wytrzymał. Kotłująca się w nim złość eksplodowała. Rzucił się z pięściami na Rozchwata. Bił go bez opamiętania. To przez niego się tu znaleźli, przez niego Adrian i Janina nie żyją.

– Co ty, kurwa, robisz? – Rozchwat w końcu zdołał go odepchnąć. – Chcesz tu zginąć? Musimy działać razem.

– Zabiłeś Adriana i moją żonę.

– To nie była twoja żona – wściekał się Rozchwat. – Nie było innego wyjścia. W przeciwnym wypadku ta twoja kobietka rozszarpałaby nas na strzępy. Zresztą to ty ją wykończyłeś – zauważył.

– Mogliśmy jeszcze coś wymyślić – wycedził Kowal. – Wybrałeś najgorszy z wariantów.

– Ale przynajmniej coś zrobiłem – bronił się. – Ty stałeś i gapiłeś się, jak twoja żona rozszarpuje Janinę i dusi Adriana. Znałem ich od dwudziestu lat. Byliśmy jak rodzina. Straciłem dwie bliskie mi osoby, więc nie tłumacz mi, kto jest winny.

– Uspokójcie się wreszcie! – krzyknął Krystian. – Lepiej zastanówmy się, jak wypełnić zadanie. W przeciwnym razie i tak skończymy jako mięso dla tych bestii.

– Kurwa mać! – Kowal kipiał złością. Uświadomił sobie, że stracił nie tylko żonę, lecz także Monikę.

Zbrukana krwią piątka ocalałych zwróciła się w kierunku otępiałych ludzi, którzy zmuszeni przez Filipa tupali w miejscu.

– Możemy przejść obok nich? – zapytał Kowal.

– Spójrzcie na korytarz, jest ich tam pewnie setka – zauważył Rozchwat. – Jeśli nawet spróbujemy się przedrzeć, w każdej chwili mogą się obudzić i pożreć nas żywcem.

– Każ im się na siebie rzucić – zasugerował Kowal.

– Adrian był najlepszy w te sztuczki, ale mogę spróbować – odpowiedział Filip. – Boję się, żebym czegoś nie sknocił. Telepatia nie jest moją mocną stroną.

– Ale dałeś radę ich zatrzymać – przypomniał Rozchwat.

– W razie czego będziemy gotowi. Jeśli spróbują nas zaatakować, nie poddamy się bez walki. – Kowal zmienił magazynek w pistolecie.

– Filip, zrób, co w twojej mocy. Kolejne starcie jeszcze bardziej nas osłabi. Jeśli w ogóle wyjdziemy z niego żywi – mówił Rozchwat. – Musimy dotrzeć do bram, a potem do samego kapłana.

– To samobójcza misja. Ściągnąłeś nas tu na pewną śmierć – wyrzucił mu Kowal. – Powinniśmy uciec z tego budynku i wezwać posiłki.

– Myślisz, że tam, na zewnątrz, jest lepiej? Że ktoś nam pomoże, jak opowiemy o wielkim kapłanie i bramach? – Rozchwat wskazał na szybę, za którą rozpościerała się panorama zniszczonej Warszawy. Nad miastem unosił się gęsty, czarny dym, pogrążając je w ciemności. Gdzieniedzie dało się dostrzec płomienie trawiące budynki, których nikt nie ratował. –

Świat pogrążył się w chaosie. Jeśli nie pokonamy kapłana, prędzej czy później i tak zginiemy. Chcesz ukrywać się w kanałach jak jakiś szczur? Wolę umrzeć, walcząc.

– Powiedzcie mi prawdę – zaczął Kowal po chwili zastanowienia. – Do czego jestem wam potrzebny?

Zamilkli. Po sali roznosił się odgłos rytmicznego stąpania.

– Zapytałem was o coś – nalegał. – Jesteście tu?

– Legenda mówi, że tylko wybrany może powstrzymać Armagedon – odezwał się Krystian. – Ty jesteś tym wybranym. Tylko ty możesz zamknąć przejście.

– Ale jak niby mam to zrobić? – prychnął. – Staniemy przed wielkim kapłanem i zaczniemy odprawiać gusła, które znowu narażą nas na niebezpieczeństwo?

– A masz lepszy pomysł? – zirytował się Rozchwat. – Musimy wierzyć pradawnemu prorocत्वu – powiedział, zatrzymując się przy każdym słowie. – Albo wróćmy do naszych domów i przyglądajmy się, jak świat przeistacza się w piekło.

Kowal nie mógł odmówić mu racji. Nie istniało inne wyjście. Walka, nawet z marnymi szansami na powodzenie, wydawała się lepszym rozwiązaniem niż ucieczka i życie w wiecznym strachu.

– Gotowi? – spytał Rozchwat. – Rób, co możesz – zwrócił się do Filipa.

Wróżbita przyłożył dłonie do skroni, aby skupić się na przekazie telepatycznym, kiedy ściana za nimi otworzyła się z sykiem, a za nią stał Fabrizio Trapanelli.

– Chodźcie szybko – polecił. – Zanim te upiory was pożą.

Nie wahając się długo, weszli do wąskiego tunelu prowadzącego wzdłuż ściany sali konferencyjnej.

– Kazałem je zbudować na wypadek nieproszonych gości. Mogłem się nimi łatwo wymykać – wyjaśnił Trapanelli, widząc zdziwione miny całej piątki.

– Gdzie prowadzą? – zainteresował się Rozchwat.

– Na korytarz i do pozostałych sal na piętrze.

– Używałeś ich kiedyś?

– Raz czy dwa.

Rozchwat zatrzymał się i spojrzał spod oka na Trapanello.

– Gdzie jest Sylwia Fornel i bramy?

– Była u mnie w gabinecie, ale udało mi się uciec.

Rozchwat zmrużył oczy.

– Niby jak?

– Właściwie to Sylwia raptownie wyszła z mojego gabinetu. Wyglądała, jakby ktoś ją wezwał... albo coś – odparł pokrętnie.

– Może wiesz, gdzie poszli? – Kowal podzielał nieufność Rozchwata.

– Nie mam pojęcia – odparł.

– W takim razie prowadź do swojego gabinetu – zdecydował Rozchwat. Węszył podstęp, ale uznał, że konfrontacja i tak jest nieunikniona. Spojrzał wymownie na pozostałych, aby byli przygotowani na najgorsze.

– Ten twój biznes jest legalny? – zmienił temat Kowal. – Mam wrażenie, że robisz tu niezłe przekręty. Mów szczerze. Nawet jeśli wyjdiesz w jednym kawałku z tej masakry, to nie przypuszczam, aby twoje firmy stanęły na nogi.

– Wolę nie odpowiadać – bąknął.

Doszli do przesuwanej ściany, za którą mieścił się gabinet prezesa. Wstrzymali oddechy. Choć Trapanelli zarzekał się, że nie współpracuje z siłami ciemności, spodziewali się najgorszego. Kiedy włąz się odsunął, po drugiej stronie ujrzeli Sylwię Fornel ze swoją świtą. Oprócz ośmiu bram

towarzyszyło jej kilkanaście osób z zakrwawionymi ustami wykrzywionymi w lubieżnym uśmiechu. Wiły się wokół Sylwii, co jakiś czas oblizując ją przedziwnie wydłużonymi językami.

– Chodźcie do nas – powiedziała Sylwia. – Zapraszamy.

Rozchwat, Kowal, Edward, Filip i Krystian zgromili wzrokiem Trapanellego, który wzruszył tylko ramionami.

– Nie miałem innego wyjścia – bronił się. – Zagrozili, że mnie zabiją.

– I tak to zrobią – zachnął się Kowal.

– Obiecali mi, że będę żył – mówił bliski płaczu.

– W takim razie to ja cię zabiję. – Wyciągnął pistolet i wypalił prosto w czoło Włocha. Ciało Trapanellego uderzyło z impetem o ścianę, po czym osunęło się na podłogę. – Na wojnie za zdradę należy się śmierć – usprawiedliwił się.

Pewnym krokiem wszedł do gabinetu, stając oko w oko z kapłanem władającym ciałem Sylwii. Pozostali poszli jego śladem.

– I to jest ten wybraniec? – parsknęła Sylwia. Zmierzyła wzrokiem Kowala, który na ramieniu trzymał ciężką torbę. – Dlaczego właśnie on?

– Też się nad tym zastanawiam – odparł z butą w głosie.

– Przechytrzyliśmy cię – odezwał się Rozchwat. – Unicestwiliśmy dwie bramy, teraz nie otworzysz wrót innego świata. Wybraniec nic ci nie da.

Wyszczrzyła zęby w szyderczym uśmiechu.

– Ależ wy jesteście naiwni. – Zaśmiała się. – Wasz los jest już przesądzony. Gdy już dojdzie do otwarcia dziesięciu bram, reguły gry się zmieniają. Czyżbyście niedokładnie zrozumieli proroctwo? Teraz z każdego głupca w mgnieniu oka mogę stworzyć bramę. O, na przykład z tamtych dwóch. – Wskazała na pogrążonych w transie mężczyzn. Po chwili ich oczy zrobiły się całkowicie białe, a z ust wyrwał się przesywający uszy ryk. – Oto znów mam dziesięciu apostołów. A teraz

wykorzystam tego śmiertelnika, który stoi przede mną, i rozewrę na oścież wrota moim pobratymcom. Zalejemy wasz świat złem. To będzie prawdziwa uczta. – Uniosła się kilkanaście centymetrów nad podłogą i wzniosła ręce nad głowę. – A teraz, wybrańcu, niech twa marna, śmiertelna dusza wpuści na ten świat moich przyjaciół – rozkazała.

Kowal poczuł piekielny ból głowy. Rzucił torbę na ziemię i ukląkł, wypuszczając broń z ręki. Przyłożył dłonie do pulsujących skroni, miał wrażenie, że za moment jego ciało eksploduje i rozpadnie się na tysiące drobnych kawałków.

– Dlaczego tak stoicie? Zróbcie coś – wysyczał, widząc, że Rozchwat, Filip, Krystian i Edward, skamieniali, przyglądają się jego cierpieniu, ale jego prośba pozostała bez odpowiedzi. Zacisnął zęby i skierował twarz ku górze, próbując opanować piekielny ból czaszki. Jakimś sobie tylko znanym sposobem podniósł się z kolan i spojrzał w oczy zaskoczonej Sylwii.

– Jesteś bardzo silny – przyznała. – Ale ze mną nie wygrasz.

Kowal chciał sięgnąć po glocka leżącego na podłodze, lecz wtedy poczuł na swoim czole zimną lufę pistoletu.

– Co się tu, kurwa, odpierdala – jęknął Kowal, walcząc z bólem i telepatycznym sygnałem wysyłanym przez wielkiego kapłana.

– Przepraszam cię i żegnaj – wykrztusił ledwie słyszalnym głosem Rozchwat, po czym nacisnął spust.

Zamiast wystrzału dało się słyszeć tylko głuchy chrzęst zamka. Edward, Filip i Krystian spojrzeli na siebie zszokowani, że broń nie wypaliła.

– Ja to załatwię. – Filip błyskawicznie wymierzył shotgunem prosto w głowę detektywa, ale i tym razem ani jeden nabój nie opuścił lufy strzelby.

– To ona blokuje kule. – Krystian popatrzył na Sylwię, która obserwowała scenę z rozbawieniem.

– Spróbuję jej przeszkodzić – powiedział Filip. – A wy z nim skończcie, inaczej będziemy zgubieni.

Wbił wzrok w Sylwię i skupił wszystkie siły, aby telepatycznie zakłócić oddziaływanie demona na ich broń.

– Teraz – krzyknął. – Zabijcie go.

Rozchwat wycelował w głowę Leona i nacisnął spust, ale detektyw miał wystarczająco dużo czasu, aby nie dać się ponownie zaskoczyć. Wykonał przewrót w przód, sięgając po pistolet leżący na podłodze, i oddał strzał w kierunku Rozchwata. Wróżbita zawył z bólu. Wypuścił broń z dłoni i złapał się za udo.

– Zastrzelcie go – rozkazał, obserwując, jak jego spodnie nabierają krwi.

Krystian błyskawicznie zwrócił się w stronę Kowala i wypalił dwa razy. Żadna z kul nie dosięgła Leona, który przeturlał się po podłodze, unikając pocisków, i kilkoma strzałami rozorał gardło Zochaja. Idąc za ciosem, posłał serię w stronę Filipa i Edwarda, dziurawiąc ich klatki piersiowe.

Gdy Kowal rozprawiał się z Parapsychicznymi, Rozchwat czołgał się w kierunku broni, już ją miał na wyciągnięcie ręki, gdy ciężki but przygniótł jego dłoń.

– Mów, o co chodzi, zanim cię zabiję – wycedził Kowal, celując w głowę wróżbity glockiem.

Sylwia bacznie przyglądała się strzelaninie, starając się kontrolować jej przebieg. Musiała dopilnować, aby wybrańcowi nic się nie stało. Widząc jednak, że Kowal radzi sobie z rywalami, czekała, aż wyeliminuje każdego po kolei.

– Wszystko stracone – odrzekł Rozchwat.

– Co jest, kurwa, stracone? Mów, o co w tym chodzi! Dlaczego chcieliście mnie zabić? – wściekał się Kowal.

– Masz jeszcze szansę. Jeśli popełnisz samobójstwo, zatrzymasz zło, które poprzez ciebie próbuje wniknąć do naszego świata. Nie rozumiesz, dlaczego kapłan nie pozwolił cię zabić? Bez ciebie jego plan się nie powiedzie – mówił coraz słabszym głosem.

– A więc o to chodziło. – Kowal pokręcił głową z niedowierzaniem. – Przyciągnęliście mnie tu z zamiarem unicestwienia. Czyżby to też było w tym waszym proroctwie? – zgadywał. – Zło miało powstrzymać zabicie wybrańca, w momencie gdy ten zamieni się we wrota między światami?

Rozchwat tylko kiwnął głową. Plama krwi wyciekającej z jego uda robiła się coraz większa.

– Zabij się. Weź broń i strzel sobie w łeb – błagał. – Tylko tak powstrzymasz to szaleństwo. Niech ofiara tak wielu osób nie pójdzie na marne.

– A bramy? Co z rytuałem przemiany? – drążył Kowal.

– To wszystko było kłamstwem, żeby cię tu ściągnąć. Już nic nie mogło powstrzymać zła, które znalazło przejście do naszego świata – tłumaczył Rozchwat, który nie miał wątpliwości, że jego życie dobiega końca. – Rytuał przemiany, walka z bramą, nawet śmierć moich przyjaciół, to wszystko po to, abyś dotarł aż tutaj, przed oblicze kapłana, gdzie miałeś zostać zabity. Leon. – W oczach Rozchwata pojawiły się łzy. – Wypełnij swoje przeznaczenie. Zabij się.

– Przez jakieś mętne proroctwa straciłem żonę i Monikę – mówił Kowal przez zaciśnięte zęby. – Monika – powtórzył. – Ona wiedziała. Prawda?

– Tak. Miała mieć cię na oku i dopilnować, byś kontynuował śledztwo.

– A ja głupi jej ufałem – wykrztusił ledwie słyszalnym głosem. Z goryczą uzmysłowił sobie własną naiwność.

– Zapłaciliśmy jej. Twoja asystentka dla pieniędzy nie cofała się przed niczym. – Przerwał, aby złapać głębszy oddech. – Jeśli cię to pocieszy, nie sprzedadała cię tanio. – Każde słowo wypowiadał z wielkim trudem. – Leon – wycharczał. – Zabij się, to jedyna szansa.

– I tak nie pozwolę ci się zabić – usłyszał głęboki głos wydobywający się z wnętrza Sylwii. – Już nikt mi nie przeszkodzi. – Wyciągnęła przed siebie rękę, a wtedy szyja leżącego Rozchwata przekreśliła się o sto osiemdziesiąt stopni, z trzaskiem łamiąc kręgosłup. Jego otwarte oczy wciąż wpatrywały się w Kowala, niejako błagając go w imieniu ludzkości, aby ofiarował swoje życie.

Kowal przytknął broń do głowy i spojrzał wyzywająco na Sylwię.

– Jestem ci potrzebny. Nie wiem, jak długo twoi pobratymcy będą się przedostawali do naszego świata, ale mogę ten proces zatrzymać jednym pociągnięciem cyngla – powiedział.

– Naciskaj na spust pistoletu, ile chcesz. – Zaśmiała się. – To nic nie da. Mam władzę nad materią. Nie uciekniesz od przeznaczenia. Sam pomyśl, jeszcze niedawno zapierałeś się, że znajdziesz ciało Zawadzkiej i zakończysz śledztwo, a dziś jesteś tutaj. Opuszczony i zdradzony.

Kowal prychnął i wyrzucił broń z dłoni.

– To rozumiem – pochwaliła go. – Jeśli będziesz z nami współpracował, znajdziemy dla ciebie jakąś ważną rolę w nowym porządku świata.

– Ja już mam rolę – burknął. Podszedł do torby leżącej na podłodze i odsunął suwak.

– Tak? A jaką? – Zarechotała.

Spojrzał do wnętrza torby i uśmiechnął się, szarpnął za rączkę skrywanego w niej urządzenia i w jednej chwili przed oczami wielkiego kapłana rozłożyła się konstrukcja na trzech nogach. Pociągnięcie kolejnej wajchy sprawiło, że pojawił się panel najeżony lśniąco ostrzami. Kowal

wcisnął przycisk na konsoli sterowania i wówczas z szerokiego panelu usadowionego na stelażu wystrzeliło kilkadziesiąt elektrod, które niczym pociski poleciały w kierunku Sylwii Fornel i jej świty. Wbiły się w ciała wielkiego kapłana i części jego ludzi, paraliżując ich słoniową dawką prądu.

Kowal wyciągnął z torby karabin maszynowy i puścił serię w unieruchomionych demonów, dygoczących pod wpływem elektryczności niczym chorzy podczas ataku żółtej febry.

– Zapomniałaś, krowo, że nie jesteście odporni na prąd – sarknął, po czym zaczął strzelać w Sylwię i ludzi, którzy stali się bramami. Czwórce z nich jakimś cudem udało się uniknąć paraliżujących elektrod. Rzuciły się z pazurami i zębami na Kowala, chcąc ratować wielkiego kapłana, ale zdołały zrobić zaledwie kilka kroków, gdy dopadły ich pociski z karabinu. Kowal był w transie. Niczym najwytrawniejszy żołnierz pruł seriami w przeciwników. Zanim skończył się magazynek, sięgał do torby i wyciągał nowy, dzięki czemu przerwa w kanonadzie była prawie niezauważalna.

Powoli zaczął się cofać w stronę wyjścia na korytarz, bez przerwy strzelając w demony zgromadzone w pomieszczeniu. Każdego nafaszerował taką ilością ołowiu, że ich ciała przypominały krwawą jajecznicę. Dotarł do drzwi i zamknął je, aby powstrzymać napływ żądnych krwi obłąkańców. Nie przerywał ostrzału, nawet gdy Fornel i bramy wydawały się martwe. Śmiercionośna salwa ustała, gdy skończyły mu się naboje. Wyczerpany położył karabin na podłodze, złapał za pistolet i nasłuchiwał. W gabinecie było cicho, z korytarza dobiegały odgłosy napierania na zamknięte drzwi. Postanowił przejść między trupami, aby w razie konieczności glockiem dobić ocalałych.

– Nie zadziera się z Leonem, kurwy – powiedział, stąpając między zmasakrowanymi ciałami. Stanął nad truchłem Sylwii Fornel, aby się

przekonać, że nie wstanie z martwych. Wyglądała odrażająco, niemal topiła się we własnej krwi, jej kończyny zostały porozrywane kulami, a czaszka przypominała szwajcarski ser. Kowal wycelował w jej głowę z pistoletu, zamierzając wpakować w nią jeszcze trochę ołowiu. Wtedy zalane krwią oczy Sylwii otworzyły się. Rozprutą ręką ścięła go z nóg, wdrapała się na niego i próbowała dobrać się do gardła. Detektyw przyłożył broń do jej czoła, nacisnął na spust, ale z magazynku dobył się jedynie cichy chrzęst.

– Kurwa mać! – zaklął. – Akurat teraz.

Wił się pod obleśnym ciałem Sylwii i bił gdzie popadnie kolbą pistoletu, chcąc ją z siebie strącić, ale ta, nieczuła na jakikolwiek ból, z jeszcze większą siłą próbowała wgryźć się w jego gardło.

– Zabiorę cię ze sobą do piekła – wysyczała.

Przylgnięci do siebie turlali się po podłodze pełnej trupów. Kowal powoli opadał z sił. Wiedział, że jeśli natychmiast czegoś nie wymyśli, zginie. Kątem oka dostrzegł, że nie dalej niż dwa metry od niego stoi biurko Fabrizio Trapanello. O ile dobrze pamiętał, leżało na nim kilka przedmiotów, które mogły posłużyć jako broń. Odpierając atak Sylwii, doczołgał się do biurka i obmacał blat. Pod dłonią wyczuł coś, co kształtem przypominało nóż. Złapał za rękojeść i wbił ostrze w oko Sylwii tak głęboko, jak tylko był w stanie. Kobieta wydała z siebie żalosny skowyt i opadła bez życia na Kowala, który głośno sapiąc, spoglądał na rękojeść noża do cięcia papieru, ozdobioną różgami liktorskimi.

– Faszyzm ocalił mi życie – skwitował.

Zrzucił z siebie martwą Sylwię i z trudem wstał. Choć kręciło mu się w głowie, podniósł jeden z pistoletów należących do Parapsychicznych i wpakował w mózg Fornel jeszcze kilka kul. Tak na wszelki wypadek. Ze zgrozą stwierdził, że nie ma już sił na walkę, a za drzwiami czeka na niego

horda krwiożerczych upiorów. Wtedy usłyszał odgłosy strzałów. Uchylił drzwi i ku swemu zaskoczeniu zobaczył oddział antyterrorystyczny oraz wojsko. Uśmiechnął się delikatnie i zemdlął.

EPILOG

Leon Kowal otworzył oczy. Ujrzał białą szpitalną salę, przez zasłonięte żaluzje w oknach leniwie przebijały się promienie słoneczne. Powoli wracały wspomnienia traumatycznych wydarzeń z ostatnich tygodni, a w szczególności pojedynk z Sylwią Fornel. Odetchnął ciężko, kiedy uświadomił sobie, jak blisko był śmierci. Próbował podnieść głowę, ale nie dał rady. Poczuł opór mocnych skórzanych pasów, którymi był przypięty do łóżka. Poirytowany, zaczął się szarpać, co przywołało lekarza i trzech rosnących pielęgniarzy.

– Przestań, bo zaaplikujemy ci środki uspokajające – ostrzegł lekarz.

– Wypuście mnie. Świat jest w niebezpieczeństwie. Demony próbują przedostać się do naszej rzeczywistości, a wy się temu biernie przyglądacie – krzyczał.

– To ostatnie ostrzeżenie. Jak nie przestaniesz bredzić, dam ci zastrzyk.

– Oni wszyscy zmówili się przeciwko mnie, ludzie z Polskiego Związku Parapsychicznego i Monika Wójcik. Ale ja sobie poradziłem, wybiłem ich co do nogi i ocaliłem świat. Jestem wybranym – mówił z przejęciem. – Powinniście się do mnie modlić.

Lekarz nabrał z fiolki pięć mililitrów jakiegoś płynu i poprosił pielęgniarzy, aby przytrzymali pacjenta. Mężczyźni unieruchomili Kowala w taki sposób, aby lekarz mógł wstrzyknąć mu środek uspokajający.

– Nie widzicie, co dzieje się ze światem? Spójrzcie za okno, ludzie pogrążają się w chaosie. – Ściszył głos. – Tylko czekać, aż zło znowu postanowi wdrzeć się do naszego świata. – Położył głowę na poduszce i wbił wzrok w sufit.

– Teraz znacznie lepiej. Mamy dla ciebie niespodziankę – oznajmił lekarz. – Wjedźcie z pacjentem.

Kowal kątem oka obserwował, jak pielęgniarki wprowadzają do sali łóżko z mężczyzną, który również był skrepowany pasami. Gdy dostrzegł jego twarz, poczuł, jak – mimo środków uspokajających – krew uderza mu do głowy. Zamknął oczy i otworzył je ponownie, aby utwierdzić się w przekonaniu, że widzi Mariana.

– Zostawmy ich w spokoju, niech sobie porozmawiają – zdecydował lekarz, po czym wraz z pielęgniarkami opuścili pokój.

Bracia przez kilka minut trwali w ciszy. Wreszcie jako pierwszy odezwał się Marian.

– Udało ci się, braciszku. Jestem z ciebie bardzo dumny – powiedział cicho.

– Co mi się udało? – zapytał Leon. – Trafiłem do wariatkowa. Czy to uważasz za sukces?

– Uratowałeś świat. Sprzeciwiłeś się złu.

– Czy to, co się wydarzyło, stało się naprawdę, czy tylko mi się przyśniło?

– Ależ oczywiście, że to prawda. Tak samo jak każda inna prawda – odparł tajemniczo.

– Pamiętam nasze rozmowy z dzieciństwa, mówiłeś mi, że kiedyś do ciebie dołączę, że ujrzę prawdę – wspomniał.

– I miałem rację – potwierdził Marian. – Przygotowywałem cię do tego wydarzenia przez całe twoje życie. Jak myślisz, dlaczego zostałeś

policjantem? W jakim celu byłeś najlepszym strzelcem? Twoja historia nie jest dziełem przypadku.

– Czy to twoja sprawka? – dopytywał Leon z niedowierzaniem. – Prowadziłeś mnie za rękę, abym w odpowiednim czasie był gotowy do konfrontacji ze złem?

– Brawo, braciszku. – Zacharczał. – Widzę, że rozumiesz.

– Czyli jednak jestem wybrany?

– Oczywiście, że jesteś. Ja cię wybrałem. – Łagodny głos Mariana wlewał się w duszę niczym lekarstwo kojące wszelki ból.

– Dlaczego zło nie przedostało się do naszego świata, kiedy stałem się wrotami? Miałem wrażenie, że na początku pęknie mi głowa, jednak nad wyraz szybko doszedłem do siebie. Potem wystrzelałem ich wszystkich jak jakiś pieprzony Rambo. Rozumiesz to? Zabiłem nawet swoją żonę.

– Wybraniec musi być sam. Nie może mieć przyjaciół ani rodziny, ponieważ nic nie może mu przysłać misji do wykonania. Pytasz, dlaczego zło nie przedostało się do naszego świata. Otóż byłeś wspaniałym uczniem i odrobiłeś każdą pracę domową, jaką ci zadałem. Czy nie wydaje ci się, że uciekło ci z życiorysu sporo dni?

– Podejrzywałem, że to początki choroby psychicznej albo przynajmniej Alzheimera. Uznałem, że po prostu nie pamiętam tamtego czasu, i muszę żyć dalej.

– To były te dni, kiedy przygotowywałeś się do najważniejszej konfrontacji w życiu. Miałeś zatrzymać zło z innego świata i udało ci się. A ponieważ przeszedłeś najważniejszy test, możesz udać się w dalszą drogę – stwierdził Marian.

– Dalszą drogę? – nie krył zdziwienia.

– Pokażę ci coś, o czym nawet nie mógłbyś pomarzyć. Pozwolę ci spojrzeć na rzeczywistość z mojej perspektywy.

- Z twojej perspektywy?
- Tak, pokażę ci wszechświat takim, jakim jest naprawdę.
- Jedenastowymiarowy? – wyszeptał, choć nie miał pojęcia, skąd podobne słowo przyszło mu do głowy.
- Wyobraź sobie wachlarz możliwości, jakimi będziesz dysponował. Nieskończona ilość wszechświatów, które będą do twojej dyspozycji. Już nigdy nie będziesz się nudził, nigdy nie zaznasz bólu ani cierpienia. Przez wieczność będziesz zmieniał swoje wybory i układał rzeczywistość na nowo, a i tak nie wyczerpiesz wszystkich rozwiązań.
- Marian. – Leon potrząsnął głową z niedowierzaniem. – Ale po co?
- Oczywiście dla zabawy, braciszku. Jak wszystko, co istnieje. Dla zabawy – odparł Marian i zamknął oczy.

K O N I E C

POLECAMY RÓWNIEŻ

Wojciech Kulawski

Prokurator Marian Suski

Tom 1. Lista sześciu

Tom 2. Między udręką miłości a rozkoszą nienawiści

Tom 3. Zamknięci

Tom 4. Poza granicą szaleństwa

Tom 5. Patostreamerzy

Tim Mayer

Tom 1. Syryjska legenda

Tom 2. Meksykańska hekatomba